

UZALEŻNIAJĄCY THRILLER

SEKRET PACJENTKI

Bestsellerowa autorka



LORETH
ANNE WHITE

MANDO

Loreth Anne White

Sekret pacjentki

tłumacz: Ewa Ratajczyk

Powieść *Sekret pacjentki* jest fikcją literacką. Postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych wydarzeń, okoliczności czy osób, żywych lub nieżyjących, należy uważać za zbieg okoliczności.

Originally published under the title *The Patient's Secret*

© 2022 by Cheakamus House Publishing

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Lidia Kozłowska

Korekta: Monika Karolczuk, Anna Śledzikowska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3598-0

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3599-7

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: POZKAL • Inowrocław

Publikację wydrukowano na papierze Creamy 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez ZING Sp. z o.o.

Przedmowa

Inspiracją do napisania tej powieści była prawdziwa zbrodnia – potworna i szokująca – do której doszło w spokojnej miejscowości na Preriach Kanadyjskich. Zdarzenia tamtego dnia zapisały się w kryminalnej historii Kanady i były szczegółowo relacjonowane w mediach, podobnie jak późniejszy proces. Fabuła *Sekretu pacjentki* opiera się na faktach związanych z tamtą zbrodnią, lecz utkana wokół nich akcja jest fikcją.

Zakończenie

Lepiej nie opierać się zmianie, jaką symbolizuje karta śmierci tarota. Opór utrudni przemianę. I sprawi, że będzie bolesna. Należy się z nią pogodzić, poddać koniecznej zmianie, ujrzeć w niej nowy początek. Karta śmierci wskazuje, że powinieneś odkreślić przeszłość, by móc ruszyć naprzód. Radzi: Wypuść to, co już ci nie służy.

– Myśl artystki. Śmierć. 36 x 48. Olej na płótnie.

W lesie jest ciemniej, niż się spodziewała. Stare drzewa chybczą się i wyginają na wietrze. Deszcz falami smaga ich korony. Szlak wiodący przez klif jest wąski i śliski od błota. Ścieżka spowita jest mgłą, od której odbija się słaby strumień światła latarki czołowej.

Biegnie w głąb lasu, choć rośnie w niej strach. Powinna była znaleźć telefon, zanim wyszła z mieszkania. Nie powinna była wychodzić o tej porze. Ale w ciemność, w szpony letniej burzy, wypchnęły ją głosy, które znów odezwały się w jej głowie. Rozpaczliwie chce przed nimi uciec. W głębi duszy wie jednak, że nigdy się od nich nie uwolni. Za późno. Potwór już wokół niej krąży. To nie inny człowiek. Siedzi w jej głowie. To ona sama.

Dźgnęłam... mam... krew na rękach... nie mogłabym tego zrobić drugi raz... to nie wiek na umieranie... błaganie... nie zabijaj... charczenie... zaczęło się i nie mogło skończyć. Trzeba było położyć temu kres.

W jej piersi wzbiera cichy krzyk. Dźwięk ożywa. Przeszywa jej uszy. Oczy pieką od łez. Stąpa energiczniej, szybciej, chce uciec. Oddech świszczuje jej w gardle. Pierś unosi się i opada. Koszulka pod wodoodporną kurtką do biegania robi się mokra od potu.

Do jej umysłu wdziera się obraz – widok ran w kształcie liścia. Wybitego oka. Krwi... morza krwi. Rozbryzganej, rozchłapanej na ścianach, na suficie, na abażurach, ekranie telewizora, rowerze stacjonarnym. Prześiąkniętego nią lepkiego chodnika w korytarzu. Znów ją czuje. Gorącą. Cuchnącą.

Tak żałuję. Tak bardzo, bardzo żałuję... Byłam inną osobą. Właściwie chyba jej nie znam. Zdaje mi się, że to nie działa się naprawdę, że to nie byłam ja.

Widzi błysk ostrza. Słyszy krzyki. Jeszcze szybciej przebiera nogami.

Zabiłam... zabiłam... zabiłam. Nie chciałam...

Błyskawica przeszywa niebo ponad koronami drzew, rozlega się grzmot pioruna. Ona potyka się z przerażenia i niemal upada. Roztrzęsiona przystaje, pochyla się i kładzie dłonie na biodrach. Łapczywie nabiera

powietrza. Serce tłucze jej się w piersiach. Wydechy eksplodują niczym bezkształtne zjawy w świetle czołówki. Znowu grzmi, odgłos niesie się po oceanie. Nie widzi wody, ale czuje kłębiącą się, bezkresną ciemność u podnóża klifów, za drzewami z prawej strony. Teraz, gdy stoi bez ruchu, pośród dudnienia deszczu słyszy wzburzone fale, grzechoczące kamieniami u podstawy kruszejących klifów z piaskowca.

Wszystko potoczyło się tak niefortunnie.

Miała plan, ale nie wypalił. Nie wie, co teraz począć, ani nawet jak żyć. Ani jaki ma cel.

Coś porusza się wśród drzew. Ona tężeje, kieruje wzrok w stronę kształtów po prawej stronie. Gdy się porusza, strumień światła drży we mgle, a cienie rzucają się naprzód. Przełyka ślinę, intensywnie wpatruje się w ciemność pomiędzy pniami i paprociami.

Błyskawica znów migocze. Niemal natychmiast rozlega się huk pioruna. Burza szaleje tuż nad jej głową. Deszcz smaga mocniej, a wiatr świszczuje pośród koron drzew głośno niczym wartka rzeka. Ona kątem oka dostrzega w lesie zakapturzoną postać. Mężczyzna znika.

Puls jej przyspiesza. Ma sucho w gardle. Czuje ogarniający ją strach.

Musi wydostać się z tego lasu. Zerka na szlak za sobą. Powrót drogą, którą przyszła, potrwa dłużej niż marsz naprzód. Jeśli ruszy przed siebie, za kilka minut wyjdzie na otwartą przestrzeń porośniętych trawą skarp. Las zostawi za sobą. Za trawami jest parking, a za parkingiem – oświetlona droga. Tam będzie jaśniej. Bezpieczniej. Będzie mogła pobiec do domu jasnymi ulicami.

Ponownie rusza biegiem. Niebo przecina błyskawica. Biegnie szybciej, potykając się o korzenie, ślizgając się w błocie. Szyszki i drobne gałęzie odrywają się od drzew i spadają z impetem. Jedna z szyszek o mały włos nie spada jej na głowę. Uchyła się przed nią. Gwałtowny ruch sprawia, że cienie podskakują i uciekają. Znów się zatrzymuje. Dysząc, obraca się i jeszcze raz widzi zakapturzoną postać czającą się między drzewami, której twarz tonie w ciemności, jak zamaskowana. Mgła gęstnieje, postać znika. Szpony strachu chwytają ją za szyję.

Rzuca się do biegu, nogi niosą ją naprzód, stopy się ślizgają. Potyka się. Wymachuje rękami, żeby utrzymać równowagę. Próbuje biec szybciej.

Kolejna błyskawica. Na jaskrawo oświetlonym przez sekundę szlaku znowu widzi postać w kapturze. Z latarką w dłoni i czołówką na głowie. Cyklop bez twarzy. Jej ciało nieruchomieje. Mózg ma sparaliżowany. Nie może oddychać, nie może się ruszyć. Mężczyzna idzie do niej, jest coraz bliżej. Strumień światła jej latarki pada na odbłaskowe paski na jego

spodniach i kurtce. Światło odbija się i tańczy, a paski lśnią jak srebrne ostrza, jak halloweenowy kostium kościotrupa.

Dźgnęłam... mam... krew na rękach. Nie ma komórki. Nie ma broni.

Mężczyzna nagle przyspiesza. Ona ucieka ze szlaku w gęste zarośla. Przedziera się przez krzewy jeżyn i jagód, potyka się i przewraca na kłodach, kamieniach i korzeniach, wymachuje rękami, smagana po twarzy przez gałęzie.

On wchodzi za nią w zarośla. Dwa strumienie światła żłobią we mgle potężne tunele, oświetlając pnie i liście i sprawiając, że deszcz lśni srebrzyście. Znów grzmi. Ona pojękuje. Oczy pieką ją od łez. Po policzku chłoczce ją kolejna odgięta gałąź. Twarz ma mokrą od deszczu albo od krwi. Słyszy go. Nadchodzi. Jak wielkie zwierzę przedzierające się przez krzaki zbliża się do niej. Słyszy jego oddech. Jeszcze raz upada, brnie na czworaka przez błoto, kalecząc dłonie na cierniach i kolcach.

Znowu jęczy, wczołguje się pod niską gałąź. Wyłącza latarkę i stara się nie drgnąć. Światło się zbliża. Widzi jego strumień przeszukujący poszycie. Mężczyzna jest tuż przy niej, ona nie może znieść napięcia.

Krzyczy, wyskakuje z kryjówki i rusza naprzód niepewnym krokiem jak ranny jelen. Nagle wydostaje się spomiędzy drzew, ma przed sobą czarną pustkę. Doszła na skraj lasu. Do klifów. Do oceanu. Odwraca się, ale on jest przy niej. Znalazła się w pułapce.

– Czego... czego chcesz? – sapie ochryple.

Mężczyzna podnosi dłoń z latarką, jakby trzymał w niej broń. Mówi coś, ale ona słyszy tylko narastający w głowie hałas. Doskakuje do niej i chwytą ją za rękę.

Ona krzyczy, szamocze się, próbuje wyswobodzić się z jego uścisku. Stoi na krawędzi klifu. Dyszy. On kuca przed nią, kołysze się, przygotowany na jej próbę ucieczki, gotowy odskoczyć, żeby odciąć jej drogę. Ona czuje luźne kamienie pod stopami. Stoi tuż nad kruchą krawędzią klifu z piaskowca.

Mężczyzna wrzeszczy, ale jego słowa zagłusza wycie wiatru wśród drzew i huk fal u podnóża klifów. Znów rzuca się w jej stronę, ona go drapie i wbija paznokcie w jego twarz i szyję, nie przestając krzyczeć. Jej palce chwytają tkaninę, czapka i kaptur zsuwają się z głowy mężczyzny. Kolejna błyskawica oświetla jego twarz.

Jej mózg wyłącza się na dobre.

To ty?

Chwila wstrząsu słono ją kosztuje. Dłoń napastnika unosi się wysoko, potężny cios latarki trafia w jej skroń. Chwieje się, przez chwilę zamroczona,

i czuje, że mężczyzna ją popycha. Ziemia usuwa jej się spod nóg.

Leci do tyłu. Wymachuje rękami i uświadamia sobie, że spada z klifu. Z jej piersi wyrywa się krzyk. Obracając się i okręcając, leci w dół w ulewnym deszczu, pośród szalejącego wiatru. Błyskawica pulsuje. Grzmot pioruna pochłania jej krzyki.

Uderza ramieniem w skałę. Odbija się od niej. Wali głową w zbocze klifu. Spadając niżej, gruchocze żebra i rozbija twarz o skalną półkę. Czuje, że skręca kark, łamie kręgosłup. Gdy czaszka uderza o kolejną wystającą skałę podczas lotu ku kamienistej plaży nisko w dole, jej świat, litościwie, gaśnie. Głosy – w końcu – milkną.

Lily

TERAZ

20 czerwca. Poniedziałek.

ZAPISKI Z KARTY: TARRYN

Pacjentka, piętnaście lat, zgłasza się z powodu aresztowania za kradzież sklepową. Informuje, że nie wymaga terapii, nie jest „wariatką”, ale rodzice zmuszają ją do pójścia na „kilka sesji”, aby spełnić wymogi programu sprawiedliwości naprawczej.

Poranek wstał ciemny od ciężkich chmur. Wieje wiatr, a po szybach przydomowej poradni Lily Bradley ściekają strugi deszczu. Burza, która rozpętała się podczas wczorajszego przyjęcia ogrodowego u sąsiadów, nie ustala. Lily boi się, że stara topola górująca nad domkiem narzędziowym w rogu ogrodu złamie się przy silniejszym podmuchu wiatru i spadnie na dom. Ściślej mówiąc, na pokój na poddaszu jej ośmioletniego syna. W tej chwili stara się o tym nie myśleć. Ani o tym, dlaczego jej mąż, Tom, wyszedł pobiegać o wpół do szóstej rano. Po ciemku i mimo burzy.

Stara się nie myśleć o wczorajszej potwornej kłótni. Ani ona, ani Tom nie zdążyli jeszcze zastanowić się nad tym, co się wczoraj wydarzyło i jak odmieni to ich życie. Lily próbuje się skupić na wizytach. Wie, że to sposób wypierania rzeczywistości. *Rutyna* jest także jej sposobem na przetrwanie. „Piętrzenie” nawyków pozwala Lily budować idealne życie i nad nim panować. *Potrzebuje* rutyny. *Potrzebuje* poczucia, że ma wszystko pod kontrolą.

Jogging Toma po ciemku i podczas burzy wykracza poza rutynę Bradleyów. Lily zorientowała się, że go nie ma, wczesnym rankiem, kiedy ze snu wyrwał ją grzmot, a niebo przeszła błyskawica. W jej blasku zobaczyła po drugiej stronie łóżka odrzuconą kołdrę. Materac był zimny. Zeszła na dół i na kuchennym blacie znalazła karteczkę.

Poszedłem się przebiec, żeby zebrać myśli.

Usiłuje skupić się na pracy, na pacjentce, Tarryn Wingate, która siedzi przed nią na sofie w kolorze owsianki. Lily zajmuje fotel z drewna i miękkiej skóry. Ergonomiczny. Kosztował fortunę. Ale korzysta z niego co najmniej

przez osiem godzin dziennie, kiedy przyjmuje pacjentów, więc musi dbać o wygodę. Ma na sobie eleganckie, przewiewne lniane spodnie i kremowy sweter. Do tego skromne perły. Jej złotoblond włosy są zwinięte w luźny kok na karku. Kilka kosmyków zwisa swobodnie. Wygląda kobieco, ale nie wyzywająco. Profesjonalnie. Z klasą, ale przystępnie. Wybór stroju także należy do jej rutyny, ubiór definiuje to, kim jest – ma wzbudzać respekt, ale przede wszystkim zaufanie.

Zaufanie odgrywa w psychoterapii kluczową rolę.

Gabinet urządzony jest zgodnie z tą koncepcją. Jest dość ascetyczny, lecz wygodny. Bezpieczna przestrzeń, schronienie. Podobne skojarzenie budzi nazwa jej praktyki, Poradnia pod Dębem, przywołująca obraz silnego, rosnącego organizmu, który potrafi przetrwać presję czasu i ma głębokie korzenie.

Lily dziś wcale nie czuje się bezpiecznie.

Jej korzenie zostały odsłonięte. Nie potrafi zapanować nad emocjami. Jest przerażona tym, że całe ich życie, wszystko, w co włożyła tyle wysiłku, zaraz legnie w gruzach.

Na kolanach trzyma notes. Na górze strony zapisała: *Tarryn, 7.30.*

– Dziękuję, że przyszedł tak wcześnie, Tarryn – odzywa się.

– Jakże tam wcześnie – odpowiada piętnastolatka. – Mówiłam pani ostatnim razem, że o wpół do szóstej rano na ogół jestem już na basenie, przed szkołą mam trening pływacki.

Tarryn nie nosi makijażu. Dzinsy ma markowe, bluzę również. Brązowe włosy sięgają jej do ramion i są związane w bezpretensjonalny kucyk. Ma atletyczną budowę. Jasne oczy. Nadal jest wrogo nastawiona. Jeszcze nie ufa Lily.

Lily posyła jej uśmiech, ale milczy. Czekają, aż młoda pacjentka przejmie stery. Na temat danej osoby wiele potrafi wyczytać pomiędzy wersami. I z mowy ciała. Tarryn, skrepowana milczeniem Lily, wierci się na sofie.

– Ile razy mam jeszcze przyjść? Powiedziałam już, że ukradłam różowy sweter i zostałam aresztowana. I że przeprosiłam właściciela sklepu.

– Naprawdę tego żałujesz, Tarryn?

Za oknem grzmi. Deszcz znów dudni w szyby. Myśli Lily jak bumerang wracają do kłótni. *Dlaczego jeszcze nie wrócił?* Stara się nie zerkać za okno na topolę niebezpiecznie chyboczącą się na wietrze. Zeszłego lata wspomniała Tomowi, że powinni ją ściąć. Uparł się, żeby poczekać, aż podrosną mieszkające w drzewie szopy. Zwierzaki dawno dorosły, a cała rodzina nadal mieszka w drzewie.

– Co za różnica?

– Jeśli wcale nie jest ci przykro, to dlaczego powiedziałaś właścicielowi sklepu, że żałujesz?

– Bo musiałam. W ramach programu sprawiedliwości naprawczej.

Lily kiwa głową. Czeką.

Tarryn spuszcza wzrok, skubie strzępiącą się dziurę starannie podartych designerskich džinsów.

– Nie jestem walnięta – mówi. – Nie wiem, jak ten cały program ma wyglądać. Ani jak długo potrwa.

– Powiedziałaś, że masz pieniądze, Tarryn, i że mogłaś sobie kupić ten sweter, gdybyś chciała. Ale nie zdradziłaś mi, dlaczego postanowiłaś go ukraść.

Dziewczyna powoli podnosi głowę.

– Może nie chcę o tym mówić?

– Masz prawo. Możemy rozmawiać o tym, o czym chcesz. To twój czas, twoja przestrzeń. Bezpieczna przestrzeń, Tarryn. Ta rozmowa jest poufna. Jak już wspomniałam, nic, co powiesz w tym pokoju, nie wyjdzie poza jego ściany. Dyskrecja w sprawach klienta jest najważniejsza, dlatego to ty określasz charakter naszej znajomości. Podczas pierwszej sesji powiedziałam ci, że jeśli spotkasz mnie poza gabinetem, masz pełne prawo zdecydować, czy chcesz się do mnie przyznawać, czy nie, a ja się do ciebie dostosuję.

Kąciki warg Tarryn unoszą się w szelmowskim uśmiechu.

– Tak jak wtedy na basenie? Zignorowała mnie pani i udawała, że mnie nie zna, kiedy przyprowadziła pani syna na lekcje pływania.

– Taką mi dałaś wskazówkę. Niektórzy klienci nie chcą ujawniać, że korzystają z terapii. Innym to zupełnie nie przeszkadza.

– Naprawdę nie wygada pani mojej mamie tego, co tu mówię?

– Jak powiedziałam, to twój czas.

– Chociaż ona płaci?

– Nieważne, kto płaci. – Lily zrobiła zapiski w notesie. *Matka? Problem kontroli?*

– Notuje pani moje słowa.

– Dla siebie. Jeśli czujesz się skrępowana, nie muszę robić notatek.

Dziewczyna przygląda się Lily. Podejrzliwie. Za oknem znów grzmi. Tom powinien być już w domu.

– Nie chcę, żeby pani to zapisywała.

– W porządku. – Lily odkłada notatnik i długopis na mały stolik obok krzesła. – Wrócimy do tego, dlaczego postanowiłaś ukraść ten różowy sweter, choć miałaś pieniądze na to, żeby go kupić? – Uważnie przygląda się

pacjentce. Praca terapeutki przypomina detektywistyczne poszukiwanie wskazówek do rozwiązania zagadki, przyczyn „problemu”, jakim w tym wypadku jest sklepowa kradzież. To problem skłania człowieka do podjęcia terapii, gdy już dłużej nie może dać sobie z nim rady. Problem jest na ogół oczywisty, lecz jego powody bywają tajemnicą nawet dla samego pacjenta, skrywają się głęboko w podświadomości. Zadaniem Lily jest odkrycie tych sekretnych sił, sprawienie, by klient je sobie uświadomił – wtedy można je przeanalizować i podjąć odpowiednie działania.

Tarryn zmienia pozycję na kanapie.

– Fakt, biedna nie jestem. Rodzice zarabiają grubą kasę. Niewyobrażalną. Tata jest partnerem w kancelarii prawnej, mają filie w wielu miastach. To jedna z najlepszych kancelarii adwokackich. Matka działa w radzie miasta, poza tym prowadzi agencję nieruchomości, którą założył dziadek. Jesteśmy bogaci. Mama w przyszłym roku będzie startować w wyborach na burmistrza.

Lily o tym wie.

Bradleyowie mieszkają w bogatej nadmorskiej enklawie na przedmieściach Victorii na wyspie Vancouver, oddzielonej zaledwie cieśniną Juana de Fuca od stanu Waszyngton w USA. To bardzo hermetyczna społeczność. Wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Wszyscy, w taki czy inny sposób, są ze sobą powiązani. Praca terapeutki oznacza stąpanie po kruchym lodzie. Matka Tarryn – Virginia Wingate, radna – w swoim programie kładzie nacisk na dbałość o przestrzeganie prawa, ładu i porządku w Story Cove. Ojciec Tarryn, Sterling Wingate, jest partnerem w Hammersmith, Wingate & Klister. A Dianne Klister jest jedną z przyjaciółek Lily. Więc Lily dość dobrze wie, jaki majątek posiada Sterling Wingate i jaki jest. Wie też, że rodzice Tarryn są w trakcie rozwodu.

Lily czeka. Rozlega się grzmot pioruna.

Tarryn odchrząkuje.

– Chciałam... się przekonać, czy rzeczywiście ktoś obserwuje obraz z kamer. Moja koleżanka ze szkoły powiedziała, że ciągle coś kradnie i... –
Milknie.

– I co?

– Złapali ją.

– I ty też chciałaś zostać złapana?

– Skąd.

– Więc nie chciałaś zostać złapana?

– Jasne, że nie.

– Czyli chciałaś przetestować system? Sprawdzić, czy jesteś wyjątkowa? Czy tobie wszystko ujdzie płazem?

– Ale pani komplikuje. Coś pani powiem... To raczej nie wypali. Przecież oddałam ten pieprzony sweter! W dodatku wcale mi się nie podobał. I przeprosiłam kierownika, jak mi kazali. – Wstaje i sięga po plecak.

– A co się stało z twoją koleżanką, którą złapali?

Waha się.

– Kierownik sklepu zatrzymał ją do przyjazdu policji. Aresztowali ją. Zrobiła się wielka afera, musiała chodzić na terapię grupową, przydzielili jej prace społeczne. Przez to wszystko musiała odpuścić lekcje tańca. – Cisza. Spojrzenie dziewczyny jest teraz zuchwałe. – Rodzice Stacey nie mają takich możliwości jak moi. Jej tata pracuje w supermarkecie, a mama siedzi w domu. Była na wszystkich próbach Stacey i tak dalej. Stacey nie jest bogata, bo jej rodzice się nie wysilają. – Tarryn zarzuca plecak na ramię i podchodzi do wieszaka przy drzwiach. Zdejmuje z niego swoją kurtkę.

– Jak tu dziś dotarłaś, Tarryn?

Nastolatka waha się przez chwilę, aż w końcu odwraca się do Lily.

– A co to ma do rzeczy?

– Zastanawiałam się, kto cię odbierze, skoro wychodzisz wcześniej.

Dziewczyna spogląda Lily w oczy. Z agresją. Zrodzoną ze strachu. To dziecko jest bezbronne. Woła o pomoc. O miłość i uwagę rodziców.

– To bezpieczne miejsce, Tarryn – przypomina jej łagodnie Lily. – Chcę, żeby to do ciebie dotarło. Ja tylko próbuję ci pomóc trochę lepiej poznać samą siebie, ale nie musimy rozmawiać o swetrze. Możemy mówić, o czym chcesz. I, oczywiście, możesz wyjść, kiedy chcesz.

Tarryn bierze głęboki oddech i odwraca wzrok. Lily dostrzega, że oczy zaszyły jej mgłą.

– Mama – mówi w końcu. – Czeka w aucie w bocznej uliczce. Bierze... zwalnia się z pracy, żeby wozić mnie na terapię.

Lily kiwa głową.

– Chciałabyś, żeby twoja mama była jak mama Stacey?

– W sensie: biedna?

– Mam na myśli to, czy twoja mama zawozi cię co rano na basen, tak jak mama Stacey wozi ją na zajęcia taneczne?

Tarryn spogląda gniewnie na Lily.

– Kto zwykle zawozi cię na basen?

– Tata, po drodze do pracy.

– I czeka, aż skończysz trening, żeby odwieźć cię do szkoły?

– Nie. Do szkoły jadę autobusem. Tata musi się brać do roboty.

– Twój tata zaczyna pracę o wpół do szóstej rano?

Tarryn odwraca wzrok i wbija go w swoje buty.

– Żeby do czegoś dojść, trzeba ciężko pracować.

– Tak mówi twój tata?

– Każdy to wie.

– To dotyczy też pływania? Musisz intensywnie trenować przed szkołą?

– Miałam szansę na start w olimpiadzie. Tak mówił mój trener. Dlatego trenowałam pięć razy w tygodniu. I co weekend jeździłam na zgrupowania pływackie i na zawody.

– Opowiesz o tym w czasie przeszłym. Coś się zmieniło?

Tarryn powoli wraca na sofę. Zrezygnowana siada na krawędzi, ściskając w dłoni kurtkę i plecak.

– Nie podeszłam do eliminacji, bo miałam na głowie program naprawczy. Musiałam spełniać warunki, inaczej byłabym notowana. Poza tym... – Jej rysy nagle tężeją, mruży oczy. – Trener i tak ma nową ulubienicę. Młodszą i ładniejszą.

– Czy uroda zapewnia większe szanse na olimpiadzie?

Tarryn przeszzywa Lily wzrokiem niczym laserem. Zaciska wargi i milczy. Lily myśli o mężczyźnie, którego widziała z Tarryn i z drużyną pływacką na basenie, kiedy odprowadzała Matthew na zajęcia. Wielki twardziel z włosami w piaskowym odcieniu blond. Lily widziała go kilka razy na basenie i na siłowni. Kobieciarz.

Notuje w myślach, żeby okrężną drogą wrócić do „trenera”.

– A jak się czujesz z tym, że straciłaś szansę na olimpiadę?

– A jak się mogę czuć? – Dziewczyna przez chwilę siedzi bez słowa. – Mama... uważa, że kradzieży dopuściłam się celowo, żeby mnie aresztowali.

Lily słyszy odgłos zatraskującej się furtki. *Tom. Wrócił.* Czuje ucisk w żołądku.

Zmusza się do skupienia na Tarryn.

– Dlaczego?

– Bo jestem perfekcjonistką i, zdaniem mamy, wywieram na siebie zbyt dużą presję. Twierdzi, że się bałam, że nie przejdę eliminacji i dlatego sobie zaszkodziłam. Żeby mieć usprawiedliwienie.

– Myślisz, że ma rację?

Tarryn wysuwa lekko dolną szczękę i się rumieni.

– Bzdura! Co bym na tym zyskała? Tata wierzy, że nie zrobiłam tego po to. Chcę zamieszkać z nim, ale matka nie ma zamiaru skazywać mnie na jego „styl życia”. Miał romans, więc kopnęła go w tyłek. Ja tam się ojcu nie dziwię, bo z matki jest straszna jędza.

– Rodzice się rozwiedli?

Lily chce usłyszeć, jak przedstawi to Tarryn.

– Rozwodzą się. Na razie są w separacji. Mama mówi, że ten program sprawiedliwości naprawczej powinnam potraktować jako „okazję” – Tarryn robi w powietrzu cudzysłów – żeby wreszcie skończyć z wymysłami, z pływaniem, i skupić się na nauce. Tak nazywa moje olimpijskie marzenie: „wymysłami”. To ona jest perfekcjonistką. Robi wszystko, żeby być „perfekcyjna” jak to miasto. Tak ją pochłonęła ta perfekcja, że mąż ją zostawił dla innej kobiety, bardziej perfekcyjnej.

– Znasz ją?

Dziewczyna przełyka ślinę i w milczeniu wpatruje się w dywan.

– To matka wpakowała mnie do tej głupiej prywatnej katolickiej szkoły. Ta, do której chodzą pani syn i córka, najwyraźniej nie jest dla mnie dostatecznie dobra.

Słyszając wzmiankę o córce, Lily czuje jeszcze silniejszy ucisk w żołądku. Wie, że Tarryn zwodzi, próbuje przekierować rozmowę na inne tory, zaczepia Lily, prowokuje ją. Jej myśli przeskakują do paskudnej kłótni o nastolatki na wczorajszym przyjęciu ogrodowym.

Skup się.

Kątem oka zauważa, że w domku narzędziowym zapala się światło. Zerka w jego stronę i widzi poruszającą się wewnątrz postać Toma. Zszokowana dostrzega, że mąż nie ma na sobie koszulki. W jego ruchach widać dziwną nerwowość.

Sili się na spokój.

– Hm... Wspomniałaś, że z ojcem jest inaczej niż z matką? – Światło w domku ogrodowym gaśnie.

Lily słyszy, że tylne drzwi domu się zatraskują – jej gabinet do niego przylega. To stary budynek. Słyszy donośne kroki Toma na drewnianych schodach. Jej mąż porusza się szybko. Nietypowo. Napięcie narasta. Zerka na ścienny zegar. Sesja z Tarryn zaraz się kończy.

– Tata mnie rozumie. Wie, jak to jest mieć marzenie i do czegoś dążyć. Właściwie... tylko on jeden na świecie mnie kocha.

– Tylko on ze wszystkich ludzi na świecie?

Dziewczyna pociera kolano.

– I trener.

– To znaczy... że trener... jest jedną z dwóch osób na świecie, które cię kochają?

– No, nie to, że mnie kocha. Raczej... że się o mnie troszczył.

– Troszczył? Więc przestał?

Tarryn mruży oczy.

– Nie załapałam się do składu, no nie? Jest... zajęty. Skupia się na tych, którzy teraz przygotowują się do zawodów krajowych. Ale to on zawsze jeździł ze mną na weekendowe zgrupowania pływackie. Inne dzieciaki przyjeżdżają z rodzicami, pływają z nimi promami, nocują w motelach i tak dalej. Moi rodzice nie mogą sobie pozwolić na to, żeby całe weekendy nie pracować.

Lily słyszy wzmagające się i cichnące wycie syreny w oddali. Mgła na zewnątrz gęstnieje, deszcz nadal mocno pada. Widocznie gdzieś doszło do wypadku.

– Moi rodzice nie są tacy jak wszyscy. Inne matki na ogół pieką ciasta na pikniki charytatywne, a moja... wypisuje czek i po sprawie. Nie ma czasu na takie bzdury.

Wycie syreny staje się coraz głośniejsze – skowyt brzmi żałośnie na wietrze i w deszczu. Lily nie znosi syren. Przenoszą ją w ciemne miejsce. Sprawiają, że zaczyna myśleć o potwornym okresie z dzieciństwa, kiedy straciła rodziców i brata. Kiedy została sierotą. Syreny uruchamiają w jej ciele pierwotną, fizyczną reakcję, praktycznie niezależną od umysłu. Nie jest w stanie nad nią zapanować. Lily jest terapeutką i wie, że trauma pozostawia ślad w ciele człowieka, że ciało zatrzymuje pamięć o niej, choćby umysł nie powracał do minionych wydarzeń. Nawet jeśli zajście zostało zupełnie zepchnięte do podświadomości.

Po części dlatego została terapeutką – z własnego doświadczenia wie, jak wyniszczające skutki dla dziecka może mieć trauma i jaki wpływ na nastolatka i na człowieka dorosłego mają wstrząsające zdarzenia. Jej życiowym celem jest pomaganie innym w radzeniu sobie z psychicznymi przeciwnościami, pokazywanie, że potworne doświadczenia z przeszłości nie muszą oznaczać nieodwracalnego zniszczenia. Jej celem, w każdej godzinie każdego dnia, miesiąca, roku, jest nieustanne udowadnianie, że można świadomie zmieniać swoją narrację, zastępować dawne schematy. Że człowieka nie musi definiować przeszłość. Ani genetyka. Że ludzie *mogą* się zmienić.

To jej życiowe powołanie. Jej cel. Każdy potrzebuje celu. Lily znów zerka na domek narzędziowy. Tym razem Tarryn podąża za nią wzrokiem. Lily widzi, że jej pacjentka także zwraca uwagę na syreny. Dołączają do nich kolejne. Skowyczący, wznoszący się i opadający chóralny dźwięk, coraz głośniejszy. Walenie do drzwi na górze. Lily słyszy przez ściany, jak Tom woła ich córkę, Phoebe. Serce Lily łomocze. Robi jej się gorąco. Jej wzrok

znów pędzi do zegara na ścianie. Jeszcze tylko kilka minut. Musi rozgryźć Tarryn.

– Tarryn... możemy... hm, wrócić do czegoś, o czym wspomniałaś wcześniej? Do nowej protegowanej twojego trenera?

Dziewczyna ciężko wzdycha.

– Chodzi pani o tę nową dziewczynę z „największym potencjałem”? – Znów cudzysłów w powietrzu. – To Sally-Ann.

Syreny są już bardzo głośne. Słysząc je tak, jakby dobiegały z tej ulicy. Żołądek podchodzi Lily do gardła. Dostaje gęsiej skórki. Ledwo myśli.

– Czyli... trzeba być ładnym, żeby mieć potencjał do udziału w pływackiej olimpiadzie?

– Że co?

– Powiedziałaś, że ona jest młodsza i ładniejsza.

– Spierdalaj.

Lily mruga. Syreny stają się coraz głośniejsze.

– Poza tym trener wcale tak nie powiedział. To Sally-Ann mi o tym powiedziała. Pewnie kłamie. Chyba się w nim zabujała. Idiotka. Jak można liczyć na to, że podkochiwanie się w trenerze to droga do światowej sławy?

Syreny wyją tuż przed domem. Przez żaluzje na wąskim oknie wychodzącym na ulicę nagle do środka wdzierają się czerwone i niebieskie światła, a ich blask pulsuje na ścianach i na suficie gabinetu. Lily zrywa się z krzesła i pośpiesznie podchodzi do okna. Ostrożnie rozchyła żaluzje i widzi dwa oznakowane samochody policyjne z włączonymi kogutami zatrzymujące się przed jej domem. Syreny milkną. Drzwi radiowozu się otwierają. Trzech umundurowanych policjantów wybiega na deszcz. Światła migoczą w ciszy. Lily słyszy, jak Tom woła Matthew.

– Poza tym trener jest żonaty i nie interesuje się gówniarami – oznajmia Tarryn, podchodząc do Lily, żeby wyjrzeć przez okno.

Serce Lily bije jak oszalałe. Nie może się skupić. Słyszy, że drzwi domu się otwierają.

– A zresztą małżeństwo nie ma znaczenia – dodaje Tarryn. – Widziałam trenera z kobietą, która z całą pewnością nie jest jego żoną i na pewno nie jest „gówniarą”. Całował się z nią za ośrodkiem.

Lily widzi Toma biegnącego przez podjazd w kierunku zbliżających się policjantów. Ma na sobie pomarańczową kurtkę przeciwdeszczową – nie swoją codzienną, czerwoną – i spodenki do biegania z paskami odbłaskowymi. Przemoczone włosy kleją się do głowy Toma. Jego adidas są oblepione czarnym błotem.

– Jezu, to pani mąż? – odzywa się Tarryn. – Co tu robi policja?

Matthew

TERAZ

Matthew Bradley słyszy zatrzasnącą się na dziedzińcu furtkę. Myśli, że to wiatr.

Jeszcze w piżamie klęka na łóżku i wygląda przez mansardowe okno swojego pokoju na poddaszu. Całe to miejsce należy tylko do niego. Jest jego basztą, wieżą kontrolną. Z lukarnami, które wychodzą na trzy strony – na ogródek za domem, na ulicę od frontu i na trawnik biegnący wzdłuż bocznej strony budynku, przy którym matka ma dwa miejsca parkingowe dla pacjentów. Jest królem w swojej wieży. Obserwuje i zapamiętuje wszystko. Jest lato, jutro przesilenie – najdłuższy dzień roku – ale ten ciemny, burzowy poranek kojarzy się raczej z zimą. Mgła jest gęsta, deszcz leje jak z cebra. Woda spływa strumieniami z małych szyb. Gdy Matthew wygląda przez okno, widzi, jak urywa się gałąź topoli. Leci w dół, koziolkując, na chwilę zaczepia się o sznur do suszenia prania, aż w końcu ląduje na trawie.

Na trawniku zauważa ojca idącego do domku ogrodowego.

Serce zaczyna mu bić szybciej. Tata jest ubrany w wodoodporne spodnie do biegania z odblaskowymi paskami, głowę ma gołą, włosy mokre. Nie ma na sobie kurtki przeciwdeszczowej. Matthew wyraźnie widział, że wczesnym rankiem ojciec wychodził w kurtce i z latarką. Zauważył strumień światła podskakujący na alejce we mgle i pomyślał, że to superfajne, że jego tata wychodzi z domu podczas burzy. Teraz biała koszulka treningowa z długimi rękawami jest przemoczona, przyklejona do ciała.

Czujnik ruchu nad drzwiami domku uruchamia światło. Dzięki temu Matthew widzi tatę wyraźniej. Ojciec, zmagając się z zamkiem w drzwiach, ogląda się przez ramię. Wygląda... na zdenerwowanego?

Matthew przybliżyła się do okna tak bardzo, że jego nos rozpląszcza się na szybie. Z przodu na koszulce ojca widać dużą ciemną plamę. Błoto. Widocznie się przewrócił. Ojciec znika w domku narzędziowym. Drzwi się za nim zatrzasną. W środku zapala się światło.

Na twarzy chłopca pojawia się grymas. Jego wyobraźnia szaleje. Plama na koszulce ojca wyglądała raczej na czerwoną, a nie na brązową. *Jak krew.*

Wyskakuje z łóżka i podbiega do biurka. Energicznym ruchem otwiera szufladę, wyciąga cyfrowy aparat. Mógłby zrobić zdjęcia telefonem komórkowym, ale kiedyś zamierza zostać słynnym reporterem.

Dziennikarzem śledczym. Albo detektywem. Albo tajniakiem. Albo funkcjonariuszem, takim, jak ci, co noszą białe kombinezony Tyvek z kapturem, jak w telewizji, tacy, co robią zdjęcia na miejscu zbrodni. Ma dopiero osiem lat i większość dzieciaków w szkole uważa, że jest dziwakiem i „podglądaczem”, ale on lubi obserwować ludzi, kiedy nie wiedzą, że się im przygląda. I lubi robić zdjęcia innym dzieciom, kiedy nie przypuszczają, że ktoś patrzy. *Niepozowane*. Nowe dla niego słowo. Nauczył się go od pana Cody’ego, który mieszka kawalek dalej na tej samej ulicy i jest ojcem Fiony i Jacoba. Pan Cody też jest obserwatorem i fotografem, ale on obserwuje ptaki. Powiedział, że zdjęcia Matthew ujawniają prawdziwy „talent”. Że to „świetne niepozowane ujęcia”. I wyjaśnił znaczenie nowego słowa. Nauczył też Matthew paru fotograficznych sztuczek. Matthew swoje niepozowane zdjęcia pstryka dorosłym z osiedla i niektóre drukuje na swojej drukarce, na papierze fotograficznym kupionym przez mamę w Walmarcie. Założył segregatory z różnymi nagłówkami, jak: OGRÓDKI. OKOLICE BASENU. LUDZIE NA PLAŻY. KLUB KRYKIETA. SCENY JACHTOWE. ŻYCIE NA DEPTAKU.

„Akta” – tak je nazywa. W swojej kolekcji ma dziewczyny w kostiumach kąpielowych. Całujących się kochanków. Ludzi grzebiących o świcie w śmietnikach i w pojemnikach na odpady segregowane na ulicach albo wyprowadzających psy, czy kłócących się. Albo siedzących w samochodach. Czasami podkrada się pod domy i przez okna zagląda do środka. Jeśli akurat się ściemnia, wszystko widzi dość dokładnie – jak na małej scenie. Codziennie widzi starego mężczyznę, nieprzytomnego, z butelką whisky stojącą obok. I dziergającą kobietę z kotem śpiącym na oparciu sofy. I – kawalek dalej na tej samej ulicy – modną parę w nowym domu z mnóstwem szkła – lubią serwować wykwintne drinki przyjaciołom o intrygującym wyglądzie. I matki uprawiające jogę, z obserwującymi je niemowlakami. I kobietę mieszkającą przecznicę dalej, która ukrywa po kątach butelki ze sklepu z alkoholem. I pewnego ojca, który spotyka się w parku z czyjąś matką. I dzieciaki ze szkoły, które piją, palą i całują się na polanie w lesie albo w jaskini przy Grotto Beach.

Matthew ma w głowie całą mapę dzielnicy, wie, kto gdzie mieszka i czym się zajmuje. Czasami obiera sobie za cel konkretną osobę i obserwuje ją przez mniej więcej tydzień. Wywiad. Dla takiej osoby zakłada specjalną teczkę i notuje, o jakiej porze i którego dnia wykonuje dane czynności. Jej zwyczaje. Schematy. Tak jak pan Cody, który obserwuje ptaki, czy naukowiec, który bada zwyczaje łasic. Matthew jest jak wysłannik „National Geographic” w Story Cove, bezpiecznej dzielnicy skrywającej sekrety. Jest

czarodziejem i strażnikiem tajemnic w swojej wieży obserwacyjnej na szczycie domu Bradleyów.

W zasadzie nikomu nie opowiada o tym, co widzi. Woli zatrzymywać informacje dla siebie, przechowywać je w przegródkach swojego umysłu. Sama wiedza sprawia, że czuje się wyjątkowo. Jakby posiadał supermoc. Jakby należał do bractwa tajnych superbohaterów, którzy unoszą się nad Story Cove i nadzorują je wielkim, przenikliwym okiem. Od czasu do czasu wyjawia jakiś pikantny szczegół Harveyowi Hillowi, który jest mistrzem szachowym i jedynym prawdziwym przyjacielem Matthew. Poza tym Matthew wie, że matka zabiłaby go, gdyby odkryła, że robi zdjęcia jej pacjentom wchodzącym i wychodzącym z gabinetu na dole. Mamie i tacie nie powiedział też o Tajemniczym Człowieku. Tajemniczy Człowiek czasem obserwuje po ciemku dom Bradleyów, skrywając się po drugiej stronie ulicy. Jest wysoki i ubiera się na czarno, na głowie nosi kask rowerowy, a twarz zasłania maską. Ma rower z odblaskowym paskiem na ramie i nie wie, że Matthew śledzi go z góry, z ciemnego pokoju na poddaszu.

Matthew pstryka zdjęcie sylwetki ojca w oświetlonym oknie domku narzędziowego. Celuje, znów pstryka, gdy tata zdejmuje mokrą, poplamioną koszulę. Pstryka jeszcze raz, uwieczniając ojca z nagim torsem. Później tata znika z jego pola widzenia. Matthew kieruje uwagę na ulicę za płotem. W zatoczce stoi srebrny samochód z włączonym silnikiem. Ktoś siedzi w środku. Na trawie widać kwadratową plamę światła padającego z gabinetu mamy – widocznie z samego rana miała pacjenta. Ktoś czeka na tego pacjenta w srebrnym samochodzie.

Tata nagle wychodzi z domku ogrodowego i bez koszuli biegnie w deszczu do kuchennego wejścia. Drzwi na dole trzaskają. Przez chwilę jest cicho. Matthew nieruchomieje, po chwili opuszcza aparat. Jest lekko przestraszony, choć nie wie dlaczego. Słyszy ciężkie kroki taty na schodach.

– Phoebe! – Głos ojca grzmi na piętrze. – Wstawaj do szkoły!

Drzwi do garderoby w sypialni rodziców głośno się zamykają. Z kranu leci woda. Matthew słyszy wycie syren w oddali.

– Matthew! – krzyczy ojciec z dołu schodów prowadzących na poddasze. – Ubieraj się! – Ojciec ciężko stąpa po stopniach.

Syreny stają się głośniejsze. Zbliżają się. Coś się dzieje. Nagle Matthew dostrzega pulsujące czerwone i niebieskie światła. Podbiega do frontowego okna wychodzącego na Oak End.

Przed samym domem zatrzymują się dwa policyjne samochody, czarno-białe, z włączonymi kogutami. Dłonie chłopca zaczynają drżeć

z podniecenia. Podnosi aparat i zaczyna robić zdjęcia: *pstryk, pstryk, pstryk*, gdy troje umundurowanych policjantów wysiada z radiowozów.

Po chwili przyjeżdża jeszcze jedno auto, w kolorze metalicznego brązu. Ono też ma światła. Ale w środku, przy szybie, nie na dachu. Nieoznakowany pojazd. *Tajniacy!* Matthew jest niezmiernie podekscytowany. Samochód zatrzymuje się po drugiej stronie ulicy, pod sękatą wiśnią, gdzie zwykle stoi Tajemniczy Człowiek.

Widzi ojca, który szybkim krokiem podchodzi do umundurowanych policjantów. Teraz ma na sobie kurtkę przeciwdeszczową.

Nagle z domu wypada mama.

Chwyta ojca za rękę. Tata się do niej odwraca. Mówi coś, a ona zakrywa dłońią usta. Wygląda na przerażoną. Ojciec jest bardzo, bardzo blady. Jeden z policjantów dotyka ręki matki, jakby ją prosił, żeby odsunęła się od taty.

Matthew powoli opuszcza aparat. Stało się coś strasznego.

Lily

TERAZ

Lily wkłada kurtkę i frontowymi drzwiami wybiega na deszcz.

Z nieoznakowanego samochodu po drugiej stronie ulicy wysiada kobieta w czarnym płaszczu, a trzech umundurowani policjanci zbliżają się do Toma.

Lily podchodzi do męża, chwyta go za rękę.

– Co się dzieje?

Tom się do niej odwraca. Jest śmiertelnie blady. Strach wbija siekierę w jej serce.

– Tom? – szepcze, zerkając nerwowo na umundurowanych policjantów ze Story Cove. Mają poważne miny. Ścisną mocniej dłoń męża. – Do diabła, co się stało?

Tom spuszcza głowę i cicho szepcze jej do ucha:

– Na plaży leży ciało kobiety. Zauważyłem je, jak biegłem.

– Co takiego?

Zanim Tom zdąży się odezwać, jeden z funkcjonariuszy dotyka ręki Lily.

– Mogę prosić, żeby się pani odsunęła?

– Dlaczego? Co tu się dzieje? – Nagle dostrzega to, na co patrzy policjant: czerwoną smugę na szyi Toma. Krew? Smugi na grzbietach jego dłoni. Oddech więźnie jej w gardle.

– To pan dzwonił pod 911? – pyta policjant.

Tom drżącą dłonią dotyka mokrych włosów.

– Tak. Nazywam się Tom Bradley. Wyszedłem... pobiegać, wcześnie rano, trasą, która zaczyna się na końcu naszej uliczki, tam... – Wskazuje drogę. – Prowadzi przez Spirit Forest Park. Wybiegłem po drugiej stronie lasu na Garry Bluffs i podszedłem do punktu widokowego, żeby złapać oddech i wtedy... wtedy... zobaczyłem ciało, na Grotto Beach, ze stopami tuż przy wodzie.

Lily spogląda w kierunku, który wskazuje Tom – na początek leśnego szlaku. Syreny milczą, ale światła nie przestają pulsować w porannej mgle. Deszcz nieco słabnie. Po drugiej stronie ulicy gromadzą się ludzie, którzy wyszli z psami na spacer, sąsiedzi wychodzą z domów, inni przyglądają się wszystkiemu zza szyb. Kobieta w czarnym płaszczu podchodzi do Lily i Toma. Ma brązową skórę, zniewalające, ostre rysy i pełne wargi. Jest w policyjnych botkach, na głowie ma czarną służbową czapkę. Jej czarne

kręcone włosy są związane w ciasny kok tuż nad karkiem. Atramentowe oczy pod długimi, sztucznymi rzęsami sprawiają wrażenie nieodgadnionych.

Lily przygląda się tej kobiecie o niepospolitej urodzie. Widziała ją w telewizji. To policjantka z wydziału zabójstw, która udzielała mediom informacji w sprawie popełnionych na tle seksualnym morderstw trzech uprawiających jogging kobiet – jedną zamordowano w zeszłym roku na szlaku w okolicach jeziora Elk, a rok wcześniej brutalnie pobito na śmierć dwie inne przy Goose Trail. Wszystkie trzy zabójstwa miały miejsce na Saanich Peninsula, w odległości dwudziestu minut jazdy od Victorii. Media nazwały je zabójstwami biegaczek. Mózg Lily nie jest w stanie formułować słów.

Policjantka szybko mierzy wzrokiem Lily, po czym zwraca się do Toma.

– Sierżant Rulandi Duval z wydziału zabójstw – przedstawia się. – To pan dzwonił pod 911?

– Tak. Właśnie... opowiedziałem wszystko panom policjantom. Tom Bradley. Doktor Tom Bradley. A to moja żona, Lily.

Lily jest przekonana, że policjantka wyciągnie do niej rękę, ale kobieta wsuwa obie dłonie do kieszeni prochowca i skupia się na Tomie.

– Natknąłem się na ciało podczas porannego treningu. Na Grotto Beach.

– Biegał pan? Po Grotto? – Głos kobiety jest ochryply, spokojny, opanowany. Wyraz jej twarzy niczego nie zdradza.

Lily czuje przypływ panicznego strachu. Nic nie rozumie. Po tej plaży nie da się biegać. To cienki pas kamieni wielkości piłek tenisowych, śliskich od alg i ostrych od pąkli. Na nich leżą wyrzucone przez morze drobne kawałki drewna i gigantyczne kłody. Grotto Beach znajduje się pod stromymi piaskowcowymi klifami. W porze przypływu plażę ledwie widać. Dostać się na nią można jedynie z klifów, po rozklekotanych schodach z drewna i żelaza.

– Biegłem klifem, trasą przez las, a kiedy przystanąłem, żeby złapać oddech na krawędzi, zobaczyłem ją w dole na plaży – mówi Tom. Zerka na Lily. – Leżała tam, nieruchomo, z dziwacznie ułożonymi kończynami. Wyglądała tak, jakby spadła z klifu. I było tam... Skakały koło niej kruki. Więc zszedłem po schodach i... – Wybucho płaczem.

Dystyngowany mąż Lily, erudyta, wykładowca akademicki, płacze, stojąc na deszczu przed ich trawnikiem. W jej piersi wzbierają przerażenie, odraza i zadziwienie. Nagle staje się boleśnie świadoma obecności ludzi po drugiej stronie ulicy, sąsiadów, którzy widzą ją i Toma w takiej sytuacji. Zauważa srebrnego sedana na rogu, na którym ich ulica łączy się z Oak End. Siedzi w nim matka Tarryn. Radna Virginia Wingate, która ubiega się o stanowisko

burmistrza. Bacznie przygląda im się zza szyby. Virginia zaparkowała tam wcześniej, czekała na córkę. Na pewno widziała, jak Tom wchodzi do ogródka tylną furtką, pewnie bez kurtki. Może zauważyła smugi krwi na jego ciele.

Wzrok Lily biegnie w stronę Toma. Teraz jej mąż ma na sobie swoją pomarańczową kurtkę, czystą i świeżą. Nosi ją rzadko, bo nie lubi tego koloru.

Detektyw Duval spogląda na ulicę. Przygląda się ciemnej ścianie lasu, wysokim drzewom kołyszającym się na wietrze. Odwraca się powoli i patrzy na dom Bradleyów.

– I przybiegł pan z powrotem do domu, tutaj. – To nie jest pytanie. Raczej stwierdzenie. – I zadzwonił pan pod 911. Stąd.

– Nie miałem... Na litość boską – warczy Tom. – Jak możecie tu sobie stać i mnie wypytywać, kiedy ona tam leży? Dziobana, zjadana przez kruki, padlinożerców!

– Na miejsce jedzie koroner i ekipa techników kryminalistycznych – informuje policjantka. – Oraz mój partner. – Kiwa głową w stronę domu. – To pański dom?

Tom wyciera usta. Lily nie może oderwać wzroku od krwawych smug na grzbiecie dłoni męża.

– Tak. Nie miałem... przy sobie komórki. Zawsze zabieram, ale wczoraj wieczorem podłączyłem ją do ładowarki w kuchni. Na ogół ładuję ją w nocy przy łóżku, ale tym razem znajdowała się w innym miejscu i... zapomniałem ją wziąć.

Phoebe otwiera frontowe drzwi.

– Mamo? – woła od progu. Lily słyszy panikę w jej głosie.

– Wracaj do środka, Phoebe.

– Co się dzieje?

– Ale już!

Detektyw Duval przygląda się dwunastoletniej córce Bradleyów z różowymi włosami i mocnym makijażem. Wzrok policjantki znów wędruje po ładnym, zabytkowym domu, a później przenosi się na mosiężną tabliczkę na słupku przy furtce, z napisem PORADNIA PSYCHOLOGICZNA POD DĘBEM, DR L. BRADLEY. Lily widzi, jak policjantka z wydziału zabójstw z nieodgadnioną twarzą i w policyjnych botkach spogląda w mansardowe okna na poddaszu. Czuje, jakby dostała cios w brzuch, gdy dostrzega w oknie drobną, białą twarzyczkę syna przyglądającego się z góry wydarzeniom rozgrywającym się na trawniku przed domem. Przez strach nagle przebija się złość, która wkrótce przeradza się we wściekłość wywołaną odruchem

obronnym. Jej ukochane dzieci. Jej piękny dom. Jej idealne życie. Ma wrażenie, że traci grunt pod nogami, że wszystko kruszy się i znika, jak te klify z piaskowca, po kawałku wpadające do morza. Gorycz chwyta ją za gardło. Lily chce uciekać. Ale chce także twardo stać na swoim miejscu, zaprzeć się piętami, zatrzymać wszystko, naprawić. Bronić rodziny i własnego życia do śmierci. Bo są wszystkim, co ma. Wszystkim, co obecnie zna.

Na dodatek boi się, że policjantka dowie się o zeszłej nocy.

Detektyw Duval mówi do Toma powoli, jakby była tępa i nie zrozumiała wszystkiego za pierwszym razem.

– Więc przybiegł pan z klifów, przez las, tą ulicą i wbiegł tymi frontowymi drzwiami?

– Nie. Wszedłem... od tyłu. Furtką od strony tamtej uliczki.

– Tamtej uliczki? Tam? – Wskazuje miejsce, w którym nadal czeka sedan Virginii Wingate.

Dlaczego, do licha, ta cała Wingate sobie nie pojedzie? Cholerna wścibska hiena. Sępy, wszyscy oni. Stoją i się gapią, łakomi plotek, które wyłapią i w ciągu godziny rozniosą po całym mieście.

– Tak, tamtej uliczki – potwierdza Tom.

– To chyba nie jest najkrótsza droga?

– Drzwi frontowe były zamknięte – odpowiada Tom. – Na przebieżki nie zabieram klucza, zostawiam otwarty tył. Kuchenne drzwi.

– Więc wbiegł pan na tamtą uliczkę, wszedł do ogrodu przez furtkę z tyłu działki... Która to była godzina?

– Nie może pani sprawdzić na połączeniu z 911? – Frustracja przywraca kolor policzkom Toma. Stoi z podniesioną głową, teraz bardziej wyprostowany. Nastawiony na obronę. Na walkę.

– Pana zdaniem, o której wszedł pan do domu i wykonał ten telefon? – pyta policjantka.

– Chryste – mruczy Tom. – Nie wiem. Jakie to ma znaczenie? Na plaży leży martwa kobieta.

– Chodzi o Zabójcę Biegaczek? – pyta szybko Lily, żeby odwrócić uwagę od swojej rodziny.

Policjantka spogląda jej w oczy.

Lily przełyka ślinę.

– Widziałam... panią w telewizji – wyjaśnia. – Tamte biegaczki... Pani prowadziła tę sprawę, dobrze kojarzę? To dlatego panią wezwano? Chodzi o kolejny atak tego zabójcy? Tym razem na Grotto Beach?

– Wie pan co? – Detektyw Duval zwraca się do Toma, ignorując Lily. – Niech nas pan zaprowadzi na ten szlak. Pokaże nam pan trasę, którą pan biegł, miejsce, gdzie wyszedł pan na klify i punkt widokowy, w którym się pan zatrzymał i zobaczył ciało. A później pokaże nam pan, krok po kroku, co pan zrobił dalej. Zgoda?

– Tak, jasne, nie ma sprawy – mówi Tom. – Mogę to zrobić.

Lily wtrąca:

– Chwileczkę, wezmę moje...

– Pani zostanie tutaj, pani Bradley – oznajmia detektyw Duval.

– Doktor Bradley – poprawia ją Lily.

Policjantka nie reaguje.

Krew huczy w uszach Lily, kiedy obserwuje męża idącego ulicą ze śledczą z wydziału zabójstw i dwoma umundurowanymi miejscowymi policjantami. Trzeci wsiada do samochodu. Rozmawia przez radiotelefon przy otwartych drzwiach, z jedną nogą wystawioną na zewnątrz. Wszystkich spowija mgła, wydają się rozmazani, jakby całe zdarzenie było jedynie wytworem wyobraźni Lily, jakby nic nie działo się naprawdę.

Przez ulicę w kierunku Lily biegnie kobieta. To Hannah Cody, jej przyjaciółka z domu na skraju osiedla.

Staje przy niej.

– Mój Boże. Co się stało? Słyszałam, że na plaży jest ciało. Tom je znalazł? Czy wszystko...

– To policjantka od sprawy Zabójcy Biegaczek – mówi Lily monotonicznie głosem, którego sama nie rozpoznaje.

Hannah się w nią wpatruje.

– Podejrzewają, że to ma związek z tamtymi napaściami seksualnymi?

– Nie wiem... – Do oczu Lily napływają łzy. – Nie wiem, co o tym myśleć – mówi cicho.

Hannah odwraca się i obserwuje znikającego wśród drzew Toma z policją.

– Kto to? Kto zginął?

– Nie wiem.

Hannah zerka na Lily.

– To na pewno morderstwo – mówi łagodnie. – Bo inaczej po co przysyłałiby kogoś z wydziału zabójstw?

Rue

TERAZ

Chłodna bryza od morza towarzyszy Rulandi Duval idącej po kamieniach w kierunku ciała.

Na szczycie Garry Bluffs już stoją dwa wozy transmisyjne, za ogrodzeniem z żółtej taśmy policyjnej trzepoczącej na wietrze. Padlinożercy nie potrzebowali dużo czasu. Ofiarę wyczuwają z kilometra. Dalej na klifach gromadzi się tłumek okolicznych mieszkańców przyglądających się ekipie techników kryminalistycznych w białych kombinezonach, którzy poruszają się we mgle niczym duchy, poszukując na plaży dowodów.

Patolog Fareed Gamal – z biura koronera – już pochyla się nad ofiarą i mierzy temperaturę wątroby. Kiedy serce przestaje bić, ciało zaczyna stygnąć z pewną średnią prędkością. Wpływają na nią temperatura powietrza, jego ruch, ubranie ofiary, rozmiary ciała, pogoda i położenie ciała, ale stężenie pośmiertne pomaga określić czas zgonu i Fareed nadal je do tego celu wykorzystuje.

Policyjny fotograf zrobił już zdjęcia nieżyjącej kobiety i najbliższego otoczenia. Gdy Rue znajduje się bliżej, widzi, że ofiara ma na sobie czarne legginsy, ciemnoróżową kurtkę przeciwdeszczową i czarne buty do biegania z białym logo Nike po bokach. Morska woda dotarła do butów – jest przyplływ. Będą musieli szybko ją stąd zabrać. Kończyny kobiety leżą bezładnie. Jak u zepsutej lalki.

– Dzień dobry – mówi Rue, gdy dociera na miejsce.

Fareed spogląda w górę. Rue dostrzega głowę kobiety. Przeżywa wstrząs. Przepołowiona niczym arbuza czaszka ukazuje lśniąca różowoszarą tkankę mózgową. Włosy ofiary są ciemnobrązowe, do ramion, mokre i splątane. Pod czaszką widać lśniąca kałużę krwi. Pokierszowana twarz jest nie do rozpoznania. Rue nie widzi nawet oczu w wypełnionych krwią oczodołach. Do otwartych ran już dostały się wszy morskie i inne stworzenia. Przy głowie kobiety leży pognieciona czerwona kurtka przeciwdeszczowa. Jest we krwi. Krew lśni też pod prawym udem kobiety. Rozdarty materiał legginsów ukazuje głęboką dziurę w ciele. Roztrzaskana kość piszczelowa wystaje z dolnej części nogi.

– Jezu – szepcze Rue.

– Rozległe obrażenia – informuje Fareed. – Takie, jakie widuje się przy wypadkach samochodowych. Może być problem ze wskazaniem konkretnego urazu, który doprowadził do śmierci. – Spogląda w górę na wznoszący się za nimi klif, a później znów na Rue. – Co panią tu sprowadza? Myśli pani, że mógł w tym maczać palce Zabójca Biegaczek?

– Ekipy ratunkowe są wyczulone na wypadki, które mogą mieć związek z tamtą sprawą – mówi. – Policja ze Story Cove zauważyła, że kobieta ma na sobie odzież sportową, a okoliczności i jej wiek są podobne do tych z wcześniejszych zdarzeń, więc od razu dostaliśmy telefon.

– Ale tutaj nie widać śladów napaści seksualnej.

Rue znów mierzy wzrokiem ofiarę. Legginsy ma na sobie. Zasadnicza różnica. Wcześniejsze ofiary były nagie od pasa w dół.

– Co stwierdził pan do tej pory?

– Hm. Biała kobieta. Jak poprzednie. Trzydzieści kilka lub czterdzieści kilka lat. Na podstawie stężenia pośmiertnego i plam opadowych oceniam, że śmierć nastąpiła osiem – dwanaście godzin temu. Rozległe obrażenia odpowiadają upadkowi z urwiska.

Rue zagryza dolną wargę i przygląda się kruszejącym klifom z piaskowca.

– Więc... mogła po prostu stamtąd spaść... zeszłej nocy?

– Tak, wydaje mi się, że przeleżała tu większą część nocy. – Lekarz zaczyna pakować sprzęt. – Dowiem się czegoś więcej, kiedy położymy ją na stole. – Zamyka torbę i wstaje. – To ten facet ją znalazł? – pyta, przechylając głowę w kierunku podnóża schodów prowadzących na klify. Tom Bradley stoi z partnerem Rue, Toshim Harą. Jest owinięty srebrną folią ratunkową.

– Tak – odpowiada policjantka.

– To jego czerwona kurtka zakrywała twarz ofiary? – Kiwa głową w stronę zakrwawionej części garderoby przy głowie martwej kobiety.

– Tak twierdzi. Podobno zauważył ją z punktu widokowego na klifie, zszedł po tych schodach, podszedł tutaj i ukląkł przy skałach obok ciała. A później ponoć uniósł jej ciało, o tak – demonstruje przy pomocy dłoni – i objął, żeby podjąć próbę reanimacji, ale zorientował się, że kobieta nie żyje.

Fareed unosi brwi i spogląda na zmasakrowaną twarz ofiary.

– Miał zamiar próbować reanimować ofiarę w takim stanie? Niby jak? Usta-usta? Przy tych obrażeniach wargi ledwie widać.

Policjantka wzrusza ramionami.

– Twierdzi, że później zdjął kurtkę, zakrył jej twarz, żeby ochronić ją przed deszczem, i pobiegł do domu zadzwonić po pomoc.

Lekarz spogląda Rue w oczy.

– Inne też były przykryte – mówi cicho.

- Gałęziami i fragmentami poszycia leśnego. Fareed lekko potakuje.
- Tak czy owak, przykryte.
- Informacji o tym dowodzie nie będziemy podawać do wiadomości publicznej. Proszę zachować ją dla siebie.
- Mam wrażenie, że to coś osobistego. – Lekarz znów spogląda na twarz ofiary. – Jakby chodziło o wyrzuty sumienia. Poczucie winy. Wstyd z powodu tego, co się stało. To zakrycie twarzy.
- Tak. W wersji Bradleya coś się nie zgadza. Da mi pan znać, kiedy będzie mógł się pan nią zająć? Chciałabym się przyjrzeć.
- Jasne. Zadzwoń.
- Dzięki.
- Uznaję to za randkę. – Uśmiecha się promiennie. – Na inną nie mam szans.
- Ile razy mam panu powtarzać, że jestem szczęśliwą mężatką?
- Do czasu. – Chichocze i rusza z torbą po śliskich kamieniach w kierunku schodów pod klifami.

Rue ogarnia uczucie niepokoju, gdy obserwuje Fareeda stąpającego ostrożnie po gładkich. Ją, jako kobietę, i to kolorową, więcej kosztowało to, by dotrzeć tu, gdzie jest, i swoje prywatne życie zachowuje dla siebie. Niemożliwe, żeby ktoś wiedział o jej małżeńskich problemach. A jednak słowa Fareeda dotknęły ją do żywego. Zdecydowanie za mocno.

W górze skrzeczy mewa i Rue znów spogląda na klify. Z uschniętej gałęzi wyrastającej z kamiennej ściany wszystkiemu przygląda się kruk. O wiele wyżej – ponad wysokimi koronami starych drzew – krąży orzeł. Matka natura, podobnie jak przedstawiciele mediów, wie, że tutaj leżą zwłoki.

Rue kuca, żeby przyjrzeć się ciału z bliska. Po jej bucie drepcze maleńki bordowy krab. Z daszku czapki ścieka woda. Kamienie na plaży stukają i chrzęszczą pod wpływem wdzierającej się coraz dalej fali.

Rue kataloguje w myślach ubranie kobiety. Buty do biegania znanej marki. Dość nowe. Rozmiar, na oko, trzydzieści dziewięć. Bieżnik jest sękaty – zaprojektowany specjalnie do biegania w terenie. Między kołkami w podeszwach jest błoto. Tego samego koloru, co błoto na leśnym szlaku, którym przyprowadził ich tutaj Tom Bradley. Legginsy i kurtka kobiety wydają się wodoodporne, sądząc po ułożeniu na tkaninie drobnych kropli, które spoczywają na niej jak koraliki. Małe logo na lewym rękawie kurtki informuje, że to garderoba popularnej marki specjalizującej się w odzieży plenerowej. Zdaje się, że kurtka jest nałożona na T-shirt. Rue mierzy wzrokiem ciało. Kobieta ma na szyi łańcuszek ze srebrnym wisiorkiem.

Dłonią w rękawiczce Rue ostrożnie odgarnia zakrwawione włosy ofiary, żeby przyjrzeć się naszyjnikowi. Przy okazji odsłania tatuaż na szyi kobiety – stworzenia o mitologicznym wyglądzie, z głową lwa, ciałem psa, a może kozy, i ogonem z głową węża na końcu. Z paszczy lwa wydobywają się języki ognia. Dziwne, osobliwe części nie pasują do siebie.

Uwagę Rue przykuwa błysk na zmasakrowanej twarzy. Pochyla się lekko. W zmiażdżonym ciele dostrzega kryształek. Kolczyk w nosie? Twarz jest jednak zbyt pokiereszowana i zakrwawiona, żeby mieć pewność.

Rue skupia się teraz na dłoniach ofiary. Zakrwawionych i poranionych. Widać, że kilka palców jest złamanych. Połamane paznokcie. Pod nimi ciemna substancja. Trzy srebrne pierścionki na palcach lewej dłoni. Bez przesuwania mankietów kurtki Rue widzi na lewym nadgarstku osiem bransoletek z białego metalu. Niektóre są pocięte. Zegarek, który nie wygląda na smartwatch.

Zamierza sięgnąć do jednej z kieszeni kurtki, ale zauważa coś zielonego pomiędzy zgiętymi palcami prawej dłoni ofiary. Przysuwa się i pochyla, żeby widzieć lepiej. W palcach zaplątany jest zerwany sznurek drobnych plastikowych koralików w odcieniach zieleni i pomarańcza. Wydaje się dziwnie znajomy.

Ostrożnie próbuje wyciągnąć sznurek.

– Hej, szefowo.

Rue podskakuje i traci równowagę. Odzianą w rękawiczkę pięścią w porę przytrzymuje się kamienia, dzięki czemu udaje jej się uchronić przed upadkiem.

– Jezu, Toshi, nie zakradaj się tak do mnie.

– Nie chciałem cię przestraszyć. – Milknie na chwilę i przygląda się ciału. Odkasłuje. – Bradley pyta, czy może wracać do domu. Mówi, że ma jakieś ważne spotkanie w kampusie.

– W kampusie?

– Wykłada psychologię na Uniwersytecie Kordela.

Wzrok Rue biegnie do miejsca u podstawy klifowych schodów, w którym nadal stoi Tom Bradley owinięty srebrnym kocem.

– Trzęsie się jak osika – mówi Toshi. – Jest na dworze od bladego świtu, przemoczony i zziębnięty. Na moje oko jest o krok od hipotermii i pewnie jest w szoku.

– Zawieźcie go na komisariat i dajcie mu coś ciepłego do picia – mówi Rue.

– Ale najpierw zabierzcie jego ciuchy i buty. Ma zostać obfotografowany. Trzeba pobrać próbki krwi z plam na jego ciele. Zobacz, czy zgodzi się nam dać próbkę DNA, dopóki jest wstrząśnięty. O ile nie wystąpią u niego jakieś

poważne objawy, zatrzymajcie go. Gdyby było trzeba, zawieźcie go do szpitala i tam pilnujcie. Chcę go przesłuchać jeszcze raz, osobiście, oficjalnie. Wykluczone, że Bradley zobaczył ciało, jak twierdzi, z punktu widokowego. Nie zgadza się pole widzenia. Do tego widoczność była słaba.

– Coś z nim jest nie tak, bez dwóch zdań.

– Niech się przez jakiś czas pomęczą.

Toshi wraca, żeby zająć się Tomem Bradleyem, a Rue sięga do prawej kieszeni różowej kurtki ofiary. Wyjmuje mały metalowy breloczek. Są na nim trzy klucze. Jeden wygląda jak od starego volkswagena – na metalu widnieje charakterystyczny znaczek VW. Odwraca brelok. Puls jej przyspiesza na widok logo.

Tawerna Red Lion. Stary angielski pub niedaleko przystani w Story Cove.

Do jej umysłu wdziera się wspomnienie. Ciemna, śliska ulica. Kobieta wychodząca z pubu, który ma fasadę w stylu Tudorów. Wiatr mierzwiący jej ciemne, sięgające do ramion loki.

Jej wzrok wraca do kobiety z włosami oblepionymi krwią.

Niemożliwe.

Inna część jej mózgu mówi: *To ona. To musi być ona. Dziwne, że nie zorientowałaś się od razu.*

Puls jej znów przyspiesza.

Rue ostrożnie wkłada klucze z powrotem do kieszeni – w prosektorium zostaną włączone do listy dowodów. Sięga do lewej kieszeni i wyciąga pognieciony paragon za benzynę. Wygląda go delikatnie. Tankowano na stacji przy Main Street w Story Cove, zapłacono kartą kredytową. To pomoże zidentyfikować kobietę i odtworzyć jej poczynania. W lewej kieszeni Rue znajduje też sztyft z balsamem do ust. I złożoną wizytówkę.

Rozkłada ją.

Na górze widnieje logo Uniwersytetu Kordela. Na środku – nazwisko.

DR TOM BRADLEY, WYDZIAŁ PSYCHOLOGII.

Rue czuje przypływ energii i ulgi. Tom Bradley znał tę kobietę? Wykładowca znajduje się teraz na jej celowniku.

I nie ma to nic wspólnego z jej życiem prywatnym.

Lily

TERAZ

Dzieci, pobladle, siedzą przy kuchennym stole. Wpatrują się w nią. Nie ma pojęcia, co im powiedzieć. W jej myślach pojawiają się słowa, które wykrzyczała do Toma wczorajszego wieczoru.

Jak mogłeś mnie okłamać? Zdradzić, tak oszukać? Nasze małżeństwo, całe nasze życie, zostało zbudowane na kłamstwie.

Wczorajszy dzień odmienił wszystko, co Lily do tej pory uważała za prawdę na temat swojego związku małżeńskiego, swojego życia i siebie jako żony Toma. A tu coś takiego.

Zdruzgotana, skołowana, chwytą się blatu, żeby utrzymać równowagę.

Rozpaczliwie chce powiedzieć sobie, że „to” nic takiego. Że Tom po prostu poszedł pobiegać podczas burzy o wpół do szóstej rano i na plaży natrafił na martwą kobietę. Wrócił do domu z dłońmi i szyją umazanymi krwią. A teraz po prostu pokazuje policjantom z wydziału zabójstw, zajmującym się seryjnymi morderstwami, gdzie znalazł ciało.

Na Grotto Beach leży prawdopodobnie obca kobieta. Ktoś, kogo nie znają... Nagle dostrzega ślady błota ciągnące się przez białą, wyłożoną płytkami podłogę od kuchennych drzwi do schodów i dalej, na górę. Kolejne ślady błota prowadzą od schodów do drzwi frontowych. Nie zmienił butów, wszedł w nich na górę. Po czystą kurtkę? Lily z całą pewnością widziała go w domku narzędziowym bez koszuli i bez czerwonej kurtki przeciwdeszczowej, którą zwykle nosił.

Nie potrafi nawet wyobrazić sobie tego, co będzie się dzisiaj działo. Jej wzrok wędruje powoli do kuchennego blatu. Nie ma na nim telefonu Toma.

Nie miałem... przy sobie komórki. Zawsze zabieram, ale wczoraj wieczorem podłączyłem ją do ładowarki w kuchni. Na ogół ładuję ją w nocy przy łóżku, ale tym razem znajdowała się w innym miejscu... zapomniałem ją wziąć.

– Mamo? – odzywa się Phoebe. – Co się dzieje?

Lily chrząka i podchodzi do lodówki, unikając badawczych spojrzeń dzieci.

– Wszystko będzie dobrze. Wasz tata biegał dziś rano i natknął się na kobietę, która zrobiła sobie krzywdę. Zadzwoił na policję i teraz pokazuje, gdzie jej szukać.

– Ona nie żyje? – pyta Matthew.

Lily ma ściśnięte gardło.

– Nie... hm... Nie wiem. Policja dowie się wszystkiego, co trzeba.

– O kogo chodzi? – pyta Phoebe.

Lily gwałtownym ruchem otwiera drzwi lodówki. Niewidzącym wzrokiem wpatruje się w jej zawartość.

– Jeszcze nie wiadomo, skarbie. Kończcie śniadanie i myjcie zęby. – Myśli o policjantce z wydziału zabójstw, Rulandi Duval, opowiadającej w telewizji o Zabójcy Biegaczek. Myśli o martwej kobiecie. Jeśli została zamordowana, to znaczy, że sprawca nadal jest na wolności.

– Dziś zawiozę was do szkoły.

– Lubię jeździć autobusem – protestuje Matthew.

– Odwiozę was. Bez dyskusji. – Sięga do lodówki po wędlinę i majonez. Musi przygotować dzieciom kanapki. Rutyna. Harmonogram. Dzięki nim panuje nad życiem. Trzymanie się zwyczajów ochroni także dzieci przed strasznymi rzeczami, które mogą się wydarzyć. Jej dzieci są dla niej całym światem. I zrobi wszystko, żeby były bezpieczne. Wie, że Tom ma podobne podejście. Rodzinę zawsze stawiał na pierwszym miejscu. Mimo tego, czego dowiedziała się o nim zeszłego wieczoru. A może właśnie dlatego. Łzy nagle napływają jej do oczu, kiedy próbuje wypatrzeć, czego jeszcze potrzebuje do przygotowania kanapek.

Skup się.

Małymi kroczkami dojdzie tam, dokąd powinna. Do tego czasu będzie się trzymać dzięki wykonywaniu znanych czynności. Takiej rady często udziela pacjentom przeżywającym kryzys. Wie jednak, że łatwiej rozwiązuje się problemy innych niż swoje własne. Łatwiej wyciągać sekrety pacjentów niż odsunąć zasłonę własnych obronnych zachowań. Nawet przed samą sobą nie chce przyznać, co tak naprawdę kryje się za jej obsesją na punkcie rutyny i harmonogramu.

Jak powiedział Carl Jung: „Ludzie zrobią wszystko, posuną się nawet do absurdu, byle tylko uniknąć spoglądania we własną duszę”.

Lily dzięki swoim pacjentom i z własnego doświadczenia wie, że nie ma większego pragnienia niż chęć uwolnienia się od dolegliwości, wie też, że u osób kontuzjowanych największe przerażenie budzi perspektywa utraty stabilnego oparcia.

– Mamo? – odzywa się Phoebe. – Wszystko w porządku?

Lily wyciera łzę z policzka.

– Tak. Oczywiście. Kanapki chcesz z szynką czy z salami?

Phoebe się krzywi.

– Mówiłam ci ze sto razy, zostałam wegetarianką. Co z tobą. Jezu. Jak grochem o ścianę. Pacjentów słuchasz całymi dniami, ale tego, co ja ci

próbuję powiedzieć, nie słyszysz chyba nigdy.

Lily przeszywa strzałą gniewu. Energicznym ruchem wyciąga z szafki masło orzechowe i stawia je z hukiem na granitowym blacie. Siłuje się, żeby odkręcić wieczko. Masło orzechowe jest bez cukru, niehomogenizowane, więc wytrącił się z niego olej, który utworzył na górze warstwę mazi. Dlatego Lily nienawidzi robienia kanapek z masłem orzechowym. Do zawartości słoika musi najpierw wmieszać olej, który się z niego wylewa. Chwyta chleb i rozpoczyna automatyczny proces przygotowywania kanapek.

– Myślisz, że to ktoś stąd? – pyta z pełnymi ustami Matthew, który włożył do buzi łyżkę płatków z miski.

– Może nie. – Lily smaruje chleb masłem.

– Całkiem możliwe, że to ktoś ze Story Cove – stwierdza Phoebe. – Właściwie bardziej prawdopodobne, że to kobieta z naszej dzielnicy niż to, że jakaś przyjechała tu sobie pobiegać. Wielu naszych sąsiadów lubi poranne bieganie. Trzeba pomyśleć, kto ze znajomych lubi biegać...

– Kończcie śniadanie – warczy Lily, nakładając masło orzechowe na chleb. – Musimy wychodzić. Spóźnimy się.

– A nie można się spóźnić ani olać rutyny, kiedy ojciec prowadzi policję przez las do martwego człowieka, prawda, mamó? Boże broń.

Lily rzuca córce gniewne spojrzenie. Phoebe je odwzajemnia. Jej oczy są okolone czarną kredką. Ciemnofioletowy cień na powiekach sprawia, że jej oczy wyglądają jak dziury w głowie. Twarz ma bladą z powodu pudrowego makijażu, którego Lily nienawidzi, a okalają ją cienkie, ciemnoróżowe włosy. W umyśle Lily pojawia się dawne wspomnienie. Inna dziewczyna. Czarny makijaż oczu. Farbowane, czarne włosy. Gotycki styl. Dłonie jej nieruchomieją. Przez chwilę nie jest w stanie myśleć. Dźwięki się oddalają. Strach ściska ją za gardło.

– Dlaczego tata poszedł biegać z latarką, a nie z czołówką? – pyta Matthew.

Lily wraca do rzeczywistości.

– Co?

– Widziałem, jak wychodził z domu wcześniej rano z latarką w ręce. I miał na sobie kurtkę i czapkę, a do domu wrócił bez kurtki i bez czapki, i bez latarki.

– Jesteś pewien?

– Tak. – Matthew wkłada do ust ostatnią łyżkę płatków. Mleko cieknie mu po brodzie, kiedy przeżuwa, mówiąc jednocześnie. – Tata wszedł do komórki i wyszedł bez koszuli.

– Co takiego? Tata chodził po dworze bez koszuli? – dziwi się Phoebe. – W deszczu?

Matthew kiwa głową, wyciera usta i odsuwa miskę.

– Bzdura – kwituje Phoebe. – Czemu miałyby to robić?

– Oczywiście, że to bzdura – potwierdza Lily oschle. Starannie układa drugą kromkę na pierwszej, dbając o to, żeby krawędzie idealnie się pokrywały. Skupiona na kanapce, przekrawa ją przez środek, bardzo cicho pytając syna:

– Chyba nie robiłeś zdjęć, co?

Matthew się waha.

– Hm... eee... nie.

– Na pewno?

Chłopiec znów się namyśla, ale zanim zdąży się odezwać, rozlega się dzwonek, który niesie się po domu niczym dźwięk gongu. Wszyscy zamierają i podnoszą wzrok.

– Znowu gliny – szepcze Matthew.

Lily chwyta ścierkę i szybkim krokiem podchodzi do drzwi, wycierając dłonie z oleju z fistaszków. Otwiera.

– Hannah! Myślałam, że to...

– Cześć, skarbie. Tom już wrócił? Wszystko w porządku?

– Tak. Słuchaj, Hannah, trochę się spieszę. Muszę przygotować dzieciaki do szkoły.

– Och, wpadłam zaproponować, że je podwożę. Zawożę Fionę i Jacoba. – Hannah wskazuje swojego mercedesa, który stoi przed domem na jałowym biegu, z dwójką jej dzieci w środku. Lily dostrzega radiowóz po drugiej stronie ulicy. W środku siedzi policjant, obserwuje ich dom.

– Pomyślałam, że lepiej nie wypuszczać ich samych na autobus, dopóki... no wiesz. – Pochyliła się i ścisza głos do ledwie słyszalnego szeptu. – Może się tu kręcić seryjny zabójca.

– Tego jeszcze nie wiemy, Hannah. Może to tylko straszny wypadek. Dziękuję za przysługę. Bardzo mi pomożesz. – Krzyczy przez ramię: – Phoebe! Matthew! Hannah was zawiezie. Idźcie umyć zęby. Weźcie swoje rzeczy.

Dzieci Lily, głośno tupiąc, wchodzą po schodach.

– Tom wie, kto to jest? – pyta Hannah.

Lily ma ściśnięte gardło. Nie jest w stanie wydusić z siebie słowa, więc tylko kręci głową. Zwraca uwagę na telefon na konsoli w holu, pod lustrem. Na słuchawce, którą trzymał Tom, dzwoniąc pod 911, jest smuga krwi. Lily czuje mdłości. Nie może się doczekać, żeby Hannah zabrała dzieciaki. Jak tylko wychodzą, zamyka drzwi, opiera się o nie i bierze głęboki, rozedrgany oddech. Czuje, że stres ustępuje. Nieco.

Zegar w korytarzu wybija pełną godzinę, a zza drzwiczek wyskakuje kukułka. *Kuku!*

Serce Lily niemal staje. Po chwili jej puls gwałtownie przyspiesza, a serce znów zaczyna łomotać. Lily klnie i dyskretnie wygląda przez żaluzje. Samochodu Hannah nie ma. Radiowóz stoi. Lily nie wie, czy gliniarz ze swojego miejsca ma widok na tylną część ich posesji.

Wkłada buty, szybko wychodzi do ogrodu i rusza do komórki. Włącza się światło z czujnikiem ruchu nad drzwiami. Lily znów podskakuje i po chwili wahania ogląda się za siebie, na dom. U góry jest okno Matthew. Dokładnie widać z niego drzwi domku narzędziowego.

Nie są zamknięte na klucz. Lily otwiera je, wchodzi powoli i wyciąga rękę do włącznika. Zapala światło. Drzwi zamykają się za nią cicho.

Jej nozdrza wypełnia chłodny zapach wilgoci i ziemi.

Rozgląda się. Wnętrze jest czyste. Uporządkowane. Jak wszystko inne w ich życiu. Narzędzia ogrodowe wiszą na hakach w kolejności od największych do najmniejszych. Worki ziemi i donice ceramiczne są rozmieszczone na półkach. Pod oknem stoi stół warsztatowy. Pod drugim stołem przy tylnej ścianie stoją pojemniki do przechowywania. Lily przypomina sobie postać Toma w oświetlonym oknie i to, że zdawało jej się, że poszedł w głąb komórki. Ucisk żołądka przybiera na sile, gdy idzie pod tylną ścianę. Wyciąga jeden pojemnik.

Skrywa gumowy wąż.

W następnym schowane są zwoje linek do sadzonek pomidorów. Wyciąga trzeci pojemnik i wstrzymuje oddech.

W środku leży biała koszulka sportowa jej męża. Kupiła mu ją na Boże Narodzenie. Z tyłu ma duże, okrągłe logo Ocean Motion. Jest zwinięta w mokrą kulkę. Przód jest poplamiony... *krwią.*

Tom

TERAZ

Lampa aparatu go oślepia. Tom mruga. Jest potwornie wyczerpany. Zmarznięty. Trzęsie się.

– Proszę się odwrócić – zwraca się do niego mundurowy.

Tom powoli odwraca się tyłem do policjanta. Teraz ma przed sobą śledczego siedzącego na krześle, który mu się przygląda. Toshiego Harę. Obok Toma stoi trzeci policjant trzymający papierowe torby dowodowe.

– Proszę wyciągnąć ręce przed siebie – odzywa się gliniarz z aparatem.

Tom wyciąga ręce.

Kliknięcie. Błysk.

Staccato dźwięku i światła atakuje jego mózg. Przez tych policjantów czuje się jak przestępca. Nie jest w stanie trzeźwo myśleć. Do jego umysłu wdzierają się słowa Lily.

Jak mogłeś mnie okłamać? Zdradzić, tak oszukać?

– Poszedłem pobiegać – mówi Tom. Nie rozpoznaje własnego głosu. Wszystko wydaje mu się nierealne, jakby o świcie wstał z łóżka, przekroczył próg domu i dostał się do burzliwej, alternatywnej rzeczywistości. Być może ta burza zaczęła się przed czterema miesiącami. Albo piętnaście lat temu, kiedy po raz pierwszy zobaczył Lily. Jak się nad tym zastanowić, ta burza, która wokół nich teraz szaleje, rozpętała się trzydzieści trzy lata temu.

Może się obudzi. I znów będzie normalnie.

Wie jednak, że nic już nigdy nie będzie normalnie. I może nigdy nie było. Normalność jest koncepcją. Pewną narracją, którą tworzy się dla siebie. Wszyscy to robią – każdy przyjmuje pewną koncepcję normalności. Te indywidualne narracje są jedyną rzeczywistością, jaką zna ludzkość. Tom doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Podobnie jak jego żona, terapeutka.

– Proszę się do mnie odwrócić – mówi policjant z aparatem.

Tom staje przodem do fotografa.

– Może pan wyciągnąć dłonie w moją stronę, wewnętrzną częścią do góry?

Tom wykonuje polecenie.

Kliknięcie. Błysk.

– I grzbietem do góry.

Kliknięcie. Błysk.

Tom wpatruje się w smugi krwi na swojej skórze. *Jej krew.*

– Może pan zdjąć kurtkę i koszulę? – mówi policjant z aparatem.

Tom ściąga kurtkę. Trzeci policjant otwiera dużą papierową torbę dowodową. Tom wrzuca do niej kurtkę, a później ściąga koszulkę przez głowę. To ta czysta, którą włożył na górze w domu. Wrzuca ją do kolejnej papierowej torby, którą mu podsuwają. Drży na całym ciele. Szczeka zębami. Nie wie, czy z zimna, czy z powodu szoku. Pewnie jednego i drugiego.

Kliknięcie. Błysk.

– Proszę się odwrócić.

Znów stoi przodem do śledczego Toshiego Hary.

Kliknięcie. Błysk.

Hara siedzi w milczeniu, skupiony. Minę ma beznamiętną. Pokerowa twarz gliny. Ani grama zbędnego tłuszczu na ciele. Co chude, to wredne. Włosy ma gęste, lśniące czarne i nienagannie ostrzyżone. Jego skóra ma odcień jasnego beżu, jest gładka i nieskazitelna. Ubrany jest w odprasowaną białą koszulę i ciemnobordowy krawat. Eleganckie spodnie, buty z jasnobrązowej skóry. Modnie. Nie wygląda jak nawiedzony, niechlujny detektyw z seriali. Trudno stwierdzić, ile ma lat. Może być tuż przed trzydziestką. Tom wyobraża sobie śledczego Harę wiodącego życie singla w nowoczesnym, designerskim mieszkaniu. Małym, o wiele za droгим jak na jego policyjną pensję. Tom wyobraża sobie, że Toshi Hara ma ambicje i plany. Pewnie spotyka się z olśniewającymi kobietami.

Kliknięcie. Błysk.

– Może pan schować podbródek, żebyśmy odpowiednio widzieli pański kark?

Tom chowa podbródek. Aparat przysuwa się do niego. *Kliknięcie. Błysk.* Policjant robi zdjęcia głębokich zadrapań od paznokci na jednym boku jego szyi. Kolejne smugi krwi po drugiej stronie.

– Proszę zdjąć spodnie i buty.

Tom tężeje. Spogląda na Harę. Mężczyzna kiwa głową.

– Chyba nie muszę tego robić? – odzywa się Tom.

– Dotykał pan ciała – mówi Hara. – Powiedział pan, że ją obejmował. W ten sposób. – Wykonał ruch kołysania, taki jak ten, który Tom pokazał wcześniej policjantom.

– Owszem, ale to...

– Dlatego potrzebne nam pańskie ubranie. Musimy dociec, co się stało ofierze, którą pan znalazł. Dowody mogły się przenieść z ciała na pana. Może natrafimy na coś, co pomoże nam się dowiedzieć, kto jej to zrobił. Chyba pan by tego chciał, prawda?

– Pan... pan nie sądzi, że to był wypadek?

– Rozważamy wszystkie opcje.

Tom nagle czuje się jak w pułapce. Klaustrofobicznie. Jego wzrok biegnie do drzwi.

– Damy panu coś suchego do ubrania, jak skończymy – uspokaja go Hara. – Dostanie pan też coś ciepłego do picia. Zgoda?

– Muszę zadzwonić.

– Jasne, nie ma sprawy. Ma pan prawo. Poprosimy tylko najpierw o pana spodnie, bieliznę, skarpetki i buty – mówi śledczy.

Tom wpatruje się w niego, widząc, że się głęboko namyśla.

– Bieliznę?

– Tak.

Tom przętyka ślinę. Jeśli odmówi, wyjdzie na to, że ma coś na sumieniu. Niewinny człowiek na pewno chciałby zrobić wszystko, żeby pomóc policji. Ściąga buty. Łądują w brązowej torbie. Później przychodzi kolej na skarpetki. Po nich zsuwa czarne wodoodporne spodnie do biegania z odblaskowymi paskami na biodrach i nogawkach. Przeszępuje na bok. Policjant z papierowymi torbami wyciąga po spodnie dłoń w rękawiczce.

Tom robi głęboki oddech i zdejmuje slipy. Policjant wyciąga kolejną papierową torbę.

Tom stoi, zakrywając dłońmi krocze. Nigdy w życiu nie czuł się tak obnażony, taki... zgwałcony, jak teraz, gdy stoi nagi i drżący w ostrym świetle jarzeńówek przed tymi trzema kompletnie ubranymi mężczyznami, z których dwaj, co wyraźnie widać, są uzbrojeni. Ci mężczyźni dysponują konstytucyjnym prawem do ograbienia go z wolności, wsadzenia do aresztu.

Policjant z torbami dowodowymi podchodzi do stołu. Na każdym z opakowań zapisuje nazwisko Toma, a przy nim datę, godzinę i opis zawartości.

Hara wstaje. Jest o wiele niższy od Toma, ale emanuje siłą.

– Muszę pobrać próbki krwi z pana szyi i dłoni, w porządku? – Wkłada parę niebieskich, lateksowych rękawiczek i bierze z półki zestaw przyborów. Otwiera go.

Tom zamyka oczy, gdy Hara pociera poplamione krwią miejsca. Policjant szczelnie zamyka próbki w pojemnikach i wręcza je facetowi od dowodów, który je podpisuje. Hara podaje Tomowi sznurowane spodnie z polaru i polarową bluzę w tym samym, granatowym, kolorze. Tom podejrzewa, że takie ubranie wręczają podejrzanym przed umieszczeniem ich w areszcie śledczym.

– Przepraszam, ale butów nie mamy. Będzie musiał się pan zadowolić tym.

– Podaje Tomowi parę ochraniaczy na obuwiu.

Tom się im przygląda.

– Jeszcze jedno – mówi Hara. – Czy możemy pobrać próbkę DNA?

– Słucham?

– Próbkę DNA. Prosty, szybki wymaz z policzka. Pomoże nam wyeliminować DNA, które mógł pan zostawić na miejscu zbrodni.

Tom wpatruje się w Harę. Serce mu łomocze. Czuje przypływ przerażenia. Został przyciśnięty do muru. Próbuje przełknąć ślinę, ale gardło ma ściśnięte. Jeśli odmówi, spotęguje podejrzania. To może skomplikować jego sytuację. Myśli o tym, dlaczego poszedł rano pobiegać. Myśli o tym, co wydarzyło się wczoraj i o kłótni z Lily. Myśli o tym, co wydarzyło się podczas imprezy u Codych i odchrząkuje.

– Jasne.

Hara wkłada parę nowych rękawiczek lateksowych, sięga po kolejny zestaw przyborów z półki. Otwiera go.

– Proszę usiąść.

Tom siada na krześle, które mu podsuwają.

– Proszę otworzyć usta.

Wykonuje polecenie.

– Trochę szerzej.

Hara wsuwa mu do ust patyczek i pociera nim wewnętrzną stronę policzka. To fizyczny atak tej odzianej w rękawiczkę dłoni mężczyzny i wymazówki poruszającej się w jego ustach.

Hara wyciąga patyczek, wsadza go do probówki, zamyka ją i wręcza policjantowi od dowodów, który znów umieszcza na niej dane Toma i datę. Gliniarz wychodzi z DNA Toma, próbkami krwi i brązowymi torbami z jego ubraniem i butami. Facet z aparatem także opuszcza pokój.

Hara uśmiecha się i wyciąga rękę w stronę otwartych drzwi.

– Może pan teraz zadzwonić, jeśli pan chce.

– Hm... Nie mam przy sobie komórki – mówi Tom.

– Udostępnimy panu telefon. Proszę tędy.

Tom idzie za śledczym Harą do białego pomieszczenia bez okien. Stoi w nim ława przed małą sofą, fotel i krzesło na kółkach. Tom zerka na sufit. Obserwuje go kamera w rogu.

– Proszę tu poczekać. – Hara zatrzaskuje drzwi. Tom ma wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Rue

TERAZ

Mgła dryfuje pośród ociekających deszczem starych iglaków, gdy Rue wraca powoli przez Spirit Forest Park. Stąpając, uważnie obserwuje teren. Zawsząd ścieka woda, a pod botkami Rue mlaszcze błoto. Teren został ogrodzony, a technicy kryminalistyczni badają kolejno poszczególne fragmenty terenu wzdłuż klifu, przy którym znaleziono ciało kobiety.

Drzewa wokół są monstrualne. Niczym katedralne łuki górują nad wąskim szlakiem, odcinając dopływ światła z góry. Gęste poszycie tworzą krzewinki jagód, paprocie o prehistorycznym wyglądzie i kolcosiły z drobnymi, ostrymi cierniami.

– Tutaj – krzyczy technik, który czeka na Rue kawałek dalej. Gdy do niego podchodzi, wskazuje jej obszar zniszczonej i zmiażdżonej roślinności tuż przy szlaku. – Ślady prowadzące ze ścieżki pasują do butów sportowych Nike w rozmiarze trzydzieści dziewięć, jakie miała na sobie ofiara. – Mężczyzna ostrożnie prowadzi Rue tak, by nie nadepnęła na żaden z odcisków. – Ślady biegną do lasu tędy. – Kijkiem wskazuje zagłębienia w ziemi podążającej za nim Rue. – Wygląda na to, że osoba w obuwiu Nike w sposób bardzo chaotyczny przemieszczała się w stronę krawędzi klifu, a później przeszła tędy. – Kieruje kijek na obszar z pogniecioną i zniszczoną roślinnością. Na połamanych drobnych gałązkach lśnią krople soków, które niedawno z nich wyciekły.

– To pojedyncze ślady? – pyta Rue.

– Nie, trzech osób.

Rue spogląda na technika, gwałtownie podnosząc głowę.

– Trzech?

– Pokażę pani. Proszę iść dokładnie za mną.

– Czy wszystko zostało zaznaczone i sfotografowane?

– Tak. Zrobiono też odlewy śladów.

Mężczyzna prowadzi Rue dalej w gęste zarośla i wskazuje inne odciski w czarnym błocie. Rue przykuca wśród paproci i przygląda się kształtom.

– Te trójkątne wgłębienia – wskazuje – to ślady kołków z podeszew butów terenowych kobiety?

– Zgadza się. Zakładam się, że próbki błota z podeszew jej butów będą pasować do próbek ziemi, które pobraliśmy stąd i z krawędzi klifu. Jest też

druga linia śladów kogoś, kto najwyraźniej zszedł ze szlaku i ruszył za nią w te zarośla. Widzi je pani?

Rue przesuwa się i odsuwa gałązki jagodzin. Przygląda się ziemi w miejscu wskazanym przez technika.

– Ten jest bardzo wyraźny – mówi mężczyzna. – Wzór zygzaka na podszwie. But w rozmiarze czterdzieści trzy.

Rue przygląda się odciskowi.

– Mężczyzna? – pyta.

– Z całą pewnością ktoś większy i cięższy od osoby w najkach. Z szerszymi stopami.

Myśli Rue biegną do Toma Bradleya. Toshi na pewno ma jego buty.

– Te większe ślady z zygzakiem miejscami pokrywają się ze śladami podszew kobiecych butów, więc ten, kto je zostawił, szedł za nią. Wzór wgłębień w odciskach stóp kobiety wskazuje, że poruszała się szybko, na pewnych odcinkach biegła, przewracała się, a czasami czołgała. Osoba za nią poruszała się w sposób bardziej taktyczny.

Ofiara i łowca, myśli Rue, przyglądając się śladom. Jedno ucieka, drugie się nie spieszy.

– Obie linie śladów prowadzą na zbocze klifu? – pyta.

– Pokażę pani. – Prowadzi Rue głębiej w las. – Jak powiedziałem, kobieta oddaliła się od głównego szlaku i wygląda na to, że biegła chaotycznie, nie podążając żadną konkretną ścieżką. Tutaj upadła. – Wskazuje miejsce. – Podniosła się na czworaka. Widzi pani ślady dłoni pod tamtymi liśćmi? I ślady kolan? Znow zaczęła uciekać. I znow upadła. A później doczołgała się do tej połaci kolcosiłu. – Pokazuje Rue gęszcz roślin o prehistorycznym wyglądzie, z liśćmi rozmiarów talerzy obiadowych. Rośliny mogą mieć około metra dwudziestu.

– *Oplopanax horridus* – mówi. – Paskudztwo. Nic przyjemnego dostać się w takie zarośla. Zarówno łodygi, jak i liście są pokryte cienkimi, łamliwymi kolcami, które z łatwością wbijają się w skórę. Roślina jest trująca i u niektórych może wywołać poważne reakcje alergiczne. Jeśli czołgała się wtedy ofiara, dowody w postaci tych kolców znajdzie pani w jej ciele i w ubraniu.

– A gdzie są ślady trzeciej osoby? – pyta Rue.

Technik prowadzi ją na krawędź klifu.

– Trzecia linia śladów biegnie od strony północno-zachodniej po czymś, co wygląda na dziki, wąski szlak. Zaczynają podążać za pozostałymi dwiema liniami śladów w tym miejscu, a później biegną równolegle do nich. – Wskazuje kijkiem.

Rue znów kuca i przygląda się nowym odciskom.

– Te wyglądają jak ślady botków.

– Owszem. Rozmiar czterdzieści dwa. Osoba, która je zostawiła, zjawiała się tu jakiś czas po dwóch pierwszych. – Prowadzi Rue do krawędzi klifu. – Ślady walki, tutaj, na ziemi. – Wskazuje. – Obluzowane kamienie i głązy. Ślad krwi na pogniecionych liściach paproci i leśnych kwiatów. Krew jest również tam. – Mężczyzna spogląda Rue w oczy. – Technicy kryminalistyczni znaleźli czółówkę i czapkę.

– Gdzie?

Prowadzi Rue do przedmiotów, o których wspomniał. Leżą na kamienistym gruncie przy kruchej krawędzi urwiska. Zostały opatrzone żółtymi wskaźnikami miejsca zbrodni. Rue klęka i przygląda się czarnej czapce.

Nad daszkiem ma logo Uniwersytetu Kordela. Rue przypomina sobie wizytówkę w kieszeni ofiary.

DR TOM BRADLEY, WYDZIAŁ PSYCHOLOGII.

Obok czapki leży czółówka marki Petzl. Niebiesko-biała z gumką w tych samych odcieniach.

– Powinno nam się udać uzyskać próbkę DNA z czapki, może także z paska petzla – informuje technik. – Jest też to. – Wskazuje kolejny żółty znacznik na ziemi.

Rue się przysuwa. Mężczyzna wskazuje kilka maleńkich plastikowych koralików. Jasnozielonych i pomarańczowych, na czarnej ziemi. Rue czuje ucisk w żołądku, a jej myśli biegną do zerwanego sznurka paciorków na zmiądzzonych palcach ofiary.

Kiwa głową, bierze głęboki oddech i wstaje. Podchodzi do krawędzi klifu i ostrożnie spogląda w dół. Żołądek podjeżdża jej do gardła. Znajduje się dokładnie ponad ciałem. Kieruje wzrok na ocean. Tafla wody nadal tonie w gęstej mgle. Przy dobrej pogodzie z tego miejsca można dostrzec ośnieżone pasmo gór Olympic w Stanach Zjednoczonych. Rue powoli się odwraca i przygląda leśnej ścianie.

Jeśli kobieta lub napastnik używali tej czółówki, musiało być ciemno. I była burza. I mgła.

Sądząc po śladach i odciskach, ktoś przegonił kobietę ze szlaku w kierunku urwiska. Ślady krwi oznaczają, że jedno z nich zostało ranne, prawdopodobnie podczas szamotaniny. Później kobieta spadła w przepaść. Czołówka i czapka mogły zostać przesunięte w trakcie szarpaniny. Możliwe, że ofiara zdarła zielono-pomarańczowe koraliki z napastnika, skoro zerwany sznurek ma opleciony wokół palców.

Ale co z tą trzecią osobą?

– Potrzebny nam dron – oznajmia Rue, sięgając do kieszeni po komórkę. –
Musimy przyjrzeć się zboczu tego klifu, sprawdzić, czy są jakieś inne dowody, może z ciała coś spadło podczas upadku.

Rue wybiera numer.

Lily

TERAZ

Może plamy na koszulce męża to wcale nie krew. Lily chce się łudzić, ale wie, że to krew. Nie bez powodu Tom ukrył bluzkę, zanim zadzwonił na policję. I skłamał w kwestii telefonu.

Lily próbuje pogodzić się z potworną rzeczywistością, ale jej mózg rozpaczliwie usiłuje znaleźć alternatywne wyjaśnienia. Łatwiejsze do przyjęcia.

Ludzie zrobią wszystko, posuną się nawet do absurdu, byle tylko uniknąć spoglądania we własną duszę.

Na dworze wieje wiatr, drobne kamyki stukają w dach. Lily sztywnieje na myśl o radnej Virginii Wingate, która siedziała w samochodzie przed tylną furtką ich domu, czekając na Tarryn. Myśli o tym, co Matthew widział z góry. Myśli o siedzącym w radiowozie policjancie obserwującym dom.

Sięga do kosza, ale się powstrzymuje. Odciski palców. Nie może zostawić swoich na zakrwawionej koszulce. Rozgląda się po domku narzędziowym. Widzi rękawiczki ogrodowe – żółte w drobne różowe różyczki. Wkłada je, a później wyciąga z pojemnika mały worek na odpady ogrodowe. Wyciąga z pojemnika koszulkę Toma i ostrożnie wrzuca ją do worka.

Co teraz? Co ona w ogóle chce zrobić? Znow słyzy syrenę, która zaczyna wyć w oddali. Panika ściska ją za gardło. Błyskawicznie ściąga rękawiczki, wciska je do worka na odpady razem z zakrwawioną koszulką męża i otwiera drzwi domku narzędziowego. Wygląda na zewnątrz, zerka na dom sąsiadów. Nikt nie patrzy przez kuchenne okna. Szybko wchodzi do swojego domu kuchennymi drzwiami.

Przez chwilę stoi w środku z workiem w dłoni, nagle oteęiała.

Słyzy pukanie do okna jadalni. Wstrzymuje oddech, obraca się i upuszcza worek, który upada na podłogę, ukazując zawartość. Lily spogląda na okno. Na zewnątrz stoi mężczyzna. Znow stuka pięścią w szybę, poruszając wargami.

Lily dopiero po chwili rozpoznaje swojego pacjenta Gartha Quinlana, strażaka, żonatego ojca trójki dzieci. Garth wskazuje na zegarek. *Szlag*. Lily spogląda na swój. Straciła poczucie czasu. Zupełnie zapomniała, że jest z nim umówiona.

Gestem prosi go, by zaczekał, pochyla się i wsuwa zakrwawioną koszulkę z powrotem do worka. Waha się, aż w końcu stopą wsuwa worek pod jadalniany stół. Pociera twarz, przygląda dłońmi włosy, bierze głęboki oddech i idzie otworzyć tylne przesuwane drzwi. Serce jej łomocze.

– Dzwoniłem do gabinetu – wytłumaczył się Garth. – I pukałem. Ale nikt nie otwierał. Próbowałem zadzwonić, ale włączyła się skrzynka głosowa. Poszedłem z powrotem do samochodu, ale po drodze zauważyłem przez płot światło w komórce, a później panią wchodzącą tylnym wejściem, więc przyszedłem tutaj.

W piersi Lily eksploduje złość – kolejny mechanizm radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych. Złość zagłusza strach, więc Lily chwyta się jej i ją rozognia. Dzięki złości panuje nad otoczeniem. Znowu jest doktor Bradley. A doktor Bradley ma zasady. Pacjenci nie mogą zakłócać jej życia osobistego. Ani spokoju jej rodziny. Ta część domu jest ściśle prywatna. Wyraźnie podkreśla to każdemu nowemu pacjentowi. Zawsze znajdzie się jeden czy dwóch takich, którzy próbują przekroczyć granice, wedrzeć się do jej osobistej przestrzeni, z rozmaitych powodów, którzy usiłują dowiedzieć się czegoś więcej o niej i o jej rodzinie. Garth nie powinien był przychodzić do jej prywatnego lokum, i ona mu to mówi.

– Przepraszam – odzywa się szorstko Lily. – Miałam odwołać sesję. Ale wypadło mi coś bardzo ważnego. Nagła sprawa. Mam prośbę: niech pan nie podchodzi więcej do tego wejścia.

Garth przygląda jej się uważnie. Ma dziwną minę.

– Jaka nagła sprawa? – pyta cicho.

– Rodzinna. Naprawdę bardzo pana przepraszam. Proszę wybaczyć. Zadzwonię, żeby umówić się na nowy termin, jak tylko...

– Czy to krew?

– Słucham?

– Krew.

– G...dzie?

– Na pani dłoniach, na twarzy.

Lily spuszcza wzrok na swoje dłonie. Z przerażeniem wpatruje się w czerwień na palcach. Musiała się ubrudzić, kiedy wkładała koszulkę do worka. To tyle w temacie rękawiczek.

– Na twarzy też.

Lily uświadamia sobie, że ubrudziła się krwią, kiedy pocierała twarz i wygładzała włosy.

– Coś się komuś stało? – pyta Garth. – To ta nagła sprawa? – Telefon stacjonarny w holu zaczyna dzwonić. – Mogę w czymś pomóc?

Telefon dzwięczy przeraźliwie i dzwięczy. Jeszcze dwa dzwonki i włączy się poczta głosowa.

– Muszę... iść. Umówimy się w innym terminie. – Lily zatrzaskuje Garthowi drzwi przed nosem i biegnie do aparatu. Chwyta słuchawkę przy ostatnim dzwonku. Przy okazji zerka na swoje odbicie w lustrze i widzi smugę krwi na policzku i na palcach ściskających słuchawkę. *Krew nieżyjącej kobiety*. Przez chwilę nie może wydobyć z siebie głosu.

– Lily? – Głos Toma sprowadza ją na ziemię.

– Jezu, Tom. Gdzie jesteś? Co się dzieje?

– Lily, jestem... na posterunku. Potrzebuję...

– Na posterunku? Jakim posterunku?

– Policyjnym. W centrum.

Lily wpatruje się w swoją bladą twarz w lustrze ze smugami krwi z koszulki męża, która leży teraz w worku pod stołem w jadalni.

– Lily?

– Tak – odzywa się cicho.

– Muszę cię o coś prosić. Słuchasz mnie? Potrzebuję Dianne. Ściągnij Dianne.

– Dianne?

– Dianne Klister.

Jej przyjaciółkę, Dianne. Cenioną i znaną adwokatkę. Czy ona przypadkiem nie myślała o Dianne? A tak, kiedy Tarryn przypomniała, że jej ojciec jest partnerem w tej samej kancelarii, co Dianne. Hammersmith, Wingate & Klister.

Jej myśli cofają się w czasie – do dnia, kiedy niedawno spotkała się z Dianne na drinka w hotelu Ocean Bay. Dostała dziwną wiadomość i musiała wyznać Dianne, że ktoś ją śledzi i obserwuje, a Dianne patrzyła na Lily, jakby ta postradała zmysły.

– Lily, jesteś tam? Słyszysz mnie?

Lily czuje się tak, jakby jej mózg ugrzązł w gęstym syropie. Nie może go skłonić do pracy.

– Potrzebujesz... adwokata? – Jej głos jest ochryply.

– Na miłość boską, tak, Lily. Policja zamierza mnie przesłuchać w sprawie śmierci tej kobiety. Wsadzili mnie do sali przesłuchań i zabrali mi ubranie. Sytuacja robi się dziwna. Potrzebuję porady. I musisz mi przywieźć ciuchy.

Jej wzrok wędruje do stołu w jadalni, do worka z koszulką Toma.

– Zabrali ci ubranie?

– Tak.

– Dlaczego? To znaczy... Dlaczego nie zakładają, że to był wypadek?

- Nie mogę mówić. Są tu kamery, rozmawiam z nie swojego telefonu. Ściągnij tu Dianne i przywieź mi ubranie.
 - Kim... kim ona była, Tom? Kogo znalazłeś na plaży?
- Połączenie zostaje przerwane.

Lily

TERAZ

Lily dzwoni do kancelarii Dianne. Czekając na połączenie, zwraca uwagę na oprawione rodzinne zdjęcia na korytarzu. Jej ulubionym jest piękna fotografia ich czwórki na Arubie, śmiejących się w słońcu na śnieżnobiałej plaży oblewanej przez turkusowe morze. Kolejne ujęcie przedstawia Lily i Toma na luksusowym kempingu w Clayoquot Sound, na który wybrali się z okazji rocznicy ślubu. Uśmiechają się, obejmują. Oczy zachodzą jej mgłą. Na innym zdjęciu widać całą ich czwórkę na safari w Botswanie. Zrobił je przewodnik w dniu, kiedy zobaczyli trzy zwierzęta z afrykańskiej „wielkiej piątki” – nosorożca z młodym, stado słoni i lamparta ze zdobyczą na drzewie.

– Kancelaria Dianne Klister, w czym mogę pomóc?

Lily w jednej chwili wraca do terażniejszości.

– Och, czy zastałam Dianne?

– Pani Klister jest obecnie nieosiągalna, czy coś przekazać?

Lily z hukiem odkłada słuchawkę. Drżącymi palcami wybiera numer komórki przyjaciółki. Jej wzrok wraca do zdjęć, gdy czeka na połączenie. Wpatruje się w inne ujęcie z afrykańskiej podróży. Ona, Tom, Matthew i Phoebe stoją przed stateczkiem, którym mają popłynąć do KwaZulu-Natal, żeby oglądać rekiny; w tle wielka fala uderza w molo.

– Lily? – W słuchawce rozlega się głos Dianne.

– Cześć, hm... eee... hm...

– Lily? Wszystko w porządku?

– Słyszać cię tak, jakbyś miała włączony głośnik – stwierdza Lily. – Czy... ktoś jeszcze mnie słyszy?

– Jestem w samochodzie, prowadzę. Jestem sama. Co się dzieje? Wydajesz się dziwna.

Lily zaciska powieki.

– Potrzebujemy twojej pomocy. Tom... O, Boże... – Głos jej się załamuje. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nie wiem nawet, o co właściwie chodzi.

– Posłuchaj. Zjeżdżam na pobocze. Zatrzymuję się. – Lily słyszy odgłos parkowania. – Dobra. Powoli. Skupiam się tylko na tobie. Opowiedz po prostu wszystko tak, jak jest.

Lily przełyka ślinę, wyciera usta i przypomina sobie o krwi na dłoniach. Jej wzrok wędruje do odbicia w lustrze. Ogarnia ją przerażenie. Smugę krwi zmarłej kobiety ma teraz na wargach. Oczy ma spanikowane, lśniące. Włosy przemoczone na deszczu schną bezładnie. Ta kobieta jest obca. Ona powinna być matką, żoną i terapeutką, której znajomi zazdroszczą tego, że zawsze panuje nad sytuacją i zawsze wygląda idealnie, bez względu na okazję. Kobieta, która nie ukrywa trupów w szafie.

– Lily?

– Tom jest na komisariacie. Przesłuchują go w związku z... z nieżyjącą kobietą. Dziś rano znalazł na plaży ciało kobiety, która uprawiała jogging, i śledczy z wydziału zabójstw zamierzają go przesłuchać. Zabrali jego ubranie, Dianne. Potrzebuje pomocy. Natychmiast. Możemy na ciebie liczyć?

Chwila milczenia.

– Na którym komisariacie?

– W centrum. Na głównym. Dianne... – Lily waha się, rzeczywistość przygniata jej wnętrze jak ciężki, zimny kamień. – Śledztwo prowadzi policjantka, która występowała w telewizji. Z wydziału zabójstw. Ta od Zabójcy Biegaczek.

– Sierżant Rulandi Duval?

– Tak.

– Posłuchaj mnie uważnie, Lily. Słuchasz? Skup się. – Ton Dianne się zmienił. Teraz jest ostry. Rzeczowy. Lily ma wrażenie, że rozmawia z całkiem inną kobietą.

– Tak, tak, słucham.

– Nic nie mów. Ani słowa. Nikomu, Rozumiesz? Ni-ko-mu.

Lily kiwa głową.

– Dobrze.

– Powiedz to, powtórz.

– Mam nic nie mówić. Nikomu.

– Pamiętaj o tym. Ze względu na dobro Toma. I swoje własne. Wbij sobie do głowy: ani Tom, ani ty nie macie obowiązku odpowiadania na żadne pytania policji. To wasze ustawowe prawo.

– On nic nie zrobił, Dianne.

– Zrobił czy nie, jeśli jest przesłuchiwany przez śledczych z wydziału zabójstw i jeśli zabrali mu ubranie, media nie będą go przedstawiać w dobrym świetle. Musimy szybko wymyślić coś, co pozwoli uniknąć nagonki, uratować jego posadę. I twoją. I ochronić Matthew i Phoebe.

Lily czuje wzbierającą w gardle gorączkę.

– Po pierwsze – odzywa się stanowczo Dianne – poprosz kogoś, żeby odebrał dzieci ze szkoły, najlepiej, jakby to był ktoś, kto zabierze je do siebie i na razie ochroni je przed wiadomościami. I odwołaj swoje dzisiejsze sesje. Ja jadę prosto na policję. Ty uszykuj ubrania dla Toma. Eleganckie, stonowane. Doprowadź się do porządku i przyjedź na komisariat. Tam się spotkamy. – Zapada cisza. – Cokolwiek się dzieje, Lily, Tom cię teraz potrzebuje. Musisz wziąć się w garść dla niego i dla swojej rodziny.

– Ale przecież Tom nie zrobił nic złego...

– Przesłuchuje go specjalistka z wydziału zabójstw, prowadząca sprawę seryjnego mordercy, który brutalnie gwałci kobiety uprawiające jogging, a później katuje je na śmierć. Oswój się z tą myślą, Lily. Kobiety śmiertelnie boją się Zabójcy Biegaczek, do tego stopnia, że nie wychodzą trenować same. Rulandi Duval to pitbull z kompleksem niższości. Jest kobietą na stanowisku w środowisku zdominowanym przez mężczyzn i chce coś udowodnić. Ty i Tom jesteście uprzywilejowani. Mieszkanie w Story Cove. Macie jacht. Zacumowany w ekskluzywnej przystani. Jesteście członkami country klubu. Tom pracuje na uczelni, otaczają go młode studentki. Ty pracujesz z ludźmi, którzy muszą ci ufać i oczekują tego, że ich terapia pozostanie tajemnicą. Duval da wam popalić, choćby dlatego, że może. Otoczenie też nie będzie dla was łaskawe.

Lily zbiera się na wymioty. Musi biec do łazienki. Czuje, że zamiast wnętrzości ma wodę.

– Jeszcze raz powtarzam, Lily, to najważniejsze: nie rozmawiaj z nikim, choćby wydawał się przyjaźnie nastawiony, dopóki nie rozszyfruję, co jest grane. Wtedy opracujemy strategię.

Dianne się rozłącza.

Oszołomiona Lily odkłada słuchawkę. Idzie do stołu w jadalni, wyciąga spod niego worek z zakrwawioną koszulką. Waha się. Musi ją gdzieś schować. Albo lepiej wyprać. Szybko idzie do pralni w głębi korytarza. Wrzuca zawartość worka do ładowanej od góry pralki ze szklaną pokrywą i nastawia program. Woda zaczyna wypełniać bęben. Lily wrzuca proszek. Wpatruje się w wodę – robi się różowa, kiedy jej ogrodowe rękawiczki i koszulka męża wirują w pianie. Nagle przeraża ją myśl: co będzie, jeśli policja zapyta, gdzie jest koszulka, którą Tom miał na sobie wcześniej?

Pralam ubrania całej rodziny, panie władzo.

Szybko wchodzi na piętro i z kosza w łazience wyciąga naręczne brudnych ciuchów. Zbiega do pralni i dorzuca ubrania do różowej, spienionej wody. Zatraskuje pokrywą i zerka na worek na odpady, który rzuciła na podłogę.

Podnosi go. W środku jest krew. Co ma z nim zrobić?

Co ja wyprawiam? Dlaczego w ogóle chcę to wszystko ukryć?

Tom miał na pewno ważny powód, żeby schować koszulkę w domku narzędziowym, zanim zadzwonił pod 911. Kiedy Lily pozna ten powód, wszystko zrozumie. Bo to na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Przecież ufa Tomowi?

Znów przypomina sobie ich kłótnię i czuje fizyczny cios.

Nie ufa Tomowi. Okłamał ją.

Okłamywał ją przez cały okres małżeństwa.

Ale przecież ona też go w pewnym sensie okłamywała. A właściwie zakopała swoje sekrety tak głęboko, że sama niemal zapomniała o ich istnieniu. Miała wrażenie, że należą do kogoś innego. Do kogoś, kto nie jest Lily Bradley, matką dwojga cudownych dzieci. Aż ktoś ją zaczął obserwować. Później pojawiły się liściki. Problemy pacjentów zaczęły odzwierciedlać jej własne. Powoli, stopniowo, Lily zaczęła się rozsypywać.

Idzie do kuchni ze zwiniętym w kulkę workiem i staje przed lodówką. Kiedyś w telewizji, w serialu kryminalnym, widziała, jak kobieta chowała torebkę ze śladami ludzkiej krwi do zamrażarki. Najpierw włożyła do niej surowe mięso.

Lily mocnym szarpnięciem otwiera drzwiczki masywnej lodówko-zamrażarki side by side. Wyciąga trzy paczki organicznej, mielonej wołowiny z krów z wolnego wybiegu. Zdiera opakowanie i zamrożone kawałki mięsa wkłada do worka na odpady. Mocno związuje worek i wciska go do zamrażarki. Torebki po mielonym mięsie wyrzuca do kosza na śmieci pod zlewem. Gdy ma iść do góry, żeby się przebrać, dostrzega, że za oknem coś się poruszyło.

Odwraca się, zaciskając dłonie w pięści. Nie widzi niczego niezwykłego. Tylko gałęzie kołyszą się na wietrze. Przez chwilę stoi jak sparaliżowana i obserwuje drzewo. Do jej umysłu przenika odgłos tykającego głośno zegara z kukułką – *tik, tak, tik, tak*. Zmusza się do działania i biegnie na górę. Uruchamia prysznic, zrzuca z siebie kremowy sweter, doskonale skrojone, luźne lniane spodnie, biustonosz, majtki i podpina włosy. Wchodzi pod strumień parującej wody i szoruje dłonie i twarz, żeby zetrzeć z nich krew martwej kobiety.

Wyciera się i szybko ubiera. Dżinsy, biały T-shirt, blad różowa bluza z kapturem. Starannie związuje włosy w kucyk i nakłada błyszczący na usta.

Musisz wyglądać, jakbyś panowała nad sytuacją. Bo tak jest.

Jednak spoglądająca na nią z lustra kobieta ze szklistymi oczami wydaje jej się obca. Pakuje do torby ubrania dla Toma i nagle o czymś sobie przypomina. Jego komórka.

Podłączyłem ją do ładowarki w kuchni.

Odłącza telefon męża od ładowarki przy łóżku, idzie do kuchni i tam podłącza go do ładowarki na blacie, zgodnie z jego wersją. Jeszcze raz obchodzi dom, aż w końcu bierze torebkę. Sama myśl o wizycie na komisariacie jest dla Lily przerażająca. Nosi w sobie głęboki niepokój związany z policją, zakorzeniony w niej od dzieciństwa. Tak, wie, że policjanci chronią ludzi. Tak, dbają o bezpieczeństwo osiedli takich jak to. Ale policja przywołuje także potworne wspomnienia tego, co przydarzyło się jej rodzinie, i choć Lily potrafi zrozumieć, skąd się biorą jej obawy, choć pracowała nad swoją przeszłością podczas długotrwałej terapii, nie jest w stanie wyzwolić się od lęków. Teraz nakłada się na nie narastające przerażenie tym, że mroki przeszłości mogą powrócić.

Idzie do szafy na korytarzu, wyciąga swój ładny prochowiec i jeszcze raz nasłuchuje odgłosów pralki szmerzącej bezpiecznie w pomieszczeniu w głębi korytarza. Wkłada płaszcz, bierze kluczyki samochodowe i podnosi z podłogi torbę z ubraniami dla męża. Od drzwi frontowych dobiega głośne pukanie, któremu towarzyszy dźwięk dzwonka. Lily nieruchomieje. Serce zaczyna jej szybciej bić.

– Pani Bradley? Proszę otworzyć. Policja. Proszę otworzyć.

Ogarnięta paniką stoi bez ruchu.

Początek

WTEDY

20 kwietnia. Środa.

DWA MIESIĄCE PRZED JEJ ŚMIERCIA

Stoi w głębokim cieniu pod sękatą wiśnią i obserwuje dom po drugiej stronie ulicy. Dłonie w rękawiczkach zaciska na kierownicy roweru. Jest ciemno. I zimno, choć jest wiosna. Wilgotna mgła skrada się ulicami od oceanu rozciągającego się kilka przecznic dalej i zdobi latarnie niesamowitymi aureolami. W koszach po obu stronach roweru ma mokry kostium kąpielowy, ręcznik i buty do biegania. Oddech wydostaje się przez otwory w kominiarce nałożonej pod kask rowerowy. Krople wilgoci toczą się jak koraliki po wodoodpornej odzieży i połyskują, gdy pada na nie światło.

To bezpieczna dzielnica. Elegancka. Przy ulicach stoją stylowe domy z niewielkimi zielonymi trawnikami od frontu. Niektóre ze sztachetowymi płotami. Inne bez ogrodzenia. Przy chodnikach rosną stare drzewa – magnolie, wiśnie, dęby. Story Cove. Romantyczna nazwa nawiązująca do człowieka, który założył to miasto w XIX wieku, Anglika Simona J. Story’ego. Tutaj, na północ od granicy ze Stanami Zjednoczonymi, angielska tradycja jest ciągle żywa. Brytyjskość emanuje z osobliwych pubów, sklepików z rybami i frytkami oraz z angielskimi wypiekami i z kawiarenek serwujących popołudniową herbatę z babeczkami i bitą śmietaną. Słysząc ją w trzasku kijów do krykieta na trawnikach Windsor Country Club, w którym mężczyźni z osiedla grają również w rugby, a kwota składki członkowskiej wystarczyłaby na utrzymanie małej wsi.

Kilka przecznic dalej liny jachtów objają się o maszty w ładnej przystani. Story Cove to miejsce z altanami ogrodowymi i różami pnącymi, miejsce, w którym na pobliskim polu golfowym pasą się jelenie, dzieci wciąż śmieją się i bawią przed domami, a jedynymi prawdziwymi bandytami są szopy, zakradające się w ciemności, żeby przeszukać starannie posortowane odpady wtórne i śmieci bogaczy.

Ze względu na położenie Story Cove, miasteczka na półwyspie, który wcina się w Salish Sea, równie dobrze mogłoby to być osiedle zamknięte. Nie ma żadnego powodu, by szwendali się tu ludzie z marginesu. W Story Cove

zjawiają się ci, którzy tutaj mieszkają. Albo pracują jako pomoc. Dlatego trzeba było zadbać o to, by wtopić się w otoczenie.

Obserwowany dom należy do rodziny Bradleyów. Jego ściany w nocy wydają się czarne, ale w świetle dziennym mają odcień ciemnego bakłażana, a okap jest wykończony w kolorze jasnozielonym. Na furtce wisi mosiężna tabliczka z napisem PORADNIA PSYCHOLOGICZNA POD DĘBEM, DR L. BRADLEY.

Od miesięcy wie dużo o Bradleyach. Wiodą rutynowe życie. Ich poczynania są przewidywalne. To znacznie ułatwia sprawę.

Wie, gdzie na zajęcia jogi i pilates chodzi doktor Lily Bradley. Jakie ciastka kupuje i w które dni. U którego fryzjera strzyże i farbuje włosy. Z kim się przyjaźni, ile waży, do jakiej ilości węglowodanów dziennie próbuje się ograniczyć, która z jej przyjaciółek przesadza z winem, i jak zaciekle chroni swoje dzieci. Wie, który z soków organicznych jest ulubionym sokiem Matthew i jak bardzo kocha on swój aparat fotograficzny. Wie, że Phoebe jest fanką mody gotyckiej i że profesor Tom Bradley wykłada na uniwersytecie, a w piątkowe wieczory zwykle wypija za dużo w tawernie Red Lion, której, wraz z grupą pracowników uczelni, jest stałym bywalcem. Czasem Tom Bradley idzie jeszcze później z kumplami do jachtklubu i pije dalej na jednej z łodzi.

Tom i Lily sprawiają wrażenie idealnego małżeństwa. Przykładowa rodzina z uprzywilejowanej dzielnicy Story Cove.

Życie jest iluzją.

Ludzie nie żyją w starannie odmalowanych zabytkowych domach w urokliwych dzielnicach. Nie żyją w nowoczesnych apartamentach w wieżowcach ani w leśnych chatkach, ani w schronieniach dla bezdomnych pod betonowymi mostami. Żyją na powierzchni o szerokości piętnastu centymetrów pomiędzy swoimi uszami – w półtorakilogramowej kuli tłuszczu i białka, jaką jest ludzki mózg. Żyją w swoich głowach. Tam mieszka rzeczywistość.

To tam każdy człowiek tworzy narrację swojego życia.

To tam mówi sobie, kim jest i co może, a czego nie może osiągnąć. Rzeczywistość jednej osoby nigdy nie jest taka sama jak czyjaś inna. Myśl, że istnieje jedna obiektywna prawda, to wielka iluzja.

Te narracje zawsze skrywają sekrety. Najgłębsze, mroczne i najintymniejsze. Ma je każdy.

Im dłużej kogoś obserwujesz, tym wyraźniej zaczynasz dostrzegać, jak bardzo się trudzi, by ukryć mroczne sekrety, które determinują jego działanie.

Na parterze domu w kolorze bakłażana jeszcze nie opuszczono żaluzji i blask wnętrza tworzy w ciemności jasnozłotą, kwadratową plamę. Wygląda jak oświetlona scenografia. Przygotowana dla jednoosobowej widowni, która czai się pod drzewem wiśni.

Mieszkańcy domu najwyraźniej czują się bezpiecznie, skoro z niczym się nie kryją. To się jednak wkrótce zmieni.

Ktoś wychodzi z kuchni i pojawia się w polu widzenia. Musi się skoncentrować.

To mąż. Wysoki. Ciemnowłłosy. Ubrany w czarne dżinsy i czarny golf. Jak przystało na wykładowcę. Profesora psychologii badającego zbłąkane umysły z dystansu, ze swojej porośniętej bluszczem wieży z kości słoniowej. Uprzywilejowany człowiek pochodzący z rodziny bogatej od pokoleń. Takie bogactwo i pozycja mogą uchronić przed koniecznością zapłacenia za potworne, pokrętne rzeczy, gdyby się ich dopuścił.

Profesor Tom Bradley w dłoniach zabezpieczonych rękawicami kuchennymi niesie na stół parujące naczynie. W złotej poświacie pojawia się jego żona. Doktor Lily Bradley. Nieskazitelna fryzura w odcieniu maślanym. Ładny biust. Biodra wyrzeźbione na siłowni podczas drogich sesji z osobistym trenerem. Lily Bradley stawia na stole butelkę wina. Mąż chwyta otwieracz.

Wino zostaje odkorkowane, nalane. Żona podnosi kieliszek, coś mówi. Mąż się śmieje. Ona też się śmieje, odrzucając do tyłu blond włosy i prezentując gładką szyję.

Kiedy tak patrzy, w jej trzewiach rodzi się pragnienie. Dłonie zaciskają się na kierownicy.

Żona dobrze się ustawiła. Mąż jest od niej o piętnaście lat starszy. To jego drugie małżeństwo. Tak się złożyło, że ma pieniądze.

Pragnienie we wnętrzościach zamienia się w nagłace, palące, niebezpieczne marzenie. Czuje je w sercu. A wraz z tą dziką, bolesną żądzą przychodzi coś gorszego – chęć zniszczenia tych, którzy mieszkają w domu w odcieniu bakłażana.

Od rodziny Bradleyów chce... wszystkiego.

Żona nagle nieruchomieje. Zerka w stronę okna. Postać przed domem zamiera. Żona mówi coś do męża, a później podchodzi do okna z kieliszkiem wina w dłoni. Drugą dłonią dotyka szyby i patrzy w ciemność, kierując wzrok wprost na wiśnię. Obserwator stoi bez ruchu, nawet nie oddycha. Doktor Lily Bradley chwyta sznurek i opuszcza żaluzje.

Przedstawienie skończone.

Uśmiecha się. To działa. Lily Bradley wyczuła, że ktoś ją podpatruje, kręci się po obrzeżach jej życia. Dotarło to do niej w przebłysku świadomości.

Gra trwa. Czas przejść do kolejnego etapu.

Wsiada na rower i w tej chwili ciemność przesywa snop żółtego światła. Gwałtownie kieruje wzrok w górę i spogląda w okno na poddaszu. Spomiędzy lekko rozsuniętej zasłonki w małym mansardowym oknie pada smuga światła. *Chłopiec*.

Zastyga w bezruchu, aż w końcu zasłona wraca na swoje miejsce, a żółte światło niknie.

Robi się nerwowo. Zawsze jest jakaś szczelina. We wszystkim. To przez nią dostaje się światło. Albo ucieka ciemność.

Czeka jeszcze chwilę. Czuje w kościach chłód. Dłonie w rękawiczkach sztywnieją na kierownicy.

Delikatny podmuch wiatru porusza gałęziami. Z sękatych konarów spadają kropelki, w oddali wyje karetka, a dźwięk syreny wznosi się i opada, gdy auto przejeżdża w pobliżu Story Cove, zmierzając na miejsce jakiejś tragedii.

Przemierza rowerem ulicę. Jest jedną z wielu ciemnych postaci w kasku, tonących w podmiejskiej ciemności.

Lily

TERAZ

Lily prostuje się i otwiera frontowe drzwi, spodziewając się umundurowanego policjanta z radiowozu zaparkowanego przed domem.

Tymczasem to mężczyzna w garniturze. Azjatyckiego pochodzenia. Przystojny, w nieskazitelnym stroju.

– Dzień dobry, Toshi Hara, śledczy z wydziału zabójstw. – Pokazuje Lily legitymację. – Pracuję z detektyw Rulandi Duval, jestem jej partnerem. Wydaje mi się, że poznała ją pani dziś rano?

Lily zerka na policjanta po drugiej stronie ulicy. Przeżywa wstrząs na widok wozu transmisyjnego zaparkowanego za radiowozem. Na dużym czerwonym logo z boku widnieje napis CITV NEWS. Niczym jaskrawy, migający szyld przed ich domem. Obręcz napięcia zaciska się przy skroniach, gdy dociera do niej, jak wyraźna jest nazwa jej poradni na tabliczce przy podjeździe. Na wszystkich zdjęciach ich domu pojawi się w mediach nazwa jej praktyki. Jej nazwisko.

– W czym mogę pomóc? – Zaczyna się trząść. Dociera do niej, że nagle nie chodzi już tylko o martwą kobietę na plaży. Sprawa obudziła traumę z dzieciństwa, a ona na nowo przeżywa to, co się wydarzyło po pojawieniu się policji tamtego potwornego dnia. W jej głowie rozlega się brzęczenie.

Pralka rozpoczyna hałaśliwe wirowanie. Śledczy spogląda poza Lily w głąb korytarza. Lily przesuwa się na środek wejścia, żeby zasłonić mu widok, i milczy, czekając na jego odpowiedź.

– To pralka? – pyta. – Chce pani do niej zajrzeć?

– Szwankuje. Miałam ją dać do naprawy. To nic takiego.

Policjant jej się przygląda.

– Czego pan chce?

– Chciałbym zadać pani kilka pytań. Na temat dzisiejszego poranka.

– Mój mąż jest na komisariacie – odpowiada Lily.

– Ale nie chcę rozmawiać z pani mężem. Tylko z panią. Mam tylko kilka pytań. Standardowa procedura. Mogę wejść?

Odgłosy pralki przybierają na sile.

– Właśnie wychodzę. – Przewiesza sobie torebkę przez ramię, bierze torbę z ubraniami Toma i przekracza próg, zmuszając Harę, by się cofnął. Zdecydowanym ruchem zamyka za sobą drzwi i przekręca klucz w zamku. –

Mój mąż, Tom, poprosił mnie, żebym przywiozła mu ubranie, bo zabraliście mu to, które miał na sobie, i właśnie wychodzę, więc...

– Może mi pani powiedzieć, gdzie była pani od wczoraj do dzisiejszego poranka?

Przystaje.

– Ja?

Świdruje ją ciemnymi oczami. Czeka. Lily zerka na wóz transmisyjny. Jego drzwi się otwierają. Wsiadają z niego kobieta w spódnicy i mężczyzna z kamerą. Lily czuje napięcie.

– Czy to wtedy ta kobieta zginęła? Wczoraj?

Policjant czeka.

Dziennikarka i kamerzysta przechodzą przez ulicę. Myśli w głowie Lily się kotłują. Śledczy na pewno zadał – albo zada – Tomowi te same pytania. Nie może podważyć wersji męża. Może dlatego sierżant Duval wysłała do Lily swojego partnera, żeby przesłuchał ją, zanim zdąży porozmawiać z mężem, zanim ona i Tom będą mieli możliwość ustalenia jednej wersji wydarzeń tego dnia i potwierdzić nawzajem swoje alibi.

Jeszcze raz powtarzam, Lily, to najważniejsze: nie rozmawiaj z nikim, choćby wydawał się przyjaźnie nastawiony, dopóki nie rozszyfruję, co jest grane. Wtedy opracujemy strategię.

– Przepraszam. – Lily wymija śledczego Hare, gdy dziennikarka dociera do skraju jej trawnika. – Naszą adwokatką jest Dianne Klister. Może pan porozmawiać z nią. – Szybkim krokiem podchodzi do stojącego na podjeździe bmw. Po drodze wciska przycisk pilota.

Śledczy Hara woła za nią:

– Ona jest adwokatką pani męża. Nie pani. Będzie pracować dla niego, nie dla pani.

Lily szarpnięciem otwiera drzwiczki i wrzuca do środka torby. Gdy siada za kierownicą, podchodzi do niej dziennikarka z mikrofonem, a kamerzysta zaczyna nagrywać.

– Pani doktor! – krzyczy dziennikarka. – Dlaczego pani mąż został zabrany na komisariat? Dlaczego przesłuchują go policjanci z wydziału zabójstw?

Lily zatrząskuje drzwiczki i uruchamia silnik.

– Czy pani mąż znał ofiarę? Czy ta sprawa ma związek z zabójstwami innych biegaczek?

Lily zagryza zęby, zaciska dłonie na kierownicy, wciska pedał gazu i zbyt szybko opuszcza podjazd. Kręci kierownicą, wyjeżdżając na ulicę, a koła dotykają asfaltu z piskiem i zgrzytem. Dodaje gazu i pędzi spokojną, osiedlową drogą. Hamuje gwałtownie przed znakiem stopu. Serce jej

łomocze. Poci się pod pachami. Oddycha szybko. W jej głowie dźwięczy głos dziennikarki.

Czy pani mąż znał ofiarę? Czy ta sprawa ma związek z zabójstwami innych biegaczek?

Towarzyszy mu echo słów Dianne.

Zrobił czy nie, jeśli jest przesłuchiwany przez śledczych z wydziału zabójstw i jeśli zabrali mu ubranie, media nie będą go przedstawiać w dobrym świetle.

Jadąc na komisariat, usiłuje dociec, kiedy wyłapała pierwsze sygnały, że coś jest nie tak. Na początku wiosny, gdy zaczęła czuć, że ktoś ją obserwuje.

A później pojawiły się liściki.

Lily

WTEDY

24 kwietnia. Niedziela.

NIECAŁE DWA MIESIĄCE PRZED JEJ ŚMIERCIA

– Musimy wychodzić! – krzyczy Lily do dzieciaków na piętrze.

Jest niedziela i zabiera je na mszę do kamiennego kościółka nad wodą. Co niedzielę chodzi z Phoebe i Matthew na poranną mszę do katolickiej parafii Królowej Pokoju. Tom kiedyś chodził z nimi, ale to Lily potrzebuje religijnej tradycji na zakończenie tygodnia i po to, by się nie pogubić, a jej mąż odsunął się od zinstytucjonalizowanych form wiary. W niedzielę woli długie biegi. Twierdzi, że jego kościołem są treningi i plener i w niedzielę zawsze stara się włączyć do swojej trasy odcinek na łonie natury: przez las, nad wodą albo po górskich szlakach.

Chodzenie na mszę jest dla Lily także sposobem na noszenie w sercu rodziców i młodszego brata. Kiedy była mała, mama i tata zabierali ją i brata do kościoła. Lily dostrzega także terapeutyczną wartość katolickiej tradycji spowiedzi, choć dobrze wie, że niektórych sekretów nie można szczerze wyjawiać miejscowemu księdzu, który mieszka, robi zakupy i ćwiczy w tym samym małym miasteczku. Zdaje sobie także sprawę z tego, że podobnie jest z niektórymi jej pacjentami, którzy ukrywają przed nią swoje tajemnice. Jednak ma sposoby na to, by je wyciągnąć. Ludzkie ciało niezbyt nadaje się do ich skrywania. To powoduje niewiarygodny stres. Bywa wyczerpujące. Ujawnia się w problematycznym zachowaniu.

Policjanci też o tym wiedzą. Ulga, kiedy złoczyńca w końcu się poddaje i przyznaje do winy, jest odczuwalna fizycznie i jest widoczna. Przestępca często zasypia w sali przesłuchań, gdy wyzna swój sekret.

Phoebe i Matthew zbiegają po schodach. Lily ogarnia złość na widok stroju córki.

– Phoebe, idź się przebrać.

– Dlaczego?

– Nie możesz iść tak na mszę.

– Bo jestem na czarno? W gotyckim stylu?

– Bo to nieodpowiedni ubiór. Dalej, przebieraj się, szybko. Bo się spóźnimy.

Phoebe stoi bez ruchu i patrzy na matkę gniewnie mocno obrysowanymi kredką oczami, a napięcie, które eksploduje we wnętrzu Lily, budzi coś o wiele, wiele głębszego. Przywołuje wspomnienie z czasu, kiedy miała dwanaście lat. Matka skrytykowała ją z powodu wyglądu i wyboru chłopaka i zakazała jej się z nim spotykać. Upomina się, że powinna działać łagodniej. Prowadzić bitwy z większą ostrożnością. Na własnej skórze się przekonała, jak oplakane mogą wywołać skutki i jak trudny jest to okres dla dziewczynki, nawet takiej, która pozornie ma wszystko, sprawia wrażenie przystosowanej do życia, ma kochających rodziców i przyjaciół i dobrze radzi sobie w szkole. Dopóki wszystko nie runie.

– W porządku – mówi Lily. – Porozmawiamy o tym później. Chodźmy.

– Nie chcę już chodzić do kościoła – oznajmia Phoebe.

– Musisz – obrusza się Matthew. – Bo Bóg cię ukara.

– Chyba ukarze, głupolu. Tata nie chodzi do kościoła. Pytałam go dlaczego, powiedział, że to nie dla niego. I że sama mogę decydować. Szczerze mówiąc, uważam, że bardziej odpowiada mi buddyzm.

Lily gryzie się w język i powoli odlicza od pięciu w dół.

– Porozmawiamy o tym po powrocie do domu, dobrze? Możemy zrobić rodzinną naradę, także z tatą. Co ty na to?

Phoebe robi wdech i maszeruje do drzwi.

– W porządku – krzyczy przez ramię.

Matthew biegnie za starszą siostrą. Kolejne wspomnienie dopada Lily, kiedy patrzy na drobne nóżki syna. Przez chwilę nie może się ruszyć. Te wspomnienia pojawiają się coraz częściej. Może z powodu wieku dzieci. Albo pory roku.

Albo czegoś złowieszczonego.

Od kilku tygodni ma wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Śledzi. Z początku było to tylko wrażenie, pewne odczucie. Niepokój. Później zaczęła widzieć, że coś się rusza w ciemności, kiedy wyglądała wieczorem przez okno. I jest pewna, że ktoś jechał za nią do sklepu i obserwował ją zza parkingu, kiedy wychodziła z siłowni. Facet na rowerze w kominiarce.

Jest też prawie pewna, że tę samą postać widziała po drugiej stronie ulicy, kiedy była u fryzjera, a później znowu w dniu, kiedy umówiła się z Hannah na kawę we French Bakery Café i siedziały przy stoliku na zewnątrz.

Usiłuje przepędzić te myśli, kiedy jadą do kościoła. Świat wygląda dziś pięknie. Na ulicach królują kwitnące wiśnie. Biało-różowe płatki przykrywają samochody i chodniki jak wiosenny śnieg. W ogrodach kwitną kwiaty, a Matthew dostrzega wielkiego jelenia na soczyście zielonym polu golfowym.

Po wyjściu z kościoła owiewa ich rześka oceaniczna bryza, a gdy podchodzą do samochodu, Lily zauważa różową kartkę zatknietą pod wycieraczkę przedniej szyby.

Pilotem otwiera auto i czeka, aż dzieciaki wsiądą, a później wyciąga coś, co wydaje jej się mandatem albo ulotką. Ogarnia ją przy tym nagły niepokój i nadzwyczajna czujność. Wyciąga kartkę spod wycieraczki, rozgląda się, przyglądając się wiernym, szukając oznak tego, że ktoś ją obserwuje. Jej wzrok pada na mężczyznę przy drzewach, palącego papierosa. Później spogląda na kobietę, która sprawia wrażenie, jakby się na nią gapiła, ale wkrótce się okazuje, że czeka na kogoś, kto do niej biegnie. Lily przełyka ślinę i rozkłada ulotkę. Sztywnieje.

Na czarno wydrukowane są słowa:

**NIE UKRYJESZ SIĘ PRZED SZATANEM,
JEŚLI SZATAN MIESZKA W TWOJEJ GŁOWIE.**

Rue

TERAZ

Rue wchodzi do sali przesłuchań ze swoim „pudełkiem z rekwizytami” i zastaje Toma Bradleya siedzącego na sofie i czekającego na nią. Tom ma na sobie policyjny dres, a na stopach ochraniacze, jest blady i nerwowo bawi się palcami.

– Dzień dobry. Dziękuję, że pan poczekał.

Mężczyzna nie odpowiada.

Rue stawia swoje pudełko na ławie i siada na fotelu biurowym na kółkach naprzeciwko Toma, po drugiej stronie ławy. Na ścianie za nią wisi tablica korkowa. Kamera pod sufitem przekazuje obraz do pokoju operacyjnego, w którym zwierzchnik Rue i inni członkowie zespołu obserwują przesłuchanie i sporządzają notatki. Jest przygotowana na to, że od czasu do czasu któryś ze śledczych może zapukać do drzwi, wywołać ją z sali, zasugerować wycofanie się z pewnej linii przesłuchania albo skupienie się nad inną, która ich zdaniem przynosi rezultaty.

Sala przesłuchań jest urządzona tak, by była wygodna. Nikt nie chce, żeby podczas procesu adwokat zeznał przed ławą przysięgłych, że policja nieodpowiednio traktowała podejrzanego. Takie rzeczy nie należą do przyjemnych. Zespół Rue skupia się teraz na tym, żeby doprowadzić do skutecznego oskarżenia. Najlepiej byłoby, gdyby sprawa w ogóle nie trafiła do sądu. Woleliby przyznanie się do winy.

– Jak się pan czuje? – pyta Rue. – Rozgrzał się pan trochę?

Tom kieruje wzrok na kamerę. Pociera kolano.

– Jestem umówiony. Muszę wracać do pracy.

– Miejmy nadzieję, że szybko nam pójdzie. – Rue wciska przycisk swojego rejestratora cyfrowego i kładzie go na ławie pomiędzy nimi. – Przesłuchanie jest nagrywane. Sierżant Rulandi Duval. Przesłuchiwany jest Tom Bradley, z 2112 Oak End w Story Cove. – Podaje godzinę i datę.

– Jestem aresztowany? – pyta Bradley.

– Nie. Może pan wyjść i ma pan prawo do odmowy składania zeznań, ale pańska pomoc byłaby przydatna, ponieważ zginęła kobieta. Pan ją znalazł i może pan nam pomóc dojść do tego, co się wydarzyło. Mogę zwracać się do pana po imieniu?

Tom przełyka ślinę i kiwa głową.

Rue wyciąga ze swojego pudła teczkę, otwiera ją i przebiega wzrokiem pierwszą kartkę.

– Pracuje pan na Uniwersytecie Kordela?

– Tak. Jestem wykładowcą. Na wydziale psychologii. Specjalizuję się w neuropsychologii i psychopatologii.

Rue zaciska wargi.

– Sprawa wygląda tak. – Opiera się na krześle z zupełnym luzem, jakby miała mnóstwo czasu. – Kilka rzeczy z twojej wersji zdarzeń dzisiejszego poranka nam się nie zgadza. Dlatego chcielibyśmy jeszcze raz odtworzyć szczegóły, żeby wyjaśnić pewne wątpliwości.

Rozlega się głośne pukanie do drzwi. Otwierają się z rozmachem i staje w nich kobieta.

Rue przyspiesza puls, gdy rozpoznaje Dianne Klister. Znaną w tym mieście adwokatkę z parciem na szkło. Klister jest po czterdziestce, ma gęste kasztanowe włosy sięgające linii żuchwy, przy której swobodnie się kołyszą. Ma na sobie garsonkę znanego projektanta i szpilki, które kosztowały pewnie więcej niż subaru outback Rue. Nosi masywną złotą biżuterię na szyi niczym zbroję i skórzaną aktówkę, dla której pewnie oddał życie krokodyl lub wąż.

A więc doktor Bradley zatrudnił prawnika, w dodatku jednego z najlepszych w mieście, prawdziwego rekina zajmującego się przypadkami najpoważniejszych przestępstw. Ludzie nie wynajmują adwokatów takich jak Klister, jeśli nie mają nic do ukrycia. Honorarium tej kobiety przeciętnego człowieka doprowadziłoby do bankructwa, a przynajmniej zmusiło do zaciągnięcia drugiej hipoteki. Fakt, że zjawiała się tu Klister, wzmacnia zainteresowanie Rue i przesuwa Tom Bradleya wyżej w skali jako kluczową osobę w sprawie. Jej zespół nie ma wątpliwości, że kobieta z Grotto Beach została zamordowana.

– Dzień dobry, pani adwokat – odzywa się Rue.

– Dzień dobry, pani sierżant – odpowiada Klister, nadal stojąc w progu. – Chciałabym porozmawiać chwilę z moim klientem na osobności.

Rue unosi brwi i zerka na Bradleya.

– Jesteśmy w trakcie oficjalnego przesłuchania Toma w sprawie jego relacji z dzisiejszego poranka...

– Jednym słowem, przespiegi – przerywa jej Klister.

– Mamy pewne pytania dotyczące wersji zdarzeń przedstawionej przez pana Bradleya – wyjaśnia Rue.

– I co jeszcze macie?

– Czapkę z logo Uniwersytetu Kordela znaną na miejscu zbrodni. I czółówkę. Ślady pościgu i walki, poza tym ślady krwi na klifie nad miejscem, gdzie znaleziono ciało. – Operator drona z zespołu Rue odkrył też drugą latarkę czołową zaczepioną o skałę na ścianie klifu i ciemnoróżową czapkę do biegania zahaczoną w połowie klifu o uschniętą gałąź. – I mamy ślady nad urwiskiem. Butów o takim samym wzorze podeszwy i w takim samym rozmiarze, jakie miał na sobie pani klient. – To zostało już potwierdzone. Rue milknie na chwilę, żeby jej słowa wywarły odpowiedni efekt. – Jest też wizytówka w kieszeni kurtki ofiary z nazwiskiem pani klienta. I krew zmarłej kobiety na jego dłoniach i szyi. I kurtka pani klienta pozostawiona na miejscu zdarzenia. I świadek, który widział pani klienta wchodzącego dziś rano do swojego ogródka w zakrwawionej koszuli, której nie miał na sobie, kiedy przyjechaliśmy do niego do domu po tym, jak zadzwonił pod 911.

Klister nawet nie drgnie powieka. Za to Tom Bradley sztywnieje na sofie i otwiera szeroko oczy.

Rue w myślach dziękuje Toshemu za to, że pobrał próbkę DNA Bradleya, kiedy miał sposobność, bo teraz Klister za diabła by na to nie pozwoliła. Rue wysłała Toshiego, żeby przesłuchał żonę Bradleya, zanim zdążą ustalić jedną wersję i wymyślić alibi.

– Czy mój klient jest oskarżony? – pyta Klister.

– Nie, na razie...

– Chodź, Tom, idziemy – oznajmia adwokatka z dłonią na kłamce.

– Muszę zapytać pani klienta, gdzie był wczoraj. Gdyby mógł nam zdać relację z tego, co robił od wczorajszego ranka do czasu, kiedy znalazł ciało...

– Mój klient nie ma nic więcej do powiedzenia. Tom, idziemy. – Bradley wstaje.

– Rozpoznał pan ofiarę? – pyta Rue. – Wie pan, kto to jest?

Tom Bradley idzie przez pokój do adwokatki. Rue widzi, że wykładowca chce mówić, chce się wytłumaczyć, i w duchu przeklina Klister. Gdyby Rue miała jeszcze kilka minut sam na sam z Bradleyem, coś by z niego wyciągnęła. Jest tego pewna.

– Dlaczego przykrył pan jej twarz? – pyta Rue.

– Skończyliśmy – oznajmia Klister.

Kiedy Bradley i Klister zamierzają wyjść, drogę zachodzi im policjantka, która wykonuje gest w stronę Rue.

– Mogę na słówko, pani sierżant?

– Możemy później? – Głos Rue brzmi oschle.

– Przed budynkiem stoi nastolatek. Joe Harper. Twierdzi, że zaginęła jego matka. Mieszka z nią w Story Cove. Na Oak End, tuż obok leśnego szlaku. Mówi, że nie ma w domu butów treningowych matki, czapki, kurtki przeciwdeszczowej, telefonu i latarki czołowej. Ostatnio widział ją wczoraj na przyjęciu ogrodowym u sąsiadów i dowiedział się o ciele na plaży. Mówi, że zna mężczyznę, który znalazł ciało. Tom Bradley mieszka na tej samej ulicy i razem z żoną też był wczoraj na tej imprezie.

Wzrok Rue pada na Bradleya. Tom błędnie. Gorączkowo zerka na adwokatkę.

Nim Rue zdąży się odezwać, Klister kładzie dłoń na rękę Bradleya.

– Miło było panią znów zobaczyć, pani sierżant – rzuca prawniczka, posyła Rue fałszywy uśmiech, odwraca się i wyprowadza swojego klienta na korytarz, stukając drogimi szpilkami.

Rue, przyglądając się wychodzącym, po cichu zwraca się do policjantki.

– Jak się nazywa matka tego nastolatka?

– Arwen Harper. Pracowała w Red Lion.

Arwen

WTEDY

6 maja. Piątek.

SZEŚĆ TYGODNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Arwen Harper kładzie trzecią kartę tarota na miedzianym barowym blacie. To szybka wróżba na trzy karty, które stawia kierownicze tawerny Red Lion, Dez Parry – kobiecie, która zatrudniła ją sześć dni temu. To karta śmierci.

– Rewelacja – mówi Dez, wycierając kufel. Mają krótki zastój pomiędzy lunchem a porą happy hour i Dez, widząc talię kart tarota wystającą z torebki Arwen, poprosiła ją, żeby jej powróżyła. – To znaczy, że umrę?

– Oczywiście. – Arwen podnosi głowę i spogląda Dez w oczy. Uśmiecha się spokojnie. – Wszyscy kiedyś umrzemy. Jedni prędzej, inni później.

– Jasne. – Dez odstawia kufel na półkę i bierze kolejny z suszarki. – Co wyszło?

– Karty należy odczytywać we wzajemnym powiązaniu, w odniesieniu do siebie i w kontekście konkretnego pytania – wyjaśnia Arwen. – Powiedziałaś, że masz dylemat: nie wiesz, czy wszystkie oszczędności przeznaczyć na zapłatę gotówką za mieszkanie, bo choć dzięki temu miałabyś spokojną przyszłość, taki ruch także by cię ograniczył. Mogłabyś te pieniądze przeznaczyć na zwiedzanie świata, ale wtedy nie będziesz miała żadnego zabezpieczenia. Więc... – Arwen rozsuwa trzy karty, a w jej pierścionkach odbijają się barowe światła. Stuka w pierwszą kartę. – Ta symbolizuje twoje pytanie, twoją obecną sytuację. Druga przedstawia twoje uczucia z nią związane, a ta trzecia karta to rezultat.

Dłonie Dez nieruchomieją.

– I wyszła mi Śmierć?

Arwen się uśmiecha.

– To nie jest zła karta. Symbolizuje pewien koniec, jakąś ważną przemianę, przejście od jednego etapu do innego. Przemianę konieczną. To znak, że powinnaś wypuścić to, co już ci nie służy. A może czeka cię coś nowego, na przykład małżeństwo, okazja biznesowa, dziecko, poważny krok, coś, co będzie wymagało rezygnacji z dawnego stylu życia, utraty obecnego „ja”,

żeby stać się nową osobą. Ale jeśli karta ląduje do góry nogami, jak ta, może symbolizować opóźnienie, istotne trudności w zaakceptowaniu czy też przystosowaniu się do koniecznej zmiany.

– A ta druga karta, Głupiec, dotyczy tego, jak się czuję w związku z moimi rozterkami?

– Głupiec to ta część ciebie, która przemierza drogę życia obojętnie, niesiesz swój bagaż jak tobołek na kiju, ale nie zadajesz sobie trudu, żeby pomyśleć, po prostu płyniesz z nurtem. Jednak Głupiec w połączeniu z tą pierwszą kartą, Słońcem, mówi mi, że podważasz sens obecnego stylu życia. Chcesz, żeby twoja podróż przez życie była głębsza. Słońce symbolizuje zwycięstwo nad materią. Lepsze panowanie nad sytuacją.

Dez prycha i chwyta kolejny mokry kufel.

– Tanie sztuczki, Arwen. Tanie sztuczki. Hokus-pokus. Praktycznie wszystko to sama ci powiedziałam.

Arwen parska śmiechem.

– Podejź do tego jak do terapii. Pacjent cały czas nosi w sobie odpowiedzi. Karty są jak terapeutyczny sposób wydobycia prawdy z twojej podświadomości. Tarota czasami wykorzystuje się w poradnictwie psychologicznym.

– Poradnia psychologiczna to ostatnie miejsce, w którym mnie znajdziesz.

Gdy to mówi, drzwi tawerny się otwierają. Arwen i Dez podnoszą wzrok.

Do środka wchodzi czterech mężczyzn. Jeden jest wyższy od pozostałych, ma ciemne włosy z charakterystycznym siwym pasmem na skroni. Jest przystojny. Barczysty. Z odrobiną sportowego luzu, tonowanego przez elegancki wełniany płaszcz, szal i skózaną torbę przewieszoną przez ramię.

W głowie Arwen rozbrzmiewają dzwonki. *Trafienie. Bingo.* Czuje dreszcz podniecenia, kiedy mężczyźni zdejmują szaliki i podają płaszcze kelnerce. Kierują się do dużego okrągłego stolika we wnęce przy oknach, niedaleko kominka.

Ludzie są niewolnikami swoich nawyków i doktor psychologii nie jest wyjątkiem. Za grupą mężczyzn niemal natychmiast wchodzi sześć roześmianych, szczebioczących kobiet. Prawie wszystkie są blondynkami. W drogich strojach. W średnim wieku. Przyszły na piątkowe wino, zanim dzieci i mężowie wrócą do domu i zaczną się weekend.

– Przedstawienie czas zacząć. – Dez bierze plik menu i przywołuje barmana, który je w kuchni późny obiad.

– Mogę wziąć facetów? – pyta Arwen, zbierając swoje karty tarota i pobrząkując przy tym bransoletkami.

– Wykładowców z Kordela?

– A to wykładowcy?

– Stali bywalcy w piątkową happy hour. Jak w zegarku. Ten wysoki, ciemny, to Tom Bradley. Psychologia. Nieco niższy facet z brązowymi włosami to Simon Cody, filozofia. Ten o hinduskim wyglądzie to Sandeep Gunjal. Wykłada ekonomię. A chudy, śmiertelnie blady koleś z wysokim czołem to Milton Timmons, literatura angielska. – Spogląda na Arwen. – Na pewno ich chcesz? Nie zostawiają wielkich napiwków. Za to tamte kobiety bywają hojne, jak je dobrze rozegrać – informuje Dez.

– Nie potrafię rozgrywać kobiet takich jak one.

Dez uśmiecha się promiennie, zerkając na tatuaż na szyi koleżanki, jej nieposkromione loki, nadgarstki obwieszane bransoletkami, długą spódnicę, wyraźnie iskrzącą seksualność. – Twoja strata.

Mylisz się. Mój zysk, myśli Arwen, biorąc ze stosu cztery karty dań, i kieruje się w stronę mężczyzn.

– Dzień dobry panom. Mam na imię Arwen. Czy podać napoje do przeglądania menu? – Uśmiecha się, nawiązując kontakt wzrokowy z każdym z mężczyzn przy podawaniu karty. W skupieniu, z bliska, zapisuje w pamięci wygląd każdego z mężczyzn, oceniając perspektywy, zwracając uwagę na obrączki; mają je wszyscy. Arwen podejrzewa, że Simon Cody ćwiczy podnoszenie ciężarów, jest próżny i uważa się za donżuana. Jego dłonie wyglądają na silne. Oczy ma zielone i przenikliwe. Oczy Milтона Timmonsa, dla odmiany, są smutne. Ma długie, delikatne palce, a wysokie czoło nadaje mu wygląd intelektualisty. Oczy Sandeepa Gunjale emanują ciepłem, są lśniące i uśmiechnięte. Jeśli chodzi o ubiór, w kwestii mody jest najbardziej na czasie z całej grupy. Tom Bradley rozmawia z kolegami i nawet nie patrzy jej w twarz, kiedy sięga po kartę. Arwen przytrzymuje ją, zmuszając go, by lekko pociągnął menu. Arwen nie poddaje się od razu i Tom w końcu spogląda jej w oczy.

Ona się uśmiecha. On nie odwraca wzroku, instynktownie zaintrygowany, a Arwen zauważa, że jego oczy są ciemnoniebieskie. Jego dobrze ostrzyżone włosy są potargane przez wiatr. Arwen wybucha śmiechem na widok kwiatów wiśni na jego głowie.

– Ma pan płatki we włosach – mówi. – Jakby wracał pan ze ślubu.

Odpowiada śmiechem i strząsa kwiaty z włosów.

– Wiatr strąca je z drzew i rozwiewa po całym mieście. Zupełnie jakby szalała jakaś śnieżna zamieć.

Arwen wyobraża go sobie w jego długim, wełnianym płaszczu, jak idzie pośród rozrzuconych przez wiatr płatków. Albo przez klif w czasie burzy. Jak Heathcliff z *Wichrowych wzgórz* – postać pasująca do roli w gotyckiej

posiadłości. Poza tym jest zaintrygowana, oczarowana faktem, że on bada „nienormalne” umysły. Tom Bradley wydaje się Arwen najbardziej atrakcyjny z całej paczki.

Bierze kartę, a jego wzrok opuszcza się na plakietkę na jej piersi.

– Arwen. Dziękuję. – Jego głos jest niski, ciepły. W jego oczach pojawia się figlarny błysk. I tyle by było z obrazu oddanego męża.

Niestety, Lily Bradley, twój doktor Tom Bradley jest typowym samcem z łatwym do polechtania ego i właśnie otworzył mi drzwi. Drzwi do własnej pułapki. I do twojej pułapki.

Arwen odwzajemnia ciepły, zachęcający uśmiech Toma, czując przyływ podniecenia i niepokój wyczekiwania. *Gra się rozpoczęła.*

– Pani rodzice to fani *Władcy Pierścieni*? – pyta.

– Słucham?

Chudy mężczyzna wtrąca teatralnym głosem:

– Jestem Arwena, córka półelfa Elronda.

Na jej twarzy pojawia się grymas.

– Pogubiłam się. Moje imię pochodzi od przodków matki. Walijskie korzenie. Co panom podać? Coś do picia, zanim zdecydują panowie, co zjeść?

Zamawiają wybór rzemieślniczych piw z beczki i Arwen zostawia ich gawędzących przy rozpalonym kominku, a sama idzie do baru złożyć zamówienie u Hanka, barmana.

– Zawsze zaczynają od piwa – mówi Hank, nalewając trunek. – Ale jak się rozkręcą, będziemy otwierać najlepszą słodową szkocką. – Stawia kufle na tacy. – Co piątek jak w zegarku, ci belfrzy. Czasem jeszcze kogoś przyprowadzają, ale na ogół przychodzą we czwórkę.

– Podobno.

Właśnie dlatego zgłosiła się do pracy w Red Lion. Profesor Tom Bradley ma zwyczaj wpadania na happy hour, a doktor Lily Bradley zwykle spędza wieczór w klubie książki, to znaczy, pijąc wino z koleżankami. Bradleyowie spinają swoje weekendy klamrą, równoważąc nawyk picia alkoholu z nawykiem biegania i chodzenia w niedziele do kościoła. Oczyszczają ciało i zmywają grzechy.

W piątkowe wieczory młoda Phoebe Bradley pilnuje w domu młodszego brata, Matthew. Kiedy rodzice sobie dogadają, ona zajmuje się iPadem, a Matthew chowa się na swoim poddaszu.

Arwen przynosi tacę z piwem do stolika, przy którym siedzą mężczyźni. Piątkowe wieczory stanowią dla niej najlepszą okazję.

Rue

TERAZ

Nastolatek czekający na Rue w pobliżu recepcji jest wysoki i ma azjatyckie korzenie.

– Nazywam się Joe Harper – przedstawia się drżącym głosem. – Zaginęła moja mama.

Rue prowadzi go do sali przesłuchań ze stołem i dwoma krzesłami i zamyka drzwi.

– Usiądź, Joe. Spokojnie. Napijesz się czegoś? Wody, herbaty, kawy?

Kręci głową i siada przy stole. Ręce mu się trzęsą. W Rue od razu rodzi się współczucie. Chłopak jest mniej więcej w wieku jej syna.

Rue siada, a Joe popycha do niej przez stół swój iPhone. Na wyświetlaczu widać kobietę.

– To... to ostatnie zdjęcie mojej mamy – mówi.

Rue bierze telefon i serce jej zamiera. Czuje przypływ gorąca.

To *może* być ona – kobieta, za którą Rue szła do Red Lion. Nie zdołała wyraźnie zobaczyć jej twarzy, ale w matce Joego Harpera jest coś niepokojąco znajomego. Rue oddycha powoli, głęboko, uspokaja myśli, aż w końcu podnosi głowę i spogląda nastolatкови w oczy.

Zupełnie nie jest podobny do kobiety ze zdjęcia. Jego matka ma bardzo jasną karnację, a na ciemnobrązowych włosach połyskują kasztanowe refleksy. Ma jasnoniebieskie oczy. Jak niebo w upalny letni dzień. Na zdjęciu odchyła głowę do tyłu i się śmieje. Długa, jasna szyja kojarzy się Rue z szyją łąbądzia. A na tej łąbędziej szyi, jak na dłoni, z lewej strony widać tatuaż – mitologicznego zwierzęcia z głową lwa i ogonem węża, który Rue zauważyła na ciele ofiary. Na zdjęciu jest pełna życia, opiera się o gigantyczne przewrócone drzewo, które pogoda zamieniła w bladoszare. Burzę jej loków rozwiewa wiatr. Na ręce – uniesionej – ma mnóstwo bransoletek. Rue palcami powiększa twarz. Widzi błysk kolczyka w nosie. Zastanawia się, czy Joe Harper nie jest przypadkiem adoptowany, jak ona. Rue w ogóle nie jest podobna do rodziców. Trzeba było wielu lat szukania, podążania za wskazówkami, dwóch podróży do Afryki Południowej, żeby się dowiedzieć, że jej matka była mieszanej rasy, malezyjskiego pochodzenia i wychowała się w Kapsztadzie, w Republice Południowej Afryki. Ojczystym językiem jej biologicznej matki, już nieżyjącej, był prawdopodobnie język afrykanerski.

O biologicznym ojcu Rue wie tylko, że był czarny i przez jakiś czas mieszkał niedaleko Maputo w Mozambiku, niegdysiejszej kolonii portugalskiej, i posługiwał się zarówno portugalskim, jak i językiem makua.

– Twoja matka ma na imię Arwen? – spytała cicho.

Joe kiwa głową, pocierając wargi.

– Arwen Harper.

– Kiedy się zorientowałeś, że matki nie ma?

– Nie widziałem jej od wczoraj, kiedy poszliśmy na osiedlowy piknik do Codych po drugiej stronie ulicy. Mieszkają dokładnie naprzeciw nas.

– Mieszkacie na końcu Oak End?

– Przy samym szlaku, który prowadzi do Spirit Forest Park, zgadza się. Wyszedłem z imprezy przed mamą. Trochę... nie moje klimaty.

– Więc nie wiesz, o której twoja mama wyszła z przyjęcia?

– No... nie, niestety. A trzeba było dopilnować, żeby wróciła do domu cała i zdrowa, i może nawet wróciła, ale ja sobie poszedłem spać. – Jego oczy zachodzą łzami. Wyciera je. – Często przesiaduje w swojej pracowni przez całą noc, więc na nią nie czekałem. Sypia też w pracowni. Jak w akademiku. Ale zawsze jemy razem śniadanie, zwłaszcza w tygodniu. Ma na tym punkcie bzika, to jej zasada, poświęcenie dla mnie, żebyśmy zawsze o tej porze byli razem... – Głos mu się łamie. Wpatruje się w stół przez długą chwilę, usiłując wziąć się w garść. – Często nie jemy wspólnie kolacji ani nawet nie widzimy się przez resztę dnia, ale *zawsze* się stara w porze śniadania. Wtedy mnie o wszystko wypytuje, pilnuje, żebym się najadł. Przepraszam. – Znow wyciera łzy.

– Nie ma za co. Spokojnie, mamy czas.

– Kiedy nie przyszła dziś na śniadanie, poszedłem zajrzeć do pracowni, ale jej tam nie było. Wtedy się zorientowałem, że nie ma też jej rzeczy do biegania i pomyślałem, że poszła potrenować, chociaż to byłoby dość nietypowe jak na tę porę w poniedziałek. Próbowałem do niej zadzwonić, ale włączała się poczta głosowa. Później... później usłyszałem syreny i zobaczyłem wszystkich na ulicy i radiowozy, a potem się dowiedziałem, że na plaży znaleziono ciało. Kobiety.

– Czy twoja matka zwykle zabiera komórkę, kiedy idzie pobiegać?

Chłopak kiwa głową.

– Zwłaszcza jak trenuje sama. – Świdruje wzrokiem Rue. Jego spojrzenie jest błagalne. – To ona? Ta kobieta na plaży to moja mama?

Rue zastanawia się nad faktem, że przy ciele nie znaleziono komórki.

– Jeszcze nie wiemy, kim jest ta kobieta, Joe – odpowiada łagodnie. – Czy ma jakieś znaki szczególne, które...

– Tatuaż. – Wskazuje na szyję. – Ma tatuaż na szyi. To chimera. Na udzie ma jeszcze jedną dziarę. Postać greckiej bogini Apate.

– Wspomniałeś, że w domu nie było jej rzeczy do biegania – odzywa się spokojnie Rue. – Co twoja matka zwykle zakłada do biegania?

Chłopak pociera oczy, mocno.

– Ciemnoróżową kurtkę, nazywa ten kolor fuksjowym. Jest artystką. Zawsze używa wymyślnych nazw kolorów. Maluje głównie farbami olejnymi. A... biega w najkach. Terenowych. Nosi czarne legginsy.

– A co na głowie? Używa czołówki? Albo innej latarki?

– Ma... różową czapkę, pasującą do kurtki. I czołówkę, petzla, kupiła ją w Mountain Equipment. Zabiera ją, jak jest ciemno.

– A biega po ciemku?

– Czasami o świcie, a czasem się ściemni, zanim wróci do domu.

– Jakiego koloru jest ta latarka?

Chłopak wygląda na przerażonego, oczy ma szkliste, błędny wzrok.

– Pomarańczowo-biała. To ona?

Kolor pasuje do opisu czołówki znalezionej na ścianie klifu przez drona.

– Jest przy tobie drugi rodzic, Joe? Może masz jakiegoś bliskiego krewnego?

– Mam tylko mamę. Taty nie mam. To znaczy, nie poznałem biologicznego ojca. Nawet nie wiem, jak się nazywa ani kim był. Przez chwilę miałem ojczyzna. Petera Harpera. Adoptował mnie, kiedy ożenił się z moją mamą. Ale rozeszli się kilka lat temu, a później Peter zmarł. Od tamtej pory jestem sam z mamą.

Rue myśli o poturbowanym ciele, które widziała na plaży. Samotna matka. I to samotne dziecko.

– Twoja matka nie ma nikogo bliskiego, partnera?

Chłopak spuszcza wzrok i się waha, jakby zakłopotany albo czymś zawstydzony, a w końcu kręci głową.

– Zadaje się z wieloma mężczyznami – mówi bardzo cicho. – I czasami zostają na noc, ale... – Odchrząkuje i znów spogląda Rue w oczy. – Nie ma nikogo szczególnego.

Rue kiwa powoli głową, obserwując nastolatka.

– Ile masz lat, Joe?

– Szesnaście.

Rue czuje ucisk w żołądku. Chłopak jest o dwa lata młodszy od jej syna. Myśli o kobiecie, za którą szła do Red Lion, i zastanawia się, czy przypadkiem nie będzie musiała zgłosić konfliktu interesów w tej sprawie. Nie chce tego. Musi wiedzieć, jak się wszystko potoczy; musi to kontrolować.

Przecież nie ma jeszcze pewności, że to z tą kobietą spotykał się jej mąż. Wyciąga telefon z kieszeni i wyszukuje zdjęcie. Pokazuje je chłopakowi.

– Rozpoznasz te kluczyki, Joe?

– Tak. Tak, to jej. Mamy volkswagena furgonetkę. Przyjechaliśmy nim tutaj przez całą Kanadę. Po drodze tak jakby w nim mieszkaliśmy, a raz przejechaliśmy całą trasę przez Stany do Meksyku i... – Dławi się łzami i milknie. Płacze po cichu.

Rue wychodzi po chusteczki higieniczne i butelkę wody. Wraca i podaje je Joemu. Wyciera nos i pije wodę łąpczywie. Gdy wydaje się, że nieco wziął się w garść, Rue pokazuje mu kolejne zdjęcie.

– A ten brelok, rozpoznasz go?

Kiwa głową.

– Z tawerny, w której pracuje. Z jej... malarstwa nie dalibyśmy rady wyżyć. To znaczy, sprzedaje swoje obrazy, ale nigdy nie były głównym źródłem dochodu, a musi zarabiać, chociaż pracuje nad swoim specjalnym projektem.

– Co to za projekt?

Chłopak wpatruje się tępo w zdjęcie breloczka matki.

– Joe?

Podnosi wzrok.

– Co to za projekt, Joe?

– Nie wiem. Jakaś książka. Na faktach. Nie chciała mi powiedzieć, o czym. Powiedziała tylko, że to specjalny projekt i kiedy go zrealizuje, nasze życie się odmieni. To dlatego przyjechaliśmy na zachód i tu zamieszkaliśmy. Mama powiedziała, że musi zebrać informacje i że trochę potrwa, zanim zdobędzie wszystkie potrzebne szczegóły.

– Kiedy przyjechaliście do Story Cove?

– Na Oak End wprowadziliśmy się w ostatnim dniu maja. Wcześniej mieliśmy mieszkanie bliżej centrum. Na wyspę przyjechaliśmy na początku marca.

– A gdzie mieszkaliście przed przyjazdem na wyspę?

– W miasteczku o nazwie Oakville, niedaleko Toronto. Mama pracowała dla studia telewizyjnego, prowadziła śledztwa, opracowywała materiały i pisała dla różnych programów.

– Prowadziła śledztwa?

– No, głównie w programach dla konsumentów, jako ukryta klientka. Raz pracowała przy serialu CBC, zgłaszała się jako pacjentka do różnych dentystów, żeby ujawnić, że niektórzy stwierdzą, że potrzebuje wypełnień i mnóstwa drogich zabiegów, a inni powiedzą, że zęby ma w porządku. Raz

pomogła zdemaskować oszusta finansowego. I jakiegoś uwodziciela, i faceta, który naciągał staruszków. Pracowała też przy serialach kryminalnych... A pomaga jej sztuka, i malowanie, karty tarota, mówi, że dzięki nim sobie ze wszystkim radzi. Sztuka jest dla niej terapią, pozwala jej odreagować. Potrzebuje tego. – Spuszcza głowę i siedzi bez słowa przez długą chwilę. Rue wyczuwa o wiele więcej. Wyczuwa matkę z problemami. I bardzo zagubionego nastolatka.

– Na tej plaży to ona, prawda? – odzywa się bardzo cicho, nie patrząc na Rue. – To jej ciało leży pod klifem. Moja mama. To moja mama.

– Joe. Nie przeprowadziliśmy jeszcze oficjalnej identyfikacji, ale rzeczywiście wygląda na to, że to twoja matka.

Chłopak zamiera. Milczy przez długą chwilę.

– Mogę... mogę ją zobaczyć? Żeby mieć pewność.

– Zostanie przeprowadzona sekcja zwłok. Takie są procedury w przypadku nagłego zgonu. Badanie pomoże koronerowi i nam w ustaleniu, co jej się stało. A wtedy będziemy mogli pokazać ci ciało. Biuro koronera przeprowadzi identyfikację dowodową na podstawie DNA albo danych stomatologicznych. Pomogłoby nam, gdybyś mógł podać nazwisko lekarza lub dentysty matki. Chcielibyśmy przyjść też do domu, rozejrzeć się, zabrać przedmioty takie jak szczoteczka do zębów albo szczotka do włosów, na których znajdują się ślady DNA twojej matki.

– Mama raczej nie chodziła tu do lekarza ani do dentysty, ale wiem, gdzie trzyma rachunki za leczenie, jak mieszkaliśmy u siebie.

– Przydadzą się. Masz u kogo zamieszkać?

– Chyba... nie wiem. Może u Codych naprzeciwko?

– W porządku. Posłuchaj. Mój partner i ja pojedziemy z tobą do domu, ty nam odszukasz te medyczne dokumenty i oprowadzisz nas po domu, może pokażesz coś nietypowego. Możemy się spotkać z tymi sąsiadami. Skieruję cię do kogoś z pomocy ofiarom przestępstw, a oni skontaktują cię z pomocą społeczną i zapewnią wszystko, czego możesz potrzebować. W porządku?

Chłopak kiwa głową.

– Możesz przesłać to zdjęcie matki na mój telefon?

Joe AirDropem przekazuje fotografię.

– Dziękuję. Poproszę któregoś z kolegów, żeby z tobą poczekał, a ja pójde wydrukować zdjęcie. Zaraz wracam, w porządku?

Chłopak kiwa głową.

Rue wstaje i już niemal w drzwiach słyszy głos Joego.

– Podobno znalazł ją doktor Bradley.

Zamiera z dłonią na klamce.

– Znasz doktora Bradleya?

– Tak. To... Tak jakby spotykam się z córką Bradleyów, Phoebe.

Phoebe

WTEDY

1 czerwca. Środa.

OSIEMNAŚCIE DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Phoebe Bradley widzi go po raz pierwszy na początku lata, tuż przed wakacjami.

Drzewa są pokryte młodymi, zielonymi liśćmi, a ogrody kwitną. Dzień jest pogodny, lśni obietnicą i szmerze ciepłą, morską bryzą, kiedy Phoebe idzie na przystanek szkolnego autobusu. Skręca za rogiem i jej uwagę natychmiast przykuwa nowy chłopak – i nic dziwnego. Jest wysoki – wyższy niż większość dzieciaków z plecakami i książkami schodzących się tutaj w ten ciepły poranek. Włosy ma czarne jak smoła i lśniące. Wydatne kości policzkowe. Jest wysportowany, ale nie sprawia wrażenia osiłka, bije od niego inteligencja i powściągliwość. Włosy po bokach ma ostrzyżone króciutko, a od góry dłuższe, tak, że grzywka niemal wpada mu do oczu. Starannie przycięte, wąskie baczki. Kolczyk w jednym uchu. Phoebe jest fanką mangi. W mangach i związanej z nimi kulturze jest tak zakochana, że zaczęła się uczyć japońskiego i w przyszłym roku zamierza wybrać sobie ten język jako przedmiot. Kiedy tylko może, próbuje rysować w stylu mangi na swoim iPadzie, na skrawkach papieru, w notesach... a on wygląda jak idealny, ognisty bohater japońskiej kreskówki. Phoebe się zakochuje. Z miejsca. Nie może przestać się na niego gapić.

– Kto to jest? – pyta szeptem Fionę Cody, która chodzi z nią do klasy. Rodzina Codych mieszka kawałek dalej na tej samej ulicy, mamy Fi i Phoebe się przyjaźnią. Tata Fi również wykłada na uniwersytecie – Simon Cody jest profesorem filozofii – i przyjaźni się z ojcem Phoebe. Sporo osób z ich dzielnicy pracuje na uczelni. To wykładowcy z pieniędzmi, czy też „pokoleniowym majątkiem”, jak nazywa go jej tata. Śmieje się, kiedy to mówi, bo powszechnie wiadomo, że uczenie nie przynosi kokosów. Większość pracowników wydziału mieszka w dzielnicy z bardziej artystycznym klimatem, ale też bardziej zaniedbanej, na północ albo bliżej kampusu. Mama nazywa te okolice „eklektycznymi”.

Rodziny Codych i Bradleyów latem często spotykają się na imprezach ogrodowych. W te długie, ciepłe wieczory Simon Cody i ojciec Phoebe lubią siedzieć przy ognisku i rozmawiać godzinami, popijając alkohol. A później jeden albo drugi – w zależności od tego, u kogo goszczą – chwiejnym krokiem wraca do domu, żegnając się na całe gardło, śmiejąc i rozmawiając tak głośno, że Phoebe jest pewna, że budzą wszystkich śpiących sąsiadów.

Fi też ma młodszego brata. Jacoba. Jest o wiele mniej wkurzający niż Matthew. Jacob i Matthew niezbyt za sobą przepadają, ale Matthew nie dogaduje się z większością rówieśników. Chłopcy jeżdżą do podstawówki różnymi autobusami.

– Właśnie wprowadził się do domu naprzeciwko nas – szepcze Fi.

– Na naszej ulicy? Na Oak End?

– Tak. – Wzrok Fi pada na nowego chłopaka. – Do domu z domkiem i pracownią w ogrodzie.

– Do domu Amerykanów? – Tak nazywają ten dom, ponieważ właściciele są ze Stanów i rzadko się tu pojawiają. Główny dom przez większość części roku stoi pusty, ale przez cały rok wynajmują domek w ogrodzie i pracownię. Domek stał pusty, odkąd staruszek, który w nim mieszkał, dostał zawału i musiał zamieszkać w domu opieki.

– Kiedy? – pyta Phoebe. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Dopiero co. Wprowadził się z mamą.

– Bez ojca?

– Są tylko we dwoje. Mój tata pomagał im wnosić rzeczy do środka, a mama zaniósła im tartę z cukinii na powitanie. Jest artystką albo pisarką, czy coś takiego.

Artystka.

To robi na Phoebe wrażenie.

Gapi się na nowego przystojniaka. Jej ognistego chłopaka z mangi. W myślach już go rysuje i dodaje siebie do tego obrazka jako jego obiekt westchnień. Jest „mroczną magiczną dziewczyną” w gotyckim stroju – posępną, przeciwieństwo „słodkiej magicznej dziewczyny”. Nie jest złą postacią, potrzebuje tylko zrozumienia i tego, żeby ktoś ją kochał. Kogoś takiego jak on. Rysuje siebie z kruczoczarnymi włosami, gęstą grzywką sięgającą oczu. E, nie. Wymazuje. Srebrzystolawendowe włosy. Z przedziałkiem. W koronkowej, czarnej bluzeczce na ramiączkach. Albo... raczej... ciemnoróżowe włosy. Tak. Ten obraz pasuje lepiej. I ma na sobie długi płaszcz na koronkowym topie, dopasowany w talii, rozpięty, trzepoczący lekko na wysokości łydek. Botki do kolan z długimi

sznurówkami. Poły płaszcz powiewają za nią na wietrze, kiedy idzie lub biegnie. Rękawiczki bez palców.

Chłopak zerka na nią. Phoebe zamiera. Obrazy w jej głowie rozsypują się jak kawałki rozbitej mozaiki. Nie może oddychać. On patrzy jej w oczy odrobinę dłużej niż to konieczne, a Phoebe się rumieni. Chłopak się odwraca, a ona czuje mrowienie w żołądku. Jest tak podekscytowana, że zapiera jej dech w piersiach.

Dwa dni później – kiedy Fi wcześniej rano ma wizytę u dentysty i nie przychodzi na autobus – obok Phoebe jest puste miejsce, kiedy wsiada jej chłopak z mangi.

Idzie środkiem, a kiedy zbliża się do jej fotela, rzuca:

– Cześć. Mogę usiąść? Czy zajęte?

– Nie. To znaczy: tak. Uch, nie jest zajęte. – Rumieni się i lekko się przesuwają. Serce, krew, całe jej ciało szaleje. Wygląda przez okno, ale czuje go obok siebie, jego ciepło. Jego obecność. Nie przychodzi jej do głowy nic, co mogłaby mu powiedzieć, nie wie nawet, czy w ogóle powinna się odzywać.

Autobus wyjeżdża z przystanku. Głosy dzieciaków przeradzają się w kakofonię dźwięków, kiedy ktoś rzuca w kogoś jabłkiem. Kierowca krzykiem nakazuje spokój i zabrania wstawać z miejsc.

– Mieszkaś na tej samej ulicy, co ja – odzywa się chłopak. Phoebe poczuła zaskoczenie. *Zauważył.*

– Tak. – Zerka na jego twarz. Patrzy na nią. Jest nieskończenie doskonały. Phoebe nie może uwierzyć, że jest prawdziwy i siedzi obok niej, rozmawia z nią. Karnację ma w odcieniu jasnego khaki. Oczy jak jeziora tajemnic. Po tym, jak zobaczyła go po raz pierwszy, kiedy wróciła ze szkoły, zaczęła rysować opowiadanie obrazkowe, w którym on jest kapitanem walczącym po stronie sił prawaści, a ona jego mroczną, szelmowską pomocnicą, która posługuje się magią, nie zawsze w szczytnych celach, i Phoebe przez chwilę czuje się tak, jakby on mógł czytać w jej myślach, widział jej tajemnicze wyobrażenia, jej pragnienia i marzenia, widział pudełko ciemnoróżowej farby do włosów, którą zamierza kupić w ten weekend w drogerii i nałożyć może w przyszły piątek, kiedy zostanie sama w domu, żeby pilnować Matthew. Może wpadnie Fi i jej pomoże.

– Mam na imię Joe – przedstawia się chłopak.

– Phoebe – odpowiada, kiedy autobus podskakuje i terkocze przy akompaniamencie pisków dzieciaków.

– Pomyślałem, że może będziesz w mojej klasie, ale przypuszczam, że nie.

Jej mina łagodnieje. On, jak wielu innych, wziął ją za starszą. Ona już wie, że na imię ma Joe. Na nazwisko Harper. Jest w dziesiątej klasie. A to oznacza,

że ma piętnaście albo szesnaście lat. Ona ma dopiero dwanaście. Chodzi do siódmej klasy i jest w niej jedną z najmłodszych. Niedawno miała urodziny. Ale z łatwością może uchodzić za piętnasto- czy szesnastolatkę, zwłaszcza w makijażu. Wie też, że Joe pojawił się w ich szkole w marcu. Ale zauważyła go dopiero, kiedy wprowadził się na ich ulicę i zaczął jeździć tym samym co ona autobusem.

– Skąd jesteś? – Zmienia temat, żeby nie mówić na temat wieku i klas.

Chłopak parska śmiechem, który brzmi dość niegrzecznie i potęguje zainteresowanie Phoebe. Patrzy mu w oczy, czekając na odpowiedź.

– Pytasz o ostatnie miejsce? Bo przeprowadzamy się mniej więcej co dwa lata.

– Fajnie.

– Niezbyt. To... no, nie wiem. Mam tego powyżej uszu. Chciałem zostać w poprzednim mieście. Niedaleko Toronto. Lubiłem tamtą szkołę. Miałem kumpli. Ale mama powiedziała, że musimy pojechać na zachód ze względu na jej pracę. Do Story Cove przenieśliśmy się całkiem niedawno. Mieszkaliśmy bliżej centrum i stamtąd dojeżdżałem do szkoły autobusem. Ale mieszkanie mieliśmy wynajęte na krótko i wyglądało na to, że będziemy musieli się przenieść do mniejszego, zanim moja mama nie poznała w pracy faceta, który pomógł nam załatwić domek na końcu Oak End. – Śmieje się. – Koniec Oak End. Koniec końca. Brzmi jak definitywny koniec. – Milknie na chwilę. – Mam nadzieję – odzywa się znowu. – Miło by było gdzieś w końcu osiąść.

Phoebe też się śmieje i jest tak miło. Jakby zwierzali się sobie z tajemnic.

– Przy domku jest pracownia, idealna dla mamy na tworzenie.

– Jest artystką? – Phoebe już oczywiście wie, że tak.

– No, nie zawodowo, ale sprzedaje swoje prace.

– A ma jakąś typową pracę?

– Tak, w tawernie przy Main, jest kelnerką.

Phoebe wpatruje się w niego. Mamy jej koleżanek są na ogół terapeutkami, prawniczkami czy lekarkami, albo prowadzą własne firmy, na przykład sklepy z odzieżą wełnianą albo kawiarnie, albo są mamami na pełen etat, które hołubią dzieci, chodzą na jogę i do spa na masaż tkanki głębokiej i zrobić paznokcie. Żadna z nich nigdy w życiu nie pracowałaby jako kelnerka.

On wyczytuje coś z jej twarzy i się uśmiecha.

– Nazywam ją Mamą Renesansu albo Supermamą. – Nie jest zawstydzony. Nie ma żadnych głupich ambicji. To jest niesamowicie romantyczne. Czytała o głodującym artystach i tak dalej – o sławnych ludziach, którzy musieli

zajmować się trywialnymi pracami, aż w końcu odnieśli sukces. Ogarnia ją wzruszenie. Kropką nad „i” jest to, w jaki sposób Joe mówi o matce – Phoebe Bradley całkowicie straciła głowę dla Joego Harpera.

– Ja też chciałabym zostać artystką – wyznaje. – Coś... tam tworzę, ale nie maluję. Głównie cyfrowe obrazki na moim iPadzie.

Joe zerka na iPada leżącego na kolanach Phoebe, na grubej powieści fantasy, którą aktualnie czyta.

– Masz jakiś, który mogłabyś mi teraz pokazać?

Jej twarz znów oblewa gorący rumieniec. Jeśli Joe zobaczy jej mangi, od razu mógłby się zorientować, że narysowała jego. Ratuje ją to, że autobus wjeżdża przed szkołę, a uczniowie hurmem ruszają do wyjścia.

Phoebe i Joe przyłączają się do chmary dzieciaków w bluzach i z plecakami, które z krzykiem rozbrzmiewającym w przejściu wytaczają się z żółtego autobusu jak kolorowe żelki z opakowania.

– Hej! – woła Joe, kiedy Phoebe kieruje się do wejścia. Phoebe przystaje, odwraca się. Jej włosy powiewają na wietrze, a sunący do szkoły uczniowie rozstępują się wokół Phoebe i Joego niczym morze. Joe podchodzi bliżej, waha się. – Chcesz wpaść po szkole na pizzę przy Main?

Phoebe stoi przez chwilę oniemiała. Ma zajęcia. Później musi pilnować brata. Musiałaby też zapytać matkę, a Joe będzie chciał się dowiedzieć dlaczego, a wtedy się wyda, że ma dopiero dwanaście lat.

– Mam tam popołudniową zmianę – wyjaśnia. – No i jest piątek. – Uśmiecha się. – Mam też zniżkę.

Żaden ze znanych jej dzieciaków nie pracuje dorywczo ani nie myśli o zniżkach na jedzenie. Nagle nabiera potwornej ochoty na pizzę.

– Mają wegetariańską?

– Jasne. – Jego uśmiech się rozszerza. – Ja też jestem wege. Tak jak moja mama.

Phoebe mięknie do reszty. Pragnie takiego życia, jakie wiecie Joe Harper i jego samotna matka, którzy mieszkają przy tej samej ulicy, co ona, w domku z pracownią.

– To chętnie – odpowiada.

– Fajnie – mówi on.

– Chyba... muszę lecieć. – Skinieniem głowy wskazuje szkolne drzwi.

– Ja też. Pierwszą lekcję mam w warsztacie. Mechanika samochodowa. Więc idę tamtędy.

Phoebe się uśmiecha, a później odwraca i rusza w górę po schodach. Na górze ogląda się przez ramię. Joe ją obserwuje i dyskretnie, nieśmiało macha jej ręką, a ten gest wydaje jej się męski i niezwykle słodki jednocześnie.

Lily

TERAZ

Lily czeka na plastikowym krześle przy recepcji komisariatu z torbą czystych ubrań na kolanach.

Za każdym razem, kiedy drzwi się otwierają, nieruchomieje, myśląc, że to Tom. W końcu, gdy przy kolejnym otwarciu widzi Dianne i Toma, przeżywa szok. Wiedziała, że jej mężowi zabrano ubranie, ale nie spodziewała się, że będzie tak wyglądał: jak więzień, w granatowym dresie, z ochraniaczami na nogach zamiast butów. Uświadamia sobie poniewczasie, że zapomniała zabrać buty dla Toma. Rozkojarzyła się z powodu przybycia śledczego Toshiego Hary i nie pomyślała o obuwiu.

Wstaje z krzesła, obiema dłońmi mocno przyciskając torbę z ubraniami do brzucha.

– Tom?

Jest blady jak ściana, nieogolony, jego włosy sterczą w miejscu, w którym dziwnie wyschły. Sprawia wrażenie obnażonego, bezbronnego. Przytłoczonego. I co najgorsze – zawstydzonego. I przestraszonego. Więc i ona zaczyna się bać.

Ich spojrzenia się spotykają i Lily wyczytuje z oczu męża coś o wiele głębszego i bardziej złożonego. Przenosi wzrok na Dianne. Jej przyjaciółka, dla odmiany, jest elegancka, wręcz wymuszkana, wyprostowana jak struna, z wysoko podniesioną głową, a w oczach ma... złość?

Lily zna Dianne od czternastu lat, odkąd spotkały się na siłowni i okazało się, że mają tego samego trenera personalnego. Lily i Tom, świeżo po ślubie, byli tuż po przeprowadzce do ich nowego domu w Story Cove i Lily przygotowywała się do otwarcia własnej praktyki terapeutycznej.

Lily zawsze potrafiła zwierzyć się Dianne, kobiecie, z którą nieco za dużo pije, najczęściej w hotelu Ocean Bay z widokiem na morze. Ale w tej chwili Dianne Klister wydaje jej się obca i Lily uświadamia sobie, że po raz pierwszy w życiu widzi przyjaciółkę wykonującą obowiązki zawodowe. Wydaje się tak groźna, jak zawsze przedstawia ją prasa. W umyśle Lily pojawiają się słowa Toshiego Hary.

Ona jest adwokatką pani męża. Nie pani. Będzie pracować dla niego, nie dla pani.

Lily przypomina sobie o swoich zwierzeniach, kiedy ostatnio piły w hotelu Ocean Bay, i krew zastyga jej w żyłach.

– Wszystko... w porządku? – pyta. Ale nie jest w porządku. Wyraźnie widać, że nic nie jest w porządku.

– Porozmawiamy później – odpowiada obcesowo Dianne. – Czy to ubranie Toma? – Kiwa głową w kierunku torby ściskanej przez Lily.

– Przed posterunkiem czekają wozy transmisyjne i dziennikarze – informuje Lily, podając Tomowi torbę. – Przed naszym domem też.

– Idź się przebrać do łazienki – poleca Tomowi Dianne. – Męska jest na końcu korytarza. Porozmawiam z kimś, zobaczę, czy uda mi się załatwić, żeby wyprowadzili was podziemnym wejściem służbowym na tyłach komisariatu. Wychodzi na spokojną uliczkę. Zadzwońię po samochód, żeby tam na nas czekał. – Szuka w torebce komórki, a Tom idzie z torbą do toalety.

Kiedy wraca, wygląda nieco bardziej normalnie, jeśli pominąć to, że nadal ma ochraniacze zamiast butów, z powodu których lekko szura nogami. Umundurowany policjant prowadzi ich obok recepcji na klatkę schodową. Szybko pokonują schody. Dianne prowadzi ich przez podziemny parking na uliczkę zastawioną śmietnikami. Lily dotyka dłoni Toma. Jest sucha i zimna. Są jak uciekinierzy, kiedy tak stoją na deszczu i czekają na kierowcę Dianne.

W końcu podjeżdża czarny sedan z przyciemnianymi szybami. Dianne pośpiesznie kieruje Lily i Toma na tylne siedzenie, a sama zajmuje miejsce pasażera z przodu.

Kierowca ma okulary i beznamiętną twarz. Omija parking i skręca w uliczkę za posterunkiem. Jedzie tą ulicą, wycieraczki skrzeczą w deszczu. Skręcają w szerszą jezdnię, a Lily z ulgą stwierdza, że nie ma na niej wozów transmisyjnych ani dziennikarzy. Jadą w kierunku Oak End, ukrywając się we własnym miasteczku, i Lily ma wrażenie, że znaleźli się w alternatywnej rzeczywistości.

– Zidentyfikowali ciało – mówi cicho Tom.

Lily gwałtownie spogląda na męża. Widząc jego spojrzenie, czuje się tak, jakby dostała cios w brzuch.

– To Arwen Harper – mówi.

Lily otwiera usta.

Dianne błyskawicznie odwraca się do Lily i Toma.

– Porozmawiamy później – mówi lakonicznie.

Zapada cisza. Serce Lily łomocze. Przejeżdżają znajomymi ulicami, a jednak wszystko wygląda inaczej. Narracja – rzeczywistość ich życia – faktycznie się zmieniła. W jej umyśle pojawia się wspomnienie. W głowie słyszy głos Arwen.

Myślisz, że go znasz? Myślisz, że można naprawdę znać swojego partnera? Przez cały czas wiedział, kim jesteś...

Lily wysuwa dłoń z uścisku Toma i się odsuwa. Pieką ją oczy.

Samochód skręca w Oak End. Lily widzi już dwa wozy transmisyjne i białego SUV-a z logo radiostacji z boku. Wszystkie auta stoją przed ich domem. Dalej na ulicy, pod wiśnią, jest zaparkowany granatowy sedan. Ma masywne zderzaki i na pierwszy rzut oka widać, że to auto tajniaków. Lily podejrzewa, że policja może ich obserwować do czasu wyjaśnienia sprawy. Dopóki któreś z nich – ona albo Tom – się nie potknie.

– Dobra – odzywa się Dianne, odwracając się ze swojego fotela. – Kiedy wysiądziemy, patrzcie przed siebie i idźcie prosto do domu. Trzymajcie się za ręce. I o niczym nie opowiadajcie. – Spogląda im w oczy. – O niczym. Nikomu. Nawet waszym dzieciom. Ani sąsiadom. W tej chwili nie macie przyjaciół, jasne? Nie możecie też rozmawiać ze sobą w mojej obecności, bo możecie utracić prawo do odmowy zeznań przeciwko małżonkowi, gdyby sprawa trafiła do sądu.

Lily zaciska zęby.

Sedan wjeżdża na podjazd. Dziennikarze, którzy do tej pory chowali się przed deszczem, wyskakują z samochodów i biegną do nich z mikrofonami. Błyskają flesze. Lily, Tom i Dianne wysiadają z auta i ruszają do drzwi. Lily i Tom mocno trzymają się za ręce.

– Pani Klister? Pani Klister, broni pani profesora Bradleya? Postawiono mu zarzuty? Panie profesorze, znał pan ofiarę? Doktorze Bradley, czy ofiara była pana pacjentką?

Dianne odwraca się, żeby stawić czoło zbiegowisku.

– To teren prywatny. W przypadku wtargnięcia wasi pracodawcy nie będą zadowoleni z pozwów, jakie posypią się im na głowę.

Jeszcze jeden błysk lampy aparatu. Zaraz po wejściu do środka i zamknięciu drzwi Lily odwraca się do męża.

– Arwen? Mój Boże, Tom. Jak... to się stało?

– Może ty mi powiesz! – warczy Tom. – Myślisz, że wiem, co się stało? Do cholery, co ty sobie...

– Lily – przerywa szybko Dianne, kładąc wypiełgnowaną dłoń na rękę Lily. – Możesz zostawić mnie na chwilę samą z Tomem? Muszę porozmawiać z nim na osobności.

– Dlaczego? – Lily jest zaskoczona.

– Musimy omówić kilka spraw – wyjaśnia Dianne. – W cztery oczy.

Umysł Lily pracuje na przyspieszonych obrotach.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie mogę zostać?

– Lepiej, żebyście nie rozmawiali z Tomem na żaden temat w mojej obecności.

– To moja żona, na litość boską, Dianne – obrusza się Tom. – Przyjaźnicie się. Jesteś naszą adwokatką.

– Jestem twoją adwokatką, Tom.

Lily wpatruje się w Dianne. Czuje potworny chłód wślizgujący się do żołądka.

– Co chciałaś powiedzieć, mówiąc: „gdyby sprawa trafiła do sądu”, Dianne? Nie ma mowy, żeby Toma o cokolwiek oskarżono... prawda?

– Pozwól mi porozmawiać z Tomem. Zobaczmy, dlaczego ta policjantka czuje się tak pewnie, dobrze? I na to zareagujemy. Bez względu na to, co kto zrobił, nie naszym zadaniem jest udowadnianie niewinności Toma. To policja musi dowieść winy. Będą musieli przedstawić niepodważalne dowody, jednoznacznie wskazujące na to, że Tom coś zrobił. A biorąc pod uwagę to, że nie postawiono mu żadnych zarzutów, niczego takiego z pewnością na razie nie mają.

Lily czuje, że szczęka jej opada.

– Nie mogę... nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – szepcze. Spogląda na Toma. Myśli o zakrwawionej koszuli. O tym, że okłamał śledczą Duval w sprawie telefonu. Myśli o imprezie i okropnej kłótni przy domku nad basenem, i o wstrząsającej awanturze później u nich w domu. Robi jej się słabo.

– Dlaczego nie możesz być naszą wspólną adwokatką? – pyta cicho.

– Lily, jeśli sprawa trafi do sądu, prokurator może wezwać cię w charakterze świadka do zeznawania przeciwko mężowi. W tej chwili wszystko, co Tom powie ci prywatnie, może podlegać ochronie z mocy prawa do odmowy składania zeznań przeciwko małżonkowi, ale inne posunięcia są dozwolone. To dość archaiczna zasada, ale przydatna. Jeśli jednak Tom wyzna ci coś w mojej obecności, przywilej odmowy składania zeznań nie ma zastosowania.

– Ja nic nie zrobiłem – odzywa się Tom.

– Czy ja też potrzebuję prawnika? – pyta Lily.

Dianne mierzy ją wzrokiem i Lily wie, że przyjaciółka przypomina sobie zwierzenia znad martini – podejrzewa Lily na temat Toma. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że Dianne niepokoi się tym, co uznała za przybierającą na sile paranoję Lily. A nawet psychozę. Lily zastanawia się, czy Dianne mogłaby – i czy by to zrobiła – wykorzystać te zwierzenia przeciwko niej w obronie Toma, choćby po to, żeby pokazać ławie przysięgłych, że ktoś inny miał motyw albo okazję, albo możliwości, zabicia Arwen Harper.

Ktoś, kto był prawdopodobnie emocjonalnie lub umyślowo niestabilny. Albo jeszcze gorzej. Mogła dowiedzieć się gorszego – kancelaria Dianne korzysta z usług detektywów wysokiej klasy.

– Dobrze byłoby być przygotowanym, na wszelki wypadek – mówi Dianne.
– Mogę ci kogoś polecić, jeśli chcesz. Albo, jeżeli wolisz, mogę znaleźć kogoś innego dla Toma i reprezentować ciebie. Ale to Tom znalazł się na celowniku policji z powodu morderstwa. Nie ty.

Lily wpatruje się w przyjaciółkę. Swoją powierniczkę, której przy drinkach wyjawiała sekrety. Czy Dianne rzuci ją lwom na pożarcie tylko po to, żeby wygrać? Zna odpowiedź. Dianne jest rekinem branży prawniczej, poluje na sprawy, które mogą stać się głośne. Chce spraw, o których będą mówić media i opinia publiczna, im bardziej kontrowersyjne, tym lepiej. Zrobi wszystko, by nie przegrać. Reputacja jest dla Dianne wszystkim. Dianne nie umie być inna. Lily nigdy nie przypuszczała, że być może przyjdzie jej poznać najgorsze oblicze przyjaciółki. Zanim Tom zaprowadzi Dianne do gabinetu, Lily odciąga go na bok.

– Zanim cokolwiek zrobisz, cokolwiek powiesz, pomyśl o dzieciach. Zrób to dla nich. Nie zasługują na to. – Nie odrywa wzroku od jego oczu, wspomnienie kłótni pulsuje między nimi wyczuwalnie.

Tom ujmuje twarz Lily w swoje dłonie. Przeszywa ją wzrokiem.

– Kocham cię – szepcze. – Zawsze cię kochałem. Wszystko będzie dobrze. Proszę, zaufaj mi.

Lily myśli jednak tylko o tym, że Tom zawiódł jej zaufanie.

Lily

WTEDY

20 maja. Piątek.

CZTERY TYGODNIE PRZED JEJ ŚMIERCIA

Lily zastaje Dianne przy „ich” stoliku na tarasie z widokiem na basen i dalej na ocean. Jest piątek, ale zebranie klubu książki zostało odwołane, ponieważ Hannah ma wizytę lekarską i pozostałe kobiety postanowiły przełożyć spotkanie. Ponieważ Lily piątkowe wieczory traktuje jako „czas dla siebie”, zadzwoniła do Dianne, proponując drinka. Albo trzy.

– Już zaczęłam. – Dianne uśmiecha się promiennie, podnosi do połowy opróżniony kieliszek do martini, a Lily przewiesza torebkę przez oparcie krzesła i siada.

Niemal natychmiast zjawia się kelner z kolejnymi drinkami i talerzem ostryg w muszlach.

– Pozwoliłam sobie zamówić też dla ciebie – oznajmia Dianne, rozwijając białą lnianą serwetkę, kiedy kelner stawia martini przed Lily.

Lily łapczywie chwyta kieliszek.

– Wyglądasz na dość zadowoloną. Co świętujesz? – Wypija duży łyk drinka, upajając się odczuciem palącego w piersi alkoholu.

– Wygrałam ważną sprawę.

– Gratulacje. Twoje zdrowie. – Lily podnosi kieliszek. – W wiadomościach o niczym nie wspominali.

– Powiedzą jutro. – Dianne sięga po plasterek cytryny.

– Masz na myśli tego producenta telewizyjnego? Oskarżonego o zgwałcenie sześciu kobiet?

Dianne uśmiecha się chytrze i kiwa głową, wyciskając cytrynę na surową ostrygę.

– Zapadł wyrok. Niewinny. – Wysysa ostrygę i wypija sok z muszli.

Lily odstawia kieliszek i przygląda się przyjaciółce.

– Cholera, przecież jest winny, bez dwóch zdań.

– Oskarżenie zawaliło. Ja nie. Słuchaj, nie patrz tak na mnie, właśnie za to mi płacą ciężkie pieniądze, za odpowiednie operowanie prawem. – Sięga po

drinka i opiera się na krześle. – Nie jestem stróżem moralności. Działam w ramach wyznaczonych literą prawa.

– Czy jest coś, czego nie zrobiłabyś dla wygranej?

– Nie.

– Czy zdarza ci się... jakby to powiedzieć, że się czujesz zbrukana?

– Och, nie zaczynaj tu teraz swoich analiz. Ogranicz się z nimi do swojego gabinetu. Poza tym wszyscy mamy ciemne strony. Nawet ty. – Wyciąga martini w kierunku Lily.

Lily parska śmiechem, który brzmi fałszywie w jej własnych uszach. Światło się zmieniło. Bryza wydaje się chłodniejsza. Sięga po sweter. Zarzucając go na ramiona, zerka na pozostałych gości przy stolikach na patio. Poczucie, że jest obserwowana, wzbudza w niej niepokój i nadmierną czujność. Jej wzrok przyciąga mężczyzna pod trejażem. Częściowo zasłania go kolumna. Jest sam. Ma ciemne włosy. Czarne okulary. Ciemną kurtkę.

Odwraca się do Dianne, ale poczucie, że jest obserwowana, rozlewa się chłodem w jej wnętrznościach. Jej myśli szybują do liściku zostawionego pod wycieraczką samochodową przed kościołem.

Nie ukryjesz się przed szatanem, jeśli szatan mieszka w twojej głowie.

Ten liścik był prawdziwy. Nie wyobraziła go sobie. Nie popada w paranoję. Może powinna powiedzieć Tomowi. Przeraża ją jednak myśl, że miałyby to zrobić, bo on zapyta, dlaczego słowa z kartki wzbudzają w niej taki niepokój, dlaczego mają taką moc.

– Co u Toma? – pyta Dianne, jakby czytała w myślach Lily.

Lily nie jest w stanie powstrzymać słów, które wychodzą z jej ust.

– Chyba... chyba ma romans. – Może mówi to, aby odwrócić uwagę Dianne od siebie, ale teraz, gdy słowa już padły, wiszą w powietrzu jak rzecz całkiem prawdziwa i Lily uświadamia sobie, jak bardzo dręczyła ją ta myśl.

Dianne odstawia kieliszek.

– Co takiego?

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałam – odzywa się Lily z wypiekami na twarzy. – Zapomnij o tym. – Chwyta drink i wypija resztę martini dwoma dużymi łykami. Podnosi rękę i pokazuje kelnerowi, żeby przyniósł kolejne. Dianne nie przestaje się na nią gapić.

– Dlaczego tak sądzisz, Lily?

– Po prostu... widzę pewne drobiazgi.

– Chcesz powiedzieć, że masz paranoję?

– Nie. Że Tom w weekendy wychodzi na coraz dłuższe biegi. I zapuszcza się coraz dalej, na przykład na szlaki wokół jeziora Elk. Coraz dłużej przesiaduje poza domem w piątkowe wieczory, z tawerny idzie na jacht. Wyczułam

perfumy na jego koszuli. Wydaje się... odległy. A Hannah powiedziała, że kiedy w zeszłą niedzielę przejeżdżała obok klifów, widziała Toma, jak biegał z ciemnowłosą kobietą. Kiedy spytałam go o ten trening, powiedział, że był taki jak zwykle, nic szczególnego. – Zjawiają się nowe drinki i Lily pośpiesznie wypija łyk. – Poza tym bardziej dba o wygląd. Nowe koszule. Więcej treningów z ciężarami. Używa wody po goleniu. Tego typu rzeczy.

– Może to zwykły kryzys wieku średniego. W jakim wieku jest Tom? Nie kończy przypadkiem za rok sześćdziesiątki? Zbliżanie się do tej granicy może namącić w głowie.

Lily wzrusza ramionami i zmusza się do szerokiego, fałszywego uśmiechu.

– Pewnie tak. Tylko mi się zdaje.

– Dlaczego po prostu go nie zapytasz, Lily?

– Może się boję, że powie: tak.

Dianne raczy się kolejną ostrygą.

– A gdyby rzeczywiście powiedział: tak? To co byś zrobiła?

Lily przełyka ślinę, spoglądając na ocean.

– Chyba bym ją zabiła.

Dianne się nie uśmiecha, bo w tym, jak Lily wypowiada te słowa, w jej tonie, jest coś, co sprawia, że brzmi, jakby mówiła serio.

– Ja na twoim miejscu – odzywa się powoli Dianne, opierając się na krześle – wyrównałabym rachunki. Wdałabym się w romans.

– Ale ja nie jestem tobą. – Lily chwyta kieliszek i dopija drugie martini. Drinki są mocne, szumi jej w głowie, wszystko wydaje jej się nierzeczywiste.

– Zbyt wiele zainwestowałam w małżeństwo i w dzieci, żeby zrobić coś takiego. – Wzruszenie chwyta ją za gardło. – Prawdę mówiąc, gdyby się okazało, że mnie zdradził, byłabym zdruzgotana. Lubię moje życie, Dianne. Albo wyobrażenie na temat tego życia. Przez ostatnie lata chyba nabrałam zbytnej pewności. Zaczęłam wierzyć, że nasze małżeństwo, nasza rodzina jest właściwie idealna. – Milknie. – Nie masz pojęcia, ile wysiłku włożyłam w to, żeby tak było. – Zawiesza głos. – Nie masz pojęcia.

Kelner przynosi dwa martini.

– Oj, nie zamawiałyśmy kolejnych – zwraca się Lily do kelnera, który zaczyna zdejmować kieliszki z tacy.

– Są od mężczyzny spod trejażu – wyjaśnia kelner. Obok drinków kładzie białą kopertę. – Przekazał liścik.

Lily odwraca się gwałtownie. Mężczyzna, którego widziała wcześniej, zniknął. Serce bije jej szybciej.

– Od którego mężczyzny? – krzyczy za kelnerem. – Gdzie on jest?

Kelner znika za szklanymi drzwiami restauracji.

Dianne wyciąga rękę po kopertę, otwiera ją i wyjmuję białą kartkę z jedną linią tekstu. Lily czuje suchość w ustach. Myśli o liściku pod wycieraczką samochodu przed kościołem.

– Co tam jest napisane? – pyta kategorycznym tonem.

Dianne marszczy brwi. Pokazuje kartkę Lily.

NA ZDROWIE. OD KOGOŚ, KTO WIE.

Lily wyrywa kartkę z dłoni Dianne. Litery zostały wydrukowane. W prawym dolnym rogu znajduje się tłoczenie. Lily przesuwa kciukiem po wypukłościach. Mają kształt koziego łba. Z dużymi rogami. Na środku tego łba widnieje pentagram – pięcioramienna gwiazda. W głowie Lily rodzi się hałas. Nie może oddychać.

Nie ukryjesz się przed szatanem, jeśli szatan mieszka w twojej głowie.

– Lily?

Głos Dianne brzmi tak, jakby dobiegał z daleka, przez długi tunel.

– Lily!

Otrząsa się, próbuje się skupić. Czuje gorycz w gardle, kiedy do jej mózgu wdzierają się wspomnienia niczym odłamki rozbitego lustra. Chce je odegnać, ale cały jej umysł zamienia się w kalejdoskop ostrych, nieskładnych obrazów jak z halloweenowego domu grozy.

– Wszystko w porządku, Lily? Źle się czujesz? – Dłoń Dianne spoczywa na ręce przyjaciółki. – Lily, spójrz na mnie. Skup się. Co się dzieje? Co cię tak wytrąciło z równowagi?

– To... to symbol Bafometa – mówi ochryplym głosem.

– Czego?

– To tłoczenie. Ma kształt Bafometa, kozła. To pogański bożek powiązany z satanizmem.

Lily zrywa się z krzesła. Ściskając kartkę, idzie przez patio w swoich szpilkach, zataczając się lekko. Wchodzi do restauracji przez szklane przesuwne drzwi. Obraca się na lewo, później na prawo, szukając wzrokiem kelnera, który przyniósł liścik. Nie widzi go. Zatrzymuje jakąś kelnerkę.

– Kelner, który obsługiwał nasz stolik, ten najbliżej basenu, o tam... – wskazuje drżącą dłonią szklane drzwi. – Gdzie on jest?

– Skończył już zmianę. W czym mogę pomóc?

Lily już rusza w stronę baru.

– Kto to zrobił? – krzyczy do barmana, z rozmachem kładąc kartkę na ladzie.

Mężczyzna podchodzi, zerka na liścik. Marszczy czoło.

– O co chodzi? – pyta.

Lily stuka palcem w kartkę.

– Kto kupił dwa martini z oliwką i kazał je zanieść naszemu kelnerowi razem z tą kartką do tamtego stolika? – Wskazuje miejsce.

– Aha. – Barman rozgląda się dookoła, szukając kogoś wzrokiem. – Nie widzę go. Widocznie wyszedł.

– Jak wyglądał?

– Byłem zajęty, hm... nie przyjrzałem mu się. Średni wzrost. Ciemne włosy. Szczupła twarz. Czarna kurtka, czarne dżinsy. Przepraszam... – Idzie obsłużyć klienta w drugim końcu baru.

Lily gapi się na niego.

Dianne podchodzi szybkim krokiem, niosąc torebkę Lily. Wręcza jej ją i obejmuje przyjaciółkę. Delikatnie prowadzi Lily przez restaurację i wyprowadza głównym wejściem do hotelu. Kiedy nikogo nie ma w pobliżu, pyta cicho:

– Co tu się odwala, do cholery?

Wzrok Lily pada na kartkę, którą ciągle ściska w dłoni.

Co to za chora gra? To... Jeśli ktoś wie, może zniszczyć wszystko – moją rodzinę, moje małżeństwo, moje życie. Wszystko.

Czuje, że pieką ją oczy. Nabiera powietrza do płuc i odwraca wzrok od Dianne.

– Lily, rozmawiaj ze mną. Co cię tak przeraziło?

– Ktoś wydrukował tekst na kartce, przyszedł tu i kupił nam drinki. To było zaplanowane.

– Słuchaj, musisz się uspokoić. To tylko karteczka od faceta, który postawił drinka dwóm kobietom, pewnie wyglądały mu na takie, co to od miesiący się porządnie nie bzykały.

– A skąd miałyby wiedzieć, że nie uprawiałam seksu od miesiący?

– Oj, skarbie, takie rzeczy... Czy przypadkiem nie dlatego podejrzewasz, że Tom kogoś ma? Wydaje ci się, że przestał się tobą interesować.

Łzy napływają Lily do oczu. Wyciera je.

– To przeze mnie. To ja... ja nie mam teraz najmniejszej ochoty na seks i nie wiem, co się ze mną dzieje. I chyba sama popycham Toma do tego, żeby seksu szukał gdzie indziej.

– Chodź. – Dianne bierze Lily w ramiona i ją przytula. Pachnie drogimi perfumami i wódką, czuć też od niej lekki rybi zapach ostryg. Odgarnia włosy z twarzy Lily i wpatruje się w oczy przyjaciółki. – Jesteś w kiepskim stanie, kotku. I lekko pijana. Ja też, obie. Może byśmy tak wyrwały się z domu do spa jakoś w najbliższych tygodniach? Wtedy mogłybyśmy

pogadać. Jak należy. Mogłabyś mi opowiedzieć o tym, co się dzieje między tobą i Tomem. A może... Rozważałaś zwrócenie się do profesjonalisty?

– Masz na myśli terapię?

– Terapeuci też jej potrzebują, prawda? Sama mi zawsze to powtarzasz. Nie masz przypadkiem obowiązku poddawania się terapii w ramach prowadzenia działalności zawodowej z powodu tego, jak wpływa na emocje? Może po prostu jesteś wyczerpana emocjonalnie, skoro wszyscy przez cały dzień zarzucają cię swoimi problemami. Na pewno potrzebujesz oddechu, przygniata cię trauma innych ludzi. Każdy ma swoje granice.

Lily odwraca wzrok od Dianne i bierze głęboki oddech. Może zaczyna tracić głowę? Ale liścik pod kościołem był prawdziwy. I ten, który trzyma w ręce, z satanistycznym symbolem, też jest prawdziwy. W dodatku ze słowami: *Od kogoś, kto wie...*

– Nic mi nie jest. Naprawdę. Po prostu... Chyba... Masz rację. To stres. Problemy pacjentów mnie przytłaczają. Muszę z kimś porozmawiać.

Dianne marszczy brwi.

– Wszystko w porządku. Ze mną. Serio. – Lily szuka w torebce telefonu. – Wezwę taksówkę. Dla ciebie też?

– Mój kierowca czeka za rogiem. – Dianne wyciąga swoją komórkę i wysyła wiadomość szoferowi.

Jej samochód przyjeżdża wcześniej. Waha się.

– Na pewno dobrze się czujesz?

Lily zmusza się do uśmiechu.

– Na pewno. – Wykonuje palcem gest przy głowie. – Za dużo mocnych martini i za dużo stukniętych klientów, to wszystko. Potrzebuję oddechu.

Dianne nie wygląda na przekonaną.

– Jedź. Jedź – mówi Lily. – Spokojnie, nie zamierzam nikogo zabijać. Jedź. Nic mi nie jest.

Gdy samochód Dianne odjeżdża, Lily klnie.

Nikogo zabijać? Cholera, co mnie napadło, żeby powiedzieć coś takiego?

Zjawia się taksówka, Lily wsiada.

– Proszę na Oak End, 2112.

Gdy taksówkarz wyjeżdża z hotelowego podjazdu w kształcie ronda, brzęczy komórka Lily. Wiadomość od Toma. Odczytuje ją na tylnej kanapie samochodu.

Wrócę późno. Nie czekaj.

Odpisuje mu szybko:

Wracam do domu, byłam na drinku z Dianne.

Waha się i dopisuje coś jeszcze:

Idziesz do jachtklubu na happy hour?

Wciska „wyślij”.

Czeka.

Po chwili przychodzi odpowiedź.

Chyba tak. Nie czekaj.

Lily odchyła głowę i czuje boleśnie, że emocje puchną jak balon. Nabiera jeszcze silniejszego przekonania, że Tom się z kimś spotyka. To naprawdę nieprzyjemne uczucie. Tak jak to, że jest się obserwowanym. Intuicji nie należy lekceważyć, myśli Lily. Jest terapeutką, więc wie, że intuicja to bardzo realne zjawisko. Czasami ludzie wyłapują mikrowskazówki, drobne podprogowe znaki, których świadomość nawet nie rejestruje.

Szybko pisze do Toma kolejną wiadomość:

Z kim?

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

Standardowo.

Lily wystukuje:

Sami faceci?

Odpowiedzi nie ma. Kiedy taksówkarz podjeżdża przed dom Bradleyów, wiadomość wysłana do męża nadal jest oznaczona jako nieodczytana.

Rue

TERAZ

Rue zerka we wstecznym lusterku na Joego Harpera, który siedzi na tylnej kanapie jej nieoznakowanego samochodu. Toshi zajmuje miejsce pasażera. Wiozą Joego do domu przy Oak End.

Chłopak siedzi bez ruchu, patrzy przez okno.

– Wspomniałeś, że „tak jakby” spotykasz się z Phoebe Bradley? – mówi Rue, skręcając w boczną uliczkę zgodnie ze wskazówkami GPS.

Joe odchrząkuje.

– No, przyjaźnimy się. Bardzo. Ale też od niedawna. Poznałem ją dopiero po przeprowadzce na Oak End.

– To znaczy kiedy? – pyta Rue.

– W ostatni dzień maja.

– Czyli prawie trzy tygodnie temu? – podsumowuje Toshi.

– Chyba tak.

– Znasz jej rodzinę? – pyta Rue.

– Byłem u niej raz, poznałem panią Bradley. – Waha się. – Ale szybko się mnie pozbyła.

– Dlaczego? – pyta Toshi.

Joe milczy przez chwilę.

– Uważa, że jestem dla Phoebe za stary. Właściwie... się o to wściekła. Phoebe mi później powiedziała.

– A twoja matka dobrze zna Bradleyów? – pyta Rue.

Na tylnym siedzeniu panuje cisza. Rue znów zerka we wsteczne lusterko.

– Joe?

Chłopak ociera łzy z oczu.

– Fakt, Phoebe ma dopiero dwanaście lat, ale pod wieloma względami jest o wiele dojrzała niż dziewczyny z mojego rocznika. Chyba... – Głos łamie mu się pod wpływem emocji. – Ona mnie rozumie. Nie rozumie nas za to ani moja mama, ani jej mama. Pani Bradley usiłowała zakazać Phoebe spotkania się ze mną, więc Phoebe zaczęła się jeszcze bardziej buntować. Moja mama i pani Bradley strasznie się o to pokłóciły.

– Kiedy? – pyta Rue.

– Wczoraj, na imprezie u Codych. Chyba... i tak się wyda, że wczoraj wieczorem w domku przy basenie u Codych doszło do awantury. Usłyszało

je kilka osób, pan Bradley i pan Cody poszli je uspokoić i krzyki poniosły się po całym ogrodzie. Wszyscy o tym mówili.

Rue i Toshi wymieniają wymowne spojrzenie.

– Wiesz na pewno, że ta kłótnia dotyczyła ciebie i Phoebe? – pyta Rue.

Chłopak waha się przez chwilę.

– Phoebe napisała do mnie już z domu. Uważa, że od tego zaczęła się sprzeczka. Jej rodzice dalej kłócili się w domu.

– Czy Phoebe napisała, o co jeszcze się kłócili? – pyta Rue.

Chłopak kręci głową.

– Wspomniałeś, że wyszedłeś z imprezy wcześniej. Już po tej kłótni? – pyta Toshi.

– Tuż po. Pan Bradley odprowadził żonę do domu. Phoebe mi powiedziała, że po nią i Matthew ojciec przyszedł chwilę później. Kiedy wybuchła ta awantura, młodsze dzieciaki siedziały w pokoju rekreacyjnym na parterze w głównym domu, grały w bilard, słuchały głośnej muzyki i takie tam. Powiedziałem mamie, że my też powinniśmy pójść, ale ona stwierdziła, że w życiu nie pozwoli, żeby... ta „pożal się Boże terapeutka” zepsuła jej wieczór i... sporo wypięła i chciała pić dalej. Większość dorosłych była już wtedy wstawiona.

– Więc wyszedłeś bez matki – podsumowuje Rue.

– Tak. Byłem na nią wściekły. Chyba... się za nią wstydziłem. Ośmieszała się.

– I więcej jej nie widziałeś? – pyta Toshi.

Do oczu chłopaka napływają łzy, kręci głową.

– Mogłem postawić na swoim. Mogłem ją zmusić, żeby wróciła ze mną do domu.

– Nie masz obowiązku opiekowania się matką, Joe – mówi Rue, skręcając w Oak End.

– W pewnym sensie mam – odpowiada Joe. – Jest tak od... Mama czasem potrzebuje kogoś, kto miałby na nią oko. Zdarza jej się upić, naćpać, robić głupie rzeczy.

Rue wjeżdża na rondo na końcu Oak End i zatrzymuje się pod adresem, który wprowadziła do GPS.

– Tu mieszkasz?

– Tak – odpowiada Joe.

Wyłącza silnik i wszyscy wysiadają. Deszcz ustał. Niebo się przejaśnia, wiatr znów robi się ciepły. Rue czuje zapach morza. Zaparkowała tuż przy szlaku, którym Tom Bradley prowadził ją rano do lasu. Spogląda na szlak, łącząc śmierć z domniemaną tożsamością ofiary. Arwen Harper. I z faktem,

że nieżyjąca kobieta mieszkała tuż obok i że pokłóciła się z żoną mężczyzny, który znalazł ciało. A jej syn spotyka się z nieletnią córką tego mężczyzny.

– To dom Codych? – pyta Toshi, wskazując okazały piętrowy budynek po drugiej stronie ulicy.

– Tak – odpowiada Joe.

Rue skupia się na domu. W oknie na poddaszu porusza się postać. W mgnieniu oka znika. Rue ogarnia dziwne przeczucie. Przekonała się, że intuicji należy ufać.

Wchodzą za Joem przez furtkę z boku posesji i Rue dostrzega w wiacie starego niebieskiego volkswagena furgonetkę, pomalowanego w ogromne białe płatki śniegu. Ma rejestrację z Ontario.

– Tym autem jechałeś z matką na zachód? – pyta chłopaka.

– Tak. Do domku wchodzi się od bocznej strony głównego domu, trzeba przejść tędy. – Prowadzi ich ścieżką wśród krzewów róż.

Rue zerka przez ramię. Postać znów stoi w oknie na poddaszu po drugiej stronie ulicy, obserwuje ich z miejsca przy ścianie, jakby nie chciała zostać zauważona.

Lily

TERAZ

– Co powiedziałaś Dianne? – pyta Lily Toma.

Stoją naprzeciw siebie w kuchni. Dzieci są jeszcze w szkole, a Dianne właśnie wyszła. Wozy transmisyjne nadal stoją przed domem, a policjant obserwuje ulicę.

Mąż świdruje ją wzrokiem. Zimne i gęste napięcie wisi między nimi niczym realny przedmiot.

– Powiedziałem, że ja... my... znaleźliśmy Arwen – odzywa się Tom powoli, cicho, ostrożnie. – Że mieszkała na tej ulicy, pracowała w Red Lion, obsługiwała nas zawsze podczas happy hour i że Phoebe zaprzyjaźniła się z jej synem. – Milknie. – I powiedziałem, że wczoraj wieczorem doszło do kłótni w domku przy basenie u Codych.

Wpatruje się w niego. Oniemiała.

– Policja się dowie, Lily. Dianne nie potrzebuje niespodzianek. Powiedziałem jej też, że byłem z tobą wczoraj przez cały dzień, odkąd wróciłaś z kościoła z dziećmi, a ja z przebieżki, do czasu, kiedy wszyscy poszliśmy na imprezę. Powiedziałem, że wróciliśmy do domu razem, wypiliśmy coś jeszcze, później ty wzięłaś tabletkę nasenną i się położyłaś, a ja wróciłem do Codych po dzieci. A później poszedłem spać. – Odwraca wzrok.

– I co jeszcze? O co jeszcze cię spytała?

– Czy jestem pewien, że zażyłaś tabletkę.

– Jak to?

– Czy jestem pewien, że po lekach twardo spałaś.

– Powiedziałaś jej, że tak, prawda?

Przełyka ślinę i kiwa głową.

– Tak. Myślę, że spałaś jak zabita.

Lily ma przebłysk.

– Tom... to... to powiedziałaś śledczym?

– Nic im nie powiedziałem. Dianne próbuje ustalić, czy możemy cię wykorzystać jako moje alibi.

My kontra ty jest ciosem.

– Jeśli spałam jak zabita, można twierdzić, że nie zauważyłabym, że wstałaś i wyszedłaś z domu – mówi powoli Lily.

– Ja cały czas spałem – odpowiada Tom. – Za dużo wypilem. Nie... nie zauważyłbym nawet, gdybyś ty wstała i wyszła z domu.

Lily wpatruje się w niego.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

Tom dotyka karku z czerwonymi, zaognionymi zadrapaniami.

– Pytali o nie?

– Powiedziałem Dianne, że to po dzikim seksie. Z tobą.

Lily robi się niedobrze. Osuwa się na stołek, myśląc o tym, co powiedziała przyjaciółce: że od jakiegoś czasu nie uprawia seksu z Tomem. Odwraca się, zamyka oczy.

– Dlaczego to powiedziałeś?

– Tak jakoś. Spanikowałem. Powiedziałem, przypało. Jeśli teraz zmienię zdanie, wyjdzie na to, że mogłem ją okłamać także w innych kwestiach.

– Dlaczego schowałeś koszulkę w komórce, Tom? Dlaczego jest cała we krwi? Znalazłam ją i wyprałam, wiesz?

Przełyka ślinę.

– Zobaczyłem... ją tam na plaży, pokieraszowaną, uklęknąłem, lekko ją podniosłem i próbowałem reanimować, ale... była martwa. Więc pobiegłem do domu, a jak tu dotarłem, to... nie mogłem wejść cały we krwi. Nie myślałem trzeźwo. Byłem w szoku.

– Więc wiedziałeś, że to ona, kiedy ją zobaczyłeś?

– W pierwszej chwili... właściwie wyparłem z umysłu tę możliwość.

– Gdzie twoja czerwona kurtka?

– Zdjąłem, żeby zakryć jej twarz.

Lily mocno pociera twarz, klnąc pod nosem.

– A latarka? Matthew cię widział, wiesz? Jak wychodziłeś z latarką i w kurtce, a wracałeś bez nich.

– Upuściłem ją, kiedy się przewróciłem, biegnąc do domu. Wpadła w krzaki, a zdążyło się zrobić na tyle jasno, że mogłem się bez niej obyć, więc biegłem dalej.

– Czyli zostawiłeś kurtkę, zgubiłeś latarkę, przybiegłeś do domu w zakrwawionej koszulce, a po drodze na posesję minąłeś Virginie Wingate, czekającą w samochodzie przed furtką, otworzyłeś domek ogrodowy, wszedłeś do środka, ukryłeś w koszu zakrwawioną koszulkę, w ubłoconych butach pobiegłeś półnagi na górę i włożyłeś nową koszulkę i kurtkę na spotkanie z policjantami – podsumowuje Lily, patrząc mężowi w oczy.

Cisza.

– Dlaczego ich okłamałeś, że ładowałeś telefon w kuchni?

Ukrywa twarz w dłoniach i pociera zarost.

– Byłem skacowany. Jeszcze zamroczony. A kiedy zobaczyłem ją w takim stanie... poczułem się skołowany... byłem w szoku. Wystraszyłem się, w porządku? Przez to, co się stało w domku przy basenie. To wyszło dopiero, kiedy ta policjantka spytała, dlaczego dzwoniłem pod 911 z domu.

– Jezu, Tom. Wiesz, jak to wygląda?

– A dlaczego ty wyprałaś moją koszulkę, Lily?

Spogląda na niego gniewnie.

– Dlaczego? – pyta kategorycznie.

– Bo ty usiłowałeś ją ukryć, dlatego. Ja też się przestraszyłam. Nie wiedziałam, co robić. Przed domem był gliniarz, martwiłam się, że wejdzie i ją znajdzie. Widziałam, jak szedłeś do domku ogrodowego i... I się wystraszyłam, Tom. Nie wiem... nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

– Podejrzewasz mnie? Myślisz, że mogłem ją zabić?

Cisza.

Tom klnie siarczyście, podnosi obie dłonie nad głowę, nagle zamiera, jakby doznał olśnienia.

– Powiedz mi, na życie naszych dzieci – odzywa się cicho. – Wychodziłaś z domu po tym, jak zasnąłem?

Serce zaczyna jej łomotać. Czuje pieczenie na skórze. Wpatruje się w męża.

– Wychodziłaś?

Lily odwraca wzrok.

– Lily?

Bierze głęboki oddech i znów spogląda Tomowi w oczy.

– Zapewniamy sobie nawzajem alibi, pamiętaj. Byliśmy tutaj razem przez całą noc.

Jego twarz się zmienia. Kiwa powoli głową, zaciskając wargi. Lily wie, o czym pomyślał jej mąż, i robi jej się niedobrze.

– Chyba nie myślisz, że byłabym zdolna do czegoś takiego? Proszę, Tom, powiedz, że nie.

Do oczu napływają mu łzy.

– Nie wiem już, co myśleć, Lily.

Nieufność i podejrzliwość kwitną między nimi jak masywna, realna, przeobrażająca się i rozrastająca roślina i Lily wie, że ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Dzień, kiedy Arwen Harper przyjechała do miasta swoim niebieskim volkswagenem busem, pomalowanym w wielkie białe płatki śniegu, z szesnastoletnim synem na fotelu pasażera, był dniem, w którym wszystko zaczęło się zmieniać. To był początek końca.

– Cokolwiek każde z nas myśli, Tom – odzywa się cicho Lily – czy cokolwiek któreś z nas zrobiło...

- Ja nic nie zrobiłem – mówi.
- Nieważne. Cokolwiek się będzie działo, musimy chronić dzieci. – Spogląda mu w oczy. – Rozumiesz? Potrafimy się dogadać w tej jednej kwestii? Możesz mi obiecać, że zrobisz wszystko, żeby chronić Phoebe i Matthew? Spróbować uchronić naszą rodzinę?
- To może być już niemożliwe, Lily – mówi to tak cicho, że ona ledwie go słyszy.
- Musi być możliwe, Tom.

Tom

WTEDY

20 maja. Piątek.

CZTERY TYGODNIE PRZED JEJ ŚMIERCIA

O przekroczeniu granicy często decyduje moment, zwykle niepozorny, ledwie zauważalny. Utrzymanie kontaktu wzrokowego o ułamek sekundy za długo, odpowiedź na zalotną wiadomość czy wyjście z pubu w inne miejsce, kiedy wypilo się już odrobinę za dużo. A kiedy ta cienka – niemal niewidzialna – linia zostanie przekroczona, jest jak z samolotem w chwili startu: nie ma wyjścia, musi się wzbić w powietrze. Albo rozbić. Tom na swój sposób wie, że zbliża się do tego momentu, kiedy Arwen zgadza się na propozycję Milтона, żeby wszyscy razem wybrali się na łódź Simona do portu na „rozchodniaczka”.

– Idziesz, Tom? – pyta Simon, kiedy wszyscy wkładają kurtki po happy hour w Red Lion, która przeciągnęła się do nocy.

Waha się.

– No, chodź, Tom – mówi Arwen, przewiązując kurtkę paskiem. Wychodzi dziś wcześniej. Przyjęła zaproszenie Simona, uśmiecha się promiennie, a w jej oczach iskrzy radość i obietnica.

Tom zerka na Simona i myśli o Lily, która wybrała się z Dianne na drinka do hotelu Ocean Bay. Pewnie też wróci późno. A Tom czuje gwałtowny przypływ zazdrości i chęć rywalizacji, kiedy Simon kładzie swoją wielką dłoń na plecach Arwen, gdy wychodzą z tawerny.

Wyciąga telefon i szybko pisze wiadomość:

Wrócę późno. Nie czekaj.

Lily odpisuje natychmiast.

Wracam do domu, byłam na drinku z Dianne. Idziesz do jachtklubu na happy hour?

Tom odrywa wzrok od telefonu i wpatruje się w drzwi, za którymi Arwen zniknęła z Simonem. Pisze:

Chyba tak. Nie czekaj.

Jego telefon brzęczy.

Z kim?

Odpisuje:

Standardowo.

Chowa telefon do kieszeni i szybko wychodzi za chłopakami idącymi spacerem w stronę portu z Arwen, której spódnica i włosy powiewają na wietrze.

Na dworze jest rześko. Chmury mkną po niebie, zasłaniając gwiazdy, a nad wodą świeci księżyc w pełni. Kwiaty lśnią w blasku latarni, pokrywają chodnik i dachy samochodów.

Spiesząc się, żeby dogonić grupę, zaczyna trzeźwieć. Przypomina sobie przedostatnią niedzielę, kiedy poszedł pobiegać i przy klifach spotkał Arwen, która również biegała. Żartowali na temat tego, że poznali się zaledwie poprzedniego wieczoru w Red Lion, gdzie pracowała dopiero od tygodnia. I biegli przez chwilę razem. Ciężko dysząc, w doskonałej harmonii. To było przyjemne.

Zbyt przyjemne.

Bo zeszłej niedzieli zadbał o to, żeby wyjść pobiegać dokładnie o tej samej porze, licząc na to, że znów ją spotka. I spotkał. Stała w punkcie widokowym przy Garry Bluffs, rozciągała ścięgna z rumieńcem na twarzy. Pobiegli razem drogą prowadzącą do Manfred Hill i wspólnie pokonali kręty szlak na szczyt, na którym śmiali się, zdyszani, i podziwiali widoki.

W jego umyśle pojawia się obraz Lily.

Przystaje. Myśli o dzieciach. O rodzinie. O tym, ile znaczy dla niego Lily. I jak silna jest ich więź. Bierze głęboki oddech i podbiega do grupy.

– Hej, słuchajcie, ja odpuszczam. Może następnym razem.

Usiłują go namówić, ale Tom macha im na pożegnanie i rusza przed siebie. Dom jest niedaleko, Tom upaja się spacerem. Czuje się silny dzięki temu, że oparł się pokusie.

Sekundę później słyszy za sobą kroki.

– Tom! Zaczekaj.

Odwraca się.

– Arwen?

– Pomyślałam, że masz rację. Przejdiesz się ze mną?

Waha się.

– Nie wiedziałem... że mieszkasz niedaleko. Mówiłaś, tak mi się zdawało, że w niedziele przyjeżdżasz pobiegać na klifach. Coś mi się kojarzy, że

wspominałaś o mieszkaniu bliżej centrum.

– To prawda. Tam mam przystanek. Dwie przecznice dalej.

– Nie przyjeżdżasz do pracy autem?

– Jest u mechanika. Coś nie tak ze skrzynią biegów. – Uśmiecha się. Światło latarni pada na jej szyję. Gładką, białą. Jej tatuaż porusza się, jakby bestia żyła. Podmuch wiatru mierzwi jej loki. Tom czuje przypływ gorącej fali pożądania w dole brzucha.

– Wezwę ci taksówkę – proponuje.

– Boże, Tom, zachowujesz się tak, jakbyś chciał zrobić wszystko, byle tylko się ze mną nie przejść.

Cisza drga w powietrzu między nimi. Opada kilka kwiatów.

– Nic podobnego. – Jego głos brzmi niewyraźnie.

– Poza tym naprawdę lubię jeździć autobusem. Zwłaszcza w nocy. Można popatrzeć na rozmaitych ludzi. O tak późnej porze ludzie emanują pociągającą autentycznością. Inspiruje mnie to. Przy tworzeniu.

Tom przygląda jej się przez chwilę. Jej oczy lśnią w rozproszonym świetle. Tom czuje kolejny, kłopotliwy, lecz rozkosznie szalony przypływ pożądania. Odchrząkuje i rusza przed siebie. Ona dotrzymuje mu kroku. Podczas ostatniej przebieżki powiedział jej, że mieszka przy Oak End, po drugiej stronie parku Spirit Forest ciągnącego się od Garry Bluffs.

– Nie wystarcza ci ludzka „autentyczność” w piątkowe wieczory w Red Lion? – pyta Tom.

Ona parska śmiechem. Jego dźwięk, bulgocząc – tak, przyszło mu do głowy to właśnie słowo, bulgocząc – wydostaje się z jej piersi. Jest zaraźliwy. Tom jest pijany, jak mu się zdaje. Przyjemnie się z nią idzie. Krok ma długi i swobodny. Czuje się jak wtedy, gdy z nią biegał. Z tą przepowiadającą przyszłość, wyzwoloną artystką i kelnerką. W długiej, falbaniastej spódnicy, z bransoletkami pobrzękującymi od czasu do czasu. Jest taka, jakie jego życie dawno przestało być. Bije od niej energia, entuzjizm. Jego życie jest rutyną. Właściwie popadł w stagnację.

Jego myśli znów wracają do seksu. Tłumi pożądanie.

A jednak Arwen Harper ma w sobie coś, na co nie może pozostać obojętny. Zafascynowała go. Zauważył blizny na wewnętrznej stronie jej nadgarstków. Tom podejrzewa, że to dlatego nosi tyle bransoletek. Żeby ukryć te blizny albo odwrócić od nich uwagę. A może po to, żeby przyciągnąć do nich wzrok. Intryguje go to jako psychologa, badacza błędzących ludzkich umysłów, adwokata zdrowia psychicznego. I budzi w nim współczucie.

Arwen, piękna, zmysłowa kobieta, przemówiła także do biologicznej natury Toma – starzejącego się mężczyzny, którego żona nie ma ochoty na

seks z powodów jeszcze Tomowi nieznanymi.

– W dzieciństwie wszędzie chodziłam piechotą – rzuca. – Mieszkałam w miasteczku na preriach. – Cisza. – Bezpiecznym. Przynajmniej do czasu.

– Gdzie dorastałaś?

– W pierwszych latach dzieciństwa niedaleko Medicine Hat.

Tom czuje ucisk w piersi.

– Hm... Gdzie? – Sili się na beztroski ton, ale słyszy fałszywe nuty w swoim głosie.

Arwen spogląda na niego.

– Znasz te okolice?

Coś podpowiada Tomowi: *Bądź ostrożny.*

– Nie bardzo.

– To była mała miejscowość, Glenn Dennig.

Tom sztywnieje. Powraca do niego wspomnienie.

– Znasz ją? – pyta.

– Słyszałem o niej.

Arwen milknie, jakby czekała, żeby wyjaśnił, gdzie mógł słyszeć o maleńkiej miejscowości Glenn Dennig na preriach.

– To daleko? – pyta zamiast tego Tom. – Mam na myśli twój dom tutaj?

– Autobus jedzie do centrum główną arterią, więc podróż nie trwa długo. I nie mieszkamy w domu. Mamy małe mieszkanie i gromadę hałaśliwych studentów za sąsiadów.

– My?

– Mam syna.

Tom reaguje zaskoczeniem.

– Nie miałem... pojęcia.

– Skąd mógłbyś wiedzieć? Nie wspominałam ci o nim. Joe. Ma szesnaście lat.

– Jesteś... Czy jego ojciec gdzieś tu jest? To znaczy, czy on...

– Jestem singielką. – Chwila ciszy. – Jestem wdową, Tom.

Tom przystaje.

– Arwen, tak mi przykro. Kiedy...

– Dwa lata temu z małym hakiem. Rak. Ale rozstaliśmy się, zanim zachorował. Więc... – Zawiesza głos. Odchrząkuje. – To... chyba ostatecznie zdecydowało o przeprowadzce na zachód. Nowy początek dla mnie i dla Joego. – Arwen rusza, a Tom wyciąga nogi, żeby ją dogonić, żeby za nią nadążyć, bo ona stawia teraz większe kroki i idzie szybciej, jakby napędzana nagłym przyływem emocji.

– Nie wiem, czy to nie był głupi pomysł – mówi z goryczą. – Przynajmniej jeśli chodzi o Joego. Jest w trudnym wieku dorastania i chyba brakuje mu przyjaciół, których zostawił, i poczucia przynależności do miejsca, poczucia domu, a zdaje mi się, że zaczynało się tam rodzić. Czasem mam wrażenie, że codziennie ma do mnie pretensje. Zwłaszcza teraz, kiedy nas eksmitują.

– Eksmitują? Serio?

– Na temat eksmisji sobie nie żartuję.

Tom po raz pierwszy widzi taką twarz Arwen. Uświadamia sobie, że prawdziwą. Cała reszta to pozory. Wygląda na to, że bycie uśmiechniętym wolnym duchem to ciężka praca. Kłóci się z wychowywaniem dziecka w zapewniającym stabilność środowisku rodzinnym.

– Szukam nowego lokum. Wczoraj widziałam coś, na co pewnie się zdecyduję. Okropne miejsce, ale niczego innego w tej chwili nie mogę znaleźć. Suterena z wysoko umieszczonymi oknami, jak w więziennej celi. Zalatuje stęchlizną. Mieszkanie jest mniejsze od tego, które mamy teraz. – Parska śmiechem, który wydaje się wymuszony. – Joe pewnie jeszcze bardziej się na mnie obrazi. Ale sytuacja na rynku najmu jest trudna. Po przyjeździe czekałam w kolejce na mieszkanie przy Main Street w Story Cove, kawałek od tawerny, dlatego zdecydowałam się tam pracować. Zapisalam też Joego do szkoły w Story Cove, ale najem nie wypalił.

Docierają na róg, na którym będą musieli się rozejść. Światło księżycy sączy się spomiędzy drzew.

– Tak wygląda moje życie – oznajmia Arwen. – Przystanek jest pół przecznicy dalej. Widzimy się za tydzień?

– Oczywiście.

– Dobranoc, Tom – mówi Arwen po chwili wahania.

On też jej życzy dobrej nocy, ale ona zdążyła już pójść.

– Arwen? – woła za nią.

Zatrzymuje się.

– Jest miejsce do wynajęcia na końcu naszej ulicy. To...

– Och, Tom, nie, na pewno nie byłoby mnie na nie stać. Oak End? Fajnie by było...

– To domek w ogrodzie przy głównej posesji, z pracownią.

Arwen przechyla głowę. Blask księżycy pada na jej policzek.

– Właśnie się zwolnił – wyjaśnia Tom. – To znaczy, starszy facet, który w nim mieszkał, w zeszłym tygodniu miał zawał i przenieśli go do domu opieki. Dość dobrze znam właścicieli, mieszkają za granicą, za wynajem się właściwie nie płaci, to jakiś zupełnie niewielki koszt w zamian za dogłębne oglądanie nieruchomości, sprawdzanie, czy firma ogrodnicza wykonuje zleczone usługi,

czy działa system alarmowy w głównym domu. Jeśli... To znaczy, z przyjemnością pokryję te podstawowe opłaty, jeśli to jakoś pomoże. Twojemu synowi.

Otwiera usta i je zamyka. Odwraca wzrok. W jej oczach lśnią łzy wzruszenia.

– Masz na myśli dom naprzeciwko Simona? – pyta cicho, nie patrząc na niego.

Zaskoczenie jest jak cios w brzuch. Tom ma w głowie mętlik.

– Tak. Wiesz... o nim?

– Simon powiedział, że zdaje mu się, że niedługo powinien być wolny. Ale chyba nie zna właścicieli.

Tom gapi się na nią. Jego umysł pracuje na przyspieszonych obrotach. Przez jego głowę przemykają niedawne wspomnienia: Simon dotykający ręki Arwen. Simon żegnający się po wieczorze w tawernie, pochylający się za blisko w stronę Arwen, gdy mówi jej coś na ucho. Dłoń Arwen na ramieniu Simona, kiedy śmieje się z czegoś, co powiedział.

Został wykorzystany?

Czyżby właśnie zaproponował, że załatwi kochance Simona mieszkanie po drugiej stronie ulicy – w dogodnym miejscu, żeby kumpel mógł pieprzyć kelnerkę niemal pod nosem żony i dzieci?

Jezu, przestań, Tom.

Arwen podchodzi bliżej i dotyka jego ręki. Tom czuje ukłucie w piersi.

– W życiu nie wzięłabym od ciebie pieniędzy, ale dziękuję za dobre serce, Tom. A jeśli mógłbyś jakoś wpłynąć na właścicieli... Nie masz pojęcia, ile by to dla mnie znaczyło. I dla Joego. Zwłaszcza dla Joego. Dla niego, bo miałby bliżej do szkoły, a dla mnie, bo mogłabym chodzić do pracy pieszo.

I dla Simona.

Klimat piątkowych spotkań w tawernie z beztroskiego zamienia się w złowrogi. Tom czuje, że nadzieja na przyjemne chwile z kumplami bezpowrotnie mu ucieka. Wyczuwa linię uskoku pod fundamentem jego przyjaźni z Simonem i resztą chłopaków. Sytuacja się zmieniła. Wkroczyła pomiędzy nich kobieta.

A on ją lokuje na swojej ulicy.

– Zadzwońię do nich jutro – obiecuje.

Arwen wspina się na palce i daje mu buziaka w policzek. Tom czuje na skórze delikatne muśnięcie jej warg.

– Dziękuję – szepcze mu do ucha, zbyt blisko, bo przebiega go dreszcz po kręgosłupie, a erekcja napiera na spodnie, i Tom nagle przestaje siebie lubić.

Arwen się cofa.

- Może zobaczymy się w niedzielę na klifach? Simon mówi, że też biega.
- Jasne. Pewnie.
- Dobranoc, Tom. – Unosi dłoń i znika w rozświetlonej przez księżyc ciemności.

Tom przez chwilę stoi w miejscu. Wiatr szmerze po okolicy. Przez ulicę przebiega szop, spogląda na Toma i ucieka w krzaki. Tom zastanawia się nad tym, co zrobił. A raczej, co zamierza zrobić. Jaką linię już przekroczył i jak daleko się posunie?

Jak daleko posunął się Simon?

Dręczy go poza tym coś bardziej denerwującego, uporczywe stukanie gdzieś na obrzeżach świadomości.

Mała miejscowość, Glenn Dennig.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

W sobotę 22 kwietnia 1989 roku ciepła mgiełka spowijała Glenn Dennig, senne preriowe miasteczko leżące na przedmieściach Medicine Hat. Mieszkańcom tej miejscowości wieczór wydawał się niezwykle ciepły jak na wczesną wiosnę. Nie mieli nic przeciwko temu. To ciepło niosło obietnicę upalnego, suchego lata. Wkrótce kaktusy na półpustynnej prerii obsypią się kwiatami, a w powietrzu będzie się unosił zapach bylicy. Po długiej, bezbarwnej zimie, która trzymała w uścisku zachodnie równiny, uczucie podniecenia narastało w miarę, jak zrzucano kolejne warstwy ubrań, a marzenia kręciły się wokół nowych narzędzi ogrodniczych, worków z ziemią, wyprzedaży grilli, mebli ogrodowych i kosiarek, i wizji przygód kempingowych w głębokich wąwozach, które skrywały kości dinozaurów i kłębowiska żmij. Sierżant Mark Wozniak myślał o budowie nowej szklarni, kiedy patrolował radiowozem drogę krajową przecinającą miasto. Telefon dostał o 20.58.

– Wiedziałem, że to będzie duża sprawa, coś, z czym wcześniej nie mieliśmy do czynienia, nie miało to być nic dobrego – powiedział później dziennikarzowi.

Dyspozytor poinformował Wozniaka, że pewien mężczyzna w Glenn Dennig zajrzał przez okno do oświetlonej piwnicy sąsiada i zobaczył „ciało we krwi”.

Wozniak natychmiast odpowiedział, że jedzie na miejsce. Włączył syreny i pognął pod adres wskazany przez dyspozytora.

Na miejsce zdarzenia dotarł pierwszy.

Najpierw zauważył sąsiadów stojących przed domami na trawnikach – niektórzy byli w szlafrokach – posłużyli mu za drogowskaz.

Z piskiem opon zatrzymał radiowóz przed przeciętnie wyglądającym domem, typowym dla Glenn Dennig. W środku paliło się światło. Nie wiedział, z czym ma do czynienia – z awanturą domową, zabójstwem czy też morderstwem połączonym z samobójstwem.

Wyszedł z samochodu, podszedł do domu od bocznej strony i zajrzał przez okno do piwnicy.

Doświadczenie zawodowe nie przygotowało Wozniaka na to, co zobaczył.

W rześcicie oświetlonym domu czekała na niego scena, która na zawsze miała zapisać się w annałach kanadyjskiej historii kryminalnej. I pozostawić bliznę w jego duszy.

Rue

TERAZ

Rue i Toshi przemykają pod altaną z gęstym, pnącym jaśminem, podążając za Joem do porośniętego bluszczem domku. Strzeliste drzewa iglaste parku Spirit Forest za domkiem są ponure i ciche. Zewsząd kapie woda. Rue spogląda na Toshiego. Widzi, że on też to czuje – że las jest świadkiem, który obserwuje i czeka, szeleszcząc cicho w niewidzialnym wietrze.

Joe otwiera frontowe drzwi i wpuszcza ich do środka.

– Jest tylko jedna sypialnia, moja – wyjaśnia. – Mama cały czas spędza w tamtej pracowni.

Pracownia znajduje się po drugiej stronie trawnika, bliżej lasu.

To płaski, prostokątny budynek z betonowych bloczków, przypominający garaż.

– Jak już mówiłem, mama śpi w pracowni. Ma tam aneks kuchenny. – Joe wciąż mówi o matce w czasie terażniejszym. To zrozumiałe, myśli Rue. Nie widział jej zmasakrowanego ciała, nie zaakceptował jeszcze tego, że to jego mamę znaleziono martwą na plaży.

Domek jest schludny. Przy wejściu jest wieszak na kurtki z półką na buty. Obok otwartej kuchni z półwyspem i dwoma stołkami stoi owalny stół. Salon jest wielkości znaczka pocztowego. Opalany drewnem kominek wygląda na niedawno używany. W powietrzu wciąż unosi się zapach dymu. Dziwne, przecież jest lato, myśli Rue.

Ale do domku pod lasem na pewno dociera niewiele słońca, więc jest zimno.

– Do mojej sypialni wchodzi się z kuchni – mówi Joe. – Jest tam mała łazienka. – Wskazuje na drzwi.

– Wspomniałeś, że znikły buty do biegania twojej matki. Zostawiała je przy drzwiach wejściowych? – pyta Rue.

– Tak. A jej kurtka na ogół wisi na tym haczyku, razem z czapką i czołówką.

– Mówiłeś, że zwykle biega z telefonem komórkowym? – upewnia się Toshi, a Rue powoli przygląda się wnętrzu.

Na ścianach wiszą fotografie Arwen Harper. Była piękną kobietą, artystyczną duszą. Rue czuje ucisk w żołądku. To ukłucie zazdrości. I coś jeszcze – przyprawiające o mdłości, dokuczliwe poczucie winy z powodu czegoś, o czym nie może teraz rozmyślać. Z całą pewnością skądś zna tę

kobietę. Ale jeśli okaże się, że to ją kiedyś śledziła, to znaczy, że już przekroczyła pewną granicę i z każdą sekundą brnie coraz dalej. Powtarza sobie, że to nie może być ona.

– Tak jak powiedziałem, próbowałem zadzwonić do niej na komórkę, ale nie odbierała.

Przy ciele nie znaleziono telefonu. Na ławce przy wejściu Rue zauważyła płócienną torbę. Jest rozchylona, widać w niej ręcznik i okulary do pływania. Na rogu ręcznika widnieje logo siłowni. CENTRUM REKREACYJNE WINDSOR PARK.

Wpatruje się w nie, wstrzymując oddech.

– To twojej matki? – pyta.

– Lubi pływać – odpowiada Joe. – Twierdzi, że woda jest symbolem podświadomości, i czuje, że musi się w niej zanurzać, aby móc tworzyć. Mama ma wiele podobnych dziwnych teorii, stawia też tarota. – Przeszępuje z nogi na nogę i nagle pociera oczy, które stają się jeszcze bardziej czerwone i podpuchnięte. Jest wyczerpany. Wygląda tak, jakby lada moment miał zemdleć.

– Czy twoja matka ma kartę członkowską do Windsor Park? – pyta łagodnie Rue.

Chłopak kiwa głową.

– Ćwiczy tam na siłowni. I lubi biegać. I... – Nagle uchodzi z niego powietrze, a do oczu napływają mu łzy. Ociera je. – Przepraszam.

– Musisz odpocząć, Joe. Na razie chcielibyśmy tylko zdobyć namiary na lekarzy twojej matki i zajrzeć do jej pracowni, całą resztę możemy omówić później, gdy będziemy mieli oficjalną identyfikację. Wtedy zajmiemy się szczegółami i w razie potrzeby sprowadzimy tu ekipę, która dokładnie rozejrzy się po domu.

Joe kiwa głową i podchodzi do komody. Wysuwa górną szufladę, szpera w niej i wyciąga kilka kartek.

– Proszę. – Podaje papiery. – To rachunki za usługi medyczne, których jeszcze nie zapłaciła. Prawdopodobnie nie zamierzała zapłacić. Ciągłe dostajemy wezwania do zapłaty zaległości, i takie tam. Jeden z rachunków jest od lekarza w Oakville w Ontario, gdzie wcześniej mieszkaliśmy. Jest też jeden od dentysty i inny, od terapeuty. Są na nich adresy i telefony.

Rue spogląda na fakturę od psychologa.

– Twoja matka korzystała z terapii?

Joe przełyka ślinę i spuszcza wzrok.

– Tak, zmagala się z różnymi problemami. Próbowala się zabić, zanim się urodziłem.

Rue i Toshi milczą.

Joe podnosi głowę.

– Odkąd się urodziłem, nigdy więcej tego nie zrobiła. Nie mogłaby. Wiem o tym tylko dlatego, że ma blizny od wewnętrznej strony nadgarstków i kiedyś ją o nie zapytałem.

Toshi zerka na Rue. Rue nie widziała wewnętrznej strony nadgarstków kobiety, gdy była na plaży – nie odsunęła mankietów kurtki. Te blizny również pomogą w potwierdzeniu tożsamości.

– Czy tutaj twoja mama też chodziła do terapeuty?

Chłopak kręci głową.

– Mówiła, że dobrze się czuje.

Rue wręcza dokumenty medyczne Toshiemu.

– Gdzie znajdziemy szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów twojej mamy? W pracowni?

– Tak. Zaprowadzę tam państwa.

Joe idzie do kuchni, otwiera niewielkie gliniane naczynie stojące na parapecie i wyjmuje z niego klucz.

Rue i Toshi wychodzą za nim na zewnątrz i przez trawnik idą do pracowni. Wpuszcza ich do środka, włącza światła i zostaje z tyłu.

Pracownia, w odróżnieniu od domku, wygląda, jakby przeszedł przez nią huragan. Rue, wchodząc, potrąca rower oparty o ścianę przy drzwiach. Rower przewraca się na wyłożoną kafelkami podłogę. Serce Rue podskakuje. Schyla się, podnosi go i ostrożnie opiera o ścianę. Ma kosze po obu stronach tylnego koła, a na poprzeczce – odblaskową naklejkę z logo Nike.

– Czasami jeździ nim na siłownię – informuje Joe.

Ściany są obwieszane dużymi obrazami w różnych stadiach tworzenia. Na sztaludze pod oknem z tyłu stoi czyste płótno. Na starym drewnianym stole obok sztalugi jest pełno farb, pędzli, butelek i słoików.

Rue i Toshi jak zahipnotyzowani wpatrują się w mroczne obrazy – odważne, czerwone plamy farby olejnej spływają niczym krew pośród czarnych wirów z żółtymi plamami. Inne przedstawiają pół bestie, pół ludzi – podobne są do tatuażu na szyi kobiety. Na jednym widać postać bez twarzy, w płaszczu z kapturem, trzymającą kosę i stojącą na warstwie ludzkich czaszek.

– Nieźle – odzywa się Toshi.

– Mama ma bzika na punkcie śmierci – mówi cicho Joe. – Namalowała je w Ontario. Przywieźliśmy je furgonetką.

Rue podchodzi do obrazu. Do ściany pod nim przyczepiona jest kartka z odręcznie napisanym tekstem:

Lepiej nie opierać się zmianie, jaką symbolizuje karta śmierci tarota. Opór utrudni przemianę. I sprawi, że będzie bolesna. Należy się z nią pogodzić, poddać koniecznej zmianie, ujrzeć w niej nowy początek. Karta śmierci wskazuje, że powinieneś odkreślić przeszłość, by móc ruszyć naprzód. Radzi: Wypuść to, co już ci nie służy.

– Są... niepokojące – kwituje Toshi.

– Mama zawsze powtarza, że sztukę powinni tworzyć ci, których dręczy niepokój, i niepokoić tych, którzy żyją spokojnie.

Rue myśli o rachunku od psychoterapeuty. Podchodzi do kolejnego obrazu. Przedstawia kobiecą twarz podzieloną na dwie niepołączone części.

– Mama nazywa ten obraz *Apate* – mówi Joe. – Od greckiej bogini. Na biodrze ma tatuaż tej bogini.

– Kim jest Apate dla Greków? – pyta Toshi.

– Uosobieniem podstępny, oszustwa i przebiegłości – wyjaśnia Joe. – To bogini kłamstw. Była jednym ze złych duchów uwolnionych z puszek Pandory, a kiedy już się uwolniła, błąkała się po Ziemi przez całe tysiąclecia. Siała spustoszenie tam, gdzie się pojawiła, i wykorzystywała swoje dary do oszukiwania ludzi. Mama uważa, że ludzie oszukują głównie samych siebie, dlatego twarz na obrazie jest rozpołowiona.

Podchodzi do osobliwej szafki przymocowanej do ściany za stołem – za otwartymi drzwiami skrywa się gigantyczna tablica korkowa. Jest podziurawiona pinezkami, a po wielu innych, które już usunięto, pozostały dziurki. Pod niektórymi pinezkami znajdują się skrawki papieru, jakby zerwano to, co przytrzymały.

– Do czego służy ta tablica? – pyta Rue.

– Do projektu, nad którym mama pracowała.

– Jakiego projektu?

– Wiele spraw zachowywała dla siebie, między innymi tę. Chodzi o jakiś idiotyczny sekret, tak wielki, że tablicę ukrywała zamkniętą w szafce, kiedy się nią nie zajmowała. Te jej plany były na tyle ważne, że przeprowadziliśmy się na drugi koniec kraju, przyjechaliśmy tutaj, żeby mogła nad nimi pracować. Twierdziła, że to będzie dla nas przełom.

– I ukrywała ten projekt przed tobą?

Joe bierze głęboki oddech.

– Nie wiem czemu. – Wpatruje się w tablicę. – Czasami myślę, że pewne rzeczy ukrywała przed samą sobą, żeby nie musiała na nie patrzeć, o ile nie było to absolutnie konieczne.

– Rozumiem, że do tej tablicy coś było przypięte? – pyta Toshi.

– Nie wiem. Zawsze, kiedy widziałem tę szafkę, drzwi były zamknięte na klucz. Na stole przed tablicą stał laptop, ale zniknął. Szukałem go wszędzie. Nie mogę znaleźć ani komputera, ani jej komórki.

Rue i Toshi znów spoglądają na siebie wymownie. Nie ma telefonu. Nie ma komputera.

A więc cały jej sprzęt zniknął?

Nagle rozlega się pukanie do drzwi. Wszyscy odwracają się gwałtownie, zaskoczeni. Drzwi do pracowni się uchylają.

– Joe? – W progu stoi kobieta. Na widok policjantów otwiera szeroko oczy. – Joe? Wszystko w porządku?

Chłopak nagle robi się biały jak ściana. Milczy. Wpatruje się w drzwi. Jakby spodziewał się, że zobaczy w nich matkę.

– Jestem Hannah – przedstawia się speszona kobieta. – Hannah Cody z naprzeciwka.

Arwen

WTEDY

7 czerwca. Wtorek.

DWANAŚCIE DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Arwen ma dzień wolny w tawernie, więc skupia się na pracy w domu.

Siedzi przy stole ustawionym przed „szafką” z korkową tablicą, którą sama zrobiła. Może zamknąć drzwi na klucz i ukryć tablicę przed wzrokiem ciekawskich, gdy się nią nie zajmuje. Otwarte drzwiczki ukazują tablicę podobną do tych, którymi nadal posługują się śledczy w programach telewizyjnych. U góry są przypięte zdjęcia czterech ofiar zabójstw.

Na stole przed Arwen stoi jej laptop, na ekranie mruga kursor. Drzwi do pracowni są zamknięte, rolety w oknach zaciągnięte. Światło jest przyciemnione, a lampa solna rozacza ciepły, pomarańczowy blask. Na spodku pali się skręt z marihuany. Obok stoi kieliszek pinot grigio z topniejącym lodem. Kolejna butelka wina chłodzi się w lodówce. Z głośników Bluetooth sączy się łagodny jazz. Arwen jest w swoim świecie, a kiedy chroni się w kryjówce własnego umysłu, rzeczywistość przestaje istnieć. Czas również.

Sięga po skręta i się zaciąga. Na kilka chwil zatrzymuje dym w płucach i studiuje stare wycinki z gazet i zdjęcia przypięte do tablicy. Jej wzrok śledzi powiązania ofiar z różnymi miejscami, z członkami rodziny, z policjantami, z godzinami i datami. Wydycha powoli dym, zamyka oczy i przywołuje scenę sprzed trzydziestu trzech lat. Przenosi się w ciepły dzień na prerii. 22 kwietnia 1989 roku.

Wyobraża sobie równiny, głębokie, kręte wąwozy, kłujące opuncje z żółtymi kwiatami, wysokie ściany piaskowca rzeźbione nieustannie przez wiatr, który nadaje im niepokojące kształty.

Przywołuje na myśl Glenn Dennig przy Medicine Hat.

Otwiera oczy, odkłada skręta na krawędź talerzyka i zaczyna pisać.

Wozniak zobaczył najpierw ciało kobiety leżące na plecach przed sofą, w niebieskiej koszuli nocnej zaplątanej wokół talii. Była naga od pasa w dół, nogi miała dziwnie ułożone. Była umazana czymś, co wyglądało na krew. Twarz zakrywały brązowe włosy do ramion.

Według akt policyjnych Wozniak szybko wrócił do radiowozu i wezwał posiłki. Nie wiedział, czy w domu jest ktoś jeszcze, ani czy to ktoś uzbrojony, czy też w niebezpieczeństwie. Wyciągnął z bagażnika osłonę taktyczną i broń i czekał na wsparcie.

Po chwili usłyszał syreny. Na miejsce przybyło trzech funkcjonariuszy z jego wydziału, z piskiem opon zatrzymali się przy jego radiowozie.

Jedenaście minut po tym, jak Wozniak otrzymał wezwanie od dyspozytora, zespół czterech funkcjonariuszy zwartym szykiem wyważył frontowe drzwi niepozornego domu w Glenn Dennig.

Policjanci nie mieli pojęcia, że wkrótce przejdą do historii jako pierwsi, którzy interweniowali w sprawie jednego z najbardziej szokujących morderstw w tym kraju.

Arwen sięga po skręta. Znów się zaciąga. Spogląda na zdjęcie sierżanta Marka Wozniaka na swojej tablicy. Zostało zrobione przez fotografa prasowego ponad trzy dekady temu. Wozniak był zwykłym sierżantem dyżurnym. O dobrodusznym wyglądzie. Miał gęste brązowe włosy i twarz bez zmarszczek. Biła od niego świeżość. Wozniak nadal jest funkcjonariuszem Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej. Włosy ma teraz przerzedzone i srebrne. Uzyskał stopień inspektora i kieruje działaniami policji w Medicine Hat. Jego twarz jest wciąż pełna życia. Poczciwa. Oczy ma nadal życzliwe, ale ich kąciki lekko opadają, przez co wygląda na zmęczonego. Te życzliwe oczy były świadkiem strasznych rzeczy. Arwen wypuszcza powietrze i gasi skręta. Wypija łyk wina i zaczyna pisać.

Wozniak nigdy nie zapomni mrożącej krew w żyłach sceny, którą on i jego koledzy z policji zastali w domu.

– W mojej karierze widziałem różne miejsca zbrodni i wiele ciał – powiedział dziennikarzowi „Medicine Hat Standard” w dziesiątą rocznicę zabójstw. – Ale bardzo rzadko widywałem dzieci, a już na pewno nie w takim stanie. Nie rozumiem tego... Tak potwornego czynu. Tej brutalności. Do tej pory, po tylu latach, nie mieści mi się to w głowie.

Dwadzieścia lat po tym, jak odpowiedział na wezwanie do skromnego domostwa w spokojnym Glenn Dennig, Wozniak powiedział w telewizji CBC: – To było ohydne, makabryczne – nigdy więcej czegoś takiego nie chcę oglądać. W życiu nie widziałem gorszego miejsca zbrodni. – Zamilkł, a w jego oczach pojawił się dziwny błysk. Spojrzał prosto do kamery. – Jeśli istnieje coś takiego jak diabeł, był tam wtedy. W tym domu.

Arwen wypija kolejny łyk wina i przypomina sobie, z czym Wozniak musiał się zmierzyć tamtego kwietniowego wieczoru. Pisze:

Najpierw zauważył krew – na schodach, na ścianach salonu, w kuchni, na podłodze, rozmazaną na drzwiach z tyłu domu. Wiedział już, co czeka go w piwnicy. Widział to

wcześniej przez okno. Funkcjonariusze usłyszeli ciche skomlenie.

Arwen nagle ogarnia niepokój. Przechodzi do innego fragmentu. Chce wrócić do początku, dopracować ogólną prezentację miejsca i nadać mu kolorytu. Waha się, zastanawia, aż w końcu zaczyna pisać:

Medicine Hat nazywane jest „Miastem Gazu”. Na stronach dla turystów można wyczytać, że miejscowość szczyli się największą ze wszystkich miast w Kanadzie liczbą słonecznych dni w roku – średnio 330 – i choć zima skuwa prerię lodem, lata są tu gorące i suche. W 1904 roku pod miastem odkryto złoża gazu ziemnego i okazało się, że są ogromne – zajmowały powierzchnię około 390 kilometrów kwadratowych. Dostarczały rozwijającemu się miastu takiej ilości taniej energii, że latarnie uliczne paliły się dzień i noc, bo było to tańsze niż zatrudnianie kogoś do wyłączania świateł.

Gazem opalano również gigantyczne piece do wypału gliny. Były one gorące na tyle, by wypalać czerwone cegły nienasiąkające wodą, a dostawy tych cegieł napędzały budowę domów na całym zachodzie. W piecach wypalano również słynną ceramikę Medalta, eksportowaną na cały świat. Nieustanne wybuchy z szybów gazowych i z okolicznych cegielni, w których ludzie pracowali w morderczym upale, rozświetlały nocne niebo nieniknącą pomarańczową poświatą. Kiedy w 1907 roku miasto odwiedził Rudyard Kipling, przywitała go właśnie ta dantejska scena, o czym uwielbiają wspominać internetowe strony dla turystów.

„Zdaje się, że ta część kraju – napisał – ma za piwnicę całe piekło, a jedynymi drzwiami do niego jest Medicine Hat”.

Rzeczywiście przywitała go scena z piekła rodem...

Drzwi za Arwen skrzypią. Odwraca się, kieliszek z winem frunie w powietrze i rozbija się z hukiem o kafelki na podłodze. Zapalają się sufitowe jarzeniówki. Arwen mruga w nagłym, ostrym świetle, zdezorientowana i wyrwana z odległego świata morderstwa.

– Mamo?

– Jezu! Joe! – Arwen zrywa się z krzesła i przewracając je, dopada do swojej tablicy i zasłania ją drzwiami szafki. Buzuje w niej adrenalina, gdy odwraca się do syna.

– Do cholery, Joe, czego tu szukasz? Wynoś się! – Wskazuje drzwi. – Jak śmiesz mnie tu nachodzić? Do kurwy nędzy... nie mogłeś przynajmniej zapukać?

Jej syn stoi zszokowany. Arwen dostrzega swoje odbicie w ściennym lustrze. Widzi potargane włosy i uświadamia sobie, że wciąż ma na sobie koszulę nocną, niebiesko-białą, jak martwa kobieta z jej tekstu, i ogarnia ją wściekłość. Dlatego że syn widział ją w takim stanie, a ona tego nienawidzi.

– Mówiłam ci, żebyś nigdy tu nie przychodził. Nigdy. Rozumiesz? Która część tego zakazu do ciebie nie dotarła? To moje miejsce pracy. Moja przestrzeń. Prywatna. Wspólny jest domek, ale nie pracownia. Wynoś się, Joe.

Joe stoi jednak niewzruszony i z lekko rozdziawioną buzią wpatruje się w drzwi szafki, które matka przed chwilą zamknęła.

Arwen spuszcza nieco z tonu, zmartwiona tym, co jej syn zdążył zobaczyć.

– Przepraszam – mówi ciszej. – Jezu, Joe. Przestraszyłeś mnie. Byłam... w swoim świecie.

Wzrok syna pada na laptop, a później na stos notesów pełnych zapisków z rozmów, jakie przeprowadziła przed przyjazdem tutaj. Joe spogląda na plik starych wycinków z gazet, a następnie na stary magnetofon i kasety.

– Chciałem tylko spytać, czy nie masz ochoty czegoś zjeść – mówi cicho Joe.

– Odgrzewam makaron na kolację. Przyszedłem zapytać, czy chcesz miskę. Ja tylko...

– Jesteśmy umówieni na śniadania, Joe. Śniadanie zawsze będę jeść z tobą. Ale jeśli chcę pracować do późna, to odpuszczam kolację. Zresztą mam tu co nieco w lodówce. I mam mikrofalówkę.

Joe doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że matka czasem maluje przez całą noc, ze słuchawkami wyciszającymi na uszach, zanurzona w swojej głowie, w swojej psychice, w swoim sercu.

Jego wzrok wędruje do pustych butelek po alkoholu na blacie, potem do kieliszka, a później pada na skręta, wciąż tłącego się na spodku, a Arwen nagle czuje zapach marihuany i kadzidełek, a także woń własnego, nieumytego ciała.

– Tak, mam. Widzę, że... masz co nieco.

Arwen zaciska wargi. Syn ją ocenia. Jego zdaniem znów go rozczarowuje. Serce jednocześnie boli ją i chce się bronić. Czasami ma wrażenie, że dopiero co sama miała szesnaście lat. Pamięta, że czuła się naraz jak dorosła i jak dziecko. Czasami nadal czuje się jak szesnastolatka ukryta w starszej i bardziej zdesperowanej kobiecie ze zrytą głową i zwiotczalym ciałem – wyniszczonym nieustannymi powrotami do przeszłości. Nie ma prawa być matką.

Nie potrafi nawet przestrzegać własnego kodeksu odpowiedzialności.

Dlaczego uznała, że temu podoła? Że poradzi sobie z wychowaniem syna i dorówna do jego poziomu? Czym sobie zasłużyła na tak porządnego człowieka? Joe, mając taką matkę jak ona, powinien był wyrosnąć na zbuntowanego gówniarza i wyłądować w więzieniu. Bywa, że złym rodzicom trafiają się dobre dzieci.

Bywa też, że dobrym rodzicom trafiają się te najgorsze.

– To ten twój projekt? – pyta Joe, kiwając głową w stronę zamkniętej tablicy. – Przez to przyjechaliśmy na zachód?

Arwen bierze głęboki wdech.

– Tak. Co zobaczyłeś? Jak długo stałeś za mną, zanim włączyłeś górne światła?

– Co to za projekt, mamó?

– Nie mogę ci powiedzieć, Joey. Jeszcze nie teraz. To... Muszę go najpierw skończyć. Muszę zdobyć wszystkie informacje. Muszę mieć pewność.

– Chodzi ci o to, że musisz zdobyć dowody? Tak jak przy tych innych rzeczach, nad którymi pracowałaś dla telewizji?

– Mniej więcej. Ale ten projekt to coś poważniejszego. O wiele poważniejszego. Dzięki niemu zwiedzimy różne miejsca.

Spojrzał na jej laptopa.

– Poważniejszy niż twoje artykuły?

– Chodzi o książkę, Joey. Obiecano mi zaliczkę. Całkiem sporą.

– Masz na myśli pieniądze?

Arwen kiwa głową.

– To w tawernie pracujesz pod przykrywką, czy coś takiego?

Jej puls przyspieszył.

– To... – Zamierzała powiedzieć: *Co za bzdury*, ale nie mówić, że jej syn wygaduje bzdury. Jest jednym z najmądrzejszych ludzi, jakich zna. Na pewno mądrzejszym od niej. – Pracuję jako kelnerka, żeby móc się zajmować tym projektem.

– Jak duża jest ta zaliczka?

– Joey, proszę, nie teraz.

– Dlaczego nie teraz? Dlaczego musisz to trzymać w tajemnicy? Przede mną? Potrafię dochowywać tajemnic, mamó. Jesteś mi winna prawdę. Wyrwałaś mnie z mojego miejsca i zmusiłaś do przeprowadzki na drugi koniec kraju naszą zdezelowaną furgonetką, trafiłem do kolejnej nowej szkoły. Przez ciebie musiałem zostawić przyjaciół, a ty nawet nie chcesz mi powiedzieć dlaczego?

Arwen bierze głęboki oddech i spogląda synowi w oczy. Tak podobne do oczu jego ojca. Tego też go pozbawiła – kontaktów z rodziną ze strony ojca. Więzy z jego japońskimi korzeniami. Wie, że jej syn odczuwa ogromne pragnienie przynależności, poczucia zakorzenienia, stabilizacji. Ale szansa na to dawno przepadła. Nie powiedziała ojcu Joego, że jest w ciąży. Po prostu zniknęła z jego życia. Tak jak uciekała od wielu rzeczy, które ją przerażały. Prawdziwa intymność, fakt, że zaczynała kochać ojca Joego, po prostu stały

się zbyt przytłaczające, więc uciekła. Teraz już wie dlaczego. Prawie całe życie poświęciła na to, by to zrozumieć i dotrzeć do tego miejsca.

– Chodzi o zbrodnię, Joey – mówi cicho. – Prawdziwą zbrodnię. Potworną. Sprzed lat.

Joe stoi nieruchomo. Czeka. W jego oczach płonie nadzieja, która rani Arwen. Znalazła się tak blisko prawdy, jak nigdy wcześniej.

– Zdobyłam pewne poufne informacje – wyjawia. – Jakies półtora roku temu. Nikt inny ich nie ma.

– Wpadłaś na jakiś trop?

Arwen kiwa głową.

– Poszłam tym tropem i doprowadził mnie do kolejnych informacji, a później trafiłam na żyłę złota. Piszę książkę na temat tej zbrodni.

– Chodzi o morderstwo?

– Nie jedno.

Jego spojrzenie powoli wraca do laptopa. Przełyka ślinę.

– Te morderstwa... wydarzyły się tutaj? W Story Cove? Mają związek z ludźmi, którzy nadal tu mieszkają?

– Nic więcej na razie nie mogę powiedzieć. W umowie mam zapis, że to materiał na wyłączność, do czasu publikacji wszystko jest poufne. Jeśli cokolwiek wycieknie, szlag trafi moją przewagę, zaliczkę, całe przedsięwzięcie.

– Kłamiesz. Nie masz żadnej umowy.

– Dostanę ją, Joey. Już niedługo. Kiedy napiszę odpowiednio dużo i tekst zostanie przyjęty.

– Jak długo to potrwa? Jak długo tym razem?

Arwen przez chwilę nie ma pomysłu, co powiedzieć, bo nie chce po raz kolejny okłamywać syna.

Joe klnie i rusza do drzwi.

– Joe...

Syn się odwraca. Wciąż ma nadzieję, że usłyszy prawdę.

Słyszy jednak co innego.

– Drzwi do pracowni były zamknięte na klucz. Nawet nie zapukałeś. Otworzyłeś je sobie. Dlaczego?

Joe patrzy na nią gniewnie. Arwen ponownie zachodzi w głowę, ile jej syn zdążył zobaczyć na tablicy korkowej.

Wyciąga rękę.

– Oddaj mi klucz, Joe. Chcę wszystkie klucze do mojej pracowni.

Joe rzuca klucz na stół. Klucz odbija się od blatu i ląduje na podłodze pośród odłamków szkła, w kałuży rozlanego wina. Joe wychodzi ze studia.

Arwen klnie. Szybkim krokiem podchodzi do drzwi, chwiejąc się lekko z powodu wina i marihuany, ale nie może pisać tej historii bez znieczulenia. Uspokaja się, opierając dłoń o ościeżnicę. Woła syna, który idzie przez trawnik w kierunku domku.

– Joe! – krzyczy za nim.

Jej syn odwraca się i odkrzykuje:

– Przeszedłem zapytać, czy zjesz ze mną kolację, bo przyprowadziłem koleżankę ze szkoły. Myślałem, że może chciałabyś ją poznać.

– Koleżankę?

Joe idzie przed siebie.

Arwen wybiega bosą na wilgotną trawę.

– Joey!

Jej syn się nie zatrzymuje.

– Joe! Co to za koleżanka?

Chłopak zatrzymuje się w drzwiach domku.

– Phoebe. Phoebe Bradley. Mieszka na końcu ulicy i marzy o tym, żeby zostać artystką, więc pomyślałem, że fajnie byłoby, gdyby poznała moją mamę. Ale wiesz co? To był kurewsko głupi pomysł. Bo jesteś żenująca.

– Joe!

Jej syn wchodzi do środka i zatrzaskuje za sobą drzwi.

– O, nie – szepcze Arwen. – Joey, nie. Tylko nie Bradleyowie...

Rue

TERAZ

– Jak dobrze zna pani Joego i jego matkę, pani Cody? – Rue rozmawia z kobietą na poboczu obok swojego radiowozu, a Toshi w tym czasie pakuje szczotkę do włosów i szczoteczkę do zębów i obserwuje Joego, który pakuje swoje podstawowe rzeczy.

– Poznałam ich, kiedy wprowadzili się tutaj jakieś trzy tygodnie temu. Simon, mój mąż, znał Arwen z tawerny, w której pracuje. To Simon podrzucił dziś rano Joego na posterunek, żeby zgłosił zaginięcie matki. Czy to... To znaczy, czy to ona? Na plaży?

– Nie mamy jeszcze oficjalnego potwierdzenia, ale uważamy, że to matka Joego.

Kobieta kiwa głową.

– Rozumiem. Zajmiemy się Joem przez ten czas, kiedy... O wszystko się zatroszczymy. Z tego, co wiem, nie ma nikogo bliskiego. Przyjaźni się z Phoebe Bradley, ale... – Milknie i spogląda na las.

– Ale co?

Wieje wiatr i Hannah Cody odgarnia z twarzy kosmyk blond włosów.

– Lily była bardzo niezadowolona z tego, że Phoebe spotyka się ze starszym chłopakiem. Ale Joe to dobry dzieciak. Przyjaźni się z naszymi dziećmi. Mamy syna w wieku Matthew Bradleya, a nasza córka Fiona przyjaźni się z Phoebe. Rozumiem obawy Lily, ale... Nie wiem. Wydaje mi się, że przesadza. Nie podoba jej się duża różnica wieku i choć pytałam, nie wyjaśniła dlaczego. Mam wrażenie, że chodzi o coś z jej przeszłości... Nie mogę uwierzyć, że to Tom znalazł Arwen.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Arwen Harper?

– Wczoraj, na ogrodowym przyjęciu u nas. Nie zauważyłam, o której wyszła. Zerwała się burza i większość ludzi wcześniej rozeszła się do domów. Została tylko ona.

– Będziemy potrzebować listę wszystkich gości.

– Czy to konieczne? Nie chcę, żeby...

– Konieczne. Mamy informacje, że w domku przy basenie doszło do sprzeczki pomiędzy Arwen Harper i Lily Bradley.

Hannah mruga. Spogląda na ulicę.

– Nie było mnie tam. Nie widziałam ani nie słyszałam kłótni. Simon coś widział. Poszedł do domku przy basenie, bo zobaczył, że wchodzi do niego Tom. Podobno pokłóciły się o dzieci. Nie wiem, o co jeszcze. Wiem tylko, że Lily i Tom zaraz potem wyszli. Lily była wściekła. Arwen została jeszcze chwilę i trochę wypła. Wydawała mi się... taka zuchwała.

Rue przygląda się kobiecie. Wyczuwa, że na tej ulicy dzieje się o wiele więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

– Pani mąż, Simon, zostawił dziś rano Joego przed posterunkiem? Nie wszedł do środka, żeby mu pomóc przy zgłaszaniu zaginięcia?

Hannah przełyka ślinę.

– Odwiozłam dzieci do szkoły, a Simon miał zajęcia. Kiedy Joe wyszedł z domu i powiedział, że nie może znaleźć mamy, Simon zaproponował, że po drodze na uczelnię podrzuci go na komisariat. Pytał Joego, czy potrzebuje pomocy, ale chłopiec powiedział, że poradzi sobie sam. Wiedzieliśmy, że policja odpowiednio się nim zajmie.

– Czy jacyś inni goście byli świadkami kłótni w domku przy basenie? – pyta Rue.

– Nie sędzę. Kilka osób słyszało krzyki. Przekleństwa. Brzęk szkła.

– A gdzie w tym czasie byli Joe, Phoebe i inne dzieci?

– Rozpadało się, grzmiało i błyskało, więc wszyscy weszli do domu albo do altany, a większość dzieci poszła do pokoju rekreacyjnego na parterze w naszym domu. Albo wróciły z rodzicami do swoich domów. Lily raczej nie wpada w gniew. Zawsze jest taka... opanowana. Odpowiedzialna. Jest terapeutką. Przywykła do tego, że pacjenci wściekają się w jej gabinecie, to norma. Wie, jak sobie radzić w takich sytuacjach, dlatego przypuszczam, że tutaj... chodziło o coś osobistego.

– A Tom Bradley? Jak dobrze, pani zdaniem, znał Arwen Harper?

Hannah Cody lekko mruży oczy. Ponownie odwraca wzrok, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Tom... Nie wiem. Tak jak i Simon znał Arwen z tawerny. Simon, Tom i kilku innych chłopaków z Kordela spotykali się w każdy piątek po południu w Red Lion na tak zwaną happy hour, która często przeciągała się do późnej nocy. Zawsze obsługiwała ich Arwen. – Hannah spogląda w stronę domku. – To mieszkanie załatwił jej Tom.

– Jakież szczegóły?

– Szukała mieszkania do wynajęcia, z pracownią. To miejsce się zwolniło, a Tom zna właścicieli. Zadzwoił do nich i poręczył za Arwen.

Rue powoli kiwa głową i chowa dłonie do kieszeni płaszcza, bo ponownie wieje wiatr i zbierają się chmury. Znowu zdaje się, że to jesień, choć jest lato.

Typowy klimat lasów deszczowych.

– A gdzie jest teraz pani mąż? – pyta Rue.

– W pracy. Jak już mówiłam, ma zajęcia. W tym roku prowadzi kursy wakacyjne.

Toshi i Joe wychodzą z domku. Joe niesie torbę z ubraniami i plecak.

– Będę potrzebowała listy wszystkich, którzy byli na wczorajszym przyjęciu, nazwiska i numery telefonu. Być może będzie pani musiała stawić się później na posterunku, żeby złożyć oficjalne zeznania.

Hannah Cody blednie.

– Myśli pani, że to nie był wypadek?

– Na tym etapie traktujemy tę śmierć jako podejrzaną.

Do Rue podchodzą Joe i Toshi.

– Dziękujemy pani za poświęcony czas. I za to, że zechciała pani zaopiekować się Joem. Ogrodzimy teraz domek i pracownię, a za jakiś przyjedziemy po listę gości. Mogłaby pani ją zacząć przygotowywać?

Hannah ścisza głos do szeptu, gdy Joe podchodzi bliżej.

– Czy w śmierć jego matki jest zamieszany Zabójca Biegaczek?

– Dlaczego pani o to pyta?

Oczy sąsiadki lśnią.

– Dlatego, że... Joe mówił, że jego mama biegała. Sama. Wcześniej rano w zalesionym terenie. No i nie żyje. A pani prowadziła inne śledztwa dotyczące Zabójcy Biegaczek.

– Jak powiedziałam, śledztwo jest w toku – mówi Rue. Ponownie kieruje wzrok na dom Codych, a później na okno na poddaszu. Następny w kolejce do przesłuchania jest Simon Cody.

Rue

TERAZ

– Nie spodziewałam się tylu studentów na kampusie o tej porze roku – mówi Rue.

– Oferujemy kursy letnie. – Profesor Simon Cody spogląda na nią nieufnie zza biurka. Znajdują się w jego gabinecie na Uniwersytecie Kordela. Rue widzi za oknem wiecznie zielony żywopłot i studentów spacerujących pod kasztanowcami.

Cody ma chłopięcą twarz i gęste, brązowe włosy poprzetykane srebrnymi pasemkami. Jest wysoki, średniej budowy ciała, jak na sportowca przystało. Rue zgaduje, że jest po pięćdziesiątce, a może nawet po sześćdziesiątce, jak jego przyjaciel, profesor Tom Bradley. Cody emanuje tłumioną energią, arogancją, którą Rue często widzi u starszych mężczyzn siedzących w swoich uczelnianych twierdzach i wygłaszających kazania na temat świata i systemów społecznych, choć sami są zupełnie oderwani od rzeczywistości.

Regały za Codym uginają się pod ciężarem dzieł Sartre'a, Platona, Kartezjusza, Russella, Hume'a, Kanta, Nietzschego, Marksa, Locke'a, Foucaulta i Machiavellego, oraz popiersia w kolorze brązu – jak głosi podpis, Hipokratesa – a na ścianie wisi klasyczny obraz Syzyfa pchającego pod górę swój głaz.

Inną ścianę zdobią oszalałymi fotograficzne studia ptaków, od kaczek i łabędzi po orły i sępy szarpiące truchło zebry.

– To pana dzieła? – pyta Rue, skinieniem głowy wskazując zdjęcia.

– Tak. Jestem miłośnikiem ptaków.

– Widzę, że pan i Tom Bradley jesteście maratończykami. – Rue się uśmiecha i kiwa głową w stronę kolejnego zdjęcia, tym razem Simona Cody'ego z Tomem Bradleyem w strojach do biegania. Obaj trzymają medale.

– O ile dobrze widzę, z maratonu w Bostonie.

– Za kilka minut mam zajęcia, pani sierżant. W czym mogę pomóc?

Rue wyjmuje notatnik i długopis, otwiera notes. Wzrok Cody'ego pada na notatnik. Jego twarz tężeje.

– Dziękuję, że przywiózł pan Joego Harpera na posterunek.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Hannah zadzwoniła i powiedziała, że najprawdopodobniej to jego matkę znaleziono na plaży Grotto.

Rue patrzy mu w oczy. Cody'emu nie drgnie powieka.

– Dość dobrze znał pan matkę Joego?

– A więc to ona?

– Zakładamy, że tak.

Cody zwilża językiem wargi i kiwa głową.

– Mieszkała po drugiej stronie ulicy i obsługiwała nas w Red Lion. Straszna wiadomość. Tak mi przykro z powodu Joego.

Rue czeka, nie odzywa się. Milczenie Cody'ego jest wymowne. Rue jeszcze nie wie, co zdradza.

– Postanowił pan nie wchodzić z Joem na posterunek, aby zgłosić nieobecność jego matki?

Wykładowca mruży oczy.

– Wiedziałem, że będzie w dobrych rękach. Czekają na mnie studenci. Muszę...

– Proszę pana. Muszę uzyskać odpowiedzi na kilka pytań. Zawsze możemy to zrobić na posterunku, jeśli woli pan się u nas zjawić i złożyć zeznania oficjalnie.

Cody oddycha powoli, głęboko.

– Jeśli można, to proszę się pośpieszyć.

– Kiedy ostatnio widział pan Arwen Harper?

– Wczoraj u nas w domu.

– O której wyszła?

– Nie wiem. Możliwe, że około... ósmej wieczorem.

– Widział pan, jak wychodziła?

– Widziałem. Wyszła jako jedna z ostatnich, dużo wypięła. Wszyscy sporo wypiliśmy.

– Z tego, co wiem, był pan świadkiem kłótni w domku przy basenie?

– Kto pani o tym powiedział?

Rue milczy.

Cody drapie się po brodzie.

– Byłem w kuchni. Burza wygnała nas do domu. Tom wyglądał przez kuchenne okno, obserwował błyskawice. Zobaczył Lily, swoją żonę, jak wchodzi z Arwen do domku przy basenie. Powiedział, że wyglądają tak, jakby się kłóciły. Zaniepokoił się i wyszedł sprawdzić, o co chodzi. Nie wracał, więc poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Usłyszałem, jak wszyscy troje na siebie wrzeszczą.

– Z jakiego powodu?

– Nic konkretnego nie słyszałem. Tylko krzyki. I brzęk szkła. Wszedłem do środka. Byli... bardzo wzburzeni. Tom chwycił Lily za ramię i oznajmił, że

idą do domu. On i Lily byli roztrzęsieni. Nie chciał mi powiedzieć, co zaszło. Chciał natychmiast zaprowadzić Lily do domu i powiedział, że wróci po dzieci, były w pokoju zabaw na dole. Nalałem Arwen kolejnego drinka w domku przy basenie, żeby trochę ochłonęła. Była jakby... pobudzona. Oczy jej błyszczały. Wyglądała na podekscytowaną. Pomyślałem, że coś zażyła.

– Co takiego?

– Lekki. Tabletki. Zapytałem ją, o co poszło, ale tylko się roześmiała. Nic więcej nie wiem.

– Jak pan myśli, o co mogło chodzić?

Cody przygląda się Rue. Ona niemal widzi pracujące w jego głowie trybiki, gdy zastanawia się nad odpowiedzią.

– To naprawdę nie moja sprawa, ale Hannah powiedziała mi, że Lily podejrzewa Toma o romans.

– Z Arwen Harper?

– Tak według Hannah powiedziała Lily.

Rue przechyla głowę na bok.

– Tom Bradley jest pana przyjacielem?

– Tak.

Rue zaciska wargi.

– A pan jak uważa? Czy pana przyjaciel miał romans z Arwen Harper, kelnerką z Red Lion?

– O to musiałaby pani zapytać jego.

Rue kiwa lekko głową.

– Czy to Tom Bradley załatwił Arwen Harper mieszkanie naprzeciwko pańskiego domu?

– Proszę posłuchać, jeśli nie ma pani do mnie już więcej konkretnych pytań

– odsuwa krzesło i wstaje – to muszę iść na zajęcia. – Zbiera swoje papiery i zaczyna chować je do torby.

– Lubił ją pan?

– Słucham?

– Czy lubił pan Arwen Harper?

Cody nieruchomieje.

– Hm... Tak, wszyscy ją lubiliśmy. Była wesoła. Miło się z nią przebywało. Tchnęła nowe życie w nas, starych facetów. Bardzo mnie zasmuciła ta wiadomość. – Podnosi torbę. Później, jakby zreflektował się, że powinien okazać więcej emocji, dodaje: – Przeżyłem szok, gdy dziś rano się o tym dowiedziałem. Wiadomo już, co się stało? Hannah mówi, że może to nie wypadek.

– Próbujemy się tego dowiedzieć.

– Cóż, jeśli nie ma pani do mnie więcej pytań... – Cody wychodzi z biurka i otwiera drzwi gabinetu – ...to muszę iść do studentów. – Czeka z dłonią na kłamec.

Rue chowa notes i długopis do swojej torby listonoszki, wstaje i wygląda z zakiet. Zerka przez okno na młode studentki idące ścieżką – wiatr rozwiewa im włosy, podwiewa spódnice. Cody nie wygląda na wstrząśniętego z powodu śmierci sąsiadki i przyjaznej kelnerki, dzięki której wszyscy byli szczęśliwi. Rue wychodzi na korytarz, a wykładowca zamyka drzwi. Przekręca klucz w zamku.

– Miłego dnia, pani sierżant – rzuca.

Rue zegna się skinieniem głowy i rusza korytarzem do wyjścia.

Cody woła za nią:

– W tych lasach jest pełno bezdomnych.

Rue zatrzymuje się, odwraca.

Wykładowca podchodzi do niej.

– Na pewno pani o tym wie. – Ścisza głos, gdy mijają ich dwie studentki. – Dużo się o tym mówi w lokalnych wiadomościach. Dla jednej z tutejszych radnych, która zamierza ubiegać się o stanowisko burmistrza, oczyszczenie tego lasu z włóczęgów stało się punktem kampanii wyborczej. Virginia Wingate. Powinna pani z nią porozmawiać. Albo z bezdomnymi. Może ktoś coś widział albo zrobił. Moja córka mówiła mi, że ona i Phoebe Bradley widziały kiedyś jednego faceta. Obnażał się.

Rue patrzy Cody'emu w oczy.

– Zgłosił pan to?

– Na policję nie zgłaszałem. Rozmawiałem z Virginią.

– Kiedy to było?

– W zeszłą środę.

– Dlaczego nie zgłosił pan na policję, że jakiś mężczyzna obnażał się przed pańską córką?

Wykładowca waha się, a jego twarz po chwili tężeje.

– Nie mam zamiaru walczyć z wiatrakami, pani sierżant. To większy problem i potrzebne jest rozwiązanie systemowe. Te lasy muszą zostać oczyszczone.

Rue

TERAZ

Rue i Toshi wracają na Oak End, parkują przed rezydencją Codych i czekają na powrót Hannah, która odbiera dzieci ze szkoły. Joe Harper jest w domu. Kiedy zapukali, powiedział im, gdzie jest Hannah.

Srebrny mercedes wjeżdża na podjazd. W środku siedzi czworo dzieci.

– Bingo. – Toshi sięga do klamki. – Przywiozła Bradleyów ze szkoły.

– Prawdopodobnie, aby uchronić dzieci przed dziennikarzami czatującymi przed ich domem. – Rue otwiera drzwi. – Biedne dzieci, to zawsze im się najbardziej obrywa, kiedy rodzice nawalą.

Rue i Toshi podchodzą do mercedesa, z którego wysiada Hannah.

– Wygląda na zdenerwowaną – mruczy Toshi pod nosem.

– W czym mogę państwu pomóc? – pyta Hannah, gdy do niej podchodzą.

Mały chłopiec z ciężkim plecakiem wysiada z tyłu. Po nim wychodzi dziewczyna o ciemnoróżowych włosach.

Rue rozpoznaje córkę Bradleyów, którą widziała w ich domu wczesnym rankiem. Phoebe.

Chłopiec, wybałuszając oczy, mówi do Rue:

– Pani jest detektywem od morderstw!

– Nikt nie powiedział, że to morderstwo, Matthew – odzywa się Phoebe. Płakała, ma podpuchnięte oczy, tusz do rzęs spływa jej po upudrowanej twarzy. Ubrana jest na czarno, paznokcie ma pomalowane na czarno. Jest w koszulce z wizerunkiem ludzkiej czaszki. Na szyi ma srebrny łańcuszek z krzyżem egipskim.

Rue przychodzi do głowy słowo „gotka”.

– Serio – upiera się Matthew. – Ta policjantka występowała w telewizji w sprawie Zabójcy Biegaczek. Tak mówiły dzieciaki, jest detektywem od morderstw.

Z mercedesa wysiada jeszcze jedna dziewczyna i jeszcze jeden chłopak. Dzieci Codych.

– Ty durniu – warczy Phoebe. – Pomyślałeś o Joem? Mówisz o jego matce, dupku. – Łzy napływają jej do oczu. Przerzuca plecak przez ramię i maszeruje w kierunku frontowych drzwi domu Codych. Joe obserwuje ich przez okno, czeka na Phoebe.

Rue uśmiecha się łagodnie do Matthew.

– Starsze siostry takie już są.

Chłopiec się krzywi, ale oczy mu promienieją, gdy spogląda to na Toshiego, to na Rue.

– Mój tata znalazł ciało. Widziałem panią dziś rano z mojego pokoju na górze. Mój pokój jest podobny do pokoju pana Cody’ego. – Matthew wskazuje lukarnę na ostatnim piętrze domu Codych, w której Rue widziała wcześniej cień postaci. – Pan Cody na całym poddaszu ma swój gabinet. Ten pokój jest jak wieża kontrolna z widokiem na wszystko dookoła. On też widzi wszystko ze wszystkich stron, tak jak ja. Uczy mnie, jak robić dobre zdjęcia rzeczy, które obserwuję.

– Matthew, Fiona, Jacob, wejdźcie do środka – odzywa się Hannah. – Ja porozmawiam z policją na zewnątrz.

– Czy dziś rano widziałeś coś ze swojej „wieży kontrolnej”, Matthew? – pyta Rue, nieco ryzykując.

– Pewnie! I robiłem zdjęcia! Pewnego dnia zostanę policyjnym fotografem albo zagranicznym fotoreporterem. Widziałem tatę, jak szedł pobiegać bardzo wcześnie. W czasie burzy. Było jeszcze ciemno i miał latarkę. A wrócił bez kurtki i bez latarki i poszedł prosto do domku ogrodowego i tam...

– Matthew! – Hannah chwyta chłopca za ramię i odciąga go od Rue. – Matka zabroniła ci z kimkolwiek rozmawiać. Nie możesz nic mówić bez obecności adwokata. Maszeruj do domu.

– Dlaczego?

– Bo tak i już – odpowiada Hannah. – Idź do domu. Proszę. – Wygląda na zdruzgotaną. – Fiona, zaprowadź Matthew i Jacoba do domu.

– Chcieliśmy o coś zapytać pani córkę – odzywa się Rue. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Zmartwiona Hannah patrzy na policjantów z niedowierzaniem.

– O co?

– Pani mąż wspomniał, że Phoebe i Fiona spotkały w lesie mężczyznę – mówi Rue.

Hannah wygląda na przerażoną.

– Fiono – wtrąca się do rozmowy Toshi. – Możesz nam opowiedzieć, co się wtedy wydarzyło?

Fiona spogląda na matkę.

– Jacob, Matthew, do domu, ale już! – pogania chłopców Hannah.

Ruszają niechętnie, a Fiona czeka, aż znikną z pola widzenia.

– Nic wielkiego – mówi cicho dziewczyna. – W zeszłą środę poszliśmy z Phoebe do lasu i na polanie czaił się jakiś facet, to wszystko. – Wbijają wzrok

w ziemię i robi się czerwona na twarzy. – Obserwował nas zza krzaków.

Hannah gwałtownie zaczerpuje powietrza.

– Co takiego? Fi, o niczym mi nie wspomniałaś!

Twarz Fiony staje się krwistoczerwona.

– Bo wiedziałam, że będziesz wyolbrzymiać sprawę, tak jak teraz. Phoebe poradziła, żebym ci nie mówiła.

– To ważne, Fi. Ten człowiek może być niebezpieczny. – Hannah spogląda gorączkowo na Rue, a potem na Toshiego. – Przysięgam, gdybym wiedziała, zgłosilibyśmy to na policję.

– Pani mąż wiedział o tym incydencie – mówi Rue, uważnie obserwując kobietę.

– Powiedziałaś tacie – wtrąca Fi.

Hannah wygląda na oszołomioną. Przez chwilę nie może wydobyć z siebie słowa.

– Myślę państwo... że ten mężczyzna... myślę państwo, że miał coś wspólnego z tym... porannym wypadkiem?

Toshi wyciąga notatnik.

– Możesz opisać tego człowieka, Fiono?

Dziewczyna bawi się nerwowo paskiem plecaka przerzuconego przez ramię.

– Tak naprawdę nie widziałyśmy. Miał na sobie ciemną bluzę z kapturem i czarne spodnie. Uciekł w krzaki, kiedy krzyknęłyśmy.

– Co robiłaś z Phoebe na polanie, Fiono? – pyta Toshi.

Dziewczyna przełyka ślinę.

– Nic. Po prostu sobie siedziałyśmy.

– Fiono – odzywa się cicho Rue. – Nie przejmuj się, jeśli robiłaś coś, co może nie spodobać się twoim rodzicom. Ta sprawa jest o wiele ważniejsza i jestem pewna, że rodzice się nie pogniewają, prawda, pani Cody?

– Oczywiście. Oczywiście, że nie musi się niczym przejmować – zapewnia pośpiesznie Hannah. – Powiedz im, Fiono. Cokolwiek to jest.

– Phoebe miała paczkę papierosów. I trochę wódki truskawkowej. Chciałyśmy... no, wiadomo, co się robi na polanie, dzieciaki chodzą do lasu palić, całować się i takie tam.

– Chryste, Fi – szepcze Hannah. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Przez wódkę i papierosy.

– Ale tacie powiedziałaś.

Dziewczyna przełyka ślinę.

– Obiecał, że się tym zajmie, że powiadomi radną Wingate, bo ona planuje zaprowadzić w lesie porządek, i zabronił mi tam chodzić. Powiedział, że

w lesie zrobiło się niebezpiecznie.

Rue i Toshi spoglądają na siebie wymownie.

– Jak myślisz, ile lat miał ten człowiek? – pyta Rue.

– Nie wiem. Nie był stary. Poruszał się szybko. Był chudy.

– A kolor włosów i skóry? – pyta Toshi.

– Chyba był biały. Włosów nie widziałam.

– Czy inne dzieciaki wspominały, że go widziały?

Fiona kręci głową.

Rue i Toshi dziękują Fionie, a Hannah wręcza im przygotowaną listę gości. Śledczy wracają do samochodu, a Hannah z Fioną znikają w domu. Policjanci widzą Phoebe i Joego obserwujących radiowóz z okna salonu.

– Każdy tutaj coś ukrywa – ocenia lakonicznie Toshi.

– Nie musisz mi mówić. Musimy znaleźć sposób na obejrzenie zdjęć Matthew.

– Konieczny będzie nakaz – mówi Toshi.

Gdy Rue wyciąga rękę do stacyjki, dzwoni jej komórka. Na wyświetlaczu pojawia się numer Fareeda. Rue włącza tryb głośnomówiący.

– Dzień dobry – odzywa się Rue. – Znalazł pan dla nas jakiś termin?

– Jutro, ósma rano – informuje Fareed. – Dam radę wcisnąć biegaczkę do mojego grafiku z samego rana, jeśli poprzekładam część zadań.

– Dziękuję. Mam wobec pana dług wdzięczności.

– Obiecanki cacanki.

Rue się rozłącza i uruchamia silnik. Toshi przez przednią szybę patrzy na szlak na końcu uliczki, prowadzący do gęstego lasu.

– Wiem, gdzie jest ta polana, na którą chodzą dzieciaki – mówi Rue. – Jutro przed świtem wyślemy ekipę na przeszukanie północnej części szlaku, przesłuchają każdego, kto będzie tam spał.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

Trzema funkcjonariuszami, którzy przyjechali na wezwanie sierżanta Wozniaka, byli posterunkowi Harry Woollcott, Leon Conti i Dal Manik. Conti, który przeszedł specjalne szkolenie z zakresu reagowania kryzysowego – kanadyjski odpowiednik amerykańskiego szkolenia SWAT* – ustawił ich czteroosobową grupkę w szyku bojowym. Ruszyli zwarci po schodach i taranem wyważyli zamknięte drzwi wejściowe.

Weszli do środka z wyciągniętą bronią i dudniącymi sercami.

Po ścianach spływała krew, a z dołu dobiegało skomlenie.

Conti w milczeniu skinął na Woollcotta i Manika, by pozostali na parterze. On i Wozniak ostrożnie zeszli do piwnicy.

Weszli do pokoju wypoczynkowego.

Tylem do schodów stała sofa. Za nią, tuż u podstawy schodów, leżał mężczyzna mierzący około metra osiemdziesięciu, a na dywanie obok niego – zakrwawiony śrubokręt. Mężczyzna miał ciemne włosy i bladą skórę. Zakola. Gęste wąsy. Był dobrze zbudowany i miał na sobie tylko bokserki. Tors miał podziurawiony ranami w kształcie liści. Prawy oczodół był ziejącą dziurą zalaną krwią. Ręce miał uniesione, pięści zaciśnięte, jakby szykował się do walki. Dosięła go już sztywność pośmiertna.

Znów rozległo się skomlenie. Obaj funkcjonariusze odwrócili się. Obok martwej kobiety, którą Wozniak zobaczył przez okno, gdy przybył na miejsce zdarzenia, skomlał i drżał mały terier. Szczeknął raz i znów zaczął skomleć.

Wozniak miał ściśnięte gardło. Oczy piekły go od łez.

Ciało kobiety – nagie od pasa w dół – również było podziurawione ranami.

W tym momencie Wozniak zdał sobie sprawę, że dywan pod jego butami jest przesiąknięty krwią. Poczł chlupotanie, gdy się poruszył. Okno w piwnicy było otwarte.

Na ścianie wisiała duża rodzinna fotografia oprawiona w ramkę. Przedstawiała tego nieżyjącego mężczyznę. I tę nieżyjącą kobietę. I dwoje dzieci – dziewczynkę w wieku około dwunastu lat i młodszego chłopca, ośmio-, może dziewięciolatka. W tym samym wieku, co dzieci Wozniaka. Policjant pomyślał o krwi spływającej po ścianach przy schodach.

– Dzieciaki – wyszeptał. – Gdzie one są, do cholery?

* SWAT – Special Weapons and Tactics (dosł. specjalne uzbrojenie i taktyka) – wyspecjalizowana jednostka policji do zadań podwyższonego ryzyka. Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji.

Rue

TERAZ

Rue naciska klawisz na swoim laptopie i na monitorze w sali konferencyjnej pojawia się zdjęcie Arwen Harper, przekazane przez Joego Harpera.

Grupa przy stole milknie.

Głównym śledczym w tej sprawie jest Rue, która kieruje sześciuosobowym zespołem – ma pod sobą trzech posterunkowych i trzech starszych posterunkowych, wszyscy są wyszkolonymi śledczymi. Jeden z nich, posterunkowy Henry Hague, pełni funkcję pełnomocnika, któremu przydzielono zadanie gromadzenia dokumentacji w sprawie oraz informacji w celu uzyskania nakazów. Toshi nazywa Henry'ego „despotą od dokumentów”, ponieważ nieustannie zwraca dokumenty funkcjonariuszom do przeredagowania i domaga się, by były dopracowane.

Na odprawie obecny jest również przełożony Rue, sierżant Luke Holder. Rue ma do dyspozycji kryminalistyczną jednostkę identyfikacyjną Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, laboratoria kryminalistyczne, może też korzystać z pomocy funkcjonariuszy z komisariatu w Story Cove jako „chłopców na posyłki”, ponieważ to oni jako pierwsi zjawili się na miejscu zdarzenia, a ciało zostało znalezione w ich rejonie.

– Mamy domniemaną tożsamość. – Wskazuje zdjęcie. – Arwen Harper, kobieta, czterdzieści jeden lat. Samotna matka. Mieszkanka Oak End w Story Cove. Artystka, pracowała w domu, a także jako kelnerka w tawernie Red Lion. Jej zaginięcie zgłosił syn, szesnastoletni Joe Harper. Nie figurowała w rejestrze karnym. Wcześniej pracowała na zlecenie, zajmowała się dziennikarstwem śledczym, głównie dla CBC.

Rue streszcza swojemu zespołowi wydarzenia od chwili, kiedy doktor Tom Bradley zadzwonił pod 911. Wymienia też zastrzeżenia dotyczące relacji Bradleya na temat wydarzeń.

Holder splata ręce na piersiach i opiera się na krześle.

– Zatrzymujemy tę sprawę? Są powody, by sądzić, że jest powiązana z napadami na Goose Trail i Elk Lake? Może przekażemy ją innemu wydziałowi zabójstw?

Rue nieruchomieje. Chce się zajmować tą sprawą, niezależnie od tego, czy ma związek z Zabójcą Biegaczek, czy nie. Z powodów, których nie jest

gotowa wyartykułować nawet sama przed sobą. Musi prowadzić to śledztwo.

– Intuicja mi podpowiada, że powinniśmy ją zatrzymać – mówi. – Okres pomiędzy śmiercią Arwen Harper a ostatnim atakiem zabójcy pokrywa się ze schematem wyciszenia naszego niezidentyfikowanego sprawcy, po którym następuje chęć ponownego ataku i zabójstwa. Warunki pogodowe również się zgadzają: ulewny deszcz, niskie chmury. Lokalizacja jest odpowiednia: gęsto zalesiony, odizolowany obszar. Profil ofiary też pasuje: biała kobieta uprawiająca jogging, samotna, pod względem wyglądu fizycznego i wieku podobna do wcześniejszych ofiar. Poważny uraz głowy...

– Mógł być spowodowany upadkiem – wtrąca Toshi.

– Sekcja zwłok powie nam więcej, ale zgadza się.

– Żadnych widocznych oznak napaści seksualnej? – pyta Luke.

– Napastnikowi mogło coś przeszkodzić – odpowiada Rue. – Możliwe, że kobieta go odepchnęła, uciekła w gęste zarośla i tam się ukryła. Wygląda na to, że walczyła z nim na skraju klifu. Mogła spaść, zanim napastnik zdążył zrealizować swój typowy plan. Jest coś jeszcze. – Klika kolejny klawisz. Na monitorze wyświetla się zdjęcie ofiary z czerwoną kurtką na głowie. – Zakryta twarz, ukrywająca brutalność obrażeń twarzy, ten szczegół jest zgodny ze schematem napadów Zabójcy Biegaczek i jest kluczowy, ponieważ zakrycie twarzy pozostaje nieujawnianym dowodem w pozostałych trzech przypadkach. Nie wie o nim nikt poza zgromadzonymi w tym pokoju. – Milknie. – Podobnie jak o tym, że Zabójca Biegaczek zabrał trofea. Pukle włosów każdej z ofiar oraz biżuterię.

– Bradley twierdzi, że zrobił to on? Że to on zakrył jej twarz? – pyta Luke.

– Zgadza się – potwierdza Rue. – Wygląda na to, że jest maratończykiem. W gabinecie jego przyjaciela Simona Cody'ego znajduje się zdjęcie ich obu z medalami z maratonu bostońskiego. Może znać szlaki Goose i Elk Lake. To popularne wśród biegaczy długodystansowych trasy.

– Trzeba będzie ustalić, czy Bradley często korzystał z tych szlaków – zauważa Toshi.

– Wysłałam DNA Bradleya do prywatnego laboratorium, tamtejsi technicy mają większe możliwości – informuje Rue. – Posłałam im również próbkę nasienia z jednej ze spraw Zabójcy Biegaczek. Jeśli będzie pasowała do DNA Bradleya, mamy naszego zabójcę. Prywatne laboratorium oczywiście nie będzie mogło sprawdzić niczego w federalnej bazie danych, pracownicy nie mają dostępu do policyjnych archiwów. Ale szybko otrzymamy wyniki, które albo potwierdzą udział Bradleya, albo go wykluczą, i na tym będziemy mogli oprzeć śledztwo.

W pokoju zapanowała wyczuwalna ekscytacja. Czasami potrzeba tylko tego – szczęśliwego trafu, choćby po latach. Zabójca popełnia błąd, robi coś głupiego, na przykład atakuje zbyt blisko domu. Albo ofiara walczy i sprawy przybierają zły obrót. Tom Bradley mógł się pomylić.

– A co z Simonem Codym? – pyta Luke.

– Mamy go na radarze – zapewnia Rue. – Arwen Harper przyjaźniła się z obydwoma mężczyznami. A także z innymi bywającymi w tawernie Red Lion. Ostatnio widziano ją na imprezie u Simona Cody’ego, gdzie podobno wdała się w awanturę z Tomem i Lily Bradleyami w domku przy basenie. Wygląda na to, że jedynym świadkiem całej tej kłótni, lub jej części, był Simon Cody. Joe Harper powiedział, że ostatni raz widział matkę na grillu u Cody’ego. Bradley załatwił sobie adwokatkę i już nie współpracuje. Jego żona też nie. Zdobyliśmy listę gości z przyjęcia i rozpoczęliśmy obchód od drzwi do drzwi w poszukiwaniu kolejnych świadków. Może ktoś przechodził z psem, może jakiś inny biegacz widział Arwen Harper idącą pobiegać tej nocy. A może ktoś widział wychodzącego Bradleya. Mamy już zeznanie jednego świadka ze Story Cove, radnej Virginii Wingate. Czekala w samochodzie przed domem Bradleyów na swoją córkę, która miała sesję terapeutyczną u Lily Bradley. Radna Wingate widziała Bradleya wchodzącego przez furtkę na tyłach ogrodu w białej koszulce, poplamionej czymś ciemnym, prawdopodobnie krwią. Twierdzi, że koszulka miała z tyłu duże, okrągłe, czarne logo. Uważa, że może to być logo Ocean Motion. Nie przypomina sobie, by w ręku Bradleya widziała latarkę. Głowę miał gołą. Włosy mokre. Kiedy wyszedł do mnie przed dom po tym, jak wezwał pomoc, miał na sobie niebieską koszulę i pomarańczową kurtkę, które zabraliśmy jako dowody.

– Więc się przebrał – mówi Georgia Backmann, która gorliwie sporządza notatki. Jest jedną z najmłodszych stażem osób w zespole.

Rue kiwa głową.

– Zgadza się. Jeśli uda nam się zgromadzić przekonujące argumenty i zdobyć nakaz, potrzebujemy tej koszulki Ocean Motion. – Bierze butelkę wody i wypija duży łyk. – I potrzebujemy zdjęć, które Matthew Bradley zrobił swojemu ojcu wracającemu z treningu.

Inicjatywę przejmuje Toshi.

– Rozpoczniemy od przeczesania lasu na północ od szlaku ze względu na doniesienia o włóczęgach. Być może ktoś coś widział. Szukamy też zaginionej latarki Bradleya.

– Włóczęga lub ktoś ciekawski byłby wyjaśnieniem trzeciego zestawu odcisków butów na klifie – mówi Luke.

– Tom Bradley pozostaje na razie naszym głównym obiektem zainteresowania – odzywa się Rue. – Jak wspomniałam, ma adwokatkę i nie odpowiada na żadne pytania. – Zawiesza głos. – Zatrudnił Dianne Klister.

– Klister? – Jeden z detektywów gwizdże cicho. – Chyba żartujesz.

– Jeśli zatrudnił Klister, obstawiam, że jest winny – stwierdza Backmann. – Niewinni ludzie nie wynajmują adwokatów jej pokroju. Wrzód na dupie.

Ktoś parska śmiechem.

– Dobra, sekcja zwłok jutro punktualnie o ósmej rano – informuje Rue. – Toshi i ja będziemy się jej przyglądać. Jeśli tożsamość denatki zostanie oficjalnie potwierdzona, Toshi z zespołem przeszuka mieszkanie Harper, rozglądając się przede wszystkim za elektroniką. Przy ciele nie znaleziono telefonu, a jej syn mówi, że zawsze biegała z komórką. Ja zajrzę do tawerny Red Lion przy Main Street.

Rue przydziela zadania pozostałym członkom zespołu, między innymi dokładne zbadanie przeszłości Toma Bradleya i Simona Cody'ego oraz skontaktowanie się i przesłuchanie wszystkich gości Codych.

– Bez względu na to, czy napaść na Arwen Harper była przypadkowa, wynikająca z okazji, czy też specjalnie zaplanowana, kluczowa będzie wiktymologia – mówi Rue. – Trzeba się zatem dowiedzieć, kim była Arwen Harper. Dlaczego przyjechała do miasta, kim byli jej przyjaciele. I co robiła w ciągu ostatnich minut, godzin, dni i tygodni przed śmiercią.

Rue milknie i spogląda na wszystkich po kolei.

– Dobra, prześpijmy się i jutro zaczynamy.

Kręgi na wodzie

TERAZ

Śmierć Arwen jest jak głaz wrzucony do spokojnych wód Story Cove, a rozchodzące się od niego fale tworzą gigantyczne, koncentryczne, przybierające na sile kręgi, które dosięgają każdego domu, życia każdego mieszkańca tej okolicy, nikogo nie pomijając.

Takie myśli krążą po głowie Lily, która siedzi obok Toma na kanapie w salonie i ogląda wiadomości. Dziennikarka stoi z mikrofonem przed posterunkiem policji w centrum miasta.

Na ekranie pojawia się obraz Dianne, Lily i Toma przyjeżdżających do domu Bradleyów samochodem Dianne. Lily z rosnącym przerażeniem wpatruje się w swój ładny dom w kolorze bakłazana z zielonym wykończeniem, które wybrała pod okap. Kamera na chwilę zatrzymuje się na tabliczce z nazwą jej praktyki.

PORADNIA POD DĘBEM, DR L. BRADLEY.

Zalewa ją żółć. Spogląda na Toma. To, co widzi na twarzy męża, wzbudza w niej lęk.

Tom odwraca głowę i zmienia kanał.

– Śledczy z wydziału zabójstw niewiele dziś mówią na temat ciała kobiety uprawiającej jogging, znalezione na...

Przełącza na inny kanał.

Na ekranie pojawia się samochód Dianne wjeżdżający na podjazd ich domu.

Dziennikarka przekrzykuje wrzawę.

– Pani Klister? Pani Klister, czy broni pani profesora Bradleya? Został oskarżony?

Dzwoni komórka Toma. Lily podskakuje.

Tom ścisza telewizor, wyjmuje telefon z kieszeni, spogląda na wyświetlacz, klnie pod nosem i odbiera.

Słucha, a Lily sztywnieje, gdy wyraz twarzy jej męża się zmienia.

Tom mówi do telefonu:

– Ale ja nic nie zrobiłem. Ja tylko ją znalazłem... – Słucha, kiwa głową. Kończy rozmowę. Patrzy przed siebie pustym wzrokiem.

– Tom? – odzywa się Lily.

Jej mąż odkaśluje.

– To była pani dziekan. Zarząd zwołał nadzwyczajne posiedzenie i zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli do czasu wyjaśnienia sprawy wezmę urlop, ze skutkiem natychmiastowym. Powiedziała, że może jesienią wszystko wróci do normy.

– Może?

Tom milczy.

– Chyba nie mogą tego zrobić? A gdzie zasada domniemania niewinności do czasu udowodnienia winy?

– Powiedziała, że będzie prościej, jeśli powiem, że sam zdecydowałem o tymczasowym wycofaniu się z uczelni. Pensję będą mi wypłacać. Ich zdaniem tak będzie najlepiej dla reputacji szkoły. – Tom zawiesza głos. Jego oczy zachodzą mgłą. – Jutro ktoś spakuje i przywiezie moje rzeczy osobiste.

Lily wpatruje się w męża. Fale dopiero zaczynają się tworzyć. Kiedy zaczną dzwonić jej pacjenci?

Niemal jak na zawołanie słyszy dźwięk telefonu w gabinecie.

– Tom – odzywa się ledwie słyszalnym szeptem. – Chyba będziemy musieli wysłać dzieci do twoich rodziców. Dopóki sytuacja się nie uspokoi.

Tom patrzy jej w oczy.

Oboje wiedzą, że „sytuacja” nie uspokoi się nigdy. Nie po tym wszystkim.

Matthew siedzi cicho w ciemności na piętrze, słuchając telewizji i rodziców na dole. Prawie wszystkie światła w domu są pogaszone z powodu obozujących na zewnątrz reporterów. Rodzice chcą, aby dziennikarze myśleli, że Bradleyowie poszli spać. Matthew wcześniej czuł ekscytację. Teraz jest po prostu zmęczony. I przestraszony. Nie dostał nawet porządnej kolacji. Tylko podgrzane pierożki o smaku pizzy. Rodzice nie rozmawiają przy nim i Phoebe, a ona też z nim nie rozmawia.

Wcześniej zajrzał do pokoju siostry. Płakała przez większość dnia po powrocie od Codych. Teraz jest zajęta swoim iPhone'm. Kiedy zapukał do jej drzwi, kazała mu spadać.

Matthew czuje, że łzy napływają mu do oczu.

Nie wie, dlaczego rano policja zabrała ojca na posterunek. Ani dlaczego ludzie w telewizji zachowują się tak, jakby jego tata mógł skrzywdzić mamę Joego.

Nie wie, dlaczego tata miał na sobie krew, gdy wrócił z joggingu, ani dlaczego zostawił zakrwawioną koszulę w domku ogrodowym. Ani dlaczego w telewizji mówią o zabójstwach innych biegaczek.

Kiedy Matthew chwilę temu poszedł szukać koszulki ojca w domku ogrodowym, niczego nie znalazł.

Jest przerażony, że mama i tata odkryją, że powiedział policji o zdjęciach. Zaczyna płakać.

Po drugiej stronie ulicy, u Codych, Joe ogląda z Simonem te same wiadomości. Hannah jest zajęta w kuchni. Dzieci na górze w swoich pokojach odrabiają lekcje.

– Co mówi policja na temat możliwego związku z morderstwami Zabójcy Biegaczek? – pyta reportera prezenter.

– W tej chwili niewiele lub nic – odpowiada wysłannik. – Ale śmierć kobiety jest traktowana jako podejrzana, a śledztwo prowadzi ta sama detektyw z wydziału zabójstw, która jest główną śledczą w sprawach Zabójcy Biegaczek.

Simon w milczeniu ogląda wiadomości. Nerwowość falami rozchodzi się po jego ciele. Hannah stara się być miła i słodka, ale Joe czuje się pusty. Odrętwiały. Jakby jego nogi, ręce, palce należały do kogoś innego. Nie może nawet myśleć.

Jedyną rzeczą, która pomaga Joemu, jest możliwość wysłania esemesa do Phoebe. Ale nawet ta cyfrowa wymiana zdań tylko wzmacnia napięcie. Phoebe coraz bardziej martwi się o ojca i coraz bardziej się broni. Joe czuje, że on też buduje wokół siebie mur. To o jego matce wszyscy rozmawiają.

Przychodzi kolejny esemes od Phoebe; telefon Joego wibruje, gdy ekran się podświetla. Czyta wiadomość.

Wiem, że mówiłam, że mój tata doprowadza mnie do szału i czasami mam ochotę go zabić, ale nigdy nikogo by nie skrzywdził. Przysięgam na swoje życie. Nie wiem, jak ludzie mogą wygadywać takie rzeczy w telewizji i na Twitterze.

Nie może tego zrobić – po prostu już dłużej nie może jej odpisywać. Zrywa się z kanapy i rusza w stronę schodów.

– Joe... – Hannah pędzi za nim. Kładzie mu rękę na ramieniu. – Tak mi przykro. Nie powinniśmy byli włączać wiadomości. Chodź na deser. Zrobiłam...

– Nie jestem głodny. Dzięki.

Idzie na górę do pokoju gościnnego, który przygotowała dla niego Hannah. Siada na łóżku i wpatruje się w okno. Na dworze jest ciemno. Wysoko nad

wierzchołkami drzew, które rosną za ich domkiem, niebo upstrzone jest gwiazdami. Łzy napływają mu do oczu, nie może złapać tchu.

Zastanawia się, co teraz z nim będzie. Ta pani sierżant zadzwoniła, żeby mu powiedzieć, że sekcja zwłok odbędzie się jutro o ósmej rano.

Kładzie się na wznak, a jego umysł wypełnia wspomnienie tego, co przeczytał w laptopie matki.

Sierżant Wozniak i posterunkowy Conti spojrzeli na rodzinne zdjęcie, a potem na siebie nawzajem. Obawiali się najgorszego. Skomlącym psem mogli zająć się później, na górze mogło być dwoje dzieci. Martwych. Albo żywych, w niebezpieczeństwie.

Szybko ruszyli z powrotem na parter. Posterunkowi Woollcott i Manik wciąż czekali, bladzi, z bronią w pogotowiu. Conti dał znak, by Woollcott i Manik pozostali na swoich miejscach. Wozniak i Conti weszli po schodach z bronią gotową do strzału.

Dywan na piętrze również był przesiąknięty krwią. Zakrwawione ślady stóp prowadziły do wyłożonej białymi kafelkami łazienki.

Funkcjonariusze zajrzeli do łazienki. Na kafelkach w kałuży zakrwawionej wody leżał nóż kuchenny.

Naprzeciwko łazienki znajdowała się sypialnia dziewczynki. Urządzona w pastelowych różach, z pluszowymi misiami i falbaniastą poduszką na łóżku. Nie było widać śladów przemocy. Mimo to Wozniakowi coś w tym pokoju nie pasowało. Coś wyczuwał. Conti skinął na Wozniaka, aby przeszedł z nim do następnego pokoju.

Funkcjonariusze ostrożnie ruszyli naprzód i weszli do sypialni chłopca wytapetowanej plakatami z *Gwiezdnych wojen*. Wozniak nigdy nie mógł zapomnieć tego, co zobaczył na łóżku dziecka. Doszło do wykrwawienia. Chłopiec leżał na plecach w samych majtkach. Niewidzące oczy wpatrywały się w sufit oklejony galaktyką gwiazd. Dziecko miało poderżnięte gardło i zostało pchnięte nożem. Obok łóżka leżał zabawkowy miecz świetlny.

Wozniak w pierwszej chwili pomyślał: *O Boże, próbował odeprzeć to zło swoim małym mieczem*. Druga myśl brzmiała: *Oby tylko żył*. Ale uświadamiał sobie prawdę. Chłopiec nie żył, a atak był brutalny. Rozbryźnięta krew poplamiała ściany, sufit, łóżko, dywan, okno, dosłownie wszystko. Ten mały chłopiec został zabity w swoim własnym łóżku. W swoim własnym pokoju. W swoim własnym domu. Podczas gdy jego rodzice byli w domu i powinni byli go ochronić. W porządnej, spokojnej dzielnicy zamieszkiwanej przez klasę średnią. W przestrzeni, która miała być bezpieczna. Wozniak usłyszał hałas i się odwrócił. Stał w kącie z łomoczącym sercem. W klatce szamotał się chomik, patrzył na niego.

Mężczyźni wyszli z sypialni. Conti ruszył przed Wozniakiem.

Weszli do głównej sypialni. Wozniak nie mógł złapać tchu. Na małżeńskim łożu leżał bez ruchu drugi chłopiec. Miał na sobie spodnie od piżamy. Jego twarz była zasłonięta poduszką.

Wozniak odbezpieczył broń i wziął poduszkę.

To dziecko również miało około siedmiu lub ośmiu lat. Ten chłopiec miał jaśniejsze brązowe włosy. Piegi. Otwarta buzia ukazywała brak zębów na przedzie. Jemu też podcięto gardło i został dźgnięty w mały tułów co najmniej cztery razy.

Ścianę nad łóżkiem zdobiło kolejne rodzinne zdjęcie. Przedstawiało tę samą martwą matkę i ojca, i chłopca z dziecięcego pokoju. I ładną dziewczynkę o jasnobrązowych włosach. Bardzo podobną do jego własnej córki.

– Kim jest ten chłopiec? – szepnął Wozniak, wpatrując się w zdjęcie. Pomyślał o śladach ciągnięcia przez kuchnię, prowadzących do tylnych drzwi. – A gdzie dziewczynka?

Conti mówi:

– Została porwana.

W kosmopolitycznej i brzydszej dzielnicy na północny zachód od Story Cove Rue nalewa sobie wódkę z tonikiem. Niesie ją na sofę na tacy, razem z talerzem z resztkami z obiadu, które podgrzała w mikrofalówce.

Dochodzi północ. Jest zmęczona i pobudzona jednocześnie. Pierwsze godziny w sprawie zabójstwa są krytyczne. Zje, prześpi się kilka godzin i wcześniej rano wróci do pracy.

Jej mąż, Seth, już spał, gdy wróciła do domu, a jej syn, Ebrahim, robi coś na komputerze w swoim pokoju. Jest na pierwszym roku studiów i zawsze ma mnóstwo pracy.

Rue popija wódkę, sięga po pilota i włącza telewizor. Znajduje wiadomości, które rutynowo nagrywa, i naciska PLAY. Na ścianie obok niej wisi zdjęcie jej mamy i taty – jej białych adopcyjnych rodziców – z Ebem. Zostało zrobione w zeszłym roku, tuż przed tym, jak Rue wybrała się z Ebem w drugą podróż do Afryki Południowej w poszukiwaniu biologicznych krewnych. Odwiedzili Maputo w Mozambiku, gdzie odnaleźli kuzyna jej biologicznego ojca. Nie dowiedzieli się jednak, co się stało z ojcem Rue. Po spotkaniu z kilkoma innymi krewnymi jej nieżyjącej biologicznej matki w Kapsztadzie, Rue dowiedziała się, że matka zmarła w wyniku pchnięcia nożem w dużym mieście Khayelitsha. Nikt nie postawił jej nagrobka, więc Rue i Eb zlecili wykonanie tablicy pamiątkowej i umieścili ją w ogrodzie pamięci nad morzem. Później Rue zabrała Eba do delty Okawango w Botswanie na safari, które było dla nich obojga wyjątkowym przeżyciem. To niezmiernie potrzebne wytchnienie okazało się wspaniałą sposobnością zacieśnienia jej więzi z Ebem.

Podróż dała Ebowi zrozumienie swoich korzeni od strony biologicznej rodziny Rue. Zawsze odczuwała pragnienie odnalezienia swoich biologicznych rodziców, gdy dorastała i czuła, że nigdzie nie pasuje, ale dopiero po narodzinach Ebrahima ta chęć przybrała na sile. Kiedy trzymała w ramionach swoje nowo narodzone dziecko, w pełni to do niej dotarło – po raz pierwszy w życiu patrzyła na krewnego, który wyglądał tak jak ona. Uświadomiła sobie, że więzy krwi łączą ją także z innymi ludźmi. Jej ciekawość wzrosła.

Od tamtego czasu Eb zaczął się interesować także korzeniami swojego ojca, więc teraz marzą o tym, by odwiedzić Danię, gdzie urodziła się mama Setha.

Gdy Rue przewija informację o powodzi, jej myśli wędrują ku Joemu Harperowi. Chłopakowi, który w niczym nie przypomina swojej matki. Który nie ma pojęcia, kim jest jego ojciec. Serce jej krwawi z powodu tego chłopaka. Współczuje mu.

Włącza PLAY, gdy widzi obraz z posterunku policji.

– Kobieta uprawiająca jogging została znaleziona dziś rano na plaży Grotto przez doktora Toma Bradleya, pracownika wydziału psychologii na Uniwersytecie Kordela. Doktor Bradley specjalizuje się w psychopatologii.

Do salonu wchodzi Eb.

– Cześć, tak mi się zdawało, że słyszałem, jak wchodzisz. – Idzie do kuchni i otwiera lodówkę. Syn Rue to studnia bez dna. Bierze dzbanek mleka, jabłko, resztki ciasta.

– Chyba trafiła ci się gruba sprawa, co? – Wnosi zapasy do salonu i siada na krześle obok matki. Odgryza kęs ciasta. – Myślisz, że to jedna z ofiar Zabójcy Biegaczek? – pyta, przełykając placek.

Rue spogląda na nadgarstek syna. Czuje ciężar na piersi.

– Pozostajemy otwarci – rzuca lakonicznie. – Jak było w szkole?

Eb wzrusza ramionami, odgryza kolejny kęs ciasta.

– Jutro muszę oddać pracę.

Rue się waha.

– O której twój ojciec wrócił dziś do domu?

Eb przestaje przeżuwać.

– Dlaczego?

– Po prostu... zastanawiałam się.

Syn lekko mruży oczy.

– Nie wiem, mamó. Byłem w swoim pokoju. – Spojrzał na nią dziwnie. – Jeśli o to chodzi...

– Nie o to.

Ale owszem. Tylko o to. To pochłania Rue, wypala jej wnętrzości niczym tłąca się smoła, a toksyczny dym powoli przenika do całego jej ciała. Wkrótce pochłonie jej umysł, a wtedy nie będzie już w stanie kontrolować gotującej się w niej wściekłości.

Eb spuszcza wzrok i wpatruje się w swoje jedzenie.

– Czasami ludzie są dobrzy tak ogólnie, ale nie są dla siebie stworzeni, wiesz?

– W porządku, Eb.

– Nic nie jest w porządku. W porządku będzie, jak go zostawisz.

Rue wytrzymuje wzrok syna. Głosy w wiadomościach rozmywają się. W jej głowie narasta szum. W sercu wzbiera matczyna duma. Tak bardzo go kocha. Jest jej całym światem.

– Jest dla mnie dobrym ojcem, ale nie jest dobrym partnerem dla ciebie.

Rue obawia się, że nie zapanuje nad emocjami. Jeśli jest ktoś, kto może doprowadzić ją do płaczu, to tylko syn. Rue i Seth zostali ze sobą dla niego. Eb kocha swojego ojca, ale Rue nie wierzy już, że jej małżeństwo może być udane. Seth zdradził ją po raz kolejny, choć obiecał, że to już koniec i że to się nigdy więcej nie powtórzy. Tym razem przyłapał go Eb i to on powiedział Rue.

– Nie rozmawiajmy o tym teraz, dobrze? – mówi Rue. – To był długi dzień.

Eb zabiera jedzenie i szklankę mleka, wstaje i się waha.

– Mamo...

– Słucham?

– Zrobię dla ciebie wszystko, mam, wiesz o tym, prawda? – Chwila ciszy. – Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Syn świdruje ją spojrzeniem, gdy to mówi. Rue nie może zapytać o drobne pomarańczowe i zielone koraliki, których brakuje na jego nadgarstku. Po prostu nie może.

Jeszcze nie teraz. Nie teraz. Jest pewna, że wszystko się ułoży, a wtedy nie będzie musiała pytać.

Rue

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

W prosektorium jest zimno. Pod sufitem biegną odsłonięte rury, a lodówki, w których przechowywane są zwłoki, szumią, utrzymując temperaturę na tyle niską, by powstrzymać rozwój bakterii i rozkład ciała. Rue uczestniczyła w wielu sekcjach. Zna specyficzny zapach, który unosi się w powietrzu każdej kostnicy – mieszankę woni preparatu konserwującego tkanki, środka do czyszczenia i samej śmierci. Jednak mimo swego doświadczenia Rue nie czuje się komfortowo. Żuje gumę cynamonową i obserwuje patologa Fareeda Gamala i jego asystenta. Toshi stoi obok niej. Oboje mają na sobie odzież ochronną. Fareed wypowiada swoje uwagi do mikrofonu nad głową.

Martwa kobieta leży naga na stole ze stali nierdzewnej. Jej głowa spoczywa na podwyższeniu, które eksponuje jej szyję. Stół jest lekko przechylony, aby płyny ustrojowe mogły odpływać. W nogach łóżka wisi waga spożywcza, czeka na organy. Po stronie Fareeda znajduje się mniejszy stół z blokiem sekcyjnym i ze specjalistycznymi narzędziami o dość brutalnym wyglądzie – nożycami do przycinania, wibrującą piłą do kości, dużymi nożami. Nie są to precyzyjne przybory przeznaczone do operacji ratujących życie. Służą do rozcinania ciał, otwierania klatek piersiowych, przepiłowywania kości.

Fareed i jego asystent już zważyli i zmierzili martwą kobietę. Przeprowadzili oględziny zewnętrzne i skrupulatnie usunęli włókna, kamyki, włosy i fragmenty roślinności. Następnie zdjęli biżuterię i ostrożnie rozebrali kobietę, rejestrując wszystko na bieżąco. Każdy przedmiot pobrany do tej pory z ciała – czy to małe włókno, czy kawałek ubrania – został oznaczony i włączony do dowodów.

Rue wpatruje się w tatuaż na wygiętej w łuk szyi denatki. Martwa kobieta na biodrze ma jeszcze jeden wytatuowany wizerunek, który przypomina wyobrażenie bogini Apate z pracowni Arwen Harper. Tusz widać wyraźnie na jej bladej, półprzezroczystej skórze.

Rue zmusza się do tego, by na denatkę patrzeć teraz obiektywnie. Musi myśleć logicznie, chłodno, bo inaczej nie wytrzyma sekcji. Z doświadczenia wie, że jeśli dopuści do siebie emocje, nie będzie w stanie skupić się na drobnych wskazówkach. Wyciąga kolejną pastylkę gumy do żucia i wkłada

ją sobie do ust. Toshi spogląda na nią. To dopiero jego druga autopsja. Ale on czuje się swobodnie. W przeciwieństwie do niej.

– Pachnie tak, jakby przed śmiercią sporo wypła – ocenia Toshi.

– Pokrywałoby się to z informacjami, że była mocno wstawiona podczas imprezy u Codych – mówi Rue, żując gumę.

– Jakie życie, taka śmierć – kwituje Fareed, sięgając po linijkę. – Nasze psychiczne i fizyczne traumy, nasza przeszłość, codzienne nawyki, żądze, pragnienia, fetysze, uzależnienia, to wszystko jest zapisane w ciele. – Spogląda na nich zza plastikowej przyłbicy, która wkrótce zostanie zbryzgana krwią i oblepiona odłamkami kości, gdy wyciągnie piłę. – Nasze ciała wszystko kodują, nawet jeśli my sami tego nie robimy. Tu, na moim stole, nic się już nie ukryje. Śmierć wszystkich zrównuje, jeśli chodzi o alkohol. Czy tania wódka, czy Dom Pérignon, wszystko to etanol. W każdej postaci jest toksyczny, a ludzkie ciało, metabolizując go, wydziela ten sam słodkawy zapach, niezależnie od tego, czy ktoś był bogaty, czy biedny.

Pochyliła się, aby zmierzyć i obejrzeć tatuaż na szyi. Opisuje go na potrzeby nagrania.

– Wygląda jak chimera – mówi do mikrofonu.

– Czyli co właściwie? – pyta Toshi.

Fareed zerka w górę.

– Postać z mitologii greckiej. Ziejący ogniem potwór płci żeńskiej. Przednia część ciała to lew, środkowa to koza, tylna to smok. Ogon jest zwykle przedstawiany z głową węża na końcu, tak jak tutaj. W dzisiejszych czasach słowa „chimera” czasami używa się na określenie czegoś nierealnego lub kaprysu.

– Jej syn powiedział, że tatuaż na biodrze przedstawia grecką boginię – informuje Toshi.

– Apate – dodaje Rue. – Bogini podstęp.

Fareed odwraca lewy nadgarstek denatki, odsłaniając jego wewnętrzną część.

– Głębokie rany obu nadgarstków od wewnętrznej strony – mówi. – Cięcia horyzontalne.

– Samookaleczenie? – pyta Rue.

– Odpowiadają dawnej próbie samobójczej – potwierdza Fareed i skupia się na poszarpanych paznokciach. Zaczyna pobierać zeszkrobiny.

– W Ontario chodziła do psychoterapeuty – mówi Toshi.

Zeszkrobiny trafiają do worków dowodowych oznaczonych jako PRAWY i LEWY. Fareed chwytą kleszcze. Zaczyna wyciągać rozerwany sznurek

drobnych pomarańczowych i zielonych koralików, które utkwily między jej palcami.

Rue przelyka slinę. Jej wzrok skupia się na nitce paciorków.

Fareed wrzuca je jeden po drugim do malej metalowej miski. Lądują w niej z brzękiem. W głowie Rue brzmi on nienaturalnie głośno.

– Pomarańczowe i zielone koraliki. Wyglądają na plastikowe. Okrągłe. Dwa milimetry średnicy. – Lekarz ostrożnie wyciąga spomiędzy palców kolejny, większy koralik. – Brązowy metal. Sześciokątny kształt. Dziesięć na pięć milimetrów. Płaska powierzchnia. – Marszczy lekko osłonięte przyłbicą brwi i pochyla się jeszcze bardziej. – Odcisnięty emblemat. – Milknie. – Wygląda jak stylizowana głowa nosorożca.

Brzęczenie w mózgu Rue staje się coraz głośniejsze. Czuje mrowienie na skórze.

Toshi pochyla się, żeby się przyjrzeć.

– Tak, to głowa nosorożca. Przynajmniej tak mi się wydaje. Na klifie znaleziono jeszcze kilka koralików. Domyślam się, że zerwała je napastnikowi podczas walki. Zanim spadła.

Rue czuje na szyi klaustrofobiczny uścisk. Myśli o Ebie. Nie może oddychać. Jest jej słabo.

Fareed wrzuca metalowy paciorek do naczynia ze stali nierdzewnej. Ląduje w niej z brzękiem.

Lekarz sięga po lampę Wooda – wielkości dużej latarki – a jego asystent wyłącza oświetlenie sufitowe.

Fareed przesuwa lampę Wooda nad ciałem, poszukując nasienia, które fluoryzuje pod wpływem promieni ultrafioletowych. Krew i ślina nie fluoryzują. Niektóre kłaczki tak. I chociaż nie ma ewidentnych dowodów napaści seksualnej, tak jak w przypadku ofiar Zabójcy Biegaczek, lekarz jest skrupulatny.

Dziwna plama fioletowego światła pojawia się na wewnętrznej stronie lewego uda kobiety.

Toshi zerka na Rue.

– Stąd pobierzemy DNA – mówi.

Zanim jednak Fareed rozpocznie pobieranie wymazów z pochwy, Rue czuje, że ogarniają ją mdłości.

– Przepraszam. Muszę się przewietrzyć. – Pośpiesznie kieruje się do wyjścia.

– Wszystko w porządku? – Toshi idzie za nią.

Rue podnosi rękę.

– Źle się poczułam. Muszę zażyć świeżego powietrza.

Szybkim krokiem wychodzi przez rozsuwane metalowe drzwi, a oprócz narastających mdłości czuje coraz większy wstyd. Biegnie po błyszczącej podłodze, pod pasami ostrego światła jarzeniówek, do wyjścia przeciwpożarowego na końcu korytarza. Wybiega za drzwi i pędzi w górę po betonowych schodach. Przez drzwi wypada na zewnątrz i łapczywie wdycha wilgotne, chłodne powietrze.

Kurwa.

Przezesuje dłońmi włosy i dociera do niej, że drży. Klnie jeszcze raz i zauważa nieopodal mężczyznę w lekarskim kitlu, palącego papierosa.

Rue nie paliła od miesiący. Mężczyzna patrzy na nią tak, jakby umiał ją przejrzeć na wylot.

– Dzień się źle zaczął? – pyta.

– Chyba tak. Poczęstowałałby mnie pan jednym?

Mężczyzna podaje jej paczkę, a ona wyciąga papierosa. Drżącą dłonią wkłada go do ust, a on pstryka zapalniczką. Rue pochyla się, by zapalić i się zaciąga.

Lekko kaszląc, dziękuje.

Mężczyzna odchodzi, a ona stoi i pali pod osłoną betonowej płyty. Nie może uwierzyć, że poprosiła obcego mężczyznę o papierosa. W jej umyśle pojawia się wspomnienie.

Jest gorąco. Sucho. Tak gorąco, że skwar mieni się bielą nad afrykańskim krajobrazem.

Stoi przed sklepikiem z pamiątkami w ich hotelu w Botswanie i pali papierosa w skąpym cieniu ciernistego drzewa, a Eb kupuje drobiazgi, które chce przywieźć do Kanady.

Jej syn wychodzi ze sklepu z dwiema plastikowymi torebkami. W każdej z nich znajduje się afrykańska bransoletka z koralików z pojedynczym koralikiem w kolorze brązu z wizerunkiem nosorożca – logo fundacji Save the Rhino.

Eb uśmiecha się z zakłopotaniem. „Jedna dla mnie, druga dla taty”. Pokazuje błyskotki Rue. A ona wie, że kupił je dlatego, że ich botswański przewodnik nosił kilka podobnych na nadgarstku, razem ze skórzanym rzemykiem, na który nawleczone były większe paciorki. Młodego, przystojnego i muskularnego tropiciela, który znalazł lwy i pokazał im, jak podążać za śladami afrykańskich dzikich psów, Eb darzy bezgranicznym podziwem.

Rue jeszcze raz się zaciąga i poddaje przemożnej sile wspomnienia.

– Myślisz, że tata będzie ją nosił?

– Wszystko mi jedno. – Błysk jego promiennego uśmiechu, jego jasne, białe zęby. – Mogę nosić obie. Cel jest szczytny. Fundacja otrzymuje pieniądze

z każdej sprzedanej bransoletki i przeznaczają je na walkę z kłusownictwem.

Rue nabiera dymu do płuc i kaszle. Oczy jej łzawią.

Powtarza sobie, że jej najważniejszym zadaniem jako policjantki jest ochrona społeczeństwa. Na razie nic nikomu nie grozi dlatego, że milczy w sprawie koralików Eba. I na temat tego, że martwa kobieta mogła być jedną z tych, z którymi romansował jej mąż. Tłumaczy sobie również, że prawie każdy, kto wybiera się do Afryki Południowej na safari, przywozi podobne błyskotki. Ratowanie nosorożców to sprawa wielkiej wagi. Takie koraliki może kupić online każdy na całym świecie.

Jednak gasząc papierosa, Rue wie, że to nie jest już tylko chłodne myślenie – wkracza na śliskie zbocze wypierania. Powtarza sobie, że jeśli ta sprawa naprawdę stanie się dla niej problemem, zgłosi to przełożonemu, który oceni, czy powinna zostać odsunięta od śledztwa. Poza tym o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że kobietę spotkało nieszczęście, ponieważ znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i padła ofiarą oportunistycznego drapieżcy, może nawet Zabójcy Biegaczek. Możliwe też, że jej śmierć ma związek z Tomem Bradleyem lub Simonem Codym.

Albo z jednym i drugim.

Zazwyczaj odpowiedź najbardziej oczywista jest tą prawidłową.

Rue ciężko pracowała, aby zdobyć stanowisko w wydziale zabójstw. Zdaje sobie sprawę z plotek i pomówień, że dostała tę posadę tylko po to, żeby wydział mógł spełnić wymagania polityki dotyczącej różnorodności, i stara się udowodnić, że na nią zasługuje. Nie zamierza w to mieszać swoich żalonych problemów małżeńskich ani życia osobistego. Strzeże swojej prywatności, swoich słabości i swojego syna jak lwica i nie pozwoli, by Seth swoimi podbojami spieprzył jej karierę. Albo życie jej synowi.

Gdy wraca do szpitala i schodzi po schodach do mieszczącego się w piwnicy prosektorium, cofa się myślami do dnia, w którym postanowiła śledzić męża.

Rue

WTEDY

8 czerwca. Środa.

JEDENAŚCIE DNI PRZED JEJ ŚMIERCIĄ

Rue zaparkowała przed Centrum Rekreacyjnym Windsor Park. Od ponad godziny siedzi w samochodzie i obserwuje wejście. Znalazła miejsce na skraju parkingu – jej białe subaru stoi w cieniu, częściowo osłonięte przez kępę drzew. Lustrując wejście do ośrodka sportowego, słucha nagrania z aplikacji Pimsleur do nauki portugalskiego na poziomie podstawowym. Może przecież wykorzystać ten czas i spróbować przynajmniej liznąć języka, którym mówił – a może nadal mówi – jej biologiczny ojciec. Może jej się przydać, gdy z Ebem ponownie odwiedzą Mozambik.

Powtarza za prowadzącym: *Eu não sou daqui.*

Nie jestem stąd.

Rue ma doświadczenie w obserwacji. Wie, jak śledzić ludzi tak, by nie zostać zauważoną. Nie przypuszczała jednak, że swoje umiejętności wykorzysta w dzień wolny od pracy do śledzenia własnego małżonka.

Zerka na zegarek.

– *Onde é o aeroporto* – mówi instruktor.

Gdzie jest lotnisko?

– *Onde é o aeroporto?* – powtarza Rue, siłąc się na odpowiedni akcent.

Za każdym razem, gdy ktoś wyłania się zza szklanych drzwi ośrodka, Rue tężeje. Drzwi otwierają się ponownie i z budynku wychodzą dwie kobiety w designerskich legginsach, niosąc maty do jogi i kawę z klubowego baru. Następnie pojawia się kobieta z dwójką rozwrzeszczanych dzieci. Maluchy mają mokre włosy, jeden uderza drugiego w głowę makaronem basenowym.

Rue ponownie spogląda na zegarek. Dziś się nie spieszy. Nagle widzi go w drzwiach. Swojego męża. Czuje ucisk w żołądku. Jest potężny pod każdym względem. Postawny. Nordyckie geny widać na pierwszy rzut oka. Ma blond włosy w piaskowym odcieniu.

Jest sam. Po chwili drzwi ponownie się otwierają i z budynku wychodzi kobieta. Rue zaciska dłonie na kierownicy. Trzymając się jej, lekko się odchyła. Seth zna jej auto, ale to jeden z wielu białych hatchbacków na

pełniutkim parkingu. A ona starannie wybrała miejsce postojowe. Poza tym Seth jest całkowicie skupiony na towarzyszącej mu kobiecie.

Świat przestaje istnieć w obliczu zakochania. Czy też pożądania.

Przez chwilę wzburzona Rue nienawidzi swojego męża.

Seth przechodzi z kobietą pod oknami basenu. Wiatr podwiewa jej spódnicę i wicherzy delikatne loki, zarzucając kosmyki na twarz. Kiedy Rue była mała, dałaby wszystko za takie delikatne, miękkie loki. Jej mąż i kobieta podchodzą do rogu budynku, a gdy skręcają, tuż przed tym, zanim znikną z pola widzenia Rue, jej mąż dotyka twarzy kobiety. Pochyla się, przyciąga ją do siebie i całuje.

Rue patrzy, jak ręka kobiety zsuwa się po plecach jej męża. Kobieta trzyma Seta za pośladki i przyciąga go do siebie, a on całuje ją namiętniej.

Rue kipi wściekłością. W jej żołądku kotłują się zazdrość, niepokój, ból i gorycz. Jak można się czuć w takiej sytuacji? Powinna to wiedzieć. Seth zdradza ją nie pierwszy raz. Obiecał, że się zmieni. Tym razem przeżywa to jednak szczególnie mocno, bo teraz wie o tym Eb. Czuje, że w oczach syna jest tylko popychadłem.

Jest jej wstyd. Seth najwyraźniej ma gdzieś, że ją poniża.

Nawet nie próbuje silić się na subtelność. Wszyscy mogą ich zobaczyć. Oczy ją pieką.

Zastanawia się, jak ta kobieta się nazywa, gdzie mieszka, czy jest mężatką, tak jak poprzednia. Chciałaby zobaczyć jej twarz.

Kobieta i Seth wsiadają do jego pick-upa.

Obok samochodu Seta przechodzi jedna z dziewczyn z jego drużyny pływackiej. Rue rozpoznaje Tarryn Wingate. Seth opuszcza szybę i macha do swojej podopiecznej. Tarryn odwzajemnia gest, a Rue nagle ma ochotę zabić męża. Nie tylko brak mu sprytu, on wręcz obnosi się z tym swoim romanssem i widzą go ludzie, którzy ją znają. I mijając się z Rue na ulicy, będą znali sekret jej męża. Pomyślą sobie: co z niej za detektyw. Ofiara. Nie potrafi nawet odejść od białego męża, który ją zdradza. Rue nie może wyprzeć się paskudnego przekonania, które pojawia się głęboko w jej wnętrzu – że mąż nie szanuje jej z powodu jej wyglądu, koloru jej skóry. Znów jest outsiderką. Dziewczyną, która nie pasuje. Dziewczyną adoptowaną przez liberalnych białych rodziców, którzy chcieli zrobić coś dobrego dla świata, którzy nigdy nie rozumieli, dlaczego ich czarnoskóre dziecko nie może się zwyczajnie zasymilować.

Eu não sou daqui.

Nie jestem stąd.

Pick-up Seta wyjeżdża z parkingu. Rue zaciska zęby i rusza za nim.

Ma jeden cel: dowiedzieć się, kim jest ta kobieta.

Gdyby Eb nie powiedział jej, że widział ojca z kobietą, Rue uwierzyłaby Sethowi. Dałaby się nabrać, że tym razem mówi poważnie. I że dotrzyma obietnicy. Tak bardzo chciała w to wierzyć.

Eb miał opory, żeby jej powiedzieć, że widział ojca całującego się z inną kobietą. Bał się, bo nie chciał jej zranić, ale był zbyt wściekły na ojca, by wszystko przemilczeć, poza tym nie mógł znieść tego, że ojciec tak traktuje matkę.

Pick-up skręca w Main Street, która prowadzi do elitarniej dzielnicy Story Cove. Wściekłość zawężyła się do gorącego, białego punktu na środku czoła Rue, która z całych sił ścisła kierownicę.

Jezu, Seth. Kobieta stamtąd? Ze Story Cove? Prawdopodobnie uprzywilejowana żona starszego męża z pieniędzmi.

Jego auto podjeżdża do rampy załadunkowej przed budynkiem w stylu Tudorów z poruszającym się na wietrze szyldem z napisem THE RED LION TAVERN. Mniej więcej przecznica dzieli ich od przystani w Story Cove.

Rue zatrzymuje się kilka samochodów za dostawczakiem. Kobieta wysiada z pick-upa. Widać ją teraz wyraźnie, ale stoi tyłem do Rue, która przełyka ślinę, wyteżając wzrok. Kobieta ma na sobie spódnice w stylu boho, białą bluzkę w groszki i mnóstwo bransoletek. Jest zupełnym przeciwieństwem Rue, która często słyszy, że jest sztywna, zbyt oficjalna, zbyt powściągliwa, że powinna się *trochę wyluzować i pośmiać*. Rue pociesza się myślą, że to policyjna dyscyplina. Choć wie, że chodzi o coś głębszego. Boi się odpuścić. Boi się, że może stracić to, do czego doszła, jeśli przestanie to kurczowo trzymać. Boi się rozpadu rodziny, bo o rodzinę walczyła i zawsze w nią wierzyła.

Jak widać, i tak przegrała.

Kobieta żegna się z Sethem buziakiem, a on odjeżdża.

Rue nie rusza się z miejsca i obserwuje, jak kobieta wchodzi do budynku z fasadą w stylu Tudorów i z czerwonymi parasolami na zewnątrz.

Drzwi się za nią zamykają. Czas płynie. Rue wpatruje się w duże menu z kanapkami przed wejściem do Red Lion. Reklamuje zestawy na lunch i promocyjne oferty dań na wynos.

Przez chwilę siedzi bez ruchu. Odrętwiała. Czas płynie. Nagle dochodzi do wniosku, że natychmiast potrzebuje jedzenia na wynos.

Sięga na tylną kanapę, znajduje czapkę i luźną kurtkę. Zakłada je, a później okulary słoneczne. Naciąga czapkę na czoło i wysiada z samochodu.

Podchodzi do drzwi tawerny i wchodzi do środka.

Rue

WTEDY

8 czerwca. Środa.

JEDENAŚCIE DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

W tawernie zdejmuje okulary. Jej wzrok potrzebuje chwili, by przyzwyczać się do półmroku. Wnętrze jest wyłożone boazerią z ciemnego drewna, oświetlone ciepłym punktowym światłem, ławki w łóżach obite są czymś, co wygląda na zieloną skórę. Panuje w nim klimat dawnej Anglii z nowoczesnymi akcentami. W głębi lokalu znajduje się bar. Błat wykonany jest z kutej miedzi. Samotny barman poleruje kufel.

Stanowisko hostessy jest puste. Rue czeka chwilę, ale w końcu mija znak, który prosi gości o poczekanie na przydzielenie miejsc. Wchodzi do restauracji i uważnie przygląda się gościom siedzącym przy stolikach i w łóżach.

– Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

Rue się odwraca.

Widzi kobietę z kartą dań w dłoni.

– Stolik dla jednej osoby?

– Wpadłam tylko po danie na wynos.

– Mogę przyjąć zamówienie. Albo może je pani złożyć u Rahoula przy barze.

– Na tablicy przed wejściem widziałam, że macie smażone kalmary w promocji.

– To jedna ze specjalności naszego szefa kuchni. – Kobieta się uśmiecha.

Rue ocenia, że jest po pięćdziesiątce. Na tabliczce na jej piersi widnieje imię DEZ.

– W takim razie poproszę kalmary na wynos.

– Z frytkami czy z ryżem?

– Hm... Z frytkami. – Rue próbuje zajrzeć za ścianę, do innej części restauracji, bo nigdzie nie widzi kochanki męża.

– Coś do picia?

– Perrier, dziękuję.

– Pani imię?

– Sue.

– W porządku. Czas oczekiwania wynosi około piętnastu minut. Może pani usiąść przy barze, Rahoul przygotuje napój. Można też poczekać w recepcji.

Rue podchodzi do baru i przysiadła na stołku. Rahoul stawia przed nią szklankę na podstawce oraz małą butelkę wody Perrier z plasterkiem cytryny.

– Z lodem? – pyta.

– Nie, dziękuję. – Rue wrzuca cytrynę do szklanki, nalewa wodę, i odwraca się na stołku, żeby obserwować restaurację, bo jest pewna, że ta kobieta tu weszła.

Kiedy kończy dopijać Perrier, dostrzega swoją ofiarę. Rue ze zdziwieniem obserwuje kobietę, która niesie do stolika tacę z napojami i zaczyna je serwować. Nie widzi jej twarzy, ale ubranie i włosy z pewnością należą do niej.

A więc Seth posuwa kelnerkę?

A nie trenującą na siłowni żonę faceta z wyższych sfer?

Rue nie może oderwać wzroku od kelnerki, gdy ta wraca do kuchni. Udaje jej się jedynie przelotnie dostrzec profil kobiety.

– Sue? – odzywa się głos za jej plecami.

Kelnerka znika w kuchni. Drzwi się za nią zamykają.

– Sue? – Kobięcy głos jest głośniejszy. – Zamówienie gotowe.

Rue odwraca się i widzi Dez trzymającą torbę z jedzeniem.

– Och... Przepraszam. Zamyśliłam się. – Bierze od Dez torbę i po chwili wahania pyta: – Czy do kuchni przed chwilą wchodziła Rebecca? To Rebecca, prawda? Ostatnio nas obsługiwała, była świetna. Mam nadzieję, że mój mąż zostawił jej odpowiedni napiwek.

Uśmiech Dez nieco blaknie, a na jej czole pojawiają się lekkie zmarszczki. Rue usiłuje wyciągnąć od niej imię kelnerki, ale uświadamia sobie, że trochę przesadziła i że powinna się wycofać, bo kobieta patrzy na nią podejrzliwie. Podnosi torbę.

– Dziękuję. Ładnie pachnie.

Rue wychodzi z tawerny z łomoczącym sercem. Zakłada okulary. Jest zdenerwowana. Co ona wyprawia, do cholery?

Jej mąż posuwa hippiskę, która serwuje jedzenie w eleganckiej tawernie w Story Cove? Rue domyśla się, że nawet jeśli jest kelnerką, to musiał ją poznać podczas ćwiczeń na siłowni po treningu drużyny pływackiej.

Wraca do samochodu i kładzie torbę z gorącymi kalmarami i frytkami na siedzeniu pasażera. Uruchamia silnik, wyjeżdża z parkingu i włącza się do ruchu. Eb szybko upora się z posiłkiem.

Ma ochotę zostawić torbę z logo Red Lion na kuchennym blacie, żeby zobaczyć reakcję Seta.

Tak czy inaczej, ma tego dość. Zamierza się z nim rozprawić.

Rue

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

Rue wchodzi do prosektorium w chwili, gdy wyprowadzają z niej przenośny aparat rentgenowski. Technik pchający urządzenie uśmiecha się do niej, kiedy ją mija. Fareed i Toshi podnoszą głowy i spoglądają na Rue pytająco.

– Przepraszam – mówi. – Coś mi wypadło.

– Jedzenie z żołądka? – pyta Toshi z rozbawieniem w oczach.

Rue odkasłuje i kiwa głową w kierunku monitora za Fareedem.

– Co wyszło na zdjęciach?

Fareed przygląda się jej jeszcze przez chwilę.

– Cóż, zdjęcia rentgenowskie odpowiadają dokumentacji dentystycznej, którą przesłano mi mejlem z samego rana. – Wskazuje obraz. – Zrośnięte złamanie kostki bocznej również pasuje do danych medycznych. To częste złamanie, pęknięcie wypukłości od zewnętrznej strony kostki. Dokumentacja medyczna wskazuje, że z powodu tego złamania była leczona dwa lata temu.

– Lekarz na chwilę milknie. – To ona. Arwen Harper.

– Próbkę DNA z jej włosów i ze szczoteczki do zębów prawdopodobnie również to potwierdzą, gdy dostaniemy wyniki badań – mówi Toshi.

– Czy z jej dokumentacji medycznej wynika coś jeszcze? – pyta Rue. W jej umyśle pojawia się obraz męża całującego ciemnowłosą kobietę. Próbuje się otrząsnąć, próbuje sobie wmówić, że to nie z Arwen Harper, matką Joego, bzykał się Seth. W głębi duszy wie, że choć zaprzecza rzeczywistości, jest jak owad uwięziony w szponach mięsożernego dzbanecznika i tak czy owak zostanie pożarta.

– Z dokumentów wynika, że sześć lat temu Harper została skierowana przez swojego lekarza rodzinnego do zakładu psychiatrycznego po czymś, co wyglądało na epizod psychotyczny. Została tam zdiagnozowana i leczona z powodu zaburzeń schizoafektywnych.

– Co to znaczy? – Rue czuje mdłości.

– Nie jestem psychiatrą – odzywa się Fareed – ale z tego, co wiem, to stan opisywany jako połączenie objawów schizofrenii: omamów słuchowych lub halucynacji, lub obu. Krótko mówiąc, pacjent traci kontakt z tym, co ogólnie uważa się za rzeczywistość. Może to przybierać postać paniki, objawiającej

się zachowaniem maniakalnym. Albo depresji z objawami depresyjnymi. Występuje także postać mieszana, z objawami maniakalnymi i depresyjnymi.

– Masz na myśli chorobę afektywną dwubiegunową? – pyta Rue.

– Tak, o ile dobrze zrozumiałem. Prowadzi do rozchwiania emocjonalnego.

Rue przygląda się ciału, tatuażom. W jej umyśle znów pojawia się barwny obraz kobiety z Sethem. Widzi rękę kobiety opuszczającą się po plecach jej męża, dłoń ściskającą pośladki Setha. Teraz już o tym nie zapomni. Nagle budzi się w niej desperackie pragnienie, aby Tom Bradley przyznał się do zabicia tej kobiety, bo wtedy nie musiałaby pytać Setha o kobietę o imieniu Arwen.

Ani Eba.

– Na pewno wszystko w porządku? – pyta szeptem Toshi.

– Tak. Tak, nic mi nie jest – zapewnia szybko Rue i bierze się w garść. – Chyba łapie mnie przeziębienie. Jakieś sugestie co do przyczyny śmierci?

Fareed marszczy brwi. On też dziwnie spogląda na Rue.

– Muszę ją jeszcze otworzyć. Ale... – Jego wzrok powraca do ciała na stole. – Przypuszczam, że nie będziemy w stanie wskazać konkretnego ciosu, który ją zabił. Być może będę musiał stwierdzić w opinii, że zmarła z powodu tego urazu. Odpowiadałoby to śmierci spowodowanej obrażeniami powstałymi w wyniku skoku lub upadku z dużej wysokości, a także urazami od wybuchu lub uderzenia – lub uderzania – twardymi przedmiotami, takimi jak kamienie, pięści, łom, kij, piłka, pojazd.

– Jeśli tak, to w żaden sposób nie można udowodnić, że mamy do czynienia z zabójstwem? – pyta Rue.

– Tak jak powiedziałem, mam jeszcze sporo do zrobienia, ale owszem, może się tak skończyć.

– Na klifie są ślady walki – przypomina jej Toshi. – I ślad krwi na szczycie. I ślady stóp kogoś, kto za nią szedł.

– O ile ta krew na klifie to jej krew.

Toshi marszczy brwi.

– Cóż, wkrótce powinniśmy mieć wyniki DNA oraz DNA nasienia...

– Które mogło, ale nie musiało pojawić się w chwili śmierci. To znaczy, mogła uprawiać seks, zanim poszła biegać.

– Biorę się do roboty – odzywa się Fareed.

Rue kiwa głową.

– Toshi, możesz tu zostać? Ja pojedę do Joego Harpera, poinformuję go, że mamy oficjalnie potwierdzoną tożsamość. Na wszelki wypadek przygotowuję nakaz wydania rejestru połączeń telefonicznych Arwen Harper i nakaz

przeszukania jej miejsca zamieszkania. Jeśli ktoś zabrał jej komórkę, bilingi pomogą nam ją zlokalizować. Wydam też komunikat prasowy, skoro znamy już tożsamość ofiary. Później pojedę do Red Lion i porozmawiam z pracodawcą Arwen.

– Chcesz, żebym się tym zajął? – pyta Toshi.

– Ty możesz zostać i...

– Poradzę sobie. Potrzebuję świeżego powietrza.

Muszę przeprowadzić rozmowę w Red Lion. Sama.

– Dzięki, chłopaki. Na razie.

Wychodzi z prosektorium, krew się w niej burzy.

Czuje na swoich plecach świdrujący wzrok Fareeda i Toshiego. Czuje ich zaniepokojenie. Musi wziąć się w garść. Musi zapanować nad sytuacją, i to szybko.

Matthew

WTEDY

25 maja. Środa.

TRZY I PÓŁ TYGODNIA PRZED JEJ ŚMIERCIA

Jest zwykły dzień tygodnia, ale Matthew się przeziębził i choć nie jest strasznie chory, mama powiedziała, że może zostać w domu. Zawsze bez problemu nadrabia szkolne zaległości, więc mama nie ma nic przeciwko temu, by od czasu do czasu zrobił sobie wolne. Beztrosko gra na swoim iPadzie, aż nagle słyszy odgłos zamykanej furtki. To sygnał – kolejny pacjent w drodze.

Chwyta aparat i podchodzi do frontowego okna swojej wieży obserwacyjnej. Przygląda się nadchodzącej kobiecie. Ma rude włosy do ramion i pcha rower z kaskiem zawieszonym na kierownicy. Matthew wyteża wzrok – rower ma odblaskową naklejkę z logo Nike na poprzeczce. Jak rower Tajemniczego Człowieka? Ogarnia go ekscytacja. Uważnie obserwuje, jak kobieta wprowadza rower przez furtkę, nieco przy tym hałasując. Poradnia mamy ma osobne wejście i alejkę, która od ulicy prowadzi pod trejażem do gabinetu. Za drzwiami mieści się niewielka poczekalnia dla pacjentów. Wchodzą, wciskają przycisk, dzięki któremu mama wie, że już są, a później siedzą i czekają, aż ich wywoła.

Po wizycie wychodzą bocznymi drzwiami na ścieżkę i idą do furtki przy ulicy. Jego mama mówi, że wymyśliła to w ten sposób, aby pacjenci nie musieli mijać się po drodze. Niektórzy ludzie nie chcą, by wiadano, że korzystają z terapii, wyjaśniła mu kiedyś. A jeśli ktoś się rozplacze i tak dalej, może wyjść tylnymi drzwiami i wtedy nikt nie zobaczy jego opuchniętej twarzy. Ludzie chyba często u mamy płaczą. Matthew doszedł do wniosku, że stan, który wymaga terapii, musi być czymś strasznym, skoro wywołuje w ludziach taki smutek.

Nigdy wcześniej nie widział tej pacjentki z rowerem. Zwykle o tej porze w dni powszednie jest w szkole. Wychyla się przez szeroko otwarte okno, wystawiając głowę i aparat. Robi kilka zdjęć z ukrycia.

Kilka chwil później Matthew słyszy, że boczne drzwi zamykają się na dole. Szybko podchodzi do okna wychodzącego na ścieżkę. Dostrzega postawnego

mężczyznę wychodzącego przez furtkę. Jest umięśniony, a jego piaskowe włosy są bardzo krótko ostrzyżone, jak u żołnierza.

Matthew pstryka zdjęcia, gdy mężczyzna podchodzi do dużego pick-upa dodge'a z błyszczącą kratą. To strażak. Zwykle przychodził po południu, więc Matthew widział jego samochód, gdy mężczyzna był na terapii. Nad rejestracją znajduje się mała tabliczka. Widnieje na niej napis STRAŻ POŻARNA STORY COVE.

Matthew nie wyobraża sobie strażaka płaczącego na dole. Nie mieści mu się w głowie, dlaczego strażak, który wygląda na tak silnego jak ten facet z wielkim samochodem, miałby potrzebować terapii.

Ale mama mówi, że nie można oceniać w ten sposób. Nie ma znaczenia, jak ktoś wygląda, liczy się to, co czuje. Uczucia ma każdy. Miłości, zranienia, zdrady, złości, wściekłości, depresji. Czasami na zewnątrz nie widać, jak bardzo załamani lub nieszczęśliwi ludzie bywają w środku. Każda osoba na tej planecie, zdaniem mamy, nosi swoje cierpienia i tęsknoty. I sekrety. Przez te sekrety ludzie czasami źle się czują, ponieważ trudno je ukryć i ropyją. I wtedy przychodzą do jego mamy.

Matthew podoba się ta myśl.

Ludzie przychodzą do gabinetu na dole, w którym pracuje jego matka, a ona stopniowo nakłania ich do wyjawienia swoich sekretów, a kiedy już to zrobią, odczuwają ulgę, czują się lepiej i cały świat wygląda inaczej. Matthew robi zdjęcie strażakowi, gdy ten wsiada do swojego pick-upa.

Jest przekonany, że strażak zaraz sobie pojedzie. Ale nie odjeżdża. Siedzi w aucie do czasu, aż wychodzi kobieta z rudymi włosami i z rowerem.

Zakłada kask, wyprowadza rower za furtkę i rusza ulicą.

Dopiero wtedy strażak uruchamia silnik i jedzie tą samą ulicą, tuż za kobietą z rudymi włosami.

Lily

WTEDY

25 maja. Środa.

TRZY I PÓŁ TYGODNIA PRZED JEJ ŚMIERCIA

ZAPISKI Z KARTY: GARTH

Pacjent, strażak pod sześćdziesiątkę, żonaty, ojciec trojga małych dzieci, dużo młodsza żona. Zgłasza się po pomoc w pogodzeniu się z diagnozą śmiertelnego nowotworu. Mówi, że pozostało mu osiem miesięcy życia.

– Napisał pan list do Rose? – pyta Lily. Jej pacjent jest dziś bardziej nerwowy niż zwykle, zajęcie wygodnej pozycji na sofie w kolorze owsianki zajęło mu kilka minut więcej niż zwykle.

Garth wyciąga z kieszeni koszuli złożoną kartkę papieru. Podnosi ją.

– Tak.

Jest pacjentem Lily od niemal dwóch miesięcy, ale cztery tygodnie zajęło mu napisanie listu, który może, ale nie musi, zostawić żonie do przeczytania, gdy go już nie będzie.

– Mam przeczytać na głos? – pyta.

– A chciałby pan?

Garth przeczesuje palcami swoje krótkie włosy, jakby próbował powstrzymać swędzenie, które ma bardziej podłoże psychiczne niż fizyczne.

– Dobrze – mówi. – Dobrze, zrobię to.

Rozkłada kartkę i odchrząkuje.

– Moja ukochana Rose... – Niemal natychmiast wzruszenie odbiera mu głos. Klnie, do oczu napływają mu łzy.

Lily podsuwa mu pudełko chusteczek. Współczuje mu. Problemy pacjentów dotyczą ją bardziej niż zwykle. Prawdopodobnie z powodu przybierającej na sile paranoi, poczucia, że jest obserwowana, dręczona, z powodu tajemniczych liścików i odcisku satanistycznego, jej zdaniem, symbolu kozła. I słów: *Od kogoś, kto wie.*

Do tego dochodzi pusta butelka wódki o smaku truskawkowym, którą Lily znalazła rano pod łóżkiem Phoebe, gdy szukała kota. A kiedy podparła się o pościel, próbując wyłowić butelkę po wódce, tablet Phoebe na łóżku

zamigotał i na ekranie pojawił się stworzony przez nią rysunek mangi. To, co zobaczyła Lily, wstrząsnęło nią do głębi. Nie może wyrzucić z głowy brutalnej sceny morderstwa. Krąży w jej umyśle niczym rój wstrętnych, lepkich, czarnych much brzęczących nad wydymającymi się zwłokami.

Garth sięga po chusteczkę, wydmuchuje nos i nalewa sobie lodowatej wody z dzbanka, który Lily zawsze stawia na stoliku przed sofą. Wypija duszkiem pół szklanki wody i wyciera usta grzbietem dłoni.

– Wie pani, co sobie uświadomiłem, pisząc ten list? Że moim największym lękiem, moim najgłębszym zmartwieniem jest to, że po mojej śmierci Rose znajdzie sobie innego mężczyznę. I ten nowy facet wprowadzi się do mojego domu, wejdzie do mojego łóżka. Będzie się kochał z moją piękną żoną i zostanie „tatusiem” moich synków i mojej córeczki. A ja zostanę po prostu... wymazany z ich życia, jakbym nigdy nie istniał. Ten ja. Ten Garth. Ten strażak, miły facet, który po prostu chce pomagać ludziom i troszczyć się o swoją rodzinę.

Lily milczy.

Garth cicho pociąga nosem.

– Płytkie, prawda? – Próbuje powstrzymać kolejną falę emocji. – Ale potem zdałem sobie sprawę, że jeśli naprawdę kocham Rose i moje dzieci, to muszę je uwolnić. Muszę dać mojej żonie pozwolenie, by nie czuła się winna, jeśli pozna kogoś nowego. To... to największy dar, jaki mogę jej zostawić. Pokój. Wolność. I to... – chrząka – właśnie to napisałem w tym liście. Że ma moje błogosławieństwo, by żyć pełnią życia po mojej śmierci. – Składa list i chowa go do kieszeni.

– Więc jednak nie zamierza go pan przeczytać?

– Nie. Nie zamierzam czytać go tutaj na głos. Zostawię jej ten list, żeby go przeczytała, kiedy mnie już nie będzie. To sprawa między mną a nią. Pisząc go, chyba zdałem sobie sprawę z tego, że nie ma sposobu na pokonanie tej choroby i pogodziłem się z tym. Nie mam prawa próbować ograniczać moich bliskich zza grobu. Wywołałbym poczucie winy i ból. Mogę jedynie dać im wolność. I dotarło do mnie coś jeszcze: jeszcze bardziej niż to, że Rose o mnie zapomni, martwi mnie fakt, że dowie się, kim byłem, zanim ją poznałem, i co zrobiłem.

Lily czuje ucisk w klatce piersiowej.

– Co... ma pan na myśli?

– Myśli pani, że ludzie mogą się zmienić? Tak zupełnie?

– Tak – odpowiada Lily zbyt szybko, zbyt stanowczo. W jej myślach pojawia się wycinek z gazety, który trzyma zamknięty w małym pudełku w sejfie w swoim gabinecie. Ostrożnie bierze głęboki oddech. – Wierzę, że ludzie

mogą się zmienić. Jeśli inni im na to pozwolą, mogą stać się lepszą, a nawet całkiem nową, wersją siebie.

Garth świdruje ją wzrokiem. Lily nic nie może wyczytać z jego twarzy. Gabinet nagle staje się chłodniejszy. Mniejszy.

– Ale wszystko zależy od innych, prawda? Społeczeństwo, ogólnie rzecz biorąc, nie pozwala się człowiekowi zmienić, jeśli zrobił coś strasznego, prawda? Zawsze coś o tym przypomni, znajdą się osoby, które nie potrafią wybaczyć, które nie chcą odpuścić, które chcą cię cofnąć do przeszłości i wyryć ją na twoim czole niczym nieusuwalną szkarłatną literę. Żeby inni widzieli i wiedzieli, że masz być osądzany i karany już zawsze.

Lily powstrzymuje się, żeby nie zerwać się z krzesła i nie wybiec z pokoju, nie uciec przed słowami tego mężczyzny. Z trudem udaje jej się pozostać na miejscu. Uważnie obserwuje Gartha, czeka i zastanawia się, co takiego zrobił, o jak potworną rzecz może chodzić.

– Chodzi mi o to, że ludzie tylko szastają pięknymi słówkami na temat sprawiedliwości i zadośćuczynienia. I tego, że przeszłość należy za sobą zamknąć. I tak dalej. A tak naprawdę, w głębi duszy, jeśli wiedzą, że ktoś coś zrobił, zawsze będą brać pod uwagę ewentualność, że w sprzyjających okolicznościach ten ktoś może to zrobić jeszcze raz. Ludzie są przekonani, że masz to w sobie, we krwi, w DNA. – Milknie. – Prawda?

– Chce mi pan powiedzieć, co pan zrobił?

Garth przeszywa ją wzrokiem. Cisza trwa. Mężczyzna przełyka ślinę.

– Nie – mówi w końcu. – Nie chcę. A przede wszystkim nie chcę, żeby Rose i dzieci się dowiedziały. Nigdy. Bo nawet pani, gdybym o tym opowiedział, spojrzalaby na mnie inaczej, choć na pewno szczyci się pani zawodowym obiektywizmem.

Lily otwiera usta, ale Garth unosi swoją wielką dłoń i nie dopuszcza jej do głosu.

– Wiem, co pani chce powiedzieć: że poczuję się lżej, jeśli to z siebie wyrzucę. I że jeśli o tym opowiem, może łatwiej mi będzie umierać. Stek bzdur. Jak tylko o tym powiem, ludzie od razu zaczynają inaczej na mnie patrzeć, zmieniają zdanie na mój temat. Już nie jestem dobrym człowiekiem, facetem, który który ratuje ludzi z pożarów i wydobywa ich z wraków samochodów na autostradzie, facetem, który charytatywnie wozi do weterynarza zwierzęta ze schronisk. To wszystko przestaje się liczyć. Widzą we mnie tylko człowieka brutalnego. Niebezpiecznego. Odrażającego potwora. Ale jeśli nikt nie wie, co zrobiłem, mogę zapomnieć, że ta część mnie kiedykolwiek istniała. Mogę udawać, że tamten dawny skurwiol był kimś zupełnie innym. Mogę zakopać go głęboko w swojej podświadomości,

tak jak prowadzący normalne życie seryjny morderca, który potrafi odciąć się od wyrządzanych okrucieństw. Tylko tak ludzie mogą się zmienić. Kiedy nikt nie przykleja im etykietek. Kiedy społeczeństwo nie przypomina im, że nie są tym, kim próbują być.

Lily porusza się na krześle.

– Seryjny morderca w końcu zaczyna doświadczać zaburzeń. Skrywanie takich tajemnic może być wyczerpujące. Odbija się na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Nie pozwala...

– Nie pozwala ludziom żyć? Sprawia, że popadają w paranoję? Podsyca uzależnienie czy też popycha do różnych dziwacznych zachowań? – Śmieje się oschle. – Za osiem miesięcy będę martwy, przynajmniej tak mówią. – Wyciąga ręce przed siebie. – Proszę spojrzeć. Trudno w to uwierzyć, co?

Lily mu się przygląda. Wciąż sprawia wrażenie sprawnego i silnego. Lily wie jednak, że jego stan szybko może ulec zmianie z powodu choroby, która podstępnie go trawi, nawet teraz, gdy siedzi na jej sofie.

– Chcę, żeby Rose i dzieci zapamiętali mnie właśnie takim. Silnym. Dobrym. Uprzejmym. Bohaterem.

– A jeśli pewnego dnia dowiedzą się o tym, co pan ukrywa?

– Jest szansa, że nie. Jest szansa. Jeśli teraz powiem Rose, nie będzie żadnej.

– Milknie i wpatruje się w oczy Lily z intensywnością, która jest wręcz namacalna. – Jeśli o tym powiem, ona i dzieci zmienią swoje wyobrażenie o mnie. Stanę się facetem, który zrobił haniebną rzecz. Facetem, który doprowadził do niewypowiedzianego, potwornego cierpienia. – Znów zamilkł. – A pani co by zrobiła? Przyznałaby się? Swojemu mężowi? Powiedziałyby pani swoim dzieciom? A może wolałyby pani umrzeć z nadzieją, że może pozostaną w nieświadomości?

Lily odnosi wrażenie, że Garth pyta ją o jej własną przeszłość, i że potrafi ją przejrzeć. Że być może on jest tylko zwierciadłem, w którym ona się odbija. Może to on jest tym *kimś, kto wie*. Lily wie, że bez wahania podjęłaby takie samo ryzyko jak Garth. Odkasłuje.

– Nie wiem, co pan zrobił, więc nie mogę się wypowiedzieć. Tu nie chodzi o mnie. Chodzi o pana. Może gdyby powiedział pan żonie, a ona by panu wybaczyła, poczułby się pan wolny. I ona też. Małżonkowie potrafią zaskakiwać.

Roześmiał się.

– Naprawdę myśli pani, że istnieje coś takiego jak przebaczenie? Naprawdę?

Nad Lily zakrada się cień. Czuje ciemność wyzierającą z kątów gabinetu, zimne palce przysuwają się do jej gardła. To pewnie tylko słońce schowało

się za topolą.

– Przebaczenie, prawdziwe przebaczenie, polega na tym, żeby samemu wyzwolić się od poczucia winy i wstydu, które człowieka więzi.

Garth kręci głową i spogląda na zegarek. Jego czas dobiega końca.

– Nie. To poczucie winy i wstydu mnie napędza. Do tego, żeby być oddanym strażakiem, jak najlepszym ojcem. To poczucie winy, ten wstyd sprawiają, że jestem dobrym człowiekiem. Sesja się chyba skończyła.

– Widzimy się o tej samej porze w przyszłym tygodniu? – pyta Lily.

Zdejmuje kurtkę z wieszaka.

– Myślę, że to koniec terapii. – Wkłada kurtkę. – Jestem tak gotowy na umieranie jak jeszcze nigdy. Nie ma sensu dalej o tym gadać.

Lily nie jest tego taka pewna.

– To może w przyszłym tygodniu zrobimy sobie przerwę, a później przyjdzie pan na jeszcze jedno spotkanie? Możemy umówić się od razu, a jeśli naprawdę będzie się pan dobrze czuł, to proszę zadzwonić i odwołać wizytę. Zgoda?

Mężczyzna się waha, a potem uśmiecha.

– Zgoda. Dziękuję. – Znika za drzwiami.

Lily patrzy za nim. Zdenerwował ją. Na biurku zapala się czerwona lampka. Nowy pacjent czeka.

Bierze głęboki oddech, podchodzi do szafki z dokumentami, otwiera ją i odblokowuje sejf. Sięga do tylnej ścianki i jej palce natrafiają na gładkie drewniane pudełko. Wyciąga je, otwiera ostrożnie i wyjmuje stary wycinek z gazety.

To zdjęcie dziewczynki. Wpatruje się w nie i czuje na skórze zimny dreszcz. W zagłębieniu na szyi kryje się mały wisiołek. Bafomet. Satanistyczny kozioł. Gotycki symbol tej dziewczyny. Pod nieostrym, czarno-białym zdjęciem widnieje podpis, kursywą: *Sophie McNeill, lat 12, zaginęła*. Zdjęcie pochodzi z gazety opublikowanej w Nowym Jorku. Lily bierze do ręki drugi wycinek i czyta nagłówek:

POSZUKIWANIA UPROWADZONEGO DZIECKA NA TERENIE CAŁEGO KRAJU

Czerwona lampka na biurku Lily znów zaczyna mrugać. Lily się wzdryga i szybko wkłada wycinek do pudełka. Skrzyneczkę chowa w głębi sejfu. Wchodzi do małej łazienki, przemywa twarz i nakłada szminkę. Wypija odrobinę wody, wygładza spodnie i podchodzi do drzwi poczekalni.

Robi głęboki wdech i wydech, próbując uwolnić się od energii poprzedniego pacjenta i własnych negatywnych myśli.

Otwiera drzwi i uśmiecha się do atrakcyjnej i sztywnie wyglądającej kobiety z wysokiej klasy sprzętem rowerowym. Rudowłosa pacjentka odkłada czasopismo, które przeglądała, i wstaje.

Lily wyciąga rękę.

– Dzień dobry. Pani Paisley?

– Miło mi panią poznać, pani doktor. – Kobieta ściska dłoń Lily.

– Nie trzeba aż tak oficjalnie. Zapraszam.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

Wozniak wyszedł z domu i zobaczył sąsiada, który zadzwonił pod 911, stojącego z żoną na trawniku. Byli w podeszłym wieku, a żona trzymała na rękach małego białego psa.

– To rodzina McNeillów – poinformował Wozniaka starszy. – Mojej żonie się wydawało, że usłyszała krzyki. Wyszedłem przed dom zobaczyć, co się dzieje i coś mi się u McNeillów nie spodobało. Zobaczyłem światło w piwnicy, zajrzałem do środka. I... zobaczyłem ją. Delle... – Głos mu się załamał.

Jego żona powiedziała: – Nie mogę w to wszystko uwierzyć. To urocza rodzina. Chodzą do kościoła, są tacy przyjacielscy.

– Mają dzieci? Jak im na imię?

– Tak – odpowiedziała kobieta. – Mają syna, Danny’ego. Ma osiem lat. I córkę, Sophie. Dwunastolatkę. Czy dzieciom... nic się nie stało?

– Widzieli państwo kogoś podejrzanego przed domem? Było słychać coś poza krzykami?

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale od kilku dni po okolicy kręci się dziwny młody mężczyzna w czarnej bluzie z kapturem. Widziałem go wczoraj w poobijanej brązowej półciężarówce zaparkowanej przy ulicy. Był z nim kolega. Zdaje mi się, że obserwowali dom.

Wozniak szybko wrócił do radiowozu i podał nazwisko i rysopis dziewczyny na podstawie zdjęć. Był to świat przed tak zwanym Child Alert, ale wydano polecenie wszystkim jednostkom policyjnym i wojskowym w kraju – rozsyłając komunikat – aby szukały dwunastoletniej dziewczynki, Sophie McNeill. Białej. Z długimi ciemnymi włosami. Ładnej. Wspomniał też o półciężarówce. Owca

Wozniak wszedł do domu, aby wraz z pozostałymi funkcjonariuszami poczekać na koronera, detektywów z wydziału zabójstw, techników kryminalistycznych i zespoły K9 †. Gdy przekroczył próg, usłyszał krzyk Contiego na górze:

– Znaleźliśmy ją! Jest tutaj! Pod łóżkiem w dziewczęcym pokoju. Żyje. Wezwij karetkę, natychmiast!

Dzięki Bogu, pomyślał Wozniak i z łomoczącym sercem zadzwonił po pogotowie.

† K9 – psy bojowe.

Rue

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

Po przekazaniu Joemu Harperowi wiadomości o oficjalnym potwierdzeniu tożsamości jego matki Rue jedzie do tawerny Red Lion, myśląc o chłopaku. Jest zdruzgotany. Rue czuje się tak, jakby pozbawiła go resztek nadziei. Zostawiła go pod opieką Hannah Cody i policjanta, który zajmuje się ofiarami przestępstw.

Gdy skręca na drogę prowadzącą do Story Cove, zaciska zęby. Spogląda na zegarek i dzwoni do Seta w trybie głośnomówiącym ze swojego prywatnego telefonu.

Odbiera po trzecim sygnale.

– Cześć – rzuca Rue oschle. – Jesteś jeszcze w domu?

– Tak, co tam?

Rue zatrzymuje się na czerwonym świetle.

– Muszę ci zadać pytanie. Gdzie byłeś przedwczoraj? – Starsza kobieta wpycha na przejście dla pieszych wózek i powoli przechodzi przez jezdnię. W wózku siedzi mały, stary pies.

– Co masz na myśli? – pyta Seth.

Rue wpada w irytację. Zapala się zielone światło, ale przechodzenie staruszki trwa całą wieczność.

– Po prostu odpowiedz, Seth. Gdzie byłeś w niedzielę od mniej więcej południa do momentu, gdy wróciłeś do domu i położyłeś się do łóżka?

Zapada cisza.

– Posłuchaj, Rue, jeśli chodzi o...

– Po prostu mi powiedz. – Zaciska dłonie na kierownicy.

– Możemy porozmawiać później, po pracy, kiedy...

Starsza pani dociera do krawężnika. Rue wciska gaz do dechy.

– Seth, posłuchaj mnie uważnie. – Gwałtownie wciska hamulec, gdy zza autobusu wyłania się rowerzysta. Klnie. – Ta martwa biegaczka, ta z wiadomości, znaleziona na plaży Grotto... – Bierze głęboki oddech, uspokaja się i skręca w kolejną ulicę prowadzącą do głównej drogi do Story Cove. – Ma na imię Arwen. Arwen Harper.

W telefonie zapada martwa cisza. Rue robi się niedobrze. Widzi przed sobą szyld RED LION.

– To z nią się pieprzyłeś? Czy to ją odwoziłeś do Red Lion?

– Śledziłaś mnie? Do jasnej cholery, Rue. Jak śmiesz...

– Więc to ona? No to ona nie żyje, Seth. Nie żyje. Została zamordowana. Słyszysz mnie?

Seth oddycha głośniej. Gdy odzywa się ponownie, głos ma ochrypły.

– Jesteście... pewni, że to ona?

– Tak.

Przekleństwo. Cisza.

– Seth, ona leży teraz naga na metalowym stole w prosektorium, prawdopodobnie już rozcięli jej klatkę piersiową, zerwali skórę głowy, wycięli i zważyli organy. Musisz mi powiedzieć, gdzie byłeś w niedzielę, zanim zapyta cię o to ktoś inny. A możesz mi wierzyć, będą pytać. I nie będzie to dobrze wyglądać.

– Co... co jej się stało, Rue? – pyta szorstkim szeptem. – Chyba nie myślisz, że... miałem z tym coś wspólnego?

– Powiedziałeś, że kończysz z bzykaniem się na prawo i lewo. I że nigdy więcej żadnych romansów. Złożyłeś przysięgę. I mnie okłamałeś. Nie wysiliłeś się nawet na dyskrecję. Ludzie widywali cię z tą kobietą, Seth, więc lepiej mi powiedz, że masz mocne alibi na niedzielną noc, kiedy pracowałam do późna. Zaczynaj od tego, gdzie byłeś w niedzielę w południe.

– Z drużyną pływacką na promie, wracaliśmy z zawodów na kontynencie.

– Ktoś to potwierdzi?

– Oczywiście. Byłem z zawodnikami i opiekunami. Sam miałem pod opieką dziecko. Sally-Ann. Ona potwierdzi moją wersję. Wszyscy ją potwierdzą.

– O której godzinie prom przybił do portu?

– Nie pamiętam dokładnie. Musiałbym sprawdzić. Około trzeciej po południu.

Rue podjeżdża pod tawernę.

– A co robiłeś potem?

– Wróciliśmy do miasta. Podrzuciłem kilkoro dzieci, w tym Sally-Ann, do domów. Potem... Poszedłem coś zjeść, spotkałem się z kumplami i poszliśmy na drinka.

– Masz świadków? – Chwila ciszy.

– Tak.

– A później?

– Wypiliśmy jeszcze kilka drinków, wróciłem do domu późno, ty byłaś w domu, w łóżku.

Rue zamyka oczy, bierze głęboki wdech, liczy od czterech do jednego i powoli wypuszcza powietrze.

– Więc nie wiesz, gdzie był Eb w niedzielę, zanim wróciłam do domu?

Kolejne smagnięcie ciszy.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Po prostu się zastanawiam.

Ponieważ chcę wiedzieć, że mój syn ma niepodważalne alibi, a nie śmiem go o nie zapytać. W umyśle Rue pojawia się obraz Eba trzymającego szklanek mleka i talerz z na wpół zjedzonym ciastem.

Zrobię dla ciebie wszystko, mamo, wiesz o tym, prawda? Chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Nie wiem, gdzie był Eb – mówi Seth. – Ale to, co ci mówię o niedzieli, to prawda.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Arwen Harper? Kiedy ostatnio byłeś w tawernie? – Sprawdza go.

Seth odchrząkuje.

– Prawdopodobnie dwa tygodnie temu. Podwiozłem ją z siłowni do pracy. Wtedy było już w zasadzie po wszystkim, Rue. Słuchaj, ja nawet nic o niej nie wiem. Ona... podeszła do mnie na siłowni i... To była dwu-, trzydniowa przygoda, nic więcej.

Rue zamyka oczy. Seth kłamie. Wie, że kłamie.

– Rue?

– To koniec – oznajmia.

– Co takiego?

– Powiedziałam, że to koniec. Między nami. Chcę zakończyć nasze małżeństwo. Chcę rozwodu. Masz się wyprowadzić. Natychmiast. Nie chcę cię widzieć, jak wrócę do domu.

– Rue...

Rozłącza się. Krew dudni jej w uszach. Cała się trzęsie. Jej myśli galopują do tamtej nocy, kiedy czekała na nią w samochodzie przed tawerną.

Rue

WTEDY

16 czerwca. Czwartek.

TRZY DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Rue siedzi w samochodzie i słucha lekcji portugalskiego puszczonej cicho w tle. Jest ciemno. Pada deszcz. Zaparkowała naprzeciwko tawerny Red Lion, po drugiej stronie ulicy. Pick-up Setha stoi kawałek dalej.

Seth zadzwonił do niej wcześniej, żeby uprzedzić, że wróci późno, i Rue miała przeczucie, że jej mąż zamierza spotkać się z kelnerką. Wracając do domu po wieczornej zmianie, pod wpływem impulsu skręciła do Story Cove. Kiedy powoli przejeżdżała obok Red Lion, przed tawerną zauważyła stojący w deszczu samochód męża. Pusty.

Objechała kwartał i przyjechała z przeciwnej strony, a teraz czeka po drugiej stronie ulicy i obserwuje wejście. Nie widzi Setha przez okno, ale jest pewna, że siedzi w środku. Na fotelu pasażera leży aparat. Nie radzi sobie z nim najlepiej, ale chce mieć dowód w postaci zdjęcia. Pozew o rozwód zamierza złożyć na własnych warunkach.

W samochodzie robi się coraz chłodniej. Deszcz zacina. Jest czerwiec, ale wieje chłodny wiatr od morza, a Rue nie chce uruchomić silnika, żeby nagrzać w aucie. Woli nie zwracać na siebie uwagi.

Czas płynie. Deszcz pada trochę mocniej.

Drzwi tawerny otwierają się i wychodzi para. Są w podeszłym wieku. Mężczyzna pomaga kobiecie rozłożyć parasol i obejmuje ją, gdy wychodzą na mokrą, ciemną ulicę. Rue czuje ukłucie samotności. Żalu. Czasu zmarnowanego na mężczyznę, który jej nie szanuje. Dlaczego w ogóle zakochała się w Secie? Czy w głębi duszy sama się nie szanuje, nie wierzy, że ktoś może pokochać ją naprawdę? Czy to dlatego, że czuje się odrzucona przez biologicznych rodziców?

Drzwi otwierają się jeszcze kilka razy, zalewając ciemność ciepłym światłem, gdy ludzie wchodzi i wychodzą z lokalu, roześmiani, szczęśliwi.

Lekcja portugalskiego dobiega końca, robi się cicho. Rue zastanawia się, czy powinna spróbować nauczyć się także afrykanerskiego. Tym językiem

posługiwała się jej biologiczna matka. Afrykanerskim i trochę khosa. Wtula się w płaszcz.

Drzwi tawerny się otwierają.

To ona.

Rue się prostuje. Ma przyspieszony puls.

Patrzy na ciemnowłosą kobietę, która wychodzi z tawerny, naciągając na głowę kaptur przeciwdeszczowego płaszcza. Staje pod markizą, tuż przy wejściu, i spogląda na ulicę. Rue klnie. Desperacko pragnie przyjrzeć się jej twarzy. Przez chwilę zastanawia się, czy nie pomyliła się co do Seta – może jednak nie ma go w środku. Drzwi tawerny otwierają się nagle i Rue rozpoznaje znajomą postać swojego męża. Dołącza do zakapturzonej kobiety pod markizą i obejmuje ją w talii. Szepcze jej coś do ucha.

Rue przełyka ślinę i sięga po aparat. Celuje, robi zbliżenie i pstryka, gdy jej mąż pochyla się, by pocałować kelnerkę. Pstryka ponownie, gdy para ramie w ramie szybkim krokiem idzie w deszczu do samochodu Seta. Pstryka, gdy wsiadają do pick-upa.

Reflektory się zapalają. Auto wyjeżdża na ulicę.

Rue źle się czuje. Opuszcza aparat na kolana.

Oczywiście Seta nie ma w domu, gdy Rue wjeżdża na podjazd. Nie ma go w domu, gdy kładzie się spać.

Nie może zasnąć, więc leży, słuchając deszczu i odgłosów z pokoju Eba na dole. Deszcz ustaje. Dom cichnie. Rue nadal nie może zasnąć.

O drugiej w nocy słyszy, że otwierają się drzwi na dole. Seth wchodzi na górę.

Rue udaje, że śpi. Jej mąż po cichu kładzie się do łóżka. Pachnie, jakby dopiero co wyszedł spod prysznica.

Rue leży, wpatrując się w sufit. Musi coś zrobić. Nie może tak dalej żyć.

Lily

WTEDY

25 maja. Środa.

TRZY I PÓŁ TYGODNIA PRZED JEJ ŚMIERCIA

ZAPISKI Z KARTY: PAISLEY

*Pacjentka tuż po czterdziestce, na mojej liście rezerwowej od sześciu tygodni.
Problem...?*

Nowy pacjent to zawsze zagadka. Czasami Lily od razu wie, w czym problem, ponieważ pacjent mówi jej o nim już przez telefon. Później przychodzi pora na pracę detektywistyczną, ponieważ występujący problem jest zwykle powierzchownym objawem czegoś znacznie głębszego i bardziej złożonego, co pacjent mógł ukrywać nawet przed sobą samym, by móc funkcjonować. Ale to właśnie ten problem skłania go do podjęcia terapii.

Ta nowa pacjentka jest z pewnością enigmatyczna. Piękna, rudowłosa, o bladej karnacji, pełna niespożytej energii. Nosi legginsy z lycry i koszulkę kolarską z długim rękawem z cienkiego, wzorzystego materiału, który podkreśla każdą wypukłość i każdy mięsień. Lily dałaby się pokroić za takie ciało, jakie ma Paisley.

Pacjentka kładzie kask rowerowy na sofie i podchodzi do półki z książkami. Przesuwa smukłymi palcami po grzbietach, przyglądając się tytułom. Dotyka bibelotów Lily – ceramicznego kubka ulepionego przez małe rączki Matthew, muszelki znalezionej w Meksyku, małej rzeźby z Australii. Podnosi oprawioną fotografię rodziny Bradleyów zrobioną w Kapsztadzie.

– Napije się pani herbaty albo kawy? – proponuje Lily.

– Nie, dziękuję. – Odkłada zdjęcie i podchodzi do testu plam atramentowych Rorschacha, który Tom podarował Lily na Boże Narodzenie. Oprawione w ramki plamy wiszą na ścianie w równych rzędach. Paisley zerka na Lily, jakby ją oceniała, po czym przenosi wzrok na inną ścianę, na której znajduje się kolekcja masek.

– To Jung, prawda? – odzywa się Paisley. – Nazwał to personą, maską, którą każdy z nas nosi, twarzą, jaką decydujemy się zaprezentować światu.

– Zna pani pracę Junga, jego archetypy?

Siada. W końcu. Zakłada nogę na nogę i się uśmiecha. Lily nie może oprzeć się wrażeniu, że uśmiech Paisley, ułożenie jej głowy i sposób, w jaki jej niebieskie oczy patrzą na Lily, są nieco protekcyjne.

– Owszem, persona, jaźń, cień i anima lub animus. Persona to maska, za którą chcemy się ukryć. Tak jak pani – pani persona, maska jest maską lekarza. Kiedy ktoś nosi biały fartuch i ma odpowiedni szyld, ludzie oczekują pewnych rzeczy. Wierzą, że lekarz jest mądry, współczujący i uprzejmy. Oczekują, że będzie zachowywać się tak, jak na lekarza czy terapeutę przystało. Jeśli założy się odznakę policjanta i weźmie broń, człowiek staje się godnym zaufania obrońcą. Odważnym i sprawiedliwym. W żółtym kombinezonie strażaka jest się bohaterem. Wybawcą. Jeśli przywdziać czarne szaty i założyć perukę z siwymi włosami, można się stać uosobieniem sprawiedliwości, mędrcom, arbitrem prawdy, dobra i zła. Załóż kaptur, a będziesz katem, zdejmij go i możesz wrócić do domu, do rodziny, z czystym sumieniem, ponieważ wykonywałeś tylko swoją pracę. – Rozsiada się wygodnie na sofie i ponownie zakłada nogę na nogę. – Wszyscy potrzebujemy masek, by funkcjonować. Jednak nosząc maskę zbyt długo, zapominamy, kto się za nią kryje. Prawda? Zapominamy, kim naprawdę jesteśmy.

Lily porusza się na krześle. Ta rozmowa po sesji z Garthem wprawia ją w coraz większe zakłopotanie.

– Ma pani wrażenie, że zbyt długo nosi określoną maskę?

– Nie wiem. Może w tym tkwi problem, że przy długim noszeniu maski traci się świadomość tego, że się ją nosi.

– A gdybym zapytała, jaką maskę pani nosi?

Muska językiem zęby.

– Matki. Żony. To moje główne role, które prezentuję światu.

– Co dla pani oznaczają?

Waha się.

– Że powinnam być opiekuńcza, zapewniać moim dzieciom bezpieczną przystań. Że jestem szlachetna. Uprzejma. Panuję nad sytuacją. Że jestem dla mojego męża atrakcyjna na tyle, by nie zbłądził. Że jestem dobra w łóżku, w sypialni jestem dziwką. Że dobrze się odżywiam, kontroluję swoją wagę i węglowodany. Że jestem spełnioną bizneswoman, piekę pyszne ciasteczka, działam charytatywnie w szkole moich dzieci, zawożę je na lekcje pływania i dbam o to, by wiedziały, w co wierzą. – Milknie, żeby wziąć oddech. – Że jestem zorganizowana. Że zapewniam pewną niezmienność.

Lily przełyka ślinę, myśląc o sobie, o tym, że zawozi Matthew na lekcje pływania. O tym, że obsesyjnie liczy węglowodany i działa charytatywnie w szkołach swoich dzieci. Paisley mogłaby opisywać Lily.

– To się wydaje... męczące – podsumowuje Lily.

– Bo, kurwa, jest męczące.

– Ile ma pani dzieci?

Pacjentka przygląda się Lily.

– Trzy córki. Siedem, dziewięć i dwanaście lat.

– Dawanie dobrego przykładu to ciężka praca.

– Zgadza się. Trudno poskromić mroczną, zboczoną, diabelską naturę.

W głowie Lily rodzi się szum. Atramentowy kleks za głową Paisley nagle wygląda jak Bafomet z rogami. Lily czuje, że poci się pod pachami. Z trudem próbuje się skoncentrować i wymyślić następne pytanie.

– Pracuje pani poza domem?

– Jestem przedstawicielką farmaceutyczną. Dużo podróżuję. Ale nie muszę pracować. Mój mąż dobrze zarabia, weszłam do bogatej rodziny. Dobrze wyszłam za mąż. Za starszego mężczyznę. – Uśmiecha się chytrze, a przynajmniej Lily nagle wydaje się, że ten uśmiech jest chytry. – Praca pozwala mi się rozładować. Bez podróży nie mogłabym się pieprzyć.

Lily mruga.

– To znaczy?

Paisley pochyła się.

– Chce pani wiedzieć, jaki mam problem?

– Przejdźmy na ty. Mów mi Lily.

– Lily. Mój problem, mój prawdziwy problem polega na tym, że pieprzę się, z kim popadnie. Seks. Ryzykowny, niebezpieczny. Z nieznajomymi. Im dzikszy i gorętszy, tym lepszy, a najbardziej satysfakcjonujący jest ten z żonatymi facetami. Jestem uzależniona od pieprzenia. I nie mogę przestać. Kiedyś potrafiłam sobie seks dawkować, umiałam być ostrożniejsza, ale potrzebuję go coraz więcej, żeby cokolwiek czuć. – Milknie. – W zeszłym tygodniu, podczas podróży służbowej do Toronto, zostałam aresztowana. Za nagabywanie i odbycie stosunku w miejscu publicznym. Tak, wzięłam pieniądze za seks. Choć wcale ich nie potrzebuję. Muszę z tym skończyć, zanim zniszczę sobie życie i rodzinę.

Lily wpatruje się w kobietę. *A więc tak wygląda problem. Niebezpieczne uzależnienie od seksu.*

– Mam dobrego męża. Trzy idealne, piękne, czyste, niewinne córki. Mam wszystko, czego można pragnąć. Mam więc wiele do stracenia. To jest jak... Czuję, że jest we mnie diabeł, który dąży do tego, bym to wszystko straciła.

Bo wtedy zostanę zdemaskowana i nie będę musiała tak bardzo się starać, jak teraz, kiedy noszę maskę. – Opada na kanapę, jakby wyczerpana wyrzuceniem z siebie tego wszystkiego.

– A twój sprzęt kolarski? – pyta cicho Lily. – Czy to też maska? Którą postanowiłaś zaprezentować mi podczas pierwszej wizyty?

Paisley wzdycha i znów siada prosto.

– To fałszywa narracja. – Uśmiecha się lekko. – Nie ze względu na ciebie, to dla mojej rodziny. To moja przykrywka. – Kładzie dłonie po bokach. – W ten sposób przed rodziną i przed znajomymi ukrywam, że chodzę na terapię. Myślę, że trenuję do wyścigu rowerowego i w środy pokonuję dłuższe trasy. A tak naprawdę to dzień terapii. Dlatego zdecydowałam się na ciebie. Twoja poradnia mieści się z daleka od mojej dzielnicy. Na dodatek w ładnej, dyskretnej uliczce na zielonym, spokojnym osiedlu. – Uśmiecha się promiennie. – Umiem wszystko sprawdzić, Lily.

Lily przełyka ślinę. Czuje, że to groźba. Choć wie, że to paranoja. Dianne ma rację. Powinna zrobić sobie przerwę. Za bardzo bierze sobie wszystko do serca, za bardzo we wszystko się wczuwa. Ale liściki były prawdziwe.

– Czy Lily to skrót od Lilith? – pyta Paisley.

– Od Lillian.

– Lilith była demoniczną postacią. W biblijnym micie. Wiedziałaś o tym?

– Nie. Ale jak wspomniałam, moje imię pochodzi od Lillian. Chcesz mi opowiedzieć coś więcej o swoim aresztowaniu, Paisley?

Kobieta wstaje z sofy i zaczyna przechadzać się po gabinecie. Lily siedzi w milczeniu i cierpliwie czeka.

– Było koło drugiej w nocy. Stałam na ulicy, w ohydnej części miasta. Miałam na sobie krótką spódniczkę ze skóry. Botki na wysokim obcasie w lśniącej czerni. Top bez ramiączek, błyszczące cekiny. Krwistoczerwone usta. Czekałam na klienta. Marzyłam, żeby pieprzyć się w jakimś zaułku albo za śmietnikiem, przyciśnięta do wilgotnej ceglanej ściany, i żeby ktoś wsadził mi brudne pieniądze do stanika. – Czekam.

Lily nie zamierza okazywać szoku.

– Dostałaś to, czego chciałaś?

Paisley prychnął.

– Zostałam aresztowana, zanim facet zdążył wyciągnąć ze mnie swojego fiuta. Zwolnili mnie pod warunkiem, że stawię się na policji. Jeszcze tego nie zrobiłam. Ale... – Mina jej rzednie. Ponownie siada. Pociera twarz. – Czuję się tak, jakby były we mnie dwie osoby. – Przez chwilę siedzi w milczeniu. – Boję się – mówi cicho. – Naprawdę nie chcę stracić rodziny. Nie podoba mi się to, co robię. Jest mi wstyd. Czuję się brudna. Do momentu, gdy znów zaczyna

narastać we mnie pragnienie i staje się coraz bardziej dotkliwie. Całą moją energię pochłania wtedy planowanie kolejnego spotkania, ukrywanie prawdy i tuszowanie tego, co robię. Czasami mam wrażenie, że umrę. I być może o to tak naprawdę chodzi, o dążenie do śmierci. Podświadomie szukam sposobu na unicestwienie. – Milknie. – Oceniasz mnie. Widzę to w twoich oczach.

– To bezpieczna przestrzeń, Paisley. Powinnaś czuć się swobodnie, tutaj możesz powiedzieć wszystko.

– Jak w konfesjonale?

Lily próbuje się delikatnie uśmiechnąć.

– Jak w konfesjonale. – Wie jednak, że pewnych rzeczy nie można wyjawiać nawet księdzu. – Powiedz mi coś, Paisley: gdybym miała cię zapytać, ile lat ma ten mały diabeł w tobie, ta mała istota próbująca cię zniszczyć, co byś odpowiedziała?

– Dziwne pytanie.

– Nie tak bardzo. Nasz umysł jest mozaiką, poczucie bycia zamieszkiwanym przez walczące ze sobą natury jest dość powszechne. Czasami może pomóc odkrycie i zaprzyjaźnienie się z tymi różnymi częściami nas samych, z naszymi wewnętrznymi siłami. Można, na przykład, nazwać te wewnętrzne siły, dowiedzieć się, ile mają lat, a następnie wyciągnąć je i z nimi porozmawiać.

Paisley zaciska wargi.

– Nie wiem, ile lat ma ta mała diablica. Jedenaście. Może dwanaście.

Wiek Phoebe. Phoebe z butelką wódki truskawkowej pod łóżkiem. Phoebe, która narysowała żeńską postać z mangi podrzynającą gardło innej postaci.

– Więc to ona?

– Chyba tak. Jest w tym samym wieku, co moja najstarsza córka. To trudny wiek, prawda?

Lily przełyka ślinę.

– Tak. Balansowanie na granicy dzieciństwa i kobiecości jest skomplikowane, zwłaszcza pośród często sprzecznych komunikatów i oczekiwań otoczenia. – Lily odchrząkuje. Skup się. – Teraz chcę, żebyś zamknęła oczy, Paisley, wyobraziła sobie tę dziewczynę i przywołała ją w myślach.

– To jakieś... dziwne.

– Spróbuj.

Pacjentka zamyka oczy i bierze głęboki wdech.

– Wydaje mi się, że ją widzę – mówi po chwili. – Śmieje się ze mnie. Drwi.

– Obserwuj ją przez chwilę, poczuj.

Paisley milczy, ale zaczyna ciężko oddychać. Jej policzki nabierają rumieńców.

– Jak ona wygląda, Paisley?

– Ma ciemne włosy. Długie, ciemne włosy. Bardzo jasną karnację. Ciemne usta.

– Czy możesz podać jej imię, abyśmy mogły się do niej zwrócić, gdy znajdzie potrzeba?

Paisley oddycha z jeszcze większym trudem, dłońmi ściska uda.

– Chyba ma na imię... Jane. Nie. Powiedziała, że ma na imię Sophie.

Lily czuje pustkę w głowie.

Wargi Paisley zaczynają drgać.

– Nienawidzę jej! Suka. Chce mnie skrzywdzić. – Paisley otwiera oczy. Jej pierś faluje. Twarz ma rozpaloną i spoconą. Trzęsie się, a w oczach ma łzy. – Nie mogę tego zrobić. Nie mogę tego zrobić. Nie chcę tego robić.

Lily zaschło w gardle.

– Dlaczego?

Pociera wargi.

– Bo... ona jest okropna, chce mnie zabić. Ma nóż i chce poderżnąć mi gardło, żeby mnie uciszyć, zabić to, co we mnie dobre. Tę niewinną część mnie. Chce odebrać mi wszystko, co kocham, moją rodzinę... Nie wiem dlaczego, co takiego zrobiłam, że czuje do mnie nienawiść. Ani dlaczego miałyby chcieć zrobić coś takiego. – Paisley podnosi stojący przed nią dzbanek i drżącą ręką nalewa sobie wody do szklanki. Wypija ją duszkiem. – Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło.

– W porządku. Poszło ci naprawdę dobrze. Podczas tej sesji nie będziemy próbować wchodzić w to głębiej, ale następnym razem może uda nam się przywołać tę inną wewnętrzną siłę, o której wspomniałaś, tę dobrą. Możemy zapytać tę dobrą dziewczynę, czy ma coś do powiedzenia na temat... tej złej.

– Na temat Sophie.

Lily czuje, że krew zastyga jej w żyłach. To przeniesienie. Projekcja. I tyle. Po prostu potrzebuje odpoczynku.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

Wcześniej tego dnia, po południu 22 kwietnia 1989 roku, siedmioletni Harrison Whittaker zastał matkę przy maszynie do szycia w piwnicy, gdzie było chłodno. Szyła kostium dla jego starszej siostry, która miała zagrać główną rolę w szkolnym przedstawieniu. Chrissie miała być Sandrą Dee w *Grease* i śpiew ćwiczyła tak intensywnie, że Harrisona rozboleła głowa.

– Mogę iść się pobawić do Danny’ego? – zapytał matkę.

– Nie. Za godzinę jedziemy do centrum handlowego. Potrzebujesz nowych spodni.

– Nie potrzebuję nowych spodni. Muszę iść się pobawić. Proszę. Mama Danny’ego powiedziała, że później zrobią hot dogi i lody, a potem puszcza film. Zaprosił mnie. Jego mama powiedziała, że mogę u niego nocować i zrobić namiot z koca. Prooooooszę.

– Harrison...

– Proszę, mamó. Zrobię wszystko, co mi wyznaczysz. Obiecuję.

Jęczał i błagał. Był grzeczny przez cały poprzedni dzień. Nietypowy jak na tę porę roku upał sprawił, że wszyscy byli rozdrażnieni. Matka spojrzała na zegar.

Sheilagh Whittaker była zmęczona. Jej mąż pracował do późna w fabryce przetwórstwa ropy naftowej i gazu, w której właśnie otrzymał awans. Ona zajmowała się domem i próbowała rozkręcić nowy rodzinny biznes. Nie zrobiła jeszcze folderów reklamujących raczkującą firmę. Musiała unikać niepotrzebnych utarczek i racjonalnie gospodarować swoją ograniczoną energią, a Harrison, ze swoją żywiołowością, potrafił ją jej pozbawić.

– Dobra, w porządku. Dobrze.

– Dzięki, mamó! – Pocałował ją, a ona się rozczuliła i uśmiechnęła.

Sheilagh Whittaker po raz ostatni widziała syna w lusterku wstecznym, gdy wyjeżdżała spod domu do centrum handlowego z Chrissie. Stał z Dannym McNeillem, swoim najlepszym przyjacielem i sąsiadem, na trawniku McNeillów – cztery domy dalej – i machał entuzjastycznie na pożegnanie. Na rękach trzymał ich małego przygarniętego teriera, Pogo. Zabierał go wszędzie.

Gdyby Sheilagh Whittaker zmusiła Harrisona, by pojechał do centrum handlowego po nowe spodnie, może wciąż by żył.

Miałby teraz około czterdziestu lat.

Możliwe, że Sheilagh byłaby już babcią. Może żyłby jej mąż, Jim. Może nie popadłby w alkoholizm po tragicznej śmierci synka. Jim Whittaker po tym wiosennym dniu w Glenn Dennig już nigdy nie był taki sam.

Gdyby Sheilagh Whittaker nie poprosiła Chrissie o zanieśenie McNeillom ciasta bezowego, które kupiła dla nich w centrum handlowym, być może jej córka wyrosłaby na zupełnie inną kobietę. A Sheilagh miałaby z nią kontakt.

– Będę tego żałować do końca życia – powiedziała Sheilagh Whittaker dziennikarzowi telewizyjnemu relacjonującemu rocznicę rodzinnej masakry w Glenn Dennig.

– Gdybym nie była tak wyczerpana, gdybym nie uległa jego marudzeniu... Gdybym podjęła inną drobną decyzję, Harrison nie padłby ofiarą psychopaty. Być może całe nasze życie wyglądałoby inaczej, ponieważ koszmar nie skończył się wraz z morderstwem Harrisona. Ani ze śmiercią Danny’ego McNeilla i jego rodziców. Konsekwencje trwały latami. – Sheilagh Whittaker zamilkła i ze łzami w oczach odwróciła wzrok od kamery.

– Psychopata nas zniszczył. Nie ma czegoś takiego jak zamknięcie jakiegoś rozdziału. Sprawa brutalnej zbrodni nie kończy się wraz z ujęciem mordercy. Jej skutki trwają. Przez lata. Weźmy młodego przewodniczącego ławy przysięgłych – stres związany z procesem bardzo się na nim odbił. Trzydzieści miesięcy po werdykcie zginął w wypadku samochodowym, prowadził pijany, a gdyby nie ta zbrodnia, pewnie nadal by żył.

Rue

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

– Dez Parry – przedstawia się kobieta, wyciągając rękę do Rue. – Menadżerka Red Lion. Obsługuję też stoliki, zatrudniam i szkole personel. Ogólnie jestem od wszystkiego. W czym mogę pomóc, pani sierżant?

– Czy mogłabym zadać pani kilka pytań na osobności? – Rue wkłada swój identyfikator do kieszeni.

Kierowniczka nagle wygląda na zdenerwowaną.

– O co chodzi? – Zmarszczki na jej czole pogłębiają się, gdy coś sobie uświadamia. – Czy my się już nie spotkałyśmy?

– Byłam tu jako klientka – wyjaśnia szybko Rue. W takim otoczeniu się wyróżnia. – Tym razem, niestety, sprowadza mnie sprawa służbowa. Chodzi o jednego z pracowników. Mogłybyśmy porozmawiać na osobności?

Parry prowadzi Rue do małego biura i zamyka drzwi.

– Proszę usiąść. – Zabiera z krzesła stos folderów.

Rue zauważa monitor w rogu na półce. Wyświetla się na nim ziarnisty obraz obszaru przed wejściem do Red Lion. W innej części podzielonego ekranu widać miejsce tuż za drzwiami, gdzie stoi hostessa.

– Zatrudnia pani Arwen Harper.

– Ja... – Parry zamiera. Nagle wytrzeszcza oczy. Podnosi rękę do ust. – Stąd panią znam. Z telewizji. Kobieta znaleziona na plaży Grotto... – Milknie. Oczy zachodzą jej łzami. Blednie. Wygląda, jakby miała zemdleć. – Arwen nie pojawiła się dziś na swojej zmianie. Próbowałam się do niej dodzwonić, ale ciągle włączała się poczta głosowa... – Opada na krzesło za biurkiem. Jest oszołomiona. Próbuje przyswoić sobie informację. – To ona, prawda? Widziałam w wiadomościach, że Tom Bradley, jeden z naszych klientów, znalazł ciało i... Chryste. Tom Bradley znalazł Arwen? O, mój Boże, to musiało być... O Boże.

– Zna pani doktora Toma Bradleya?

– Oczywiście. Jest jednym z naszych stałych klientów. Przychodzi z grupą wykładowców z uniwersytetu w każdy piątek na happy hour, często zostają do późna. Arwen została ich kelnerką. Dość dobrze ich poznała w krótkim czasie.

– Może mi pani podać nazwiska mężczyzn, którzy przychodzą z doktorem Bradleyem?

– Chyba nie naruszę ich prywatności ani nic takiego. Wszyscy wiedzą, że przychodzą tu w każdy piątek. Główna grupa to Tom Bradley, Simon Cody, Sandeep Gunjal i Milton Timmons. To właśnie z Tomem i Simonem Arwen najbardziej się zaprzyjaźniła. Powiedziała mi, że Tom załatwił jej domek naprzeciwko Simona.

– Jak bardzo się z nimi przyjaźniła? Chodzi o więzi intymne?

– Arwen... Odniosłam wrażenie, że poluje na faceta. Nie w złym znaczeniu. Jest... Była samotną matką, artystką. Potrzebowała pieniędzy. Nigdy nie pytałam jej o przeszłość ani o to, czym się zajmuje. Podczas rozmowy o pracę miałam wrażenie, że przed czymś ucieka. Zauważyłam blizny na jej nadgarstkach. Myślę, że pod bransoletkami, uśmiechem i wyluzowaną postawą skrywała się kobieta bardzo wyniszczona. – Przerzywa. Łzy lśnią w jej oczach. – To na pewno ona?

– Tak, przykro mi.

Parry wyciąga chusteczkę i wyciera nos. Przez chwilę siedzi w milczeniu.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Spogląda w oczy Rue. – To nie był wypadek?

– Jej śmierć jest podejrzana. Dlatego wezwano mój zespół. Możliwe, że Arwen znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Musimy wszystko dokładnie zbadać.

Dez Parry znów wyciera nos i kiwa głową.

– Co mogę zrobić? Jak mogę pomóc?

– Czy można przypuszczać, że z jakiegoś powodu ktoś chciałby skrzywdzić Arwen? Czy kiedykolwiek mówiła o swoich obawach, niepokojach, zwłaszcza związanych z jakąś osobą?

– Nie. Wszyscy ją lubili. Zwłaszcza mężczyźni. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić.

Rue odchrząkuje.

– Czy to możliwe, że sypiała z Simonem Codym albo Tomem Bradleyem?

– Możliwe. Podejrzewałam, że może tak być. Ale nigdy tego nie powiedziała. Oni mają żony.

– Czy żony kiedykolwiek odwiedzały Red Lion razem z nimi?

– Nie podczas happy hour. Tom i Simon przyprawdzali dawniej rodziny na posiłki.

– Czy Arwen kiedykolwiek wspominała o żonach, mówiła, że są zazdrosne?

– Boże, nie. Była... Wie pani, była taka ciepła, otwarta, ale nigdy nie mówiła o sprawach osobistych. Wydawało mi się, że znam ją całkiem dobrze, ale nie

sądę, żebym rzeczywiście ją znała. To wszystko było fasadą. Ten radosny i szczęśliwy wizerunek hippisowskiej artystki to była maska.

– Jak długo tu pracowała?

– Zatrudniłam ją pod koniec kwietnia. Wtedy odszedł jeden z kelnerów, brakowało mi personelu, byłam zdesperowana. Przeczytała umieszczone na zewnątrz ogłoszenie, przyszła, a ja z miejsca ją zatrudniłam. Okazało się, że była jedną z naszych najlepszych pracownic. Jej strata jest dla mnie bardzo bolesna.

Rue czeka, aż Parry wydmucha nos i weźmie się w garść.

– Czy wie pani coś na temat innych mężczyzn w życiu Arwen Harper? Czy ktoś przychodził z nią do tawerny?

Parry się zastanawia.

– Kojarzę jednego faceta. Widziałam go ze dwa razy. Przyszedł po nią po pracy, raz wszedł na drinka. Chyba czekał, aż skończy zmianę.

Rue stara się zachować spokój.

– Wspomniała, jak się nazywa?

– Nie. Przykro mi. Jak powiedziałam, szanowałam jej prywatność i o nic nie wypytywałam.

– Jak wyglądał?

– Był postawny. Dość ciemny blondyn. Przypominał dżokeja. Pod czterdziestkę, a może po.

Seth, ty pieprzony dupku.

Rue odchrząkuje.

– Może mi pani powiedzieć, kiedy Arwen była ostatnio w pracy?

– W sobotę osiemnastego czerwca. W niedzielę wzięła wolne, ponieważ szła na przyjęcie. Miała pracować dzisiaj.

Rue wyciąga wizytówkę i długopis. Zakreśla swój numer telefonu komórkowego.

– Proszę zadzwonić do mnie pod ten numer, jeśli przypomni sobie pani nazwisko tego mężczyzny. Albo jeśli ktoś z pracowników będzie je znał. – Wręcza wizytówkę, chwilę się waha, aż w końcu kiwa głową w stronę monitoringu. – Czy kamery zarejestrowałyby tego faceta w barze?

– Nie. Chronimy prywatność klientów, kamery obejmują tylko wejście wewnętrzne i zewnętrzne. Ale zarejestrowałyby go przy wejściu i wyjściu.

– Jak długo przechowujecie nagrania?

– Przez siedem dni. Nie zainwestowaliśmy w bardziej kompleksowe rozwiązanie do przechowywania danych cyfrowych, ale okres siedmiu dni dla naszych potrzeb jest wystarczający.

– Czy mogę prosić o kopię nagranych materiałów?

– Jasne, skopiuję go zaraz na dysk.

– I kopię grafiku Arwen Harper.

Parry kiwa głową, odwraca się i naciska klawisze na biurowym komputerze.

Rue wychodzi z Red Lion z nagraniem z monitoringu na pendrivie w kieszeni kurtki. Cztery dni temu widziała Seta wychodzącego z tawerny z Arwen. Na pewno będzie na tym nagraniu, prawdopodobnie w towarzystwie ofiary, i Rue nie bardzo wie, co począć.

Gdy podchodzi do samochodu, dzwoni jej komórka.

To posterunkowa Georgia Backmann. Rue odbiera.

– Cześć, szefowo – odzywa się Georgia. – Jeden z naszych coś znalazł. Rozmawiał ze staruszką, która mieszka naprzeciwko Bradleyów. Twierdzi, że półciężarowy dodge przyjechał i zaparkował w zatoczce Bradleyów tuż po tym, jak Tom Bradley został zabrany na przesłuchanie rano, kiedy zadzwonił pod 911. Dodge był ciemny, metaliczny szary z naklejką na tylnej szybie – sylwetką snowboardzisty. Kobieta twierdzi, że często widziała tam ten samochód, ale nigdy tak wcześnie rano. Samochód ma tabliczkę straży pożarnej w Story Cove. Zdaniem staruszki kierowca jest strażakiem i pacjentem Lily Bradley. Funkcjonariusz obserwujący dom Bradleyów go nie widział, bo auto wjechało od tyłu. Stało tam tylko przez chwilę. Facet może nadaje się na świadka, a może nie.

– Sprawdzę. – Rue wsiada do samochodu. – Jestem niedaleko remizy. Podjadę tam od razu.

Rue

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

Rue wjeżdża na parking straży pożarnej Story Cove. Fasada budynku utrzymana jest w stylu Tudorów, podobnie jak tawerna Red Lion. To często spotykany motyw w tej części miasta. Remiza z lśniącymi, czerwonymi wozami strażackimi stojącymi w rzędzie wygląda jak ilustracja z bajki dla dzieci. Sztucznie. Fałszywie. Jak maska.

Rue przejeżdża powoli i przygląda się samochodom i półciężarówkom na parkingu. Dostrzega metalicznego ciemnoszarego dodge'a zaparkowanego na końcu, przed niebieskim świerkiem. Rue wjeżdża na wolne miejsce obok półciężarówki i dzwoni do Toshiego.

– Hej, szefowo – mówi, gdy odbiera telefon. – Właśnie kończę w prosektorium. Według Fareeda wstępne ustalenia wskazują na to, że Arwen Harper zmarła w wyniku rozległych obrażeń odpowiadających upadkowi ze szczytu klifu. Jeśli doznała jakichkolwiek urazów przed upadkiem, to zostały one przesłonięte tymi, których doznała podczas upadku. Próbkę szczątków z ran również zostały wysłane do laboratorium. Czekamy na wyniki toksykologii i DNA.

– Wysłaliście wszystko do prywatnego laboratorium? – Rue wysiada z samochodu i zaczyna spacerować wokół dodge'a. Widzi naklejkę snowboardzisty na tylnej szybie i tabliczkę straży pożarnej w Story Cove.

– Tak. Mają się pośpieszyć. Wybieram się zaraz do mieszkania Harper. Załatwiliśmy nakaz przeszukania na wypadek, gdyby gang Klister zgłosił sprzeciw, twierdząc, że zmusiliśmy pogrążonego w żałobie nastoletniego syna ofiary do udzielenia nam ustnej zgody na wstęp do domu. Dostaliśmy również dokumenty dotyczące jej billingów telefonicznych.

– Dobrze. Spotkamy się w mieszkaniu. Możemy mieć kolejnego świadka, ale najpierw to sprawdzę – wyjaśnia Toshieemu, czego dowiedziała się od posterunkowej Backmann. Kończy rozmowę, chowa telefon do kieszeni i podchodzi do garażu, gdzie kilku strażaków w krótkich spodenkach myje i poleruje jeden ze swoich wozów.

Mężczyzna ze szmatą w ręku spogląda w górę.

– Hej. – Wstaje i podchodzi do niej. – W czym mogę pomóc?

– Rulandi Duval. Wydział zabójstw. – Pokazuje mu legitymację.

Przygląda się jej.

– O co chodzi? – pyta.

Rue wskazuje kciukiem przez ramię.

– Kto jest właścicielem tego szarego dodge'a?

Mężczyzna marszczy brwi.

– A dlaczego?

– Szukamy świadków zdarzenia, a ten samochód był w pobliżu.

Chciałabym porozmawiać z właścicielem.

Zza wozu strażackiego, wycierając ręce w szmatę, wyłania się barczysty facet.

– To moje auto. O co chodzi?

– A pan to...?

– Garth Quinlan.

– Parkował pan wczoraj rano przy Oak End, panie Quinlan?

– Tak. Może porozmawiamy tam, przy mojej ciężarówce, żeby chłopaki miały tu spokój? – proponuje po chwili.

Rue idzie za nim do ciężarówki. Zatrzymują się przed nią.

– To sprawa osobista. Chciałbym zachować to w tajemnicy.

– Co pan chce zachować w tajemnicy?

Mężczyzna pociera czoło, odwraca wzrok.

– Jestem na terapii. Psychoanaliza. I zanim pani pomyśli, że jestem szalony

– nie jestem. Po prostu nie chcę, żeby oni, czy ktokolwiek inny, wiedzieli, że chodzę do terapeuty. Nie zrobiłem nic złego. Byłem w domu mojej psycholog na wczesnej wizycie.

Rue czuje zaciekawienie.

– Dlaczego pan myśli, że przyjechałam tu, by sprawdzić, czy zrobił pan coś złego?

– Oglądałem wiadomości. Wiem, że mąż mojej terapeutki znalazł na plaży ciało tuż przed moim przyjazdem. Domyśliłem się... że dlatego tu pani jest. Z powodu martwej kobiety. – Zaczyna się denerwować.

Rue jest coraz bardziej zaintrygowana.

– Interesuje mnie tylko, czy widział pan coś istotnego dla naszego śledztwa. Wszedł pan na podwórko Bradleyów przez furtkę i po chwili wyszedł. Domyślałem się, że w tak krótkim czasie nie zdążył pan odbyć sesji terapeutycznej.

Przeczesa palcami włosy. Ma dużą, silną, pokrytą bliznami dłoń. Dłoń strażaka.

– Dobra... Będę z panią szczerzy, bo nie chcę kłopotów. Jestem notowany. Dawno, dawno temu, w innym życiu, zostałem skazany za napaść. Przeze mnie człowiek wylądował na wózku inwalidzkim i spędzi na nim resztę życia. Nie może się nawet wysikać ani samodzielnie najeść. Moja żona o tym nie wie. Dlatego nie zgłosiłem się, gdy zobaczyłem... Nie chciałem, żeby policja w tym węszyła. Jestem umierający. Mam agresywnego, nieuleczalnego raka. To chyba moja kara. Za kilka tygodni prawdopodobnie nie będę już mógł pracować jako strażak. Nie mam czasu do stracenia. Dlatego chodzę na terapię. Żeby pogodzić się z tym, że to koniec mojego życia, i poradzić sobie z frustracją i agresją, które poczułem, kiedy się dowiedziałem, że nie zdołam pokonać tej choroby.

– Bardzo mi przykro z powodu tej wiadomości, panie Quinlan. Co takiego pan widział?

Mężczyzna zwilża wargi, odwraca wzrok, jakby wciąż próbował znaleźć sposób na uniknięcie wejścia na tę ścieżkę.

– Umówiłem się rano na wizytę. Nie zamierzałem podejmować terapii, bo myślałem, że mam wszystko pod kontrolą, ale... ale jednak nie mam. Kiedy dotarłem na miejsce, doktor Lily Bradley nie było w gabinecie. Drzwi do poczekalni były zamknięte. Widziałem jej samochód na podjeździe, więc pomyślałem, że może zapomniała albo pomyliła godzinę. Próbowałem zadzwonić do niej z auta, a kiedy siedziałem z telefonem przy uchu, sponad ogrodzenia zauważyłem, że w ich komórce ogrodowej zapaliły się światła. Zerknąłem za ogrodzenie. Lily wychodziła z domku ogrodowego z małym workiem na śmieci. Szybkim krokiem podeszła do drzwi od strony kuchni. Otworzyłem więc furtkę, żeby zapukać do tylnych drzwi i ją złapać. Jak już mówiłem, mój zegar tyka, zaraz miałem zacząć pracę i chciałem z kimś porozmawiać. Zobaczyłem ją przez okno jadalni i zastukałem w szybę. Wyglądała na zszokowaną. A kiedy podeszła do drzwi, na rękach i na twarzy miała krew.

– Krew?

Przytaknął.

– I co było dalej?

– Była bardzo zdenerwowana. Twierdziła, że wypadła jej pilna sprawa rodzinna. Zaczął dzwonić telefon stacjonarny u niej w domu i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Byłem zaskoczony, więc... Chyba się zatrzymałem i przez jakiś czas podglądałem ją przez okno. Nie mogłem się powstrzymać. Kiedy znów pojawiła się w zasięgu wzroku, była w kuchni. Wyjęła coś z zamrażarki, wyglądało jak mięso. Rozpakowała kilka paczek, wrzuciła mięso do małego worka na śmieci, który przyniosła z szopy. Zawinęła je

w niego i włożyła do zamrażarki. Stare opakowania wyrzuciła do kosza pod zlewem.

Rue spojrzała na mężczyznę.

– Widział pan to wszystko?

– Powiem pani coś: nie jestem dumny z tego, że szpiegowałem moją terapeutkę. Ale człowiek nawiązuje relację z terapeutą, zdradza mu wszystkie najskrytsze sekrety. A nie dostaje nic w zamian, psycholog nie zwierza się ze swojego życia osobistego. Więc nic dziwnego, że człowiek staje się ciekawski. A to, co widziałem... Nie mogłem odwrócić wzroku. W końcu poczułem się jak śmieć. Byłem zdenerwowany. Kiedy odjeżdżałem, zobaczyłem radiowóz stojący naprzeciwko domu Bradleyów. Później obejrzałem wiadomości... i pomyślałem, że cokolwiek się działo w tym domu, wy mieliście wszystko pod kontrolą, a to, co widziałem, nie będzie... Nie sądziłem, że będzie miało wpływ na śledztwo. Za to wiedziałem, że może mieć wpływ na moje życie, na moją żonę i dzieci, i wolałem się nie wikłać w sprawy organów ścigania.

– A jednak.

– A jednak mnie pani znalazła. Wiem, że teraz wygląda to dziwnie. I dlatego z góry informuję, że mam przeszłość kryminalną, bo pewnie i tak pójdzie pani szukać informacji na mój temat i się wszystkiego dowie. – Milknie i spogląda Rue w oczy. Wiatr szeleści wśród świerkowych gałęzi. – Proszę – mówi cicho. – Dla dobra mojej żony, dla dobra moich dzieci, jeśli informacje z moich akt nie muszą wychodzić na jaw, proszę oszczędzić moich bliskich. W innym życiu zrobiłem coś potwornego. Nie chcę, żeby to im ciążyło. – Przełknął ślinę, oczy zaszyły mu mgłą. – Ma pani dzieci?

– Mam. Syna.

– Chciałaby pani go chronić, prawda?

Phoebe

WTEDY

15 czerwca. Środa.

CZTERY DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Phoebe otwiera drzwi wejściowe Joemu i kłania się, gestykułując jak dworzanin za dawnych czasów.

– Witaj w naszych skromnych progach, pielgrzymie – mówi teatralnym głosem.

On się śmieje, ona też. Joe po przyjeździe ze szkoły odprowadził Phoebe do domu, a ona postanowiła zaprosić go do środka. Szczerze mówiąc, to pierwszy chłopak, którego zaprosiła do domu, chłopak, który jej się podoba. Oczywiście, bywali w domu chłopcy, ale zazwyczaj byli to synowie przyjaciół jej rodziców lub dzieci z sąsiedztwa, które przychodziły na przyjęcia urodzinowe, na wspólne zabawy lub letnie imprezy.

Phoebe chce pokazać Joemu postępy w swojej graficznej powieści manga o Mrocznej Magicznej Dziewczynie, ale nagle nabiera wątpliwości. Nie zna go zbyt długo i teraz, gdy jest w jej domu, nagle zaczyna się denerwować. Ma wrażenie, że dom się kurczy w jego obecności. Bardzo denerwuje się też tym, co powie mama – reaguje gwałtownie na wszystko, co robi Phoebe. Z ust jej matki padają zazwyczaj słowa: *Nie. Nie rób tego. Nie możesz. To nie jest dobry pomysł, Phoebe.*

Mama nie widziała jeszcze jej fuksjowych włosów. Przefarbowwała je z pomocą Fi u Codych i już u nich miała kłopoty, bo biały łazienkowy blat poplamiała na różowo.

Może obecność Joego ochroni ją przed negatywną reakcją matki. Być może fakt, że Phoebe przyprowadziła do domu faceta, tak zaabsorbuje matkę, że nie od razu zacznie się czepiać włosów.

Joe nie wchodzi daleko za próg. Zatrzymuje się i przygląda oprawionym w ramki zdjęciom rodziny Bradleyów w korytarzu. Stoi i patrzy. W jego oczach widać coraz większy dystans. Jego wzrok wędruje od zdjęcia mamy i taty Phoebe na wycieczce kempingowej, przez zdjęcie z rodzinnego safari w Botswanie, do fotografii ich czworga, roześmianych na plaży na Arubie.

Ogarnia ją niepokój. Joe ją ocenia. Ocenia całą jej głupią, konserwatywną, uprzywilejowaną, białą rodzinę, ona to widzi, czuje.

– O czym myślisz? – pyta cicho.

Joe się odwraca i uśmiecha. Z ciepłem w oczach. Serce jej zamiera.

– Moja mama często tak mówi: *O czym myślisz?*

– No wiem, że to dziewczynski tekst, ale...

– W porządku. – Lekko dotyka jej ramienia opuszkami palców. – Myślałem o tym, jak musi być miło mieć normalną rodzinę.

– Że niby my jesteście normalni?

– Tak. Mama, tata, młodszy brat. Dom, w którym mieszka się od zawsze. Przyjaciele w całej okolicy. To, że się wszystkich zna. Wspólne wakacje w różnych krajach. Jak rodzina z hollywoodzkiego filmu.

– Tak naprawdę to trochę przerabane. W małej społeczności wszyscy wszystko o tobie wiedzą. Mnie się podoba twoje życie, takie super, ekscytujące, dużo podróży i przygód.

– Nie znam nawet własnego ojca, chciałbym po prostu wiedzieć, kim jest. Nigdy nie byliśmy z mamą w Afryce. I pewnie nigdy nie będziemy. – Przygląda się uważniej zdjęciu z safari. – Na pewno było zajebiście.

Phoebe dotyka nadgarstka z pomarańczowymi i zielonymi koralikami, które kupiła, by ratować nosorożce, i czuje ból w sercu. Najbardziej na świecie pragnęłaby pojechać na safari z Joem Harperem. Wygląda na to, że zdjęcie wywołało w nim smutek. Phoebe nagle nie jest pewna, czy to odpowiedni moment, by pokazywać mu to, co ma na iPadzie. Wydaje jej się to teraz takie banalne.

Drzwi do przejścia prowadzącego do poradni otwierają się i w progu staje matka.

Phoebe jest spięta.

Matka wchodzi na korytarz z dziwną miną. Serce Phoebe zaczyna szybciej bić.

Mama trzyma w ręce butelkę po wódce. O smaku truskawkowym. Taką, jaką Phoebe pije w zagajniku z Fi. Phoebe przypomina się mężczyzna, który je szpiegował.

Wargi matki rozchylają się, jakby chciała coś powiedzieć, ale nagle dostrzega Joego, który wychodzi zza rogu. Matka staje jak wryta. Wpatruje się w chłopaka z lekko rozchylonymi ustami.

– Hej, mamó – mówi Phoebe. – To jest Joe. Z mojej szkoły.

Po schodach z krzykiem zbiega Matthew.

– Mamó! Mamó! Phoebe przefarbowała włosy! Są różowe! Ciemnoróżowe! Fi jej pomagała, a Jacob mówi, że ubrudziły na różowo całą łazienkę na

piętrze w domu Codych.

– Zamknij swoją durną jadaczkę – warczy Phoebe na brata.

– Dzień dobry, pani Bradley – rzuca szybko Joe, wyciągając rękę jak dżentelmen lub biznesmen. To wytrąca jej mamę z równowagi.

– Joe jest nowy w szkole i nowy na osiedlu – mówi Phoebe.

– Mama jest na ciebie zła – szczebiocze Matthew. – Widziałaś, co znalazła pod twoim łóżkiem?

– Spadaj – mruczy Phoebe pod nosem.

– Matthew – odzywa się mama. – Idź na górę.

Matthew ani drgnie. Wpatruje się w Joego. W jego oczach widać podziw lub cielecy zachwyty. Joe uśmiecha się do Matthew i wzrusza ramionami.

Matthew się uśmiecha.

– Będę się zbierał. Odprowadziłem Phoebe z autobusu i właśnie wychodziłem. Do zobaczenia jutro, Phoebe. Miło było panią poznać, pani Bradley. – Szybkim krokiem rusza w stronę drzwi. – Nie fatyguj się, poradzę sobie. – Wkłada buty i chwytą klamkę.

Phoebe spodziewa się, że mama powie:

– Nie wychodź, mną się nie zajmuj.

A tymczasem matka mówi lodowatym tonem:

– Miło cię poznać, Joe.

Drzwi się za nim zamykają.

– Co się z tobą dzieje? – pyta kategorycznie Phoebe. Atak jest jej ulubioną formą obrony. Przypuszcza go, zanim mama zaatakuje ją w sprawie butelki po wódce i włosów.

– Ze mną? – pyta matka. – Co ze mną jest nie tak? To jest nie tak. – Podnosi pustą butelkę. – Co to do cholery jest, Phoebe?

– Butelka po wódce, mamó. Chryste. W taki sposób zwracasz się do pacjentów? Takich jak ta puszczalska Tarryn Wingate? Ona non stop się upija i sypia, z kim popadnie. Pewnie nawet z trenerem pływania. Założę się, że dla niej jesteś miła.

– Phoebe, nie wspominaj o moich pacjentach. Nigdy. – W oczach mamy iskrzy złość. Zupełnie jakby matka była pod napięciem. Jej policzki są czerwone. Phoebe trochę się boi. Jeszcze nigdy nie widziała jej tak wścieklej.

– Ile lat ma Joe?

– Co to ma do rzeczy?

– Wygląda na dwadzieścia, Phoebe. Ty masz dwanaście. Jesteś jeszcze dzieckiem.

– Co z tego, że ma dwadzieścia lat? Zabronisz mi się z nim spotykać, bo jest dla mnie za stary? Powiesz, że nie mogę ufarbować włosów na taki kolor, na

jaki chcę, bo jestem dzieckiem? Bo to nie pasuje do twojej wizji? Wiesz co, mamó? Będę się z nim spotykać. Będę robić, co chcę, i nie mam zamiaru wykonywać twoich głupich rozkazów, bo nie jesteś moją szefową. Skoro nie mogę przyprowadzać mojego chłopaka do domu, to trudno. Będę chodzić do niego. Albo z nim ucieknę. – Tupiąc, rusza na górę.

– Masz szlaban, Phoebe! – krzyczy matka, wchodząc za nią po schodach.

Phoebe wpada do swojego pokoju, zatrzaskuje za sobą drzwi i zamyka je na klucz. Opiera się o nie. Łzy napływają jej do oczu. Powoli osuwa się na podłogę i podciąga kolana pod brodę.

Lily

WTEDY

15 czerwca. Środa.

CZTERY DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Lily zapala świecę w kamiennym kościele nad morzem i klęka przed figurą Matki Boskiej. Zamyka oczy i składa dłonie do modlitwy.

Powinna przygotowywać w domu kolację, ale Tom zadzwonił, że się spóźni, a ona czuje w duszy dojmujące, potworne osamotnienie, którego jej mąż nie zrozumie – nie ma pojęcia, że Phoebe sprawia, że Lily czuje się jak potwór.

Po kłótni z dwunastolatką Lily jest przerażona. Jej obawy potęgują ostatnie sesje z Paisley i jej wewnętrznym małym diabłem oraz z Garthem, który zastanawia się, czy można wybaczyć naprawdę i pozwolić, by ktoś stał się zupełnie nowym człowiekiem. Awantura z Phoebe wyglądała jak konfrontacja z wewnętrznym dwunastoletnim „ja” Lily. Być może dlatego tak irracjonalnie złości się na córkę. Podobnie jak Paisley, Lily też nosi w sobie złą dziewczynkę. Wewnętrzny diabeł Lily jest prawdopodobnie w tym samym wieku, co diabeł Paisley, podlega wpływom tej samej patriarchalnej kultury i mylących nacisków. Być może Phoebe stała się ucieleśnieniem czegoś nieuświadomionego, co Lily w sobie skrywa. Takiego przekonania zaczyna nabierać jako terapeutka.

Musi naprawić stosunki z córką, zanim odepchnie ją zbyt daleko. Zanim straci kontrolę nad swoim idealnym życiem. Zanim nie będzie w stanie dłużej oddzielać od siebie okropieństwa swojej przeszłości. Pochyla głowę pod czujnym, oceniającym okiem Matki Boskiej.

Pokutuj.

Lily klęczy w ciszy przez kilka chwil, badając swoje sumienie, jak zawsze przed przystąpieniem do spowiedzi.

Musi być lepszą żoną. Musi wrócić do seksu z Tomem, aby nie był zmuszony rozglądać się za żonami sąsiadów czy szukać innych kobiet, z którymi zaspokoi swoje pragnienia. Uwodzicielskich, destrukcyjnych kusiołek, takich jak Paisley. *Nie wódź nas na pokuszenie.* Musi oddzielić swoje wewnętrzne dziecko od relacji z Phoebe. Musi bardziej się wysilać,

aby powstrzymywać się od oceniania swoich pacjentów. I nie czuć narastającego obrzydzenia do Paisley, która seryjnie uwodzi mężów innych kobiet. Paisley też cierpi. Źle się czuje. Lily musi dotrzymać przysięgi terapeuty i wykazywać się empatią. Okazywać współczucie. Tego pragnie każdy – miłości. Poczucia przynależności. Przebaczenia grzechów.

Amen.

Lily się żegna. Jest gotowa do spowiedzi. Na zewnątrz konfesjonału zapala się zielona lampka. Ksiądz też jest gotowy.

Lily wchodzi do małej kabiny z tyłu kościoła. Klęka na niskiej ławce. Widzi ciemną sylwetkę księdza, oddzieloną drewnianą kratą.

– Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam – mówi cicho. – Ostatni raz u spowiedzi byłam miesiąc temu... – Słowa zamierają na jej wargach.

– Jakie grzechy chcesz wyznać, dziecko?

Ksiądz ma osiemdziesiąt dwa lata. Każdego ze swojej trzódki nazywa „dzieckiem”. Lily to denerwuje, bo przecież od pewnego czasu zмага się ze swoim wewnętrznym dzieckiem. Przez chwilę nie może mówić. Ani myśleć.

– Dziecko?

Lily doznaje olśnienia. Wie, co jest nie tak.

– Obawiam się, że nie będzie ksiądz w stanie mi pomóc. Obawiam się, że popełniłam grzech śmiertelny, którego nie można odpuścić. – Bierze niepewny oddech. – Popełniłam śmiertelny grzech zwątpienia.

Ksiądz milczy przez dłuższą chwilę. Ciężar, historia, osąd Kościoła na przestrzeni wieków nagle przygniatają ją, uwięzioną w małym konfesjonale. Serce Lily zaczyna bić szybciej. Jej skórę przeszywa gorący dreszcz, a pod pachami zbiera się pot.

W jej umyśle pojawia się obraz Bafometa i nie chce odejść. Kozi „diabeł” z rogami. W głowie Lily rodzi się szmer. Widzi wisiorek z pentagramem migoczący na szyi małej Sophie McNeill na starym zdjęciu z gazety.

– A jednak jesteś tutaj, dziecko – mówi ksiądz. – Jeśli zwątpiłaś, że Pan Bóg może cię rozgrzeszyć, dlaczego przyszedłaś do mnie, by prosić o przebaczenie? Dlaczego klękasz przede mną w Jego imię, skoro nie potrafisz uwierzyć w Jego wszechmocne miłosierdzie?

Oczy pieką Lily od łez. Zaczyna czuć drżenie w dole brzucha.

– Ojcze, stawałam przed Bogiem przy wielu okazjach, przez wiele lat, i wyznałam wszystkie swoje grzechy. Ale... nie czuję, że On mi wybaczył. Narastają we mnie wątpliwości. Czuję strach. Czuję obecność czegoś, co przyszło, by pozbawić mnie tego, co dobre. – Waha się. – Czuję, że jest we mnie zło.

– Kiedy wcześniej wyznawałaś swoje grzechy, czy pokutowałaś? Czy twój żal i skrucha były szczere?

– Tak, ojcze.

– W takim razie musisz ufać, że współczucie Pana Boga i Jego moc przebaczenia są nieskończone i że On rzeczywiście ma moc odpuszczenia wszystkich grzechów. Zwątpienie w przebaczenie to brak wiary w Niego, moje dziecko. Zwątpienie jest sprzeczne z Bożą dobrocią. To utrata egzystencjalnej nadziei. To jedyny śmiertelny grzech, którego nie można wybaczyć, ponieważ jest sprzeczny z naszym podstawowym rozumieniem Boga. – Ksiądz milknie. – Czy jesteś pewna, że masz na sumieniu ten grzech? Może jednak w głębi serca nadal w Niego wierzysz?

– Wierzę, ojcze. Myślę, że wciąż wierzę.

– Więc czego się boisz, skoro Bóg może cię rozgrzeszyć?

Skóra Lily jest rozpalona. Myśli o potwornych ilustracjach z mangi na iPadzie Phoebe. O nożu na białej szyi. Pustej butelce po wódce. O starszym chłopaku. Myśli o otwartych ranach obserwujących ją z białej skóry niczym krwawe, czerwone oczy. Czuje zapach krwi.

Diabła, myśli.

Boję się małego diabła, który nosi znak Bafometa. Diabła, którego nie można nazwać.

Rue

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

Siedzą we wspólnym pokoju. Rue wróciła po rozmowie z Garthem Quinlanem i o tym, czego się dowiedziała, informuje Georgię Backmann, Toshiego i „despotę od dokumentów”, Henry’ego Hague’a, którzy słuchają jej, siedząc przy swoich biurkach.

– Lily Bradley włożyła mięso do worka na śmieci, a następnie schowała je do zamrażarki? – dziwi się Toshi. – Po jaką cholerę?

– Musimy dostać się do tej zamrażarki i do domku ogrodowego, i trzeba znaleźć tę koszulkę Ocean Motion. – Rue recytuje fakty, wyliczając na palcach: – Virginia Wingate widziała Toma Bradleya wracającego w poplamionej koszulce. Matthew Bradley twierdzi, że jego ojciec po powrocie z biegania poszedł prosto do komórki. Matthew Bradley zrobił ojcu zdjęcia. Garth Quinlan widział, jak Lily Bradley wychodziła z domku ogrodowego z workiem na śmieci. Widział, jak wkładała worek z mielonym mięsem do zamrażarki. Lily Bradley otworzyła Quinlanowi drzwi, umazana krwią na twarzy i rękach.

– Wygląda na to, że Tom Bradley poszedł do komórki, zanim zadzwonił pod 911 – zauważa Georgia.

Rue przytakuje.

– A kiedy Bradley zabrał mnie do lasu, żeby pokazać ciało, jego żona poszła do ogródka i przypuszczalnie próbowała zniszczyć dowody. Mamy podstawy do wydania nakazu przeszukania tej komórki ogrodowej i domu. Jak już tam będziemy, musimy zdobyć zdjęcia Matthew Bradleya.

– Zajmę się tym – mówi Hague, sięgając po telefon.

– Toshi, co znalazłeś podczas przeszukania mieszkania Arwen Harper? – pyta Rue.

– Żadnego laptopa. Żadnego telefonu. Podejrzana sprawa, bo jej syn wspomniał, że pracowała na laptopie nad tajnym projektem i najwyraźniej z tego powodu przeprowadzili się na wyspę. Musimy też pamiętać, że pracowała jako reporterka śledcza i czasami działała pod przykrywką. Trzeba się dowiedzieć, co robiła. W szafce łazienkowej miała mnóstwo leków. Uspokajających, pobudzających, przeciwpsychotycznych. Wysłałem je

wszystkie do laboratorium. Miała też spory zapas marihuany i alkoholu. Mamy jeszcze dowód w postaci drukowanych materiałów – gazet, błyszczących zdjęć, spiralnych notatników – które zostały niedawno spalone w jej kominku.

– Jakby ktoś coś niszczył? – pyta Georgia.

– Możliwe – odpowiada Toshi. – Dziwna wydała mi się taka ilość popiołu w kominku, jak się okazało, nie pochodził z drewna. Dziwne jest też to, że nie ma jej laptopa. Miała tablicę korkową, która wygląda na ogołoconą z materiałów. Zdaje się, że zamek w prowizorycznych drzwiach do tablicy został sforsowany.

– Potencjalny motyw jej śmierci? – pyta Georgia. – Może to nie był przypadkowy lub zaplanowany atak w typie Zabójcy Biegaczek, ale celowe zabójstwo?

– Powinniśmy zachować otwarty umysł – mówi Rue. – Toshi, pokazałeś Joemu Harperowi zdjęcia biżuterii znalezionej na ciele jego matki? Zauważył, że czegoś brakuje, jakichś „trofeów”, jak w sprawach seryjnego zbójcy?

– Nie był w stanie nic powiedzieć na ten temat – wyjaśnia Toshi. – Twierdzi, że jego matka ciągle zmieniała biżuterię, a miała jej bardzo dużo, więc nie sposób sprawdzić, czy coś zostało zabrane.

– W porządku. W takim razie nie możemy zakładać, że niczego nie zabrano – mówi Rue. – W trzech przypadkach Zabójcy Biegaczek napastnik zabrał każdej ofierze po jednym elemencie biżuterii: pierwszej – srebrny antyczny pierścionek, drugiej – mały kompas umieszczony w jodełowym wisiorze w kształcie krzyża maltańskiego, a trzeciej – bransoletkę w kształcie sześciokąta. Bardzo charakterystyczne przedmioty. Dodatkowo z każdego ciała zabrał kosmyk włosów.

– Nie widać, żeby Harper zabrano kosmyk? – pyta Georgia.

– Nie. Fareed nie znalazł na to żadnych dowodów. Musimy jednak pamiętać, że jeśli to sprawka Zabójcy Biegaczek, a nie zaplanowane morderstwo, to jego plan mógł zostać udaremniony, zanim zdążył go zrealizować.

– Coś ciekawego od pracodawcy z Red Lion? – pyta Toshi.

– Nic, co od razu by zwracało uwagę – mówi Rue. – Poza tym, że Arwen Harper przyjaźniła się z Tomem Bradleyem, Simonem Codym i ich ekipą.

– W sensie seksualnym? – pyta Georgia.

– Jej pracodawczyni twierdzi, że to możliwe, a nawet prawdopodobne. Powstają więc pytania o żony tych mężczyzn, rywalizację, zazdrość. Arwen Harper nie informowała pracodawczyni o żadnych obawach. Podobno była

ogólnie lubiana. I była osobą przyjacielską. Ale bardzo skrytą. Nie wspominała, że ma jakichś wrogów. Ostatni raz pracowała na popołudniowej zmianie w sobotę osiemnastego czerwca. Dzień przed imprezą. Dzień przed śmiercią. Przejrzę monitoring z tawerny z ostatnich siedmiu dni, bo tylko tyle czasu przechowują nagrania, zobaczę, czy na coś trafię.

– Chcesz, żebym się tym zajął? – pyta Toshi.

– Nie – rzuca Rue, nieco pośpiesznie. Milknie. – Poradzę sobie. Przynajmniej nie będę siedzieć z założonymi rękami, dopóki nie dostaniemy nakazu.

Toshi patrzy na nią przez chwilę w milczeniu. Rue czuje gorący rumieniec na twarzy i cieszy się, że na jej ciemnej skórze jest niewidoczny. Toshi zerka na swój komputer, a później znów na Rue.

– Znalazłem informacje o tych plastikowych koralikach i symbolu nosorożca. Spójrz tutaj. – Pokazuje otwartą kartę na monitorze. Rue i Georgia stają za jego krzesłem.

– Widzisz znaczek nosorożca na brązowym koraliku na tym zdjęciu? To logo fundacji Save the Rhino. Sprzedaje bransoletki turystom w sklepach z pamiątkami i online ludziom z całego świata. Wpływy pomagają finansować wysiłki antyklusownicze. – Odrywa wzrok od monitora. – Jeśli Arwen Harper sznur pomarańczowych i zielonych koralików zerwała z napastnika podczas walki na klifie, całkiem możliwe, że ten, kto go nosił, odwiedził Afrykę Południową.

– Albo... kupił koraliki online – mówi Rue, wpatrując się w ekran komputera. – Robią chyba mnóstwo takich bransoletek. Podobny program zbierania funduszy prowadzi w Australii fundacja Save Koalas.

Toshi marszczy czoło.

– Jasne, szefowo. Ale to chyba jest jakiś trop, prawda? Nasz niezidentyfikowany sprawca może mieć związek z Afryką: odwiedził ją albo jest zainteresowany ochroną afrykańskiej przyrody. To zawęży krąg podejrzanych.

Rue czuje, że Toshi ją obserwuje, gdy wraca do biurka. Lekko obraca krzesło i ekran komputera i zaczyna przeglądać nagrania monitoringu z Red Lion, ale serce zaczyna jej szybciej bić. Próbuje się skupić.

Znajduje znaczek z datą z czwartku 16 czerwca i zaczyna oglądać niewyraźny obraz z kamery przemysłowej na podzielonym ekranie. Musi sprawdzić, czy da się rozpoznać jej samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Rzuca okiem na kolegów. Wszyscy są zajęci.

Skupia się na ekranie i przewija materiał, aż dostrzega Arwen Harper z parasolem podchodzącą do wejścia. Godzina pokrywa się z tą, o której tego dnia zaczynała pracę. Rue patrzy, jak Harper wchodzi do środka i zamienia kilka słów z hostessą. Zdejmuje płaszcz przeciwdeszczowy i znika z ekranu. Ludzie wchodzi i wychodzą. Przed tawerną pada deszcz. Na zewnątrz robi się coraz ciemniej. Rue nie zauważa niczego szczególnego. Przewija materiał do przodu, aż dostrzega znajomą sylwetkę męża. Mięśnie jej brzucha się napinają.

Patrzy, jak Seth wchodzi do tawerny. W środku się rozgląda, rusza w kierunku baru i znika z pola widzenia.

Rue skupia się na nagraniu z zewnątrz. Jest już ciemno. Deszcz zmniejsza widoczność na chodniku i na ulicy przed tawerną. Rue widzi białe subaru wjeżdżające na miejsce parkingowe.

Cholera.

Jeszcze raz rozgląda się po sali. Wszyscy nadal skupiają się na swoich zadaniach. Robi zbliżenie białego subaru. Na jego szybach lśni deszcz. Rue dostrzega w środku ciemny kształt, ale nie da się stwierdzić, że to ona. Nie widać też tablic rejestracyjnych. Możliwe, że obraz można wyostrzyć i ktoś mógłby zidentyfikować Rue w aucie. Wie również, że gdyby ktoś zainteresował się tym samochodem, będzie miał do dyspozycji nagrania z kamer ulicznych lub drogowych, które zapewne zapisały rejestrację jej auta. I wyraźną postać kierowcy. Serce bije jej szybciej.

Na nagraniu ponownie pojawia się Arwen Harper. Rue zerka na znacznik. Godzina zakończenia zmiany. Harper wychodzi z tawerny i znika z pola widzenia kamery. Rue wie, że kelnerka stoi pod markizą, poza zasięgiem monitoringu.

Seth pojawia się w recepcji, wychodzi z tawerny, po czym znika, kierując się w tę samą stronę, co kelnerka. Kilka chwil później białe subaru odjeżdża.

Rue siada, serce jej łomocze. Z nagrania nie wynika, że jej mąż ma jakiś związek z nieżyjącą kelnerką. Ani że ma go ona. Wypuszcza powietrze – nawet nie wiedziała, że wstrzymuje oddech. Sięga po grafik, który dała jej Dez Parry, i ponownie sprawdza godziny ostatniej zmiany Arwen Harper. Przewija nagranie do odpowiedniej daty. Obserwuje, jak Arwen Harper wchodzi do pracy. Nic nie rzuca jej się w oczy – goście przychodzą, odchodzą. Harper od czasu do czasu pojawia się w recepcji, gdzie odkłada menu.

O 15.15 Harper pojawia się ponownie w recepcji. Rozmawia z hostessą, po czym wychodzi z tawerny. Przez chwilę stoi przed wejściem do Red Lion i patrzy w telefon, po czym idzie na prawo i znika. Rue ma zamiar usiąść

wygodnie i się odprężyć, uspokojona tym, że na nagraniu nie ma nic, co na obecnym etapie uzasadniałoby jego bardziej szczegółowe badanie, i że prawdopodobnie zdoła utrzymać rodzinę i swoje problemy małżeńskie z dala od całej tej sprawy. Jednak kiedy ma zamiar wyłączyć nagranie, zauważa mężczyznę stojącego po drugiej stronie ulicy. Serce zaczyna jej łomotać.

To Eb.

Ze swoim rowerem.

Stoi i obserwuje wejście do Red Lion.

Rue pośpiesznie cofa nagranie i ogląda je jeszcze raz z sercem w gardle. To na pewno Eb. Przyjechał o 14.46 i stał, obserwując wejście, dopóki Harper nie wyszła z pracy. Rue zbiera się na wymioty, gdy widzi, jak jej syn odwraca głowę, a jego wzrok podąża za Arwen Harper, która znika z pola widzenia kamery.

Rue nie jest w stanie logicznie myśleć. Nic do niej nie dociera.

– Szefowo! Słyszałaś? – To Toshi. Stoi i wkłada marynarkę. – Mamy to. Mamy nakaz. Idziemy.

Rue pośpiesznie wysuwa dysk, waha się, po czym chowa go do woreczka. Wkłada go do szuflady, na sam jej koniec. Będzie musiała pomyśleć o tym później.

Matthew

WTEDY

15 czerwca. Środa.

CZTERY DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Matthew w samotności je kawałek pizzy przy kuchennym blacie. Tata się spóźnia, a mamy nie ma. Po kłótni Phoebe i mamy jego siostra poszła na górę i trzasnęła drzwiami. Mama zamówiła pizzę, kazała mu zjeść, kiedy ją przywiozą, i powiedziała, że idzie do kościoła.

Przez kilka chwil fajnie było mieć całą pizzę dla siebie.

Aż przestało być fajnie. Dom wydaje mu się pusty. Zimny.

Słyszy, jak drzwi do pokoju Phoebe się otwierają. Jego siostra schodzi na dół z zaciętą miną. Zmyła swój gotycki makijaż. Obrzuca brata wściekłym spojrzeniem.

– Gdzie się wybierasz? – pyta Matthew, gdy siostra podchodzi do drzwi i zakłada swoje nowe sznurowane buty, mimo że na zewnątrz jest ciepłe lato.

– Nie twój interes.

– Masz szlaban. Przez wódkę. Słyszałem, mama mówiła.

– Nie twój interes, ty świrze.

Cóż, Matthew zamierzał zrobić z tego swój interes. Interesy zawsze stawały się bardziej atrakcyjne, gdy mu mówiono, że nie są jego. Gdyby tak udało mu się zrobić zdjęcia starszej siostrze, jak wymyka się z domu, chociaż ma szlaban, zyskałby superużyteczne narzędzie szantażu. Robił to już wcześniej, siostra musiała mu zapłacić słodyczami i różnymi rzeczami, na przykład nie mogła na niego kablować. Ma ochotę na kolejne łapówki.

Czeka, aż drzwi się zamkną, a później bierze aparat i rusza za Phoebe.

Phoebe idzie do końca Oak End.

On przyczaja się za krzakami i patrzy, jak jego siostra puka do drzwi domku. Wychodzi Joe. Chwilę rozmawiają, a później Joe zamyka za sobą drzwi i we dwoje idą do lasu za domem.

Matthew skrada się za nimi. Wiatr porusza koronami drzew, a szelest gałęzi maskuje odgłos kroków Matthew. Jest w swoim żywiole, może wykorzystywać swoje samodzielnie nabyte, supertajne umiejętności.

Phoebe i Joe siadają na pieńku.

Matthew przykuca wśród paproci, pstryka aparatem. Joe się odwraca.

– Słyszałaś coś?

Nasłuchują, a Matthew nieruchomieje.

– To tylko wiatr – mówi Phoebe.

Całują się.

Serce Matthew bije jak szalone. Pstryka i pstryka. Gdy będzie miał takie zdjęcia, siostra zrobi wszystko, co będzie chciał. Jest w siódmym niebie.

Phoebe i Joe w końcu się rozdzielają.

– Kojarzysz te wycieczki ze zdjęć, które oglądałeś w naszym holu?

– A co z nimi? – pyta Joe.

– Wcale nie były takie wspaniałe, cała ta rodzinna wspólnota. To jak... Mam irytującego młodszego brata. Rodzice na nic mi nie pozwalają. Mama... o wszystko się mnie czepia. Wydaje mi się, że coraz bardziej o wszystko się wścieka. Przepraszam cię, Joe. Była taka nieznośna. Tak mi wstyd i przykro mi, że zobaczyłeś ją w takiej akcji.

– Co powiedziała po moim wyjściu?

– Dała mi szlaban. Za tę sprawę z wódką.

Joe kiwa głową.

– Chciałbym pojechać do Afryki. Z rodziną czy bez. Piękne marzenie. Na afrykańskie safari. I do Azji.

– Stamtąd pochodzi twój tata?

– Nie wiem, skąd pochodzi. Nawet nie mam pojęcia, kto jest moim ojcem.

– Mógłbyś spróbować go odszukać, wiesz? Na pewno jest mnóstwo stron internetowych, z których można się dowiedzieć, jak się do tego zabrać. Oczywiście, jeśli chcesz.

– Chcę. Zwłaszcza teraz, kiedy tu zamieszkaliśmy. Moja mama... Nie wiem. Odpływa. Jest... – Przerwał.

– Co jej jest?

– Nic poważnego. Jest po prostu pochłonięta czymś dziwnym, bardzo skryta. – Dotyka nadgarstka Phoebe. A Matthew ponownie pstryka zdjęcie i opuszcza aparat. Jest zaskoczony delikatnym dotykiem potężnego Joego. Jego dobrocią. Matthew czuje... wzruszenie. Jakby Joe widział inną wersję jego starszej siostry. Kogoś, kto potrzebuje życzliwości i delikatnego dotyku.

Phoebe zdejmuje afrykańską bransoletkę, której dotyka Joe. Matthew klika, gdy siostra wręcza ją Joemu.

– Masz.

– Co?

– Chcę ci ją dać. To bransoletka z fundacji Save the Rhino. Kiedy byliśmy na safari, odwiedziliśmy sklepik z pamiątkami, który swój dochód przeznaczają na walkę z kłusownictwem, ratowanie białych nosorożców, i tak dalej. Zatrudniają do tego psy i ekipy miejscowych kobiet. Te *mammy* z małych wiosek, jak je nazywają, ścigają kłusowników z bronią i psami tropiącymi. Superfajne.

– Nie mogę jej wziąć, Phoebe. To twoje wspomnienie. Pamiątka z wyjątkowej podróży.

– Chcę się nią podzielić. Nie musisz jej brać na zawsze. Ponoś sobie trochę. Co ty na to?

Joe przez chwilę milczy. Wydaje się nieco spięty, pochyla lekko głowę.

Phoebe dotyka jego ramienia.

– Joe?

Przeciera oczy. Odzywa się ochrypłym głosem.

– Dziękuję.

Matthew po raz pierwszy czuje, że nie powinno go tu być, że nie powinien szpiegować. Że może niektóre rzeczy powinny być prywatne. Ale gdyby teraz się wymknął, mogliby usłyszeć trzask poszycia. Czeka więc, aż wstaną i sobie pójdą. A kiedy wychodzą z lasu, on biegnie do domu tak szybko, jak tylko pozwalają mu jego małe nóżki, bo nie chce, żeby Phoebe nie zastała go w domu. Nie zamierza wykorzystywać tych zdjęć do szantażu. Nie tym razem.

Rue

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

Gdy wszyscy ruszają do samochodów, Rue mówi Toshiemu, że musi skoczyć do łazienki. On marudzi pod nosem, ona przeprasza, ale niestety, nie wytrzyma.

Wchodzi do łazienki i zagląda pod drzwi kabin.

Nikogo nie ma.

Dzwoni do Eba.

Odbierz, odbierz. Spogląda na zegarek. Wszyscy na pewno czekają na zewnątrz.

– Mamo?

Emocje z jej piersi przedostają się do oczu.

– Eb, słuchaj, nie mogę rozmawiać, ale muszę się dowiedzieć, gdzie jest bransoletka z koralików, którą kupiłeś na wycieczce?

– Co?

– Mów, do cholery, szybko. – Rue słyszy głosy na zewnątrz. Kobiety. Zaraz wejdą. Ktoś je woła i zatrzymują się na pogawędkę przed wejściem do łazienki.

– Mamo? O co chodzi?

– Eb, proszę. Gdzie to jest?

– Nie wiem... Zgubiłem... Musiała się zerwać. Są zrobione z cienkich nici. Robią je kobiety z wiosek, które...

– A bransoletka twojego ojca?

– Nie widziałem, żeby ostatnio ją nosił. Mamo, wszystko w porządku?

Rue przygląda dłonią włosy i dostrzega swoje odbicie w lustrze. Wygląda na wyczerpaną. Głosy na zewnątrz słychać tak, jakby kobiety zaraz miały wejść do łazienki.

– W porządku. Wszystko w porządku, Eb – odpowiada cicho. – Będę dziś później. Porozmawiamy w domu.

Drzwi się otwierają i do środka wchodzi dwie kobiety. Rue chowa telefon do kieszeni, odkręca kran, opłukuje twarz, chwytając papierowy ręcznik, wyciera ręce i pędzi na górę, by wziąć udział w nalocie na dom Bradleyów.

Nic nie jest w porządku. W najmniejszym stopniu. Jej syn był przed tawerną w ostatnim dniu pracy ofiary. Na nagraniu wyglądał tak, jakby nią czekał. Śledził ją. I zgubił bransoletkę.

Zrobię dla ciebie wszystko, mamo, wiesz o tym, prawda?

W jej głowie rozbrzmiewa głos Gartha Quinlana.

Ma pani dzieci? Chciałaby pani chronić swojego syna, prawda?

Tom

WTEDY

17 czerwca. Piątek.

DWA DNI PRZED JEJ ŚMIERCIA

Tom i Arwen wytrzymali dłużej niż reszta ekipy od happy hour. Po wyjściu z Red Lion cała piątka – Tom, Simon, Arwen, Sandeep i Milton – wybrała się na łódź Bradleyów na „rozchodniaczka”.

Pierwsi opuścili łódź Sandeep i Milton – roześmiani zeszli po trapie i na oświetlonym blaskiem księżyca parkingu szukali taksówki. Simon poszedł w ich ślady, gdy wypił ostatni kieliszek szesnastoletniej słodowej lagavulin.

Tom jest sam na sam z Arwen w swojej przytulnej kabinie. Na niebie, nad delikatnie falującym oceanem, wisi duży okrągły księżyc w pełni. Łódź kołysze się lekko wśród fal. Liny uderzają o maszty, a doki jęczą od uderzeń kadłubów.

Tom siada na kanapie obok Arwen. Czuje się swobodnie, gdy jego udo dotyka jej nogi. Światło księżyca wpadające przez boczne okno oblewa ich srebrnym blaskiem. Namaszczając ich, łącząc eteryczną więzią. Mały palec Arwen ociera się o jego palec. Tom nie cofa dłoni. Pożądanie narasta w nim niczym przypływ.

Bierze głęboki oddech, niepewny, czy tej nocy nie przekroczył przypadkiem granicy, spoza której nie zdoła już wrócić.

Arwen wstaje, podchodzi do małego barku i nalewa whisky, jemu i sobie. Zerka na zdjęcie na ścianie. Tom, Lily i dzieci. Tom przełyka ślinę. Nie widzi oczu Arwen, nie może z nich wyczytać, o czym myśli.

– Nie powiedziałaś mi, jak ma na imię twoja żona – mówi Arwen, wrzucając lód do szklanek.

– Lily. Jest terapeutką.

Arwen przynosi mu drinka i siada obok niego. Bliżej niż wcześniej. Jej bransoletki pobrzękują, gdy się porusza. Pachnie cudownie – delikatna woń perfum zlewa się z zapachem whisky i kadzidełek, którymi pachnie jej ubranie, i Tomowi przypominają się młode lata. Przez chwilę w tę księżycową noc, unosząc się na falach, jest przy tej kobiecie po prostu facetem. Nie ojcem. Nie profesorem ani nauczycielem. Nie doktorem

psychopatologii, badaczem mrocznych, spaczonych umysłów. Jest po prostu Tomem. W tej bańce czasu, przestrzeni i blasku księżyca, w której jest zamknięty, możliwe są rzeczy niedopuszczalne w jego uporządkowanym świecie przyzwyczajień i bezpiecznej rutyny. Jak w ogóle się w nim znalazł? Wydawało mu się, że tego właśnie chciał. Tej rodziny. Domu. Dzieci. Rutyny. Bezpieczeństwa. I naprawdę tego pragnie. Znajduje sobie tylko małą odskocznnię, bo każdy czasem jej potrzebuje. Jest pijany. Nie myśli trzeźwo. Czuje się... jakby był odurzony. Jakoś tak... diabolicznie. Opętany pragnieniem. Drapieżny.

– Doląłeś mi czegoś do drinka?

Arwen uśmiecha się, wydaje się zniekształcona. Tom próbuje otrząsnąć się z otumanienia. Nie jest w stanie. Ma ochotę się śmiać. Czuje się fantastycznie. Jest szczęśliwy. Napalony.

– Zrobiłaś to, prawda?

Arwen parska śmiechem, odchyła głowę i prezentuje białą szyję. Tatuaż na boku faluje, ożywa, wiję się. Tom bez namysłu delikatnie dotyka go opuszkami palców.

– Chimera? – szepcze. – Zlepek różnych części. Dlaczego?

Jej oczy na chwilę poważnieją, a Toma ogarnia cień niepokoju.

– A nie jesteśmy zlepkiem różnych części, które udają jednolitą całość? Nie jest tak, że dobre części i te złe, to, kim moglibyśmy być i to, kim być nie chcemy, wszystko to trzyma w ryzach siebie nawzajem?

– Mówisz jak Lily, kiedy zaczyna analizować Junga.

Arwen milknie i odwraca głowę. Tom natychmiast żałuje, że wprowadził między nich żonę. Ma wrażenie, że zniszczył magię. Uznaje, że to niewłaściwa myśl, chichocze, próbuje powstrzymać się od śmiechu.

– Jezu, co ty mi dałaś? Zajebista rzecz.

– Gdzie poznałeś swoją żonę?

– Czemu pytasz?

– Z ciekawości.

– W Ottawie. Na zjeździe psychologów szesnaście lat temu. Miałem tam prelekcję, a ona była młoda, piękna i inteligentna. Podeszła do mnie na jednym z bankietów i zaczęła zadawać pytania. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Młoda, zupełnie zielona pani psycholog marząca o prowadzeniu prywatnej praktyki. Miała dwadzieścia dziewięć lat. Ja byłem w średnim wieku i pochlebiało mi zainteresowanie kobiety o piętnaście lat młodszej. Zaprosiłem ją na kolację. A później się potoczyło.

– Facet w średnim wieku... Nie byłeś z nikim związany, kiedy ją poznałeś?

Milczy. W jego mózgu rozbrzmiewa dysonans. Nagle zdaje sobie sprawę z fal pod łodzią, które nią kołyszą. Wiatr się wzmacnia. Odgłos lin uderzających o maszty przybiera na sile, a łoskot wody w dokach staje się natarczywy. Tom odkasłuje.

– Można powiedzieć, że byłem wdowcem. Partnerka, z którą byłem związany, zmarła kilka lat wcześniej, a ja właśnie próbowałem się otrząsnąć po zerwaniu z kobietą, z którą chciałem stworzyć trwały związek.

– Jak umarła?

Tom spogląda na nią zaskoczony.

– Przepraszam. To... było bezduszne. – Arwen ujmuje jego dłoń i splata palce z jego palcami. W kajucie panuje cisza. Arwen mu się przygląda. Blask księżycy odbija się w jej oczach i mieni się w małym kolczyku w jej nosie. Jest kusząca, a jednak Tom czuje, że przebiega go dreszcz. Ma wrażenie, że Arwen się przeobraża. Jak chimera na jej szyi. Otacza ją coraz chłodniejsza i coraz bardziej złowieszczą aurą. Jej wzrok staje się przenikliwy, a w głosie słychać kategorię ton. Tom wyczuwa w niej niepokonany głód. Rozum podpowiada mu, że powinien już iść. Wyjść. Odejść. Teraz. Póki jeszcze nic mu się nie stało. Jednak oszołomiony alkoholem i czymś znacznie silniejszym, nie rusza się.

– Nic się nie stało. Zachorowała na bardzo agresywną postać raka jajnika. Straciłem ją, zanim zdążyliśmy założyć rodzinę.

– Nie chciałeś się z nią ożenić?

Zaśmiał się gorzko.

– Ja chciałem. Ona nie chciała. Kwestia feministycznego podejścia. Miała błyskotliwy umysł i była bardzo szanowana w swojej branży. – Sący drinka, myślami cofając się w czasie. – Pracowała w poradni psychiatrycznej w Albercie. Ja uczyłem w szkole niedaleko. Byłem zdruzgotany, gdy choroba mi ją zabrała. Kilka lat dochodziłem do siebie po tej stracie. Dopiero po sześciu latach i jeszcze jednym związku w końcu spotkałem Lily. Czasem myślę, że na nią nie zasługuję. Dała mi nowe życie, nadała życiu sens.

– Lily pochodzi z Ottawy?

– Tak. Tam się wychowała. Jedyńca.

Arwen nagle się prostuje i odwraca głowę. Tom czuje się niezręcznie. Jest skrępowany. Arwen popija drinka, nie patrząc na Toma.

– O której poradni psychiatrycznej w Albercie wspomniałeś?

– Margot Javinski.

Spogląda mu w oczy.

– Mówiłam ci, że dzieciństwo spędziłam w Albercie, prawda? W małej miejscowości, w Glenn Dennig.

Temperatura wewnątrz kabiny spada. Tom słyszy szum w głowie.

Arwen nagle zdejmuje bluzkę. Jej białe piersi lśnią w świetle księżyca wpadającym przez okno. Tom jest oniemiały. Arwen uśmiecha się powoli, chytrze, w końcu pochyla się i przyciska usta do jego warg i je rozchyła. Wsuwa język do jego ust, a dłoń między nogi Toma. Z jego piersi wyrывa się jęk. Tom czuje, że twardnieje pod jej dotykiem. Pozwala, by pocałunek stał się bardziej namiętny. Spada, spada, w dół, wiruje w płonącej, czerwonej otchłani.

Arwen szepcze tuż przy jego wargach, masując jego członek.

– Widzisz? Pragniesz mnie. I pragniesz też swojego wygodnego życia na przedmieściach. Widzisz, Tom? Chimera. – Rozpina mu rozporek i wsuwa dłoń w spodnie. Tom jęczy cicho. – Znam twój sekret, Tomie Bradleyu – szepcze nad jego wargami. Jej oddech jest ciepły. – Wiem, co zrobiłeś wiele lat temu.

Cienkie ostrze lodu odcina jego lepkie, słodkie pożądanie. Ledwie dociera do niego to, co przed chwilą usłyszał.

– O czym ty mówisz?

Arwen siada. Ma nabrzmiałe wargi. Zmysłowe oczy. Jej uśmiech przypomina raczej grymas, wygląda złowieszczo. A może to tylko jego otumaniony mózg postrzega wszystko przez dziwną soczewkę?

Próbuje usiąść, odzyskać trzeźwość umysłu.

– Jaki... jaki sekret? O czym ty mówisz?

– Wiem o pacjentach twojej partnerki. Z poradni. – Delikatnie muska palcem jego twarz.

Tom gapi się na nią.

Arwen chwytając bluzkę, zakłada ją i wsuwa bosc stopy do sandałów. Wstaje i bierze torebkę.

– Powinnam już iść.

Tom siedzi z rozpiętym rozporkiem, z widoczną erekcją, zupełnie skołowany.

– Nic nie rozumiem...

– Myślę, że rozumiesz. Wiem też o twojej żonie. Wiem, co zrobiliście.

Kieruje się w stronę schodów prowadzących na pokład.

– Arwen... zaczekaj!

Brzęk bransoletek, cichy szelest długiej spódnicy i ona jest już na górze, pozostawiając za sobą jedynie woń kadzidełek. Tom czuje, że łódź przechyliła się, gdy Arwen wysiada, i słyszy jej kroki na przystani.

Ogarnia go panika. Zrywa się na równe nogi. Świat wiruje mu pod stopami, gdy dopada do schodów i wydostaje się na pokład.

– Arwen! – krzyczy w ciemność.

Widzi ją na końcu doku. Kieruje się w stronę parkingu. Jej włosy w świetle księżyca lśnią jak mokry atrament. Tom schodzi z pokładu i chwiejnym krokiem idzie za nią wzdłuż doku, dudniąc bosymi stopami o drewniane deski.

– Arwen! Zaczekaj!

Arwen znika w mroku po drugiej stronie parkingu. Tom zatrzymuje się i dyszy. Wszystko się kołysze – maszty, łodzie, dok, drzewa na wietrze, cienie, on sam.

W ciemności dostrzega niewielki pomarańczowy płomień i czuje ostry zapach papierosów. Na pokładzie łodzi obok niego widzi sylwetkę zarysowaną w świetle księżyca. Papieros znów się żarzy. Tom dopiero po chwili orientuje się, że to Simon. Siedzi na swojej łodzi i obserwuje. Przed Simonem stoi statyw z teleskopowym aparatem.

– Simon?

– Cześć, stary. Masz jakieś kłopoty?

– Co ty... co ty tam do cholery robisz?

– Fotografuję księżyc. – Simon zaciąga się papierosem i kiwa głową na usiane gwiazdami niebo. Wydmuchuje dym. – Widziałem, jak wschodzi nad wodą, gdy schodziłem z twojej łodzi. Przypomniałem sobie, że mam u siebie aparat. Wstąpiłem na łódkę, żeby pstryknąć kilka zdjęć. Nieczęsto się trafia taka okazja. Pięknie, prawda? – Simon spogląda w prawo, w stronę, gdzie zacumowana jest łódź Toma. Zaciąga się papierosem.

Tom podąża za nim wzrokiem. Z tego punktu obserwacyjnego wyraźnie widać kabinę Toma z oświetlonym oknem. Widać wszystko w środku. Gdyby Simon patrzył, zobaczyłby Toma całującego Arwen. Zobaczyłby nagie piersi Arwen. Ssie go w żołądku. Złość rozdyma mu pierś. Simon uśmiecha się w ciemności. Jego zęby lśnią. Tom czuje się surrealistycznie. Cały jego świat się chwieje.

– Czemu wyszła w takim pośpiechu? – pyta Simon, wypuszczając dym.

– Nic się nie stało – odpowiada Tom.

– Oczywiście, że nie, stary. Nie wydam twojego sekretu, Tommo. – Znów się zaciąga. – Jest warta grzechu, prawda? – Wykonuje lubieżny gest w okolicy krocza.

– Spierdalaj, Simon.

– Uważaj. – Cisza, kolejne sztachnięcie. – Jest wybrakowana.

– Nie rozumiem.

– Myślisz, że ciebie jednego z naszej ekipy od happy hour zaciągnęła do łóżka?

– Mówiłem ci, że do niczego nie doszło.

– To twoja wersja, masz prawo się jej trzymać. Nie martw się. Nikomu nie powiem, Tommy. – Simon wstaje, podchodzi do barierki.

Tom przypomina sobie słowa Arwen, które wypowiedziała tamtego wieczoru, gdy szła z nim na przystanek autobusowy, a on zaproponował, że zadzwoni do Amerykanów w sprawie domku.

Simon powiedział, że zdaje mu się, że niedługo powinien być wolny.

– Rozumiem... Rozumiem. – Tom czuje ucisk w okolicy karku. Zaczyna go boleć głowa. – Musiało ci być na rękę, że ulokowałem ci tę twoją dupę naprzeciwko twojego domu. Z oddzielną pracownią w gratisie, do której można się dostać od strony lasu, tak, żeby Hannah i dzieci nie widziały.

– Daj spokój, kolego. To do ciebie niepodobne. – Kolejny uśmiech. – Zresztą kto wie? Wszystko przez procenty. A może przez prochy, które ci zaserwowała? Lubi bawić się gównem, które robi laksę z mózgu. Mroczna ta Arwen.

Wieje wiatr i zdaje się, że wszystkie łodzie się unoszą, zasysają powietrze, pęcznieją jak gigantyczna pierś, ozywają, ich małe okienne oczy lśnią w księżycowej poświacie, maszty dźwięcznie się śmieją. Tom słyszy w głowie głos Arwen.

Małe miasteczko o nazwie Glenn Dennig. Znam twój sekret... Wiem o pacjentach twojej partnerki, Tom. Z poradni.

Może to wszystko mu się tylko przyśniło. To nie może być prawda. To na pewno narkotyki, alkohol.

Wiem, co zrobiliście.

– Idź do domu, Tom – mówi Simon. – Wracaj do żony. Ale najpierw zapnij rozpiorek.

Zszokowany Tom spuszcza wzrok. Zapina spodnie i wraca na swój jacht. Znajduje buty, gasi światła i zamyka łódź. W miarę jak jego umysł przytomnieje, narasta w nim strach.

Znam twój sekret.

Tom opuszcza przystań, a Simon wciąż pali papierosa na pokładzie. Idzie chodnikiem przy akompaniamencie wiatru szeleszczącego wśród dębów. Słyszy szepot drzew, porozumiewających się między sobą. Czuje zbliżające się do niego cienie.

Wszystko wydaje się nieprawdziwe. Wyobraził to sobie. Na pewno?

Lily powtarza, że rzeczywistość nie jest jakimś miejscem na zewnątrz; to narracja w twojej głowie. I tyle. Fikcja. Kuglarstwo. Narkotyczna fantazja Lewisa Carrolla z za drugiej strony lustra.

Coś szeleści w krzakach. Tom nieruchomieje. Serce wali mu jak młotem. Przygląda się zaroślom. Wychodzi spomiędzy nich szop. Zatrzymuje się i patrzy na Toma. Bandyta w masce. Tom stoi bez ruchu. Szop przechodzi przez jezdnię, a za nim trzy młode.

Rodzina.

Ta myśl jest bolesna jak cios. Jeśli Arwen zdradzi jego sekret, straci rodzinę. Na zawsze. Straci żonę. Lily. Wszystko.

Nie może do tego dopuścić.

Hannah

WTEDY

18 czerwca. Sobota.

DZIEŃ PRZED JEJ ŚMIERCIA

Nad oceanem lśni piękny czerwcowy brzask. Od najdłuższego dnia w roku dzielą nas tylko dwa dni, myśli Hannah. Ta perspektywa zwykle ją cieszy, ale dziś jest zdenerwowana, gdy smaruje lukrem ciasto, które upiekła na przyjęcie.

Wczoraj wieczorem Simon znów wrócił bardzo późno. Usłyszała, że wpadł na krzesło ogrodowe przy basenie. Wyrzała przez okno i w świetle księżyca zobaczyła jego sylwetkę oddalającą się w kierunku klifu i schodów prowadzących do jego „męskiej jaskini”, jak ją nazywa. Wróciła do łóżka i przez godzinę leżała, wpatrując się w cienie na suficie, zanim zakradł się do domu. Mocno pachniał alkoholem. W sercu Hannah wił się jednak złowieszczy niepokój. Doświadczała go już wcześniej i zwykle udawało jej się go ukryć.

Kiedy obudziła się rano, Simona już nie było. Zostawił liścik, w którym napisał, że wybrał się dziś na swój długi trening, ponieważ jutro jest impreza i chce być na miejscu, żeby pomóc jej w ostatnich przygotowaniach. Hannah spogląda na liścik, wciąż leżący na blacie. Złowrogie uczucie znów wzbiera w jej piersi. Tłumi je. Musi dokończyć ciasto, a później obudzić dzieci. Zawiezie Jacoba na lekcje pływania w Windsor Park Recreation Centre, gdzie spotka się z Lily, która przyprowadzi Matthew. Porozmawiają na temat ostatnich produktów z listy zakupów, a potem pojedzie po kwiaty. Zanurza ostrze noża w kubku z gorącą wodą i próbuje wygładzić lukier. Jej myśli wracają do Simona.

Jego piątkowe wypady na happy hour trwają coraz dłużej, ale to nie problem. Problemem jest coś gorszego. Dwa tygodnie temu w kieszeni marynarki Simona znalazła paragon z kawiarni. I dwa rude włosy na rękawie marynarki, kiedy ją odwieszała, i jest pewna, że na tweedowym materiale poczuła zapach perfum. Podczas prania dwa dni temu odkryła różową szminkę na kołnierzyku białej koszuli męża.

Przeprowadzka tej kobiety do domku po drugiej stronie ulicy – Hannah jest przekonana, że to ten fakt wytrącił ją z równowagi. Kelnerka od nasiadówek w tawernie. Z całą pewnością zbyt zaprzyjaźniła się z Simonem – mało nie potknął się o własne nogi, kiedy pomagał jej rozpakować tę dziwną niebieską furgonetkę pomalowaną w płatki śniegu. Hannah nabiera nożem lukier i zastanawia się, czy to Simon zasugerował kelnerce wynajęcie domku po drugiej stronie ulicy. Zapytała go o to, a on odpowiedział, że na ten pomysł wpadł Tom.

Pochyla się i sprawdza, czy warstwa lukru na cieście jest równa. Wygląda nierówno. Kobieta taka jak Arwen Harper wydaje się Hannah groźna. Jest jej całkowitym przeciwieństwem. Wolna. Pomysłowa. Trochę dzika. Spontaniczna. Zmysłowa. Zagraża rutynie Hannah. RzUCA wyzwanie przekonaniom Hannah na temat tego, jak powinna się zachowywać gospodyni domowa w średnim wieku.

Hannah odsuwa się i wyciera ręce w ścierkę. Wpatruje się w ciasto. Może to Tom sypia z Arwen? Nie Simon. Chciałaby myśleć, że to problem Lily, a nie jej. Perfekcyjna Lily. Może jednak rodzina Lily wcale nie jest taka idealna.

Jej mózg znów się zapętlil.

A jeśli Simon zakochał się w kelnerce? Nie zniosłaby tej straty. Co by zrobiła? Simon zabrałby dom. Miał go już, kiedy się poznali. Z kim chciałyby zamieszkać dzieci? Może z nim i jego nową, seksowną żoną? I kto by wtedy zechciał Hannah? Ma zmarszczki. Przybyło jej kilogramów. Twarz ma zwiotczała. Nie rozpała już mężczyzn. Teraz rozumie, co mają na myśli jej znajome, kiedy mówią, że kobiety w jej wieku stają się niewidzialne. Hannah myśli o Simonie wpadającym na krzesło przy basenie i zmierzającym przy blasku księżyca do swojej jaskini.

Była w niej tylko raz i Simon o tym nie wie. Jest wciśnięta w ścianę klifu na skraju ich działki. W zasadzie wisi nad morzem i można się do niej dostać tylko po stromych drewnianych schodach z poręczą linową. A ponieważ Hannah ma lęk wysokości – wręcz fobię – Simon jest pewien, że jego komórka jest chroniona przed jej wścibstwem. Jednak dwa lata temu Hannah, kurczowo trzymając się liny, zeszła po tych schodach z kluczem, który znalazła w szufladzie ze skarpetkami Simona.

Serce zaczyna jej bić w przyspieszonym rytmie, gdy przypomina sobie tamten dzień. Szybko przenosi nóż do lukru, a miskę do zlewu i odkręca wodę. Nie chce pamiętać zdjęć, które tam zobaczyła. Simon jest obserwatorem, to wszystko. Obserwuje kobiety i ptaki i robi im zdjęcia swoim długim obiektywem. To wszystko. Jest obserwatorem i badaczem ludzkości. Filozofem, który zgłębia rozmaite światopoglądy. Jest kimś

w rodzaju nadczłowieka w rozumieniu Nietzschego i nie wierzy w Boga. Uważa, że nic na tej ziemi nie posiada wrodzonej moralności ani wewnętrznej wartości. Wierzy, że wartości i moralność tworzy sam człowiek. Więc Simon prawdopodobnie wdałby się w romans, gdyby uznał, że dodaje wartości jego życiu, i nie uważałby tego za coś złego. Powiedziałaby: *Sens życiu nadaje śmierć, uczyni je wartościowym, Hannah. Niech coś dla ciebie znaczy.*

A jeśli Simon sypia z Arwen w szopie na klifie?

Hannah czuje, że łzy napływają jej do oczu. Zakręca kran i rozwiązuje fartuch.

Szopa.

Musi do niej pójść.

Bierze telefon na wypadek, gdyby spadła, utknęła, zamarzła lub gdyby wydarzyło się coś strasznego. Mewy skrzeczą, krążąc nad krawędzią klifu na granicy położonej nad oceanem działki. Szepczące i spiskujące drzewa na skraju lasu tworzą zwartą ścianę.

Hannah mocno trzyma się poręczy. Schodzi w dół centymetr po centymetrze. Pot spływa po jej skórze. Czas płynie. On wkrótce wróci. Daleko, daleko w dole ocean odpływa i powraca. Hannah zamyka na chwilę oczy, walcząc o oddech. Wyobraża sobie, że traci równowagę, przewraca się i leci w próżnię, spada, wirując i objając się o skały, *bum, bum, bum*, do samej wody, aż się zabija.

Skup się.

Próbuje wziąć się w garść. Schodzi do drewnianego budynku.

Otwiera drzwi. Wewnątrz unosi się słaby zapach kadzidła. Wypchane ptaki patrzą na nią szklanymi oczami. Podobnie wypchana łasica. Hannah podchodzi do biurka z komputerem, na którym ostatnio znalazła zdjęcia.

Przeżywa wstrząs. Na biurku leżą nowe fotografie wydrukowane przez Simona.

Jest na nich Tom. I kobieta, która wygląda jak Arwen. Całują się. Oramowani oknem na łodzi Bradleya. Hannah przebiega dreszcz. Telefonem komórkowym robi zdjęcia odbitek. Przerywa jej hałas.

Spogląda w górę.

To tylko podmuch wiatru porusza osobliwym dzwonkiem wiszącym przy oknie.

Hannah robi ostatnie zdjęcie i chowa telefon do kieszeni. Czuje się lepiej.

Problemem jest Tom. Nie Simon. Irytujące, idealne życie Lily wcale nie jest takie idealne.

Hannah zalewa falą dziwnej, gorącej radości, gdy ostrożnie zamyka drzwi szopy. Jakaś mała, nikczemna cząstka niej chce pokazać te zdjęcia Lily. I wszystkim innym. Choćby po to, by odwrócić uwagę od niej samej, od własnego małżeństwa i wiedzy o rzeczach, które ją przerażają.

I może to zrobić.

Lily

WTEDY

18 czerwca. Sobota.

DZIEŃ PRZED JEJ ŚMIERCIA

Lily i Hannah siedzą na plastikowych krzesłach przy basenie i przyglądają się synom, którzy uczą się pływać.

Zapach chloru, krzyki dzieci, pluski, ciepło i wilgoć są znajome, ale dziś nie działają na Lily relaksująco.

Patrzy, jak Matthew nurkuje. Idzie mu coraz lepiej. Wynurza się, a na jego małym, białym ciele lśni woda. Lily dopada wspomnienie tak wyraźne, że zapiera jej dech. W myślach widzi innego chłopca. Ta sama blada skóra. Ten sam wiek. W zupełnie innym życiu. Jej młodszy brat. I nagle chlor ma zapach krwi. Oczy zachodzą jej mgłą. Znow widzi potworne rany. W jej brzuchu – na samym dnie – rodzi się drzenie. Nie myślała o nim od tak dawna. Blokowanie tych wspomnień pozwala jej przetrwać. A jednak z powodu wieku jej dzieci budzą się w niej myśli, które wyparła ze świadomości. Wdzierają się w jej obecne życie, w świat rutyny i porządku. Pacjenci ostatnio nie pomagają. Wszystkie ich problemy karmią bestię, która w niej rośnie, podsycają jej paranoję.

Tak, mogła się pomylić co do wytłoczonego symbolu na liściku od faceta w hotelu. Może jest tak, jak powiedziała Dianne – że wyobraża sobie powiązania, których nie ma.

Ale tych słów sobie nie wyobraziła: *Nie możesz ukryć się przed szatanem, jeśli szatan jest w twojej głowie... Od kogoś, kto wie...*

Nie wyobraziła sobie, że jej pacjentka swoje wewnętrzne dziecko nazywa Sophie. Pojawiła się tylko na jednej sesji i więcej już nie przyszła.

Nie wyobraziła sobie Toma wracającego do domu późnym wieczorem. Pachnącego alkoholem. Dziś rano był... jakiś dziwny. Wyłączony. Nieprzystępny. Wydawał się zmartwiony. To przeraziło Lily. Czowała się bezpieczna dzięki jego miłości. Coś się jednak zmieniło.

– A co z piankami? – pyta Hannah, robiąc notatki w swoim telefonie.

– Słucham?

– No właśnie, problem w tym, że ty mnie w ogóle słuchasz, Lily. Dodałam do listy składniki na herbatniki z pianką i z czekoladą. – Milknie. – Czego jeszcze potrzebujemy? Simon kupił już alkohol i napoje gazowane dla dzieci. Zamówiłam sałatki, pieczone ziemniaki, pieczywo czosnkowe, sałatkę coleslaw, hamburgery, kiełbaski, kurczaka, steki. Coś jeszcze?

– Hm... masz coś wegetariańskiego? – Lily jest nieobecna, nie odrywa wzroku od Matthew. Pływanie idzie mu w tym roku o wiele lepiej. Wciąż jest najdrobniejszy. Rozbryzgując wodę, pokonuje całą długość basenu. Lily rozpira miłość, duma i przyprawiający o ból instynkt opiekuńczy. Matthew i Phoebe są dla Lily sensem życia. Wie, dlaczego tak bardzo pragnęła mieć dzieci. Wychowywanie ich to pełen nadziei akt odkupienia. To nie tylko odkrywanie siebie na nowo, to sposób na zmianę myślenia na swój temat. Lily wie, że większość rodziców, podobnie jak ona, stara się uczynić świat bezpieczniejszym i lepszym dla swojego potomstwa. Chodzi o kształtowanie przyszłości, aby nadać sens własnemu istnieniu i przeszłości. To akt odkupienia.

W głębokiej części basenu na drugim końcu zauważa swoją młodą pacjentkę, Tarryn Wingate, rozmawiającą ze swoim trenerem. Drużyna pływacka ma tego ranka wyłączne prawo do korzystania ze skrajnych torów. Lily myśli o tym, co w złości powiedziała Phoebe.

Ona non stop się upija i sypia, z kim popadnie. Pewnie nawet z trenerem pływania. Założę się, że dla niej jesteś miła.

– A kto jest wege?

– Słucham?

– Kto jest wegetarianinem?

– Phoebe.

– Od kiedy?

– Jak się nazywa ten trener?

– Lily?! – Hannah spogląda na przyjaciółkę z oburzeniem. W jej oczach pojawia się irytacja. – Seth Duval. Czy sąsiedzkie przyjęcie w tym roku cię nie obchodzi? Dlaczego? Zawsze jesteś... No, nie wiem, jak to powiedzieć. Na ogół chcesz wszystkim dyrygować. Rządzić.

– Rządzić?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Myślisz, że się rządzą?

– Posłuchaj siebie, Lily. Co się z tobą dzieje? Nie jesteś sobą od... Nie wiem dokładnie. Od jakiegoś czasu.

– Dianne ci coś powiedziała?

Hannah przez chwilę wygląda na zakłopotaną.

- Więc ci powiedziała. Co ci powiedziała, do cholery?
- Zapytała mnie tylko, czy wszystko z tobą w porządku i czy wiem, co się z tobą dzieje.

Lily ogarnia złość. Nagle robi jej się zbyt gorąco, czuje się uwięziona w tej bańce wilgoci. Na jej twarz zakrada się wstyd. To ona jest terapeutką. Nie może sobie pozwolić na to, by sprawiać wrażenie, że nie potrafi panować nad własnym życiem. Musi mieć nad nim kontrolę.

– Posłuchaj. – Hannah kładzie dłoń na ramieniu Lily. – Możesz ze mną porozmawiać, Lily. Nawet terapeuta potrzebuje kogoś, komu może się zwierzyć. – W oczach Hannah pojawia się dziwny błysk. A może Lily tylko się zdaje, że przyjaciółka cieszy się z jej kryzysu? Właściwie nawet się nim upaja?

- Chodzi o Toma? – drąży szeptem Hannah.
- Co masz na myśli? Wiesz coś od Simona? Powiedział ci coś? – Jeśli ktokolwiek coś wie, myśli Lily, to Simon. – Co ci powiedział, Hannah? I nie okłamuj mnie, nie w tej sprawie.

Hannah cofa się lekko w obliczu tego ataku słownego Lily. Jest zarumieniona.

- Ma romans. Wiedziałaś – mówi Lily. – Wiedziałaś.
- Czyżby?
- Więc Simon ci o tym nie powiedział? Nie do tego zmierzałaś?
- Nie. Simon nie...
- Nie kryj Toma. Nie waż się mnie okłamywać, Hannah. Musisz mi powiedzieć.

Dzieciaki wychodzą z basenu, biorą ręczniki. Matthew okrywa swoim drżące ramiona.

- Hannah, szybko. Mów, zanim przyjdą dzieci.
- Słuchaj, Simon powiedział o Tomie tylko to, że wczoraj w nocy całą paczką po tawernie przenieśli się na twoją łódź. Poszła z nimi kelnerka. Wszyscy wyszli przed Tomem i Arwen. – Twarz Hannah poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Arwen? Tak ma na imię ta kelnerka?
- Myślałam, że... wiesz.
- Lily wpatruje się w przyjaciółkę. Matthew biegnie, szczelnie owinięty ręcznikiem. Jakieś dziecko krzyczy. Inne wpada do wody.
- Powiedział też, że to Tom załatwił Arwen lokum po drugiej stronie ulicy.
- Co takiego?
- W domku Amerykanów. Ona jest artystką. Potrzebowała miejsca na swoją pracownię i dla syna.

– Ta kelnerka ma syna?

Hannah nagle blednie.

– Jest samotną matką. Ty... Naprawdę myślałam, że wiesz, Lily. Przychodzi jutro na przyjęcie. Dlaczego miałabyś nie wiedzieć?

– Czego, Hannah? Powiedz.

– Myślałam, że dowiesz się od Phoebe. Spotyka się, to znaczy, przyjaźni się z Joem, synem tej kelnerki. Szesnastoletnim.

Lily czuje, że opada jej szczęka, a świat trzęsie się w posadach.

– Powinnaś coś zobaczyć. – Hannah sięga po telefon.

Lily

TERAZ

21 czerwca. Wtorek.

Minęły dwa dni od przyjęcia, od śmierci Arwen Harper, od czasu, gdy świat Lily, ten, który znała, legł w gruzach, odkąd dowiedziała się o tym, że w porażający, niewyobrażalny sposób została oszukana przez męża. I teraz przed domem koczują dziennikarze, a wokół niego krąży policja. Lily miesza bulgoczące bolognese i zerka na Toma w salonie. Ona przygotowuje kolację, a on próbuje skupić się na lekturze naukowego pisma psychologicznego. Dzieci nadal są u teściów i pozostaną u nich, dopóki sprawa nie przycichnie.

Tyle że Lily wcale nie jest pewna, czy ona kiedyś przycichnie.

Obawia się, że jej mąż zrobił coś znacznie gorszego niż to, że ją oszukał. Pewność ma tylko w jednej kwestii – głęboko skrywana, bezlitosna i brzydka część niej uważa, że to cholerne szczęście, że Arwen Harper nie żyje. Tak będzie lepiej. Bezpieczniej. Dla niej. Dla jej rodziny. Przykro jej tylko z powodu Joego. Ale to вина Arwen. To ona zrobiła coś takiego własnemu synowi. To wszystko przez nią.

Słysząc dzwonek. Lily podskakuje. Dzwonek odzywa się ponownie, a zaraz później walenie do drzwi. Tom w jednej chwili siada prosto na fotelu. Spoglądają na siebie z Lily. Walenie rozlega się ponownie.

– Otwierać! Policja!

Lily widzi umundurowanych funkcjonariuszy zbliżających się od bocznej strony domu. Walenie nie ustaje.

– Pani Bradley! Panie Bradley! Policja! Otwierać!

Lily szybko wyciera ręce w fartuch i zdejmuje go. Ponownie zerka na Toma. Siedzi nieruchomo i wznosi oczy do nieba. Lily szybkim krokiem podchodzi do drzwi, odblokowuje je i otwiera.

W progu stoją śledczy Duval i Hara. Za nimi – umundurowani policjanci. Lily widzi radiowóz zaparkowany po przekątnej podjazdu, blokujący jej samochód. Kolejne radiowozy na ulicy. Furgonetka policyjna. Dziennikarze nagrywają i fotografują.

– Mamy nakaz przeszukania domu i komórki ogrodowej, pani Bradley. – Detektyw Duval wręcza Lily kilka dokumentów. Lily bierze je drżącą ręką,

ale nie jest w stanie ich przeczytać. – Proszę nas wpuścić, w przeciwnym razie użyjemy siły.

– Tom! – woła Lily.

Stoi tuż za nią. Lily wręcza mu nakaz.

– Zadzwońię do Dianne – mówi.

– Proszę pani, proszę się odsunąć – mówi funkcjonariusz, usiłując precyzyjnie się obok niej.

Tom próbuje skupić się na treści nakazu, ale najwyraźniej jest w szoku. Ręce mu drżą.

Troje funkcjonariuszy w policyjnych ciężkich butach pokonuje drewniane schody, z sierżant Duval na czele. Dwóch innych przechodzi przez dom i wychodzi kuchennymi drzwiami, za nimi śledczy Hara. Podchodzą do domku ogrodowego. Lily jeszcze raz zerka na Toma. Twarz ma białą jak ściana. W domku zapala się światło.

Policjantka w kuchni otwiera zamrażarkę. Lily robi się słabo, gdy kobieta wyjmuje worek na odpady ogrodowe, w którym jest mielona wołowina. Inny policjant otwiera kosz pod zlewem. Z domku ogrodowego wychodzą policjanci, niosąc pojemnik, w którym Lily znalazła koszulkę Toma. Dwóch innych policjantów schodzi z góry, niosąc torbę z dowodami, zawierającą świeże pranie Lily, z wypraną i starannie złożoną koszulką Ocean Motion Toma na wierzchu.

Sierżant Duval schodzi po schodach, niosąc pudło z „aktami” Matthew i z innymi folderami z wydrukowanymi zdjęciami.

– Nie możecie tego zabrać! – Lily wyciąga rękę, nagle zdesperowana. – Mój syn będzie zdruzgotany. To jego skarby.

– Proszę się odsunąć – odzywa się jeden z policjantów.

Lily cofa się i zostaje potrącona przez policjanta niosącego pudła.

Jeden z funkcjonariuszy zabiera z blatu kuchennego telefon komórkowy Toma.

– Nie możecie go zabrać – protestuje Lily.

– Jest objęty nakazem, proszę pani – odpowiada funkcjonariusz.

W piersiach Lily narasta gwałtowna wściekłość. Obraz jej się rozmazuje. Klatka piersiowa faluje. Zaciska dłonie.

Nagle czuje na sobie dłoń Toma. Jego dotyk jest delikatny, dobry.

– Zatrzymaj to w sobie, Lily – szepcze. – Nie daj się ponieść emocjom. Nie daj im niczego, co mogliby wykorzystać przeciwko nam.

Lily z trudem przełyka ślinę. Ma ochotę się rozpłakać i wtulić w męża. Chce, żeby Tom wziął ją w ramiona i pocieszył, ale jednocześnie ma ochotę

okładać go pięściami, krzyczeć, kopać, szarpać za włosy i... go zabić. Nie wie już, w co wierzyć. Nie może mu ufać.

To on zgotował im coś takiego. Razem z Arwen.

Śledcza Duval nagle zatrzymuje się w korytarzu. Odwraca się do ściany i gwałtownie pochyla. Wpatruje się w jedno z oprawionych zdjęć rodzinnych Bradleyów. Lily nieruchomieje. Emocjonalna i złowieszcza reakcja policjantki ją przeraża.

– Toshi! – woła sierżant Duval. – Chodź coś zobaczyć.

Śledczy Hara podchodzi do policjantki. Duval wskazuje zdjęcie zrobione w Botswanie. Hara się pochyla. Wymieniają między sobą wymowne spojrzenia.

Lily stoi ze ściśniętym gardłem.

Sierżant Duval odwraca się do Toma i Lily. Wskazuje zdjęcie.

– Gdzie jest teraz ta bransoletka z koralików?

– Jaka bransoletka? – pyta Lily.

– Ta ze zdjęcia, z nadgarstka pana Bradleya.

Tom chwytą Lily za rękę. Świdruje ją wzrokiem. Minę ma zaciętą. Lily wyczytuje z jego oczu ostrzeżenie: *Nic nie mów*.

– Weź to zdjęcie – detektyw Duval wydaje polecenie jednemu z policjantów.

– Zapakuj je do worka.

Fotografia trafia do pudełka na dowody. Serce Lily bije jeszcze szybciej. Próbuje wyczytać coś z twarzy Toma, ale nie ma pojęcia, co się dzieje.

Gdy wydaje jej się, że policjanci w końcu sobie pójdą, dzwoni telefon śledczej Duval. Odbiera, nieruchomieje. Jej wzrok znów pada na Lily i Toma.

– Zgadza się? – upewnia się.

Podnosi rękę, ponownie wzywając swojego partnera. Mówi coś do niego szeptem. Śledczy Duval i Hara podchodzą do Lily i Toma.

– Proszę, pójdą państwo z nami – oznajmia sierżant Duval obcesowym, chłodnym tonem.

– Jak to? Dlaczego? – mówi zdeorientowana Lily.

Detektyw Hara wyjmuje kajdanki. Serce Lily łomocze.

– Co pani, wyprawia, do cholery? Tom! Zadzwoń jeszcze raz do Dianne. Szybko. Nie mogą tego zrobić. Nie może nas wyprowadzić. – Lily jest zdesperowana. – Tom, powiedz jej coś. Powiedz jej, co powiedziała Dianne. Nie mogą nas zatrzymać, jeśli nie postawią nam zarzutów...

– Właśnie to robimy. – Sierżant Duval chwytą Lily za rękę. – Mamy uzasadnione przypuszczenia, które dają podstawę do zatrzymania państwa w celu szczegółowego przesłuchania w związku ze śmiercią Arwen Harper.

– Mnie? Niby dlaczego mnie?

Sierżant Duval mocno chwyta Lily za rękę, skuwa je za plecami i prowadzi Lily do drzwi.

– Jest pani pewna, że pani dzieci są w dobrych rękach? – pyta policjantka.

Do oczu Lily napływają łzy. Przygryza wargę i przytakuje. Nie powinna była wkładać tego cholernego worka do zamrażarki. Co, u licha, skłoniło ją do zrobienia czegoś tak jawnie podejrzanego? I skąd, do cholery, oni się o tym dowiedzieli? Przypomina sobie tamto uczucie, że ktoś obserwuje ją przez okno i późniejszą myśl, że to tylko drzewa. Przypomina sobie Gartha Quinlana przed tylnymi drzwiami jej domu.

Za nią śledczy Hara prowadzi skutego w kajdanki Toma.

Tom szepcze, idąc za Lily:

– Nie mogą nas przetrzymywać dłużej niż siedemdziesiąt dwie godziny bez doprowadzenia nas przed sąd i postawienia zarzutów. Nic nie mów, Lily. Tylko w obecności adwokata. Załatw sobie adwokata, Lily.

Drzwi frontowe się otwierają.

Lily wzdryga się w półmroku, wśród błysków fleszy i krzyków dziennikarzy. Odwraca głowę, pozwalając, by włosy opadły jej na twarz, gdy policja prowadzi ją do radiowozu.

Rue

TERAZ

22 czerwca. Środa.

Rue i jej podstawowy zespół siedzą w pokoju z prokuratorką. Jest wczesny ranek, Tom i Lily Bradley spędzili noc w celi. Zegar tyka – mogą przetrzymywać małżonków tylko przez określony czas.

– Co mamy? – pyta prokurator, siadając przy biurku, i otwiera akta. Popija kawę na wynos, przeglądając zawartość akt.

– Żadne z nich nie chce mówić, w ogóle nie współpracują – informuje Rue prokuratorkę. – Żona też ma już adwokata. Jak na razie: skóra i krew zeszkrobane spod paznokci Arwen Harper pasują do próbki DNA, którą dał nam Tom Bradley. Mamy zdjęcia tego, co wygląda na świeże zadrapania na szyi Bradleya. Na opasce wewnątrz czapki Uniwersytetu Kordela znalezionej na szczycie klifu znajduje się dotykowe DNA Bradleya. Jego DNA jest też na pasku czółwki marki Petzl, która również została znaleziona na klifie. Ślady krwi Arwen Harper znaleziono na liściach niedaleko. Rozmiar i marka butów Bradleya pasują do odcisków, które podążają za odciskami Arwen Harper do krawędzi klifu. Błoto na butach Bradleya pasuje do podłoża ze szlaku prowadzącego przez las. Bradley miał też krew Arwen Harper na ciele i na koszulce, którą próbował ukryć, a którą jego żona wyprała, gdy tylko Bradley wyszedł, aby pokazać mi ciało. Kiedy Toshi przyjechał przesłuchać żonę, usłyszał włączoną pralkę. Krew Harper została znaleziona również na latarce Bradleya. Odzyskaliśmy ją od bezdomnego po długim przeszukiwaniu lasu po tym, jak córka Codych powiedziała nam o podglądaczu. Mamy go. Biwakował w lesie, przyznał, że trzeci zestaw odcisków na klifie to jego ślady. Twierdzi, że latarkę znalazł pod krzakiem po tym, jak zobaczył Toma Bradleya, kiedy ten biegł przez las, żeby zadzwonić pod 911. Widział również krew na koszulce Bradleya i logo na plecach. Mamy jeszcze rodzinne zdjęcie Bradleya z zielono-pomarańczową bransoletką z koralików na ręce, identyczną jak zerwany pasek znaleziony na palcach denatki i jak koraliki znalezione na szczycie klifu.

– Motyw? – pyta prokuratorka, wypijając kolejny łyk kawy.

– Hannah Cody, przyjaciółka i sąsiadka, przyniosła nam te zdjęcia wczesnym rankiem.

Rue klika na swoim laptopie i wyświetla je na monitorze w pokoju.

– Zrobił je jej mąż, Simon Cody. Widać na nich wyraźnie Toma Bradleya i ofiarę, całujących się na łodzi Bradleyów zaledwie trzy dni przed tym, jak zgłosił jej śmierć.

– Z tego by wynikało, że motyw miała żona, a nie on – zauważa Toshi.

Prokuratorka kiwa głową, przyglądając się zdjęciom.

– Okazja?

– Mieli ją oboje – mówi Toshi. – Mąż mógł opuścić dom, gdy jego żona spała twardo po zażyciu tabletki nasennej. Może jednak nie zażyła tej tabletki, jak twierdzi, i to ona wyszła.

Prokuratorka siada z powrotem na krześle. Skinieniem głowy wskazuje akta.

– Przekonujące, ale poszlakowe. Na czapce znajduje się DNA, które nie należy do Toma Bradleya i które nie zostało jeszcze zidentyfikowane. Na udzie ofiary znajduje się nasienie, które również nie pasuje do DNA Toma Bradleya.

– Dodatkowe DNA dotykowe na czapce Uniwersytetu Kordela i DNA nasienia pochodzą od różnych osób, nie są zgodne – wyjaśnia Rue. – Te dwa dodatkowe profile nie pasują do niczego innego, co wysłaliśmy do zbadania w prywatnym laboratorium. Złożyliśmy wniosek o sprawdzenie dwóch niezidentyfikowanych profili w policyjnej bazie danych DNA, żeby sprawdzić, czy pasują do czegoś, co figuruje w systemie. Powinniśmy mieć te wyniki wkrótce.

– Czyli jak na razie nic nie dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że Bradley zabił tę kobietę lub że doprowadził do jej upadku z klifu – podsumowuje prokuratorka. – Obrona będzie argumentować, że Arwen Harper zadrapała go prawdopodobnie podczas bójki w domku przy basenie podczas przyjęcia u Codych. Klister będzie argumentowała, że ktoś mógł pożyczyć jego czapkę Kordela, ponieważ na podstawie DNA dotykowego nie można stwierdzić, czy zostało pozostawione jako pierwsze, czy jako ostatnie. Co do bransoletek, podobne mogą mieć inni ludzie. Marka i rozmiar jego butów są bardzo popularne wśród mężczyzn uprawiających biegi przełajowe. Błoto na jego podszewkach rzeczywiście pasuje do podłoża szlaku, a to dlatego, że biegał w parku Spirit Forest. Ślady krwi ofiary znalazły się na jego latarce prawdopodobnie dlatego, że dotknął denatki rzekomo w celu jej reanimacji, a następnie zabrał latarkę i pobiegł do domu. Na koszulce była jej krew, ponieważ „próbował ją reanimować”. To samo dotyczy krwi na jego ciele. Twarz ofiary zakrył swoją kurtką dlatego, że łączyła ich osobista więź, miał romans z denatką. – Wskazała kubkiem na nieostre zdjęcia na monitorze,

przedstawiające całujących się Harper i Bradleya. – Najwyraźniej był z nią związany, a być może nawet żywił do niej głębokie uczucia.

– W takim razie dlaczego nie powiedział nam, że wie, kim jest ta kobieta, kiedy pokazał nam ciało? – pyta Backmann, występując w roli adwokata diabła.

Prokuratorka kręci głową.

– Nie wiem. Ale zespół Klister może argumentować, że był w szoku, wypierał zdarzenie. I spanikował, dlatego zdjął koszulkę, zanim zadzwonił pod 911, ale nie zrobił nic, by ukryć krew na skórze.

– Trochę naciągane wyjaśnienia – kwituje Backmann.

Prokuratorka wzrusza ramionami.

– Być może. Ale te dowody nie wskazują niepodważalnie na jego winę. Może zagrać z ławą przysięgłych. Klister jest dobra. Potrzebujemy czegoś lepszego.

– A co z żoną? – odzywa się Toshi. – Wyprała koszulkę męża i posunęła się do ekstremalnych sposobów, aby ukryć ten fakt, wkładając do zamrażarki mięso w worku po odpadach.

– W tym wypadku obrona również może uzasadnić to szokiem, paniką. Panika uniemożliwia logiczne myślenie. To będzie głośna sprawa. Eksperci medialni będą się nieustannie wypowiadać. Arwen Harper zażywała narkotyki. Miała problemy psychiczne. Według dokumentacji medycznej była przez pewien czas hospitalizowana. Klister to wykorzysta. Wystarczy, że ona i jej zespół przekonają ławę przysięgłych, że istnieją uzasadnione wątpliwości co do winy. To wszystko. Nie muszą dowieść niewinności, za to my musimy udowodnić winę ponad wszelką wątpliwość. Potrzebujemy wyznania. Potrzebujemy przyznania się do winy. Potrzebujemy niepodważalnego dowodu. Czegoś mocnego.

Rue jest spięta, czuje się tak, jakby jej pierś ścisnęło imadło. Wolałaby postawić zarzuty Bradleyowi od razu. Oskarżyć go. Zatrzymać w areszcie do czasu otrzymania pozostałych wyników DNA i prowadzenia śledztwa. W głębi duszy chce, żeby był winny.

– Dobra – odzywa się Rue. – Robota czeka. Bierzmy się. Znajdźmy coś, zanim będziemy musieli wypuścić Bradleyów.

Kręgi na wodzie

TERAZ

Joe leży w łóżku na plecach. Wciąż jest u Codych i nie ma ochoty wstawać. Ani nawet żyć. Z Twittera wie, że Bradleyowie zostali aresztowani. Musi z kimś porozmawiać. O swojej matce. O tym, jak próbowała skrzywdzić Bradleyów. O tym, co się stało. Ale to zniszczyłoby Phoebe. Nie wie, co zrobić, które informacje byłyby dla niej gorsze. Wie, że Phoebe ma dopiero dwanaście lat, ale ją kocha. Joe nie zaznał w życiu prawdziwszej miłości.

Myśli o tym, co napisała jego matka.

Ratownicy medyczni, którzy wyciągnęli dziewczynę spod łóżka, nie znaleźli żadnych zewnętrznych obrażeń. Sprawiała jednak wrażenie katatonicznej, niezdolnej do mówienia.

– Była w skrajnym szoku – powiedział później Wozniak jednemu z dziennikarzy. – Jej obrażenia ograniczyły się do umysłu. Myślę, że wszystko słyszała, być może widziała część tego, co wydarzyło się po drugiej stronie korytarza w pokoju chłopca. Zastanawiałem się tego dnia, czy będzie jeszcze normalna, biorąc pod uwagę to, czego była świadkiem w tym domu grozy. Jak można być normalnym, kiedy widziało się takie zło?

Wozniak zauważył coś jeszcze, gdy ratownicy zabierali dziewczynkę.

Rzecz ewidentną.

Dziewczynka, która ukrywała się pod łóżkiem, nie była tą z rodzinnych zdjęć.

Dziewczynka spod łóżka była młodsza i wyglądała zupełnie inaczej. To nie była Sophie McNeill.

Akcję poszukiwawczą należało kontynuować.

Sophie wciąż była zaginiona, przypuszczalnie porwana i w poważnym niebezpieczeństwie.

O ile w ogóle żyła.

Joe dostaje wiadomość od Phoebe. Odczytuje ją w komórce:

Mój tata został aresztowany. Nie wiem, co robić.

Joe zamyka oczy i opuszcza na łóżko dłoń, w której trzyma telefon. Nie wie, co jej odpisać.

Ja też nie wiem, co robić, Phoebe.

Hannah Cody stawia przed Simonem talerz gorącej owsianki. Robi jej się niedobrze. Może nie powinna była zanosić śledczym zdjęć Toma całującego Arwen wczesnym rankiem. Simon o tym nie wie, a ona jest zbyt przerażona, żeby mu powiedzieć. Ale Tom zrobił to, co zrobił, nie jej wina.

– Jak myślisz, co będzie z Tomem? – pyta męża.

Simon odkłada swój „Globe and Mail”[‡] i zanurza łyżkę w owsiance.

– Kto to może wiedzieć – mówi, nie podnosząc wzroku. – Co za historia. – Bierze owsiankę do ust.

– Ciebie to w ogóle obchodzi? – warczy Hannah.

Simon na chwilę podnosi głowę, po czym kieruje wzrok na talerz. Powoli przełyka to, co ma w ustach, a jego rysy tężeją. Hannah wzdryga się, zaczyna się bać własnego męża. Podchodzi do zlewu i odwraca się do niego plecami. Myje garnek po owsiance.

– A jeśli on tego nie zrobił? – zastanawia się cicho.

– A jeśli to zrobił?

Hannah zamyka oczy i stoi, powstrzymując łzy na myśl o Lily w więzieniu. Co zrobiła swojej przyjaciółce? Co się stanie z Phoebe i Matthew?

Tom siedzi w areszcie na posterunku policji, z twarzą w dłoniach. Jego jedyną nadzieją jest teraz Dianne. Powiedziała, że jeśli postawią mu zarzuty, prawdopodobnie nie wyjdzie za kaucją. Założą ryzyko ucieczki, a charakter przestępstwa jest potworny. Zatrzymają go do czasu rozpoczęcia procesu, a to może nastąpić za kilka miesięcy albo lat. Uważa też, że policjanci mają jedynie poszlaki. Żadnych twardych dowodów na to, że w jakikolwiek sposób skrzywdził Arwen Harper.

Policjant, który przyniósł mu śniadanie, powiedział:

– Mówią o tym w wiadomościach. Nawet ogólnokrajowych.

Tom modli się, by rodzice zapewnili jego dzieciom bezpieczeństwo.

Modli się, aby adwokat Lily nie próbował taktyki, która nastawi ją przeciwko niemu. Ma nadzieję, że jego żona pamięta swoje własne słowa.

Zanim cokolwiek zrobisz, cokolwiek powiesz, pomyśl o dzieciach. Zrób to dla nich. Nie zasługują na to.

Matthew siedzi na łóżku w pokoju gościnnym w dużym domu dziadków w Lands End. Oboje jego rodzice trafili do więzienia. Jego dom jest oblegany

przez reporterów. Słyszał rozmowę dziadków. Powiedzieli, że policja zabrała zdjęcia z pokoju Matthew. Wie, że sam powiedział policjantce od zabójstw o zdjęciach, które zrobił swojemu ojcu. Wszystko przez niego. Jest pewien, że jego ojciec nikogo by nie skrzywdził. Łzy napływają mu do oczu. To przez niego tata siedzi za kratkami za zabicie matki Joego. Z jakiegoś powodu zamknęli też mamę, może za to, że próbowała chronić tatę. Poczucie winy ciąży mu jak ołów. Niespodziewanie wpada na pewien pomysł.

Wciąż ma swój aparat. Jest w nim coś, co nie dostało się w ręce policji, bo jeszcze tego nie wydrukował. I nagle już wie, co robić.

Pijana kobieta w sąsiedniej celi krzyczała i wrzeszczała przez całą noc. Lily zamyka oczy, opiera głowę o zimną betonową ścianę. Marzy o prysznicu, nie zmrużyła oka. Być może taki jest jej los. Na taki zasłużyła.

Być może naprawdę zabiła Arwen Harper.

Jeśli się nad tym zastanowić, to rzeczywiście jej wina.

Wraca myślami do wstrząsających wydarzeń na przyjęciu tuż przed śmiercią Arwen.

‡ Najbardziej wpływowo dziennik kanadyjski wydawany w Toronto od 1844 roku.

Lily

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

Lily, Tom, Phoebe i Matthew idą całą rodziną do domu Codych na końcu ślepej uliczki. Nie czują jedności.

Między Lily i jej mężem panuje olbrzymie napięcie, a dzieci wyraźnie to odczuwają. Tom niesie skrzynkę piwa i butelkę dobrego wina. Lily niesie przygotowaną przez siebie sałatkę z bocconcini z pomidorami i bazylią. Gdy zbliżają się do lasu na końcu Oak End, wieje wiatr, a drzewa kołyszą się, jęczą i szeleszczą, jakby ostrzegając wszystkich, by trzymali się z daleka. Nad Górami Olimpijskimi po drugiej stronie morza przesuwają się ciężkie chmury. Znosi się na potężną burzę. Lily nerwowo spogląda na domek z niebieską, pokrytą płatkami śniegu furgonetką stojącą pod wiatą.

– Co ci jest? – pyta cicho Tom, gdy zbliżają się do podjazdu Codych i dzieci puszczają się biegiem.

– Nic.

– Przecież widzę, że coś jest nie tak, Lily. Nie odzywasz się do mnie, odkąd wróciłaś dziś rano z kościoła.

– A czy ty przypadkiem nie byłeś dziwny i nieobecny, odkąd wróciłeś w piątek do domu o tak późnej porze?

W jego oczach pojawia się wahanie, a potem twarz zamienia mu się w nieruchomą maskę, którą Lily już zna: Tom odgradza ich niewidzialną linią i zamierza się upierać.

– Zachowywałem się zupełnie normalnie, a jeśli miałaś problem z piątkiem, to miałaś całą sobotę, żeby o tym porozmawiać.

– Nie, nie miałam. Musiałam jechać do sklepu i zawieźć Matthew na lekcję pływania. – *I oglądać zdjęcia, na których pieprzysz się z kelnerką na naszej łodzi.* – Potem wyszedłeś i znów wróciłeś późno.

– To ty postanowiłaś, że nie pójdziesz ze mną na spotkanie w pracy, chociaż byłaś zaproszona – powiedział chłodno.

– Bolała mnie głowa, Tom.

To było kłamstwo. Po tym, jak zobaczyła zdjęcia męża całującego się z kelnerką, Lily nie mogła pójść z nim na imprezę i jakby nigdy nic uśmiechać się słodko do jego kolegów przez całą noc. Musiała wyjaśnić to z Tomem, zanim znów będzie mogła zachowywać się normalnie. Zeszłej nocy wzięła tabletkę nasenną i spała, gdy wrócił do domu. Dziś rano wyszedł wcześniej na niedzielny bieg, a ona musiała przygotować dzieci do kościoła. A teraz jeszcze to przyjęcie. Na którym będzie Arwen. Ta kwestia wisi nad nimi jak miecz Damoklesa na wietrze podczas burzy. Która szaleje nad głowami Lily i Toma.

Lily nie wie, jak zareaguje na widok Arwen, ale desperacko chce zobaczyć, dla kogo jej mąż jest gotów narazić swoje małżeństwo.

Przyjęcie trwa już od jakiegoś czasu, gdy Lily i Tom wchodzą przez furtkę do ogrodu. Mężczyźni tłoczą się wokół dymiącego grilla, piją i się zaśmiewają, a na wietrze, wraz z muzyką z głośników, unosi się zapach pieczonego mięsa. Dzieci grają w piłkę na trawniku. Na patio ustawiono bar, papierowe lampiony dyndają na sznurkach, a obrusy w czerwono-białą kratę powiewają na coraz silniejszym wietrze. Podmuch porywa garść papierowych serwetek i rozrzuca je po soczystozielonej trawie, która dochodzi aż do krawędzi urwiska. W oddali, nad morzem, zbierają się chmury, które nadciągają w ich stronę – czarne i ciężkie nad kipiącą, stalowoszarą wodą.

Tom idzie przez trawnik do mężczyzn, a Lily wchodzi do domu z sałatką.

Zastaje Hannah pijącą wino w kuchni z kilkoma innymi kobietami. Stawia sałatkę na blacie i szuka kieliszka. Hannah przychodzi jej na ratunek i nalewa jej hojnie pinot grigio.

– Dzięki, tego mi było trzeba. – Lily podnosi kieliszek i wypija duży łyk. – Gdzie ona jest? Gdzie ta cała Arwen?

– Jeszcze nie przyszła. Chodź, muszę z tobą porozmawiać. – Hannah chwyta Lily za rękę i prowadzi ją na patio. Gdy znajdują się w miejscu, w którym nikt ich nie słyszy, mówi szeptem: – Słuchaj, Lily, strasznie mi przykro. Nie powinnam była pokazywać ci tych zdjęć. Nie wiem, co mnie napadło.

– Dobrze zrobiłaś. Gdybym się dowiedziała, że o wszystkim wiedziałaś i mi nie powiedziałaś, byłabym zdruzgotana. To nie twoja wina. To wina Toma. Tylko... Nie bardzo wiem, dlaczego Simon zrobił te zdjęcia. Na co mu one?

– Nie możesz powiedzieć Simonowi, że je widziałaś. – Hannah zerka nerwowo w kierunku basenu, przy którym jej mąż przekłada szczypcami mięso i raczy swoich kumpli opowieścią, która sprawia, że odchylając głowy, zanoszą się od śmiechu.

Lily robi się ciężko na sercu na widok roześmianego Toma z piwem w ręku. Przez chwilę go nienawidzi. Nienawidzi ich wszystkich. Mężczyzn. Ma wrażenie, że śmieją się z niej. Zastanawia się, czy pozostali mężowie wiedzą, że Tom pieprzy się z kelnerką, którą ulokował po drugiej stronie ulicy, i czy wszyscy uważają to za niezły żart.

– Dlaczego mam mu nie mówić? – pyta chłodno Lily.

– Bo on nie wie, że je widziałam.

Lily zwraca wzrok na przyjaciółkę.

– Co masz na myśli?

– Poszłam do jego szopy. Z kluczem.

– Ty? Po schodach na klifie?

Hannah przełyka ślinę. Jej policzki się zaróżowiły.

– Poszłam i już. Zobaczyłam odbitki rozłożone na jego biurku i je sfotografowałam.

Lily spogląda na przyjaciółkę. Rozlega się grzmot i na markizę nad patio spadają pierwsze krople deszczu.

– Dlaczego Simon je zrobił? Dlaczego je wydrukował?

– Znasz go. – Hannah śmieje się cicho. – Fotografuje ptaki, kobiety, wszystko. Jest obserwatorem. To go fascynuje.

Chmury nagle zupełnie przesłaniają słońce. Wiatr wieje mocniej, tarłosi lampiony. Jeden zrywa się ze sznurka i toczy po trawie w stronę lasu. Kraciasty obrus podrywa się ze stołu i wiruje w chmurze papierowych kubków i serwetek. Rozwidlona błyskawica uderza w taflę morza, rozlega się grzmot. Niemal natychmiast na ziemię spadają duże, grube krople deszczu. Mężczyźni w pośpiechu zbierają napoje i zdejmują mięso z grilla, a dzieci z piskiem biegną w stronę domu przy wtórze pomrukującego i warczącego w oddali grzmotu.

– Jest, to ona – mówi Hannah. – Cholera. Miałam nadzieję, że nie przyjdzie.

Lily widzi kobietę idącą przez trawnik pod lasem. Kieruje się w stronę basenu. Spódnica w tysiącu barw powiewa na wietrze, który mierzwi ciemne włosy kobiety. Jej chód jest pewny i zdecydowanie... zmysłowy. Ma na sobie białą bluzkę w groszki, na obu jej rękach połyskują bransoletki. Najwyraźniej nie przejmują się deszczem, który zaczyna padać.

Lily powoli opuszcza kieliszek. Jej serce lodowacieje. Nie może oderwać wzroku od kobiety w oddali. Błyskawica rozświetla niebo nad wodą. Znow rozlega się grzmot. Kobieta wchodzi do domku przy basenie, a mężczyźni biegną przez trawnik z talerzami usmażonego mięsa.

Lily wychodzi spod zadaszenia. Z kieliszkiem w dłoni idzie w deszczu do domku przy basenie.

– Lily! – woła za nią Hannah.

Ale ona idzie dalej. Serce jej łomocze. Mija ją Simon z talerzem zwęglonego kurczaka. Deszcz pada coraz mocniej.

– Chodź do domu, Lily – woła Hannah. – Wszyscy idą pod dach. Zjemy w środku.

Lily nigdzie nie widzi Toma. Jest przekonana, że zastanie go z Arwen w domku przy basenie. Przyspiesza kroku.

Rozlega się grzmot. Deszcz przybiera na sile, moczy włosy i ubranie Lily. Drzewa w lesie za domkiem przy basenie gną się i kołyszą, szemrząc jak rwąca rzeka. Krople deszczu smagają powierzchnię basenu.

Lily wchodzi do domku.

Arwen stoi tyłem do Lily. Jest sama. Toma nie ma. Arwen nalewa drinka przy bambusowym barku w rogu domku.

Grzmot wprawia w drganie szyby w oknach. Deszcz dudni w blaszany dach.

Lily stoi w drzwiach, przemoczona, z włosami przyklejonymi do głowy. Przez chwilę przygląda się kobiecie, targana różnymi uczuciami, i przypomina sobie zdjęcia, które pokazała jej Hannah – nagich piersi kobiety w świetle księżyca. Jej warg przy ustach Toma, jej palców wplecionych w jego włosy.

– Arwen? – odzywa się Lily.

Kobieta się odwraca.

– Dzień dobry, pani doktor.

Lily opada szczęką. Jest w głębokim szoku. Chwyta się oparcia krzesła.

– Paisley?

Lily

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

– Arwen – przedstawia się ciemnowłosa kobieta z promiennym uśmiechem, podając Lily rękę. – Arwen Harper.

– O co tu... O co tu, do licha, chodzi...?

– Masz na myśli akcję z „Paisley” i rudą peruką? – Śmieje się, sięga po drinka i wypija łyk. Tatuaż na jej szyi porusza się. Dźwięczące bransoletki przyciągają wzrok Lily. Zauważa wypukłą bliznę na nadgarstku kobiety od wewnętrznej strony. Lily przenosi wzrok na drugi nadgarstek Arwen, nim zdąży się powstrzymać. Druga blizna. Lily nie widziała blizn ani tatuażu u swojej niedawnej pacjentki. Dociera do niej, że „Paisley” miała na sobie koszulkę kolarską z długimi rękawami, a na szyi chustkę. Jej „pacjentka” ukrywała swoje znaki szczególne przed bystrym okiem terapeutki. Podobnie jak ciemne włosy, które schowała pod rudą perukę. „Paisley” nie miała na sesji bransoletek ani kolczyka w nosie. Wydała się Lily zupełnie inną kobietą, ponieważ Lily zobaczyła to, co Arwen chciała pokazać.

Lily robi się słabo.

Słowa, logika, ją opuszczają, w jej mózgu eksplodują pytania. Kolejna rozwidlona błyskawica wbija się w ziemię na zewnątrz. Migocze ponownie i w tej samej chwili rozlega się grzmot. Pobliski las szumi i kołysze się na wietrze, a sosnowe szyszki spadają na metalowy dach domku przy basenie. Strugi deszczu spływają po oknach, zasłaniając widok na dom Codych ustrojony w imprezowe lampki.

– Dolać ci? – pyta Arwen, sięgając po kieliszek Lily z winem rozcieńczonym deszczem. – Wina? A może... Hm, wygląda na to, że przydałoby ci się coś mocniejszego. Wyjmuje kieliszek z ręki Lily, odstawia go na blat barku i sięga po czystą szklaneczkę. Nalewa do niego potrójną porcję ginu.

Oszołomiona Lily odgarnia z twarzy kosmyk mokrych włosów. Przyszła do domu przy basenie gotowa stawić czoła kelnerce, kochance jej męża, a teraz nie bardzo rozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Czego... Czego ode mnie chcesz? W co ty do cholery grasz, żeby przychodzić do mojej poradni w takim przebraniu?

Arwen podaje Lily dużą szklaneczkę ginu z tonikiem.

– Chyba nie jest niczym niezwykłym, że twoi pacjenci zgłaszają się na terapię pod fałszywymi nazwiskami? Posługują się nimi przynajmniej na początkowych sesjach, dopóki nie nabiorą zaufania. Po to są płatności gotówkowe, prawda? Anonimowość zapewnia emocjonalne bezpieczeństwo. Łatwiej wyznawać swoje sekrety.

– Owszem, niektórzy używają na początku fałszywego nazwiska lub tylko imienia, ale nie przebrania.

Arwen wzrusza ramionami.

– Może to moja osobliwa patologia, pani doktor. A może chciałam cię zobaczyć w twoim świecie terapeutki, nie dając ci poznać, kim jestem, przynajmniej na początku. Chyba wszyscy się ukrywamy pod maskami i przebraniami? Ty siedząca w swoim ładnie urządzonej gabinecie przy domu. Tom w profesorskim kapeluszu i czarnym golfie, naukowiec z prawdziwego zdarzenia w swojej wieży z kości słoniowej. – Milknie, przechyla głowę na bok i celuje w Lily szklanką.

– Czy aby naprawdę wiesz, kim jest twój mąż, Lily? Czy on naprawdę wie, kim jesteś ty?

Serce Lily zaczyna łomotać. Przypomina sobie słowa „Paisley” z terapii.

Chyba ją widzę... Powiedziała, że ma na imię Sophie... Trudno poskromić mroczną, zбочzoną, diabelską naturę.

Myśli Lily rozbiegają się w kilku różnych kierunkach, a jej mózg ocenia potencjalne niebezpieczeństwo ze strony tej kobiety i to, jak bardzo należy się jej obawiać. W jej umyśle nagle pojawiają się słowa z anonimowych liścików.

Nie ukryjesz się przed szatanem, jeśli szatan mieszka w twojej głowie... Od kogoś, kto wie.

Zaczyna do niej docierać rozmiar tego, z czym musi się zmierzyć. Odzywa się cichym głosem, który zaczyna drżeć.

– Więc zgłosiłaś się do mnie jako fałszywa pacjentka, żeby dostać się do mojej głowy. – To nie jest pytanie. Lily wylicza fakty na głos, w ten sposób się nad nimi zastanawiając, kupując czas na opracowanie planu.

– A dostałam się do twojej głowy?

– I sympiasz z moim mężem, widziałam zdjęcia.

Arwen przez moment wygląda na zaskoczoną, ale szybko się opanowuje i tylko się uśmiecha. Lily domyśla się, że nie wiedziała o zdjęciach Simona.

– A twój syn spotyka się z moją córką – mówi powoli. – To też zaaranżowałaś? Żeby mi zepsuć moje macierzyństwo? Podjęłaś pracę w tawernie, zaprzyjaźniłaś się z moim mężem, a potem wprowadziłaś się na moją ulicę.

– Na twoją ulicę? – Arwen śmieje się drwiąco. – Więc ta dzielnica też należy do ciebie?

– W co ty do cholery grasz, Paisley? – warczy Lily. – Powiedz, czego chcesz.

– Arwen. – Mówi wyraźnie. – Mam na imię Arwen. Zapamiętaj to sobie, Lily. Chcę, żebyś spojrzała mi w oczy i mnie zobaczyła. Chcę, żebyś mnie poznała. I zgadza się, chcę, muszę, być w twojej głowie, powinnam w niej siedzieć przez cały czas. A teraz powiedz, jak mam na imię.

Lily mruga, czując mroczną nić świadomości, która zaczęła rozwijać się w dole jej brzucha.

– Mów! – żąda Arwen.

Lily kieruje wzrok w stronę drzwi. Znajdują się daleko od głównego domu. Odizolowane przez burzę. Strach siada jej na ramionach.

– Mów!

– Arwen – mówi ostrożnie Lily.

Arwen uśmiecha się lekko.

– Już lepiej. Jak tam drink?

Lily patrzy kobiecie w oczy, jej mózg szaleje.

– Jak. Tam. Drink? Spróbuj. Powiedz mi.

Lily wypija niewielki łyk.

– Mocny.

– Napij się jeszcze.

– Wolałabym...

– Napij. Się. Jeszcze.

Lily wypija kolejny łyk i wlepia wzrok w Arwen.

– To byłaś ty, prawda? Obserwowałaś mój dom, prześladowałaś mnie. Zostawiałaś notatki.

– Za dostarczenie notatki z drinkami w hotelu Ocean Bay komuś zapłaciłam. Tego wieczoru miałam zmianę. – Leniwy, chytry uśmiech wykrzywia jej ładne wargi. – Miałam do uwiedzenia cudzych mężów. Mężczyźni tak łatwo ulegają swoim fiutom, nie sądzisz?

Nić mrocznej świadomości w brzuchu Lily wciąż się rozwija i niczym ciernista winorośl płącze się, zwija i rozgałęzia, pnąc się do klatki piersiowej Lily, gdy zaczyna obnażać się rzecz niepojęta. Lily zdaje sobie sprawę z tego, że musi wymyślić, jak poradzić sobie z tą kobietą, zanim ona zniszczy jej życie i rodzinę. Nie może pozwolić jej wyjść z domku przy basenie. Lily

osuwają się na bambusowe krzesło. Miękną jej kolana. Jest oszołomiona. Może to przez gin. Może Arwen coś do niego wlała.

– Czego chcesz? – pyta powoli.

Arwen spogląda na Lily przy akompaniamencie dudniącego deszczu.

– Wszystkiego, doktor Bradley – mówi w końcu. – Chcę ci zabrać wszystko. Chcę zniszczyć ciebie i twoją fałszywą rodzinę, która mieszka w bakłażanowym domu, kryjąc się za fasadą przywilejów. Przyprawiasz mnie o mdłości, Lily Bradley. Twój mąż też. – Twarz Arwen tężeje, jej oczy zmieniają się w dwa krzemienie. Wygląda tak, jakby wstąpiło w nią coś złego. – Nie zasługujesz na to, co masz.

– O czym ty mówisz? – Już wie, o co jej chodzi. Nie ma tylko pojęcia, skąd wie o tym Arwen.

– A może powinnam powiedzieć Sophie McNeill?

Ręka Lily zaczyna drżeć.

– Tak, wiem, kim jesteś. – Arwen podchodzi bliżej. Siada na krzesło naprzeciwko Lily, ich kolana prawie się stykają. Pochyla się. Mruży oczy. – Znam cię. Wiem, skąd pochodzisz, gdzie mieszkałaś. Wiem, co się stało. – Wpatruje się w Lily. Monotonnym szeptem zaczyna recytować: – W sobotę, 22 kwietnia 1989 roku, ciepła mgiełka spowija Glenn Dennig, senne preriowe miasteczko leżące na przedmieściach Medicine Hat. Mieszkańcom tej miejscowości wieczór wydawał się niezwykle ciepły jak na wczesną wiosnę. Nie mieli nic przeciwko temu. – Uśmiechnęła się i dodała słodko: – Wtedy nie wiedzieli jeszcze, co się wydarzy. Prawda, Sophie?

Lily wraca myślami do tamtego ciepłego dnia w Glenn Dennig.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

Dziewczynką, która ukrywała się pod łóżkiem, była dziewięcioletnia Chrissie Whittaker z domu czterech posesji dalej. Jej młodszy, siedmioletni brat, Harrison, leżał martwy na łóżku małżeńskim w głównej sypialni – zadźgany, z podciętym gardłem, jego głowę przykrywała poduszka.

Przypuszczano, że Sophie McNeill została porwana i grozi jej ogromne niebezpieczeństwo. Wozniak powiedział później reporterowi: – Miałem nadzieję, że Sophie jest u przyjaciółki. Moja następna myśl brzmiała: Co to biedne dziecko zrobi, gdy się dowie, że cała rodzina została zamordowana? Przynajmniej nie musiała tego oglądać.

Zmobilizowano wszystkie organy ścigania, a atmosfera w siedzibie policji w Medicine Hat stawała się coraz bardziej napięta. Wokół miasta i wzdłuż głównych arterii wylotowych ustawiono blokady drogowe.

Policja skontaktowała się ze szkolnym opiekunem Sophie i poprosiła o nazwiska przyjaciółek, u których mogła się zatrzymać.

Funkcjonariusz łącznikowy policji odwiedził katolicką szkołę Sophie McNeill i poinformował dyrektora o brutalnym morderstwie rodziny jednego z uczniów. Oficer łącznikowy poprosił o aktualne zdjęcie Sophie. Zostało ono rozesłane po całym kraju.

Skontaktowano się z trenerem pływania Sophie. Poinformował policję, że z nim jej nie ma.

Dyrektor powiedział szkolnemu oficerowi łącznikowemu, że uczniowie często przyklejają numery telefonów przyjaciół na wewnętrznej stronie drzwi szafek lub trzymają je w notatnikach. Zgodnie z prawem policja nie mogła przeszukać szafek, ale dyrektor miał prawo je otworzyć.

Szafka Sophie została otwarta dla oficera łącznikowego.

Na drzwiach szafki Sophie nie było żadnych numerów. Policjant zaczął przeglądać notatnik. Na podłogę z linoleum wypadła pojedyncza kartka.

Policjant podniósł ją – był to ręcznie rysowany pasek komiksowy składający się z czterech ramek. Przedstawiał rodzinę patyczaków z podpisem: „Rodzice z dziećmi”. Postacie stały w słońcu obok grilla z płomieniami. Trzymały się za ręce, jak na naklejkach, które ludzie umieszczają na tylnych szybach samochodów.

W następnej ramce widniała postać dziewczynki zadającej dużym nożem ciosy członkom swojej rodziny, tryskała krew. Pod obrazkiem znajdowały się słowa: „Gińcie! Gińcie! Niech wszystko, co kochacie, zostanie zniszczone!”.

Dziewczynka została następnie przedstawiona jako roześmiana postać, biegnąca przez wzgórze do półciężarówki z napisem „Ciężarówka Vincenta”. Z ciężarówki machał do dziewczynki mężczyzna.

Ostatnia ramka pokazywała dziewczynę i chłopca odjeżdżających ciężarówką, ze słowem „Hahahaha” w dymku nad pojazdem. Byli roześmiani. Nad ciężarówką narysowany był tęczy łuk, a samochód jechał w stronę zachodzącego słońca. Pod ostatnią ramką widniały słowa: „Teraz możemy być szczęśliwi. Koniec”.

Kolega z klasy pismo i rysunki zidentyfikował jako wykonane przez Sophie. Opowiedział policji o dwudziestotrzyletnim chłopaku Sophie, Vincencie Ellwoodzie, który mieszkał z matką w przyczepie w pobliskim parku, spędzał czas w centrum handlowym z innymi członkami subkultury gotyckiej i czasami sprzedawał narkotyki.

Oficer łącznikowy pokazał rysunki swojemu przełożonemu w komendzie policji w Medicine Hat, gdzie dokonano wstępnej oceny sytuacji. Do tej pory policja obawiała się o bezpieczeństwo Sophie. Teraz bali się – niewiarygodnie – że dwunastoletnia dziewczynka ze szkoły katolickiej może być podejrzana o morderstwo. Sophie McNeill mogła – lub pomogła – zabić własną rodzinę i Harrisona Whittakera. A teraz uciekała ze starszym od siebie chłopakiem, który uciekł z przyczepy, w której mieszkał.

Policjant prowadzący sprawę nakazał zwrócić rysunek i notes do szafki oraz wymienić w niej zamki. Chciał, aby szafka była zabezpieczona do momentu uzyskania odpowiedniego nakazu przeszukania.

Dwa dni później pracownik stacji benzynowej w małym miasteczku w Saskatchewan zobaczył poobijanego brązowego pick-upa, który przypominał samochód Vincenta Ellwooda. Obsługa porównała rejestrację ciężarówki i twarze pasażerów z tymi z plakatów o zaginionych i poszukiwanych. Zadzwonili na policję, gdy dziewczyna i jej chłopak jedli hamburgery w restauracji obok.

Godzinę później Sophie McNeill i Vincent Ellwood zostali aresztowani w małym miasteczku Saskatchewan.

Lily

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

– Byłam tam, Sophie – mówi Arwen. – Pod łóżkiem. Słyszałam każdą potworność, która wydarzyła się w domu grozy w Glenn Dennig.

Do Lily powoli dociera straszna rzeczywistość.

– Więc... Jesteś nią – mówi cicho. – Chrissie Whittaker.

– Christine Arwen Whittaker. – Uśmiecha się chłodno, fałszywie, podnosząc kieliszek. – Zdrowie.

Lily nie może się ruszyć. Po prostu się gapi. Wiatr wieje. Drzewa się wyginają. Postrzępiony papierowy lampion zahaczony o gałąź zrywa się i wiruje za oknem domku przy basenie – plama jaskrawej żółci, strzęp tego, co miało być słonecznym popołudniem w sielankowej dzielnicy.

– Oj, chyba trzeba ci nalać nowego drinka, upuściłaś szklanę.

Wzrok Lily pada na podłogę wyłożoną kafelkami, na której widzi rozbitą szklanę. Nawet nie wiedziała, że ją upuściła.

Arwen wstaje i nalewa Lily ginu z tonikiem. Podaje jej szklanę.

Oniemiała Lily bierze ją.

– Zdrowie – powtarza Arwen.

Lily nie może się ruszyć.

– Na zdrowie, Lily. – Te słowa brzmią jak rozkaz. Na dworze migoczą błyskawice.

Lily drżącą ręką podnosi szklanę i stuka nią o szklaneczkę Arwen.

Ta czeka, aż Lily wypije duży łyk. Znów słyhać grzmot. Lily zastanawia się, gdzie jest Tom i czy ktokolwiek w domu zwrócił uwagę na ich nieobecność. Tom nie może dowiedzieć się tego, co wie ta kobieta. Nikt nie może się dowiedzieć. Jakaś część Lily zostaje porwana daleko, daleko od Toma, daleko od domu Codych, do zimnej otchłani przeszłości, i musi mierzyć się ze swoim małym dwunastoletnim diabłem. Musi spojrzeć w lustro i zobaczyć grymas na twarzy dziecka, które ufarbowało włosy na czarno wbrew woli matki. Dziecka, któremu zabroniono spotykać się ze

starszym chłopakiem. Dziecka, które się buntowało i dostało szlaban, i które pragnęło śmierci rodziców i młodszego brata, by móc robić, co tylko zechce.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

Wczesnym rankiem do cel Sophie McNeill i Vincenta Ellwooda, których przywieziono do Medicine Hat, dostarczono torby z kanapkami z lokalnego fast foodu. Policjanci mieli nadzieję, że ich ulubione jedzenie zwiększy szanse na współpracę. Potrzebowali przyznania się do winy. Musieli wykorzystać każdą sztuczkę, zanim w sprawę zaangażują się prawnicy, a przesłuchiwanie dzieci było skomplikowane. Policja w Kanadzie musi przestrzegać specjalnych przepisów dotyczących nieletnich.

Do przesłuchania wyznaczono sierżanta Dave'a Blunta i Petera Chalka. Blunt był w przeszłości śledczym w sprawach związanych z narkotykami i miał szczególny talent do zdobywania zaufania i wyciągania sekretów z młodych ludzi i z nastolatków. Chalk był doświadczonym wariografistą i doskonałym przesłuchującym.

Jak pokazują stenogramy sądowe, Blunt i Chalk zdecydowali się na odegranie rutynowych ról „złego i dobrego gliniarza” podczas przesłuchania Sophie McNeill, która siedziała skulona i płakała przy metalowym stole w małym pokoju przesłuchań.

Jednak ojcowska troska Chalka nic nie dała. Sophie McNeill odmówiła rozmowy. Im bardziej Chalk się starał, tym bardziej Sophie chlipała i wycierała nos rękawem.

Tego popołudnia do pokoju wszedł przystojny sierżant Blunt, blond włosy, niebieskie oczy i modne okulary, emanujący miejskim luzem. Przedstawił się jako Dave. Zagadnął Sophie o muzykę punk i gotyk oraz jej ulubione zespoły. Zapytał, co sądzi o hardcore'owych tekstach i nakłonił ją do wyjawienia, w jaki sposób zaangażowała się w gotycką subkulturę. Powiedziała mu, że czuła się samotna, że odstawała od grupy w swojej katolickiej szkole, że uważa zorganizowaną religię za głupią, ponieważ Bóg z pewnością nie pozwoliłby ludziom cierpieć, gdyby istniał, i że więcej sensu ma wicca. A w gotyckiej grupce z centrum handlowego wszyscy byli wyrzutkami i wśród nich czuła się mile widziana. Jej matka i ojciec nie rozumieli, jak bardzo potrzebowała swoich przyjaciół; im bardziej próbowali powstrzymać ją od spotykania się z nimi i z jej chłopakiem, tym bardziej nienawidziła rodziców.

Rozpłakała się.

Blunt przysunął krzesło. Pogłaskał ją po głowie i położył dłoń na ramieniu. Mówił pocieszające rzeczy, na przykład, że jest fajna, że ładnie pachnie i jego zdaniem jest ładna.

Blunt ze swoich poczynań musiał później tłumaczyć się przed sądem, ale w końcu zmusił Sophie, by opowiedziała mu o tym, jak poznała dwudziestotrzyletniego Vincenta w centrum

handlowym, i o tym, że gdy rodzice zabronili jej się z nim widywać, zaczęła wymykać się nocą przez okno w piwnicy, a także o tym, że przez wiele miesięcy planowali ucieczkę.

– A dokąd zamierzałaś uciec? – zapytał Blunt.

– Do Europy, chciałam zamieszkać w gotyckim zamku w Niemczech. Albo w Transylwanii. Ale rodzice by mnie znaleźli. Nie daliby mi spokoju. Nie przestaliby mnie szukać.

– Dlaczego?

– Bo im na mnie zależało.

– Kochali cię?

Bez słowa wpatrywała się w stół.

– Co postanowiłaś zrobić?

Sophie odpowiedziała, że ona i Vincent rozmawiali o zabiciu jej rodziców.

– To był twój pomysł?

– Zabił ich tylko dlatego, że mnie kocha. Nie chciałam, żeby tak się stało. Nie sądziłam, że to zrobi. On jest miły. Naprawdę słodki. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie był pod wpływem odurzających środków wpływających na umysł, a jak już zaczął... było za późno.

To był przełom dla sierżanta Dave'a Blunta. Starał się zachować spokój, swoją wyluzowaną, hip-hopową postawę.

– Jak to zrobił?

Sophie opowiedziała policjantowi, że w nocy z soboty na niedzielę, 22 kwietnia 1989 roku, siedziała z ponurą miną w swojej sypialni ze słuchawkami na uszach. Jej młodszy brat z kolegą oglądali film w piwnicy, a rodzice kładli się spać. Przyszedł Vincent i zaczął rzucać kamieniami w jej okno. Wyjrzała i go zobaczyła. Miał nóż i wskazywał na okno piwnicy.

– Był kompletnie naćpany, jakby wziął kokę albo ecstasy. Zanim zdążyłam mu powiedzieć, że na dole są chłopcy, wszedł przez okno w piwnicy. Usłyszałam krzyki Danny'ego i Harrisona wbiegających po schodach i mojego tatę schodzącego na dół. Słyszałam, jak tata krzyczał... a mama schodziła na dół... Słyszałam, co się działo, to było straszne.

Przez chwilę siedziała w milczeniu.

– Wiedziałaś, że będzie dużo krwi i chciałam, żeby to się skończyło. Nie chciałam, żeby to się działo, ale było już za późno – powiedziała.

– Co zrobiłaś, gdy usłyszałaś mamę i tatę w piwnicy z Vincentem?

– Nie pamiętam.

– Daj spokój, Sophie. Wiem, że pamiętasz. Możesz mi powiedzieć.

– Chyba poszłam do kuchni. Nie. Poszłam... Myślę, że poszłam do pokoju Danny'ego, żeby go pocieszyć, bo płakał, był przestraszony i pytał, co się dzieje.

– Gdzie był wtedy Harrison?

– Nie wiem. Chyba pobiegł do pokoju moich rodziców, kiedy Vincent wpadł na schody i walił w ściany. Vincent krwawił, miał przy sobie nóż, był rozwścieczony, dziki i naćpany.

– Czy w domu był ktoś jeszcze?

Wyglądała na zaskoczoną.

– Nie, dlaczego?

– Nikt inny nie oglądał wideo w piwnicy z chłopcami?

– Nie.

Sierżant Blunt zdał sobie sprawę, że Sophie i Vincent nie mieli pojęcia, że w domu było jeszcze jedno dziecko. Wtedy sądził, że Chrissie Whittaker musiała uciec do sypialni Sophie i schować się pod łóżko, gdy Sophie i Vincent byli z chłopcami.

– Co Danny robił w swojej sypialni? – zapytał sierżant.

– Płakał. Bał się. Poszłam pocieszyć Danny’ego, bo jest bardzo wrażliwy. Plan był taki, żeby go nie zabijać nożem. Chcieliśmy go tylko udusić, żeby nie czuł bólu, bo nie mogliśmy pozwolić mu żyć bez rodziców – za bardzo by za nimi tęsknił.

– Więc chcieliście być dla niego mili.

Dziewczyna wybuchła płaczem. Sierżant Blunt jest cierpliwy i czeka.

– Ale kiedy Vincent przyszedł na górę umazany krwią i był... jak w amoku, nie mogłam tego zrobić – nie mogłam – ale powiedział, że musimy, że jest tam drugi chłopiec, który wszystko słyszał, i nie możemy pozwolić im teraz żyć. Krzyczał na mnie, żebym to zrobiła. Tak jakby dźgnęłam Danny’ego w bok, trysnęła na mnie jego krew i nie mogłam dźgnąć go jeszcze raz. Danny powtarzał, że jest za mały, żeby umierać, i błagał, żebyśmy go nie zabijali. Vincent pobiegł za drugim chłopcem. Słyszałam, jak to robił. Wrócił i powiedział, że muszę wykończyć Danny’ego. Nie mogłam. Poszłam do łazienki, żeby umyć nóż i zmyć z siebie krew Danny’ego. Usłyszałam Vincenta... Słyszałam, jak podrzyna Danny’emu gardło. Słyszałam bulgotanie. Nie chciałam, żeby to się działo, ale jak już się zaczęło, nie dało się tego zatrzymać. Trzeba było to dokończyć.

– Co stało się później?

Cisza.

Sierżant Blunt delikatnie ujął dłoń Sophie. – W porządku. Możesz mi powiedzieć, Sophie. Ale to musi być cała prawda. To musi być cała historia.

– Wzięłam torbę z rzeczami, a potem odjechaliśmy z Vincentem jego ciężarówką.

– Nie okazujesz żadnych emocji, Sophie. Czy to cię nie martwi?

– Płakałam wczoraj cały dzień, ale teraz jestem pusta. Czy przez to jestem straszna?

Sierżant Blunt zapytał Sophie, czy jej rodzice się nad nią znęcali. Odpowiedziała, że nie, że się starali, chcieli dla niej jak najlepiej i wierzyła, że prawdopodobnie ją kochali. Nawet bardzo.

Sierżant Blunt przyniósł Sophie papier i długopis. Zapytał, czy chce napisać list z przeprosinami do swoich rodziców i czy może chciałaby też napisać list do Vincenta. Powiedział, że zanieś list do Vincenta w jej imieniu. To była taktyka, coś, co mogło zostać wykorzystane jako pisemne przyznanie się do winy. W liście do rodziców napisała:

Drodzy rodzice,

piszę w związku z wydarzeniami, które miały miejsce w naszym domu w sobotę. Stała się straszna rzecz i to była moja wina. Jest mi bardzo przykro. Chciałabym, żeby to się nie wydarzyło i żebyście nadal byli ze mną, bo teraz jestem sierotą i nie mam nikogo. Mam nadzieję, że jesteście spokojni w krainie lata§.

Do Vincenta napisała:

Mój ukochany,

kocham Cię całym sercem. Bez względu na to, co się stanie, proszę, pamiętaj, że ludzie kłamią. Czuję się taka samotna bez Ciebie. Proszę, bądź silny, mój kochany. Być może będziemy musieli poczekać, ale znów będziemy razem, będziemy mieli nasz wieczny zamek i będziemy żyć szczęśliwie. Nie trać nadziei. Wierz we mnie. Nie ufaj kłamstwom. Ale wiem, że więzy cielesne niewiele mogą obiecać duszy. Całuję Cię najmocniej.

§ Według wierzeń wicca dusza pomiędzy wcieleniami odpoczywa w krainie wiecznego lata.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

Vincent Ellwood opowiedział sierżantowi Dave'owi Bluntowi inną historię.

Powiedział, że Sophie zasugerowała zabicie swoich rodziców kilka miesięcy wcześniej.

– Ciągłe mnie o to prosiła. Powiedziała, że jeśli ją kocham, to ich zabiję. Przekonywałem, że możemy po prostu uciec razem, ale ona powiedziała, że rodzice nie przestaną jej szukać. Przyszliby po nas. Musieli umrzeć.

– Więc to był jej pomysł? – zapytał Blunt.

– Nie chciałem tego. To znaczy, pomysł był fajny, kiedy byłem na hajku i w ogóle. Ale się bałem. Poprosiłem kumpla, żeby mi pomógł, a on powiedział, że nie ma mowy. Poprosiłem innego, który stwierdził, że oszalałem.

– I nigdy nie zgłosili nikomu, że chciałeś zabić Dellę, Marka McNeilla i Danny'ego?

– Nie sądzili, że to zrobię.

– Czyli ona, Sophie, naciskała na ciebie? Jak?

– Po prostu się nie odzywała, wycofywała i była smutna, a wtedy ja też byłem smutny, kiedy widziałem ją w takim stanie. Chciałem ją uszczęśliwić. Kiedy była szczęśliwa, kochała mnie. Uprawialiśmy seks. Miałem nadzieję, że życie będzie w porządku, gdy będzie w dobrym nastroju.

– Wiesz, że ma dwanaście lat?

– Nie wiedziałem, kiedy ją poznałem. Myślałem, że ma z osiemnaście. Jest naprawdę dojrzała. I bardzo inteligentna.

– Mądrzejsza od ciebie?

Vincent spoglądał na stół i milczał. Był roztrzęsiony. Targały nim emocje. W przeciwieństwie do Sophie McNeill.

Powiedział policji, że tego popołudnia wypił dużo piwa. Następnie poszedł do przyjaciół, palił marihuanę i pił mocniejsze trunki.

– Wciągnąłem z pięć kresek kokainy, a potem zażyłem trochę ecstasy. Byłem nabuzowany. Zamroczony. Agresywny. Poszedłem do niej z nożem.

Następnie powiedział sierżantowi Bluntowi, że wszedł przez okno do piwnicy. W piwnicy zastał trójkę dzieci oglądających film. Dwóch chłopców i dziewczynkę. Zobaczyli go – z jego bladymi oczami, białym makijażem na twarzy, ubranego w czarną bluzę z kapturem z motywem czaszki, trzymającego w ręku nóż. Krzyknęli i uciekli na schody. Ojciec Sophie zszedł na dół, chwycił śrubokręt, który leżał na schodach, i rzucił się na Vincenta.

Walka była zacięta. Głośna. Matka zbiegła na dół z krzykiem. Vincent rzucił się na nią. Podniosła rękę, by osłonić twarz, a on wbił nóż w jej brzuch, a potem w serce. Mark McNeill odważnie i zaciekle bronił rodziny, ale nie miał szans z nakokszowanym, napędzanym ecstazy, oszalałym Vincentem Ellwoodem.

Mark McNeill zdołał dźgnąć Vincenta śrubokrętem nad okiem i w ramię. Vincent zostawił krew Marka i Delli oraz swoją własną na ścianach, gdy zataczając się, szedł na górę do Sophie.

– Była z Dannym – powiedział. – Trzymała rękę na jego szyi i próbowała go udusić, ale on nie chciał umierać. Błagał, mówił, że jest za mały, by umierać, żeby przestała i mu pomogła.

– A drugi chłopiec?

– Uciekł do sypialni rodziców.

– A co z dziewczynką?

– Nie widziałem, gdzie poszła. Myślałem, że uciekła z domu.

– Czy Sophie wiedziała o dziewczynce?

– Nie. Nigdy o tym nie wspomniałem.

– Dlaczego?

– Nie chciałem... żeby zginęło więcej osób.

– Co stało się później?

– Kazała mi czekać z Dannym w jego sypialni. Przyniosła z kuchni nóż, kiedy ja na dole zajmowałem się jej rodzicami. Zniosła nóż do głównej sypialni. Słyszałem, jak robi to chłopcu. Wróciła, a potem zabiła Danny'ego.

– Nie zabiłeś go?

– Ona go zabiła. Poderżnęła mu gardło. Charczał. Walczył z nami. Próbował... próbował użyć swojego miecza świetlnego.

Sierżant Blunt musiał poświęcić chwilę, by się pozbierać. Zapytał cicho: – Co się stało potem, Vincent? Potrzebuję całej prawdy, zrozum. Częściowa prawda nic nie daje. To wszystko wróci i was dopadnie.

– Przestraszyłem się. Powiedziała mi, żebym poczekał w kuchni, a sama zaczęła pakować torbę.

– Chciała się pakować? Gdy wszyscy w domu leżeli martwi?

– Tak. Czekałem w kuchni. Krzyczałem, żeby się pośpieszyła, ale tak się grzebała, że się wściekłem. Wyszedłem. Pobiegłem po swojego pick-upa, wróciłem do przyczepy, wziąłem prysznic, umyłem się i napiłem.

– Widział cię ktoś w przyczepie? – Vincent potrząsnął głową. – Jesteś pewien, że wyszedłeś bez Sophie? Bo ona twierdzi co innego.

– Tak. Byłem wykończony, roztrzęsiony. Nie mogłem siedzieć w tym domu z... z nimi wszystkimi po tym, co się stało.

– Co Sophie zrobiła później?

– Przyszła do mojej przyczepy, przyjechała taksówką. Miała ze sobą torbę ze swoimi rzeczami i ciasto bezowe, które leżało na blacie kuchennym u niej w domu. Powiedziała, że wezwała taksówkę, a potem się skapnęła, że nie ma pieniędzy. Znalazła kartę kredytową mamy i pobiegła do pobliskiego 7-Eleven. Tam jest bankomat czynny całą dobę. Wypłaciła gotówkę i pobiegła do domu, gdzie czekała na nią taksówka. I przyjechała tutaj.

– A potem?

– Zjedliśmy całe to cholerne ciasto w mojej przyczepie, po czym odjechaliśmy moją ciężarówką.

Lily

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

– Nie zabiłam ich – mówi cicho Lily.

– Ława przysięgłych twierdzi, że to zrobiłaś – odpiera Arwen. – Ława przysięgłych uwierzyła prokuratorowi, który powiedział, że nie trzeba mieć broni, by być mordercą. Zaplanowałaś to. Podżegałaś do tego. Ty i Vincent zostaliście skazani odrębnie za cztery morderstwa pierwszego stopnia.

– Odsiedziałam swoje.

– W Zakładzie Margot Javinski? Gdzie mogłaś swobodnie chodzić, bo nie było krat? Z którego wyszłaś, zanim skończyłaś osiemnaście lat i miałaś jedynie dozór? A kiedy miałaś dwadzieścia dwa lata usunięto z archiwów twoją kryminalną kartotekę? Co to za zapłata za to, co zrobiłaś?

– Przeszłam terapię. Ciężko pracowałam. Wyzdrowiałam, Arwen. Byłam dzieckiem. Miałam dwanaście lat. Byłam dezorientowana, źle się czułam i uległam urokowi pokrętnego młodego mężczyzny podobnego do Charlesa Mansona. Takiego Paula Bernardo. Gdybym nie poznała Vincenta Ellwooda, nic takiego by się nie wydarzyło. Jak powiedział sędzia, w tym kraju nie odrzucamy dzieci, nie wrzucamy ich do lochu. Ja jestem dowodem na to, że terapia może zadziałać. Mnie uratowała.

– Naprawdę? Naprawdę, Lily Bradley? A może po prostu bardzo sprytna z ciebie oszustka? Być może w zakładzie psychiatrycznym udoskonaliłaś swoją grę, nauczyłaś się, jak dawać wszystkim to, w co chcieli wierzyć. Przed procesem twoją inteligencję oceniono jako ponadprzeciętną, zdiagnozowano też zaburzenia zachowania i zaburzenia opozycyjno-buntownicze. To chyba dziecięca odmiana socjopatii?

– Gdy mnie zwalniano, psychiatra stwierdził, że jestem modelowym przykładem udanej resocjalizacji. Nie stanowiłam dla nikogo zagrożenia. Oceniono, że mam zerowy potencjał recydywy. Dlatego sama zajęłam się psychologią. Zobaczyłam, jak można pomagać ludziom. Jak ważne może być zdrowie psychiczne i pomoc. – Lily pochyła się, widząc niepewność w oczach Arwen.

– Próbowałam się dowiedzieć, co się z tobą stało, Chrissie. Arwen. Słyszałam, że twoja rodzina się przeprowadziła. Wiedziałam, że rodzice cię kochali. Wierzyłam, że otrzymałaś niezbędne leczenie...

– Pierdol się!

Lily mruga.

Arwen celuje w nią kieliszkiem.

– Kłamiesz. Nie obchodziło cię, co stało się z dziewczynką, choć w końcu dowiedziałaś się, że byłam pod łóżkiem. Nie masz, kurwa, pojęcia, przez co przeszłam i przez co przechodzę. Odebrałaś mi wszystko.

Lily z trudem przełyka ślinę, stara się nie patrzeć na drzwi.

– Przepraszam. Nie masz pojęcia, jak mi przykro. Powiedz mi. Powiedz, co się stało.

Arwen się waha.

– Och, nie myśl, że twoje terapeutyczne bzdury na mnie podziałają.

– Chcę się dowiedzieć, Arwen. Czy nie dlatego przyszłaś do mojego gabinetu? W przebraniu. Może nawet nie wiesz, czego tak naprawdę ode mnie chcesz, ale w głębi duszy pragniesz, żebym cię zobaczyła. Chcesz spojrzeć mi w oczy. Jak w rozbite lustro. Chcesz stanąć twarzą w twarz z osobą, która w dniu, kiedy przyniosłaś nam ciasto bezowe, została złączona z całym twoim życiem niczym jego mroczna połowa.

Wargi Arwen zaczynają drżeć. Jej oczy błyszczą z przejęcia.

– Proszę, powiedz mi. Co się z tobą działo po tamtym dniu?

Arwen wstaje, spaceruje, pije, spaceruje. Deszcz dudni w szybę. Lily czuje, że czas płynie. Ta kobieta to bomba, która zaraz wybuchnie i wysadzi w powietrze jej życie. Musi zrobić wszystko, co w jej mocy, by ją rozbroić i ograniczyć potencjalne szkody. Każdy sposób jest dobry. Phoebe, Matthew, Tom – nikt nie może się dowiedzieć, że była kiedyś Sophie.

Arwen w końcu siada naprzeciwko Lily.

– Moi rodzice zdecydowali o przeprowadzce naszej rodziny, tego, co z niej zostało, do Ontario. Do nowego, małego miasteczka, w którym mogliśmy zacząć żyć od nowa. Mieli nadzieję, że w nowym miejscu zacznę mówić. Uważali, że to błogosławieństwo, że nie pamiętam tego, co się stało. Chcieli, by tak pozostało. Trzymali mnie z dala od procesów, wiadomości. Postanowili nazywać mnie moim drugim imieniem, Arwen, żeby wszystko było nowe. Zaczęłam znów mówić dzięki pomocy specjalistów. Ale nie odzyskałam wspomnień tamtego krwawego dnia. Stało się to dużo, dużo później. Kiedy urodziłam Joego. Obie wiemy, jak jest z traumą: umysł ją blokuje, ale ciało nigdy nie zapomina, prawda, Lily? Ono zawsze pamięta. W końcu wszystko wycieka w dysfunkcyjny sposób. Przejawia się

w zachowaniach takich jak autodestrukcyjne uzależnienie od seksu – tak, ta część Paisley jest prawdziwa. Jak nadużywanie rozmaitych substancji, zachowania psychotyczne. – Waha się. – I próby samobójcze. – Wypija większy łyk ze swojej szklanki. Wiatr na zewnątrz wieje mocniej, a na dach spada coraz więcej kamieni.

Wzrok Lily wędruje do blizn na nadgarstkach kobiety. Ona cierpi. A wszystkiemu winna jest Lily.

– Kiedy Joe miał sześć lat, poszłam obejrzeć horror – opowiada Arwen. – Była w nim scena brutalnego dźgnięcia nożem. Wpadłam w panikę. Zupełnie odleciałam, ta scena wywołała epizod psychotyczny. Nie wiedziałam dlaczego. Wiem tylko, że policja zgarnęła mnie trzy przecznice za kinem. Szalałam, raniłam się rozbitym szkłem, wylądowałam w szpitalu. Robiłam sobie krzywdę, rozbijałam okna, miałam halucynacje, w których broniłam się przed ludźmi próbującymi poderżnąć gardło mnie i mojemu dziecku. Skierowano mnie do zakładu psychiatrycznego, zdiagnozowano i leczono zaburzenia schizoafektywne. Joe trafił do tymczasowej rodziny zastępczej. Stał się moją siłą napędową. Miałam szczęście, jeśli można to nazwać szczęściem, że trafiłam na lekarza, który stwierdził, że moim problemem może być zespół stresu pourazowego, a nie zaburzenia schizoafektywne, i że został on wywołany krwawą sceną w filmie. Pracował ze mną, a ja w tym samym czasie odbyłam rozmowę z matką. Opowiedziała mi o mojej przeszłości i o tym, co się stało z Harrisonem, moim młodszym bratem. Nie czytałam nic na temat morderstw z Glennem Dennig z 1989 roku. Nikt mi nie powiedział, że tam mieszkałam. Powiedziano mi tylko, że miałam młodszego brata, który zmarł z powodu choroby. Kiedy już dowiedziałam się, co się stało, powoli odzyskiwałam pamięć i w końcu zaczęłam polować na ciebie, Sophie. – Pochyla się, a jej rysy nagle się wyostają, minę ma zaciętą, ale zachowuje spokój. – Widziałam – mówi. – Widziałam spod łóżka, co się wydarzyło po drugiej stronie korytarza, w sypialni Danny’ego. Myślałaś, że wiecie o tym tylko ty i Vincent. Myliłaś się. Wiemy o tym ty i ja. Vincent zmarł w więzieniu i my jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą, co wydarzyło się w tym pokoju.

¶ Paul Bernardo to kanadyjski seryjny morderca i gwałciciel. W dokonywaniu przestępstw pomagała mu żona, Karla Homolka. Jedną z ofiar była jej siostra.

Porwanie

HISTORIA KRYMINALNA

Vincent Ellwood i Sophie McNeill byli sądzeni oddzielnie.

Sophie podczas procesu nie potrafiła okazać skruchy ani emocji. Sytuacji dziewczynki nie poprawiły zeznania jej gotyckich przyjaciół. Wszyscy uważali, że Vincent ją kocha i zrobi dla niej wszystko. Dwóch szkolnych kolegów twierdziło, że słyszeli, jak Sophie wspominała, że nienawidzi swojego młodszego brata i chce śmierci swoich rodziców. Przyjaciele Vincenta zeznali, że poprosiła go o zabicie jej rodziny.

Ława przysięgłych doznała szoku z powodu drastycznych, krwawych zdjęć z miejsca zbrodni. Nikt ich nie ostrzegł przed ich pokazaniem. Obrady ławy przysięgłych trwały tylko cztery godziny. Wrócili z werdyktem: winni czterech zarzutów morderstwa pierwszego stopnia. Sophie McNeill stała się najmłodszą osobą skazaną w Kanadzie za wielokrotne zabójstwo.

Dziecko w Kanadzie może otrzymać maksymalny wyrok sześciu lat pozbawienia wolności oraz dodatkowo cztery lata warunkowego dozoru kuratora społecznego. Ponieważ u Sophie zdiagnozowano zaburzenia zachowania i zaburzenia opozycyjno-buntownicze, kwalifikowała się do odbycia kary pozbawienia wolności w ramach programu Intensywnej Opieki Rehabilitacyjnej i Superwizji (IRCS), skierowanego do młodych osób winnych brutalnych przestępstw, u których zdiagnozowano zaburzenia psychiczne lub emocjonalne.

Sophie McNeill odbyła wyrok, zanim skończyła osiemnaście lat. Podczas rozmowy poprzedzającej zwolnienie stwierdzono, że jest modelowym przykładem udanej resocjalizacji. W wieku dwudziestu dwóch lat, ponieważ nie popełniła już żadnego przestępstwa, jej kartoteka została usunięta. A ponieważ kanadyjska ustawa o wymiarze sprawiedliwości w sprawach karnych dla nieletnich chroni przestępców poniżej osiemnastego roku życia poprzez zapewnienie anonimowości, w kraju nie można legalnie opublikować nic, co mogłoby umożliwić identyfikację młodego przestępcy – nawet nazwiska członka rodziny.

Jak powiedział jeden z ekspertów prawnych z Calgary, gdy wypuszczano na wolność Sophie McNeill, lub S.M., jak nazywano ją w mediach: „może ona zniknąć. Nie będzie musiała ujawniać niczego na temat swojej przeszłości, chyba że zdecyduje inaczej. Nie będzie miała ograniczeń w pracy z nieletnimi. Będzie mogła swobodnie wykonywać zawody zaufania publicznego i zostać, kim zechce – nauczycielką, prawniczką, pielęgniarką lub nianią”. A nawet terapeutką.

Tak jak doktor Lily Bradley.

Vincent Ellwood został natomiast skazany na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego przez dwadzieścia pięć lat.

Podczas procesu okazało się, że się ciął. Nie po rękach, ale po udach, które mógł ukrywać przed ludźmi. Raz nawet dźgnął się w nogę. Miał dwadzieścia trzy lata i nie mógł utrzymać się w żadnej pracy. Był upośledzony intelektualnie, mieszkał z matką alkoholizką w przyczepie po „złej stronie torów”, jako dziecko był maltretowany przez kolejnych pijanych facetów matki i poważnie nękanym w szkole. Jego ulubionym filmem był horror o zastraszanym chłopcu, który w ramach zemsty zabił i poćwiartował swoich dręczycieli. Vincent chciał tylko być kochany. Szanowany. Przynależać. Tłum gotów w centrum handlowym uważał go za świetnego kompana. Ubierał się jak oni, chodził z nimi na punkowe i gotyckie koncerty w całym mieście. Wyglądał zniewalająco ze swoimi bladoniebieskimi oczami podkreślonymi czarnym makijażem. Młode dziewczyny uważały, że jest zabawny, miły, cudowny, hiper i cool. Kiedy w centrum handlowym poznał młodą i piękną gotkę Sophie McNeill, a ona się w nim zakochała, przepadł. Jak twierdzili jego przyjaciele, zrobiliby wszystko, by jej nie stracić.

Po ogłoszeniu wyroku przyjaciółka Delli McNeill powiedziała dziennikarzom: „Sophie dojrzała zbyt szybko. Stało się to praktycznie z dnia na dzień, kiedy miała jedenaście lat. Urosły jej piersi, zmienił się umysł. Nabrała cech seksualnych. Została odsunięta od innych dziewcząt w klasie. Vincent teoretycznie był dwudziestotrzyletnim mężczyzną, ale intelektualnie było mu bliżej do dojrzewającego nastolatka. Miał wszystkie cechy osoby obciążonej alkoholowym zespołem płodowym. Sophie i Vincent spotkali się w połowie drogi i zrodziła się między nimi osobliwa psychologiczna chemia.

To było jak prawdziwa burza psychologiczna. Jestem przekonana, że gdyby Sophie nie poznała Vincenta, jej rodzina żyłaby do dziś. Czy Sophie stałaby się socjopatką? Nie wiem. Nowe badania dowodzą, że z mózgiem nastolatków, zwłaszcza młodych dziewcząt, które dojrzewają zbyt szybko, dzieją się dziwne rzeczy. Czy to możliwe, że w pełni się zresocjalizowała? Nie wiem. Zawsze była bystra. Wie, jak się dostosować, by odnieść korzyść”.

Policja była pewna, że Sophie została porwana. Tymczasem to ona jest porywaczem.

Odebrała życie mojemu młodszemu bratu. Odebrała życie mnie. Odebrała mi rodzinę, jaką znałam. Zabrała nawet i zjadła ciasto bezowe, które kupiła moja matka. Wszystko zabrała kobieta, która prowadzi teraz życie perfekcyjnej, uprzywilejowanej księżniczki w pięknej, zielonej dzielnicy. Kobieta, która nosi maskę. I jest chroniona przez prawo, które stanowi, że podawanie jej nazwiska w tym kraju jest nielegalne.

Ta kobieta, która teraz próbuje odkrywać sekrety swoich pacjentów, sama była pacjentką.

A ja znam jej sekret.

Jedna kwestia nie została rozstrzygnięta podczas procesów Sophie McNeill i Vincenta Ellwooda.

Żadne z nich nie przyznało się do zabicia małego Danny’ego McNeilla i Harrisona Whittakera.

Jedno z nich nie mówiło prawdy. I jedno już nie żyje.

Ale jest jeszcze ktoś, kto wie.

Lily

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

Lily wstaje. Z łomoczącym sercem podchodzi do okna z drinkiem w dłoni. Obserwuje deszcz i drzewa kołyszące się w burzy na skraju urwiska. Ocean tonie w chmurach. Nie widać go. Lily się boi.

– Jak mnie znalazłaś?

– Poznałam pacjentkę, która przebywała z tobą w Zakładzie Margot Javinski. Natknęła się na ciebie wiele lat po twoim zwolnieniu. Rozpoznała cię na ulicy i zawołała: Sophie! Zignorowałaś ją. Ale ona nie odpuszczała i w końcu się obróciłaś i poinformowałaś ją, że jesteś Lily Marsh i że cię z kimś myli. Ale ona spojrzała ci w oczy. Ona wiedziała. Poczula się zraniona z powodu odrzucenia, ponieważ w zakładzie się sobie zwierzałyście. Podejrzewam, że po tym zdarzeniu zaczęłaś farbować włosy i zmieniłaś fryzurę. – Arwen milknie na chwilę. – Ta pacjentka powiedziała mi też, że w instytucie byłaś pod opieką doktor Deirdre Carr. Próbowałam ją odnaleźć, ale dowiedziałam się, że już nie żyje. Dotarłam jednak do informacji, że mieszkała z partnerem, swoim stażystą, w czasie, gdy leczyła cię w zakładzie. – Arwen uśmiecha się chytrze. – I to on mnie tu przyprowadził. Do Story Cove.

Lily wpatruje się w Arwen. Serce jej łomocze. Czuje, że zbliża się do punktu krytycznego, że może przestać nad sobą panować.

– Co... co masz na myśli?

– Nazywa się Tom Bradley. Wykłada psychopatologię na Uniwersytecie Kordela. – Uśmiecha się szerzej. – Najwyraźniej on i jego nieżyjąca już partnerka, doktor Carr, dzielili intelektualną pasję: fascynację pokrętnymi umysłami.

Lily słucha z rozdziawionymi ustami. Nic nie rozumie. Czuje, że zwoje mózgowie jej się przegrzewają.

– Masz urojenia. Tom nie ma z tym nic wspólnego i nie możesz mu o niczym powiedzieć. Nie możesz powiedzieć mojemu mężowi, kim jestem

i co zrobiłam. Phoebe i Matthew też nie mogą się dowiedzieć. Proszę. Błagam cię. To ich zniszczy. Zniszczy wszystko.

– Ale ja właśnie tego chcę, Lily. Zniszczyć wszystko.

– Tom jest...

– Myślisz, że go znasz? – Prycha. – Myślisz, że można naprawdę znać swojego partnera? Przez cały czas wiedział, kim jesteś, Sophie. Jesteś „modelowym dzieckiem”, jak powiedział sędzia, jego nieżyjącej partnerki. Ty, Sophie-Lily, jesteś spaczoną, diabelską żoną Toma Bradleya w szalce Petriego. Przez cały ten czas prowadził akademickie obserwacje twojego przypadku.

Krew odpływa z głowy Lily. Jej ciałem wstrząsają potężne dreszcze.

– Mam rozumieć, że Tom ci o tym nie powiedział? Nie wspomniał, że genialna specjalistka psychiatrii z Zakładu Margot Javinski jest jego partnerką... Ojej, co za przeoczenie...

– Przestań! – Lily ciska kieliszkiem w twarz Arwen.

Ta się uchyła. Szklanka rozbija się o ścianę, a po pokoju rozbryzgują się szkło, gin, lód i cytryna. Lily, oślepią wściekłością, strachem i dezorientacją, rzuca się na kobietę, jej dłonie zmierzają do wytatuowanej szyi.

Ktoś łapie ją od tyłu.

– Lily! – krzyczy Tom.

Lily odwraca się, dysząc, a Arwen zadaje jej cios. Tom staje z przodu, by chronić żonę, a wtedy paznokcie Arwen wbijają się w skórę na jego szyi.

Lily, trzęsąc się jak osika, wpatruje się w krew na szyi męża. Nie jest w stanie trzeźwo myśleć.

– Arwen, przestań. Natychmiast – żąda Tom.

Arwen drżącą dłonią wyciera usta. Zostaje na niej smuga śliny. Jej oczy są szkliste, dzikie.

– To prawda, Tom? – pyta kategorycznie Lily. – Doktor Carr... Ty... wiedziałeś?

Tom chwytą dłoń Lily w żelazny uścisk. Zaciska zęby, oczy ma rozwścieczone.

– Idziemy do domu – oznajmia szorstkim tonem. – Porozmawiamy w domu.

Lily ogarnia rozpacz. Walczy z jego uściskiem, który się jeszcze zacieśnia. Tom celuje palec w twarz Arwen.

– Trzymaj gębę na kłódkę. Z tobą porozmawiam później. Dogadamy się. Jeśli chcesz pieniędzy, to...

– Myślisz, że zdołasz mnie uciszyć? Kurwa, nie macie o niczym pojęcia! Nie chcę twoich pieniędzy. Chcę zostać zauważona. Chcę opowiedzieć swoją historię. Ty otrzymałaś pomoc, Lily. Miałaś po swojej stronie sprawiedliwość i prawo, a co ja dostałam? Nic. Co dostał mój syn? Matkę chorą na głowę, która nie potrafiła nawet pokochać jego ojca. Co dostała moja matka? Musiała oplakiwać swojego synka. Do śmierci dźwigała poczucie winy. Przez to, że pozwoliła Harrisonowi u was nocować i że poprosiła mnie, żebym zniosła wam ciasto bezowe, przez to, że odebrała telefon od Delli McNeill, która dziękując za ciasto, zasugerowała, żeby jej córka również u nich została i obejrzała film. Dostała męża, który topił swój ból w alkoholu, aż w końcu od niego umarł. A ty? Ty... Ty, kurwa, wyszłaś za partnera swojej lekarki, który ma kasę. Mieszkasz sobie w Story Cove, w pieprzonym domu w kolorze bakłazana z zielonym wykończeniem.

– Proszę – odzywa się Lily błagalnym tonem, zawodząc i rozpaczając. – Proszę cię ze względu na moje dzieci i na twojego syna, nie rób tego, Arwen. Proszę.

– Pierdol się – krzyczy Arwen, celując palcem w twarz Lily. – Pierdol się, suko.

Do domku przy basenie wchodzi Simon.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery...

– Nic – odpowiada obcesowo Tom. – Skończyliśmy. Wszystko jest w porządku. Muszę zabrać Lily do domu. Po dzieci przyjdę później, możesz mieć na nie oko?

Simon przygląda się Lily, później Tomowi, a na jego twarzy pojawia się dziwna mina. – Jasne, stary. Wszystko w porządku?

– Porozmawiamy później. Przepraszam za stłuczone szkło.

Tom rzuca ostatnie ostrzegawcze spojrzenie Arwen, po czym wyprowadza Lily na ulewę. Obejmuje ją mocno ramieniem i w szalejącej burzy prowadzi ulicą.

Joe cofa się w cień za ogrodowym kominkiem. Serce wali mu jak młotem. Wszystko słyszał. Przeczytał wszystko, co napisała na ten temat jego matka.

Czeka, aż Lily i Tom Bradley wyjdą. Przyszedł szukać matki, Phoebe zostawił w pokoju zabaw z innymi dziećmi. Mieli zamiar później wykraść się do lasu. Phoebe zostawiła u niego torbę z wódką, czapką, czołówką i wodoodpornym prześcieradłem, na którym mogli siedzieć. Albo też pod.

Ale z matką znów są kłopoty. Jest pijana. I niszczy rodziców Phoebe. Całą jej rodzinę.

Joe nie wie, co robić. Bez ruchu stoi w cieniu kominka. Ze swojego miejsca widzi, co się dzieje w środku.

Pan Cody nalewa matce kolejnego drinka. Ona wypija go jednym haustem. Cody nalewa kolejnego. Podając jej drinka, pochyla się, by pocałować matkę Joego.

Joe w strugach deszczu biegnie przez trawnik do głównego domu po Phoebe. Widzi na patio Matthew i przychodzi mu do głowy pomysł.

– Co jest? – pyta Matthew.

– Nic, kolego. Nic. Twój tata właśnie zabiera mamę do domu, bo mama źle się czuje. Wróci po was później. Możesz powiedzieć Phoebe, że muszę wracać do domu? Zrobisz to, stary?

Matthew kiwa głową.

Joe idzie do furtki.

Matthew stoi na patio i spogląda w stronę basenu, a Joe idzie do domu. Leje deszcz, drzewa w pobliskim lesie szumią na wietrze.

Lily

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

Lily i Toma wpycha do domu podmuch przesiąkniętego deszczem wiatru. Oboje są przemoczeni.

Lily odwraca się do męża. Jego włosy są przyklejone do głowy, podobnie jak jej. Wpatruje się w niego. Z takimi włosami w ostrym świetle korytarza wygląda o wiele starzej. W ich życiu pojawiła się nowa perspektywa, która wszystko zniekształciła. Wszystko jest teraz niespójne, pozbawione równowagi. Lily żyła z tym mężczyzną przez czternaście lat i prawdopodobnie zakochała się w nim w dniu, w którym po raz pierwszy wysłuchiwała jego prelekcji, a potem, podczas kolacji, zakochała się w nim jeszcze bardziej... I to wszystko było kłamstwem?

– Wiedziałeś, Tom? – Jej głos jest zachrypnięty. – Kiedy mnie poznałeś? Pierwszego dnia, wiedziałeś wtedy? Na konferencji w Ottawie, kiedy przyszłam ci zadać pytanie jako profesorowi?

Odwraca wzrok.

Jej serce dudni jeszcze mocniej.

– Skąd wiedziałeś?

Tom ze ściśniętym gardłem mówi cicho, nie patrząc jej w oczy.

– Zanim Dee zmarła w 2000 roku... – Waha się. – Lily, trzęsiesz się, proszę cię, przebierz się w coś ciepłego.

– Dee? Doktor Deirdre Carr? Mieszkaliście razem? Jak mogłeś to przemilczeć?

– Idę napalić w kominku. Należę nam whisky. Przebierz się w suche ubranie. Musimy porozmawiać.

Jej oczy wypełniają się łzami.

– Porozmawiamy, Lily, a potem przyprowadzę dzieci do domu. Najpierw musimy to sobie wyjaśnić, dobrze? Powiedziałaś, że musimy chronić dzieci.

On naprawdę wie, że ona jest S.M.? Wie wszystko, co wiedziała o niej doktor Carr? Jak mógł chcieć się z nią ożenić, mieć z nią dzieci, rodzinę, wiedząc, co zrobiła?

– Arwen nie może tego ujawnić, Tom. Nie możemy jej na to pozwolić. Co by się stało z Matthew i Phoebe, gdyby dowiedziały się o tym media? Co by się stało z twoją i moją pracą? Z nami wszystkimi? To byłby koniec.

– Idź na górę. Szybko. Przebierz się w coś ciepłego. – Dotyka jej twarzy. – Musisz uwierzyć w jedną i tylko jedną rzecz. Kocham cię.

– Jesteś chorym skurwielem. Żyłeś ze mną przez cały ten czas. Dlaczego? Chciałeś jakiejś spaczonyj ekscytacji? Dreszczyku emocji dla nienormalnego profesora psychologii? Jego żona to „szalka Petriego”, jak nazwała mnie Arwen? To jakiś projekt twojej partnerki, który możesz studiować w czasie rzeczywistym?

Tom odwraca się do niej plecami i po drodze do pralni zdejmuje koszulę.

Kiedy Lily wraca na dół, Tom siedzi przy kominku. Na stole stoją dwie szklaneczki whisky. Tom wskazuje miejsce obok siebie. Lily wybiera fotel naprzeciwko.

– Dee, Deirdre, była trzy lata starsza ode mnie. Miała czterdzieści jeden lat, kiedy zeszła z tego świata i... była dla mnie wszystkim, Lily. Mentorką, kochanką, przyjaciółką. Moją powiernicą.

– A jednak nigdy o niej nie mówiłeś. Powiedziałaś mi tylko, że byłeś w długich związkach, a jeden zakończył się jakiś czas przed tym, zanim mnie poznałeś.

– Przepraszam. Z Dee i ze mną było... bardziej prywatnie.

– Prywatnie?

Pochyliła się, świdruje ją wzrokiem.

– Była genialnym psychiatrą. Wcześniej skończyła studia, należała do nowatorskiego zespołu w Zakładzie Javinski. To ona naciskała w twojej sprawie, broniła cię, Lily. Kiedy byłaś Sophie, albo S.M., jak miały obowiązek nazywać cię media. Kiedy sąd w końcu pozwolił ci na pełną reintegrację ze społeczeństwem i zostałaś uznana za wzór resocjalizacji – to było dzieło Dee i jej zespołu. Jej marzenie. Udowodnić, że rehabilitację można przeprowadzić skutecznie. Kiedy napisałaś do niej z podziękowaniami i poinformowałaś, że zmieniłaś nazwisko i że zamierzasz zająć się zdrowiem psychicznym, aby pomagać innym tak, jak ona pomogła tobie, rozplakała się. Powiedziała mi, że twój sukces sprawił, że jej życie – krótkie, jak się okazało – było warte wysiłków.

– Co robiłaś, kiedy przebywałam w zakładzie?

– Uczyłem. W szkole, niedaleko.

Lily zamyka oczy. Ciężar oszustwa wydaje się nie do udźwignięcia. Nie mieści jej się to w głowie.

– Wiedziałaś, że jestem popapranym dzieciakiem. Wiedziałaś, że twoja partnerka mnie leczy. I nic nie powiedziałaś, kiedy spotkałaś mnie po latach?

– Kiedy Dee zmarła i przeglądałem jej rzeczy, znalazłem list, który do niej napisałaś. Podpisałaś go swoim nowym imieniem i poprosiłaś ją o dochowanie tajemnicy. Kilka lat później, kiedy podeszłaś do mnie na konferencji i zobaczyłem twoją plakietkę z nazwiskiem Lily Marsh, uznałem, że to przeznaczenie. Poczułem się tak, jakby Dee nagle znalazła się z nami w pokoju, jakby jej duch nagle ożył i migotał nad nami, dwojgiem jej ludzi, i czułem, że jej duch jest dumny i zaciekawiony. To było jak jej niewidzialne, prowadzące ręce, jedna za twoimi plecami, druga za moimi, delikatnie popychające nas ku sobie. Na pewno rozumiesz, że byłem zaintrygowany, chciałem dowiedzieć się o tobie czegoś więcej? Jak mogłoby być inaczej? Byłem niezmiernie ciekawy, jak sobie radzisz, co pozostało w tobie z dawnej Sophie. Jak mógłbym nie zaprosić cię na kolację, Lily? Byłaś dla mnie kimś ważnym. Zakochałem się w tobie. Bardzo.

– Zauroczyłaś się projektem doktor Carr. Nie mną. Postrzegałaś mnie jako swego rodzaju substytut, coś, co przybliżało jej pamięć. Arwen ma rację. Jestem żoną z szalki Petriego. Eksperymentem twojej byleży. Wariatką, która zamordowała swoją rodzinę... I robiła rzeczy, których sama nie potrafi pojąć. Rzeczy, które próbowałam ukryć, a teraz nie mogę. Tom, jak... jak miałabym traktować moje dzieci, jeśli się dowiedzą? Jak miałyby mnie szanować i kochać?

– Nadal jesteś Lily. Nic się nie zmieniło.

Oczy Lily wypełniają się łzami. Zalewa ją wstyd, obrzydzenie i nienawiść do samej siebie.

– Wszystko się zmieniło. Nie mogę już być Lily. A już na pewno nie mogę ci ufać. Jesteś skurwielem tak samo pokreconym jak ja.

– Jesteśmy tylko ludźmi. Złożonymi, skomplikowanymi istotami. Każdy człowiek jest zdolny do najbardziej ohydnych rzeczy, jeśli zaistnieją odpowiednie okoliczności, jeśli towarzyszy mu odpowiednia narracja. Nie jestem naiwny, ty też nie. Oboje wiemy, że to prawda.

Lily ma ściśnięte gardło.

Tom wstaje i próbuje ją objąć.

– Nie... – szepcze Lily. – Nie dotykaj mnie. Jak mogłeś mnie okłamać? Zdradzić mnie, oszukać w ten sposób? Nasze małżeństwo, całe nasze życie zostało zbudowane na kłamstwie. Jak mogłeś to przemilczeć? Dlaczego?

– A ty mi o sobie powiedziałaś?

– To co innego. Stałam się kimś innym. Nie mogłam wprowadzić tej innej istoty do małżeństwa. Do życia naszych niewinnych, czystych dzieci.

– To był mój punkt odniesienia. Kiedy się w tobie zakochałem, postanowiłem, że jeśli kiedyś zdecydujesz się wyznać mi, kim jesteś, ja wyznam wszystko tobie. Jesteśmy równi, Lily.

Lily odwraca głowę. Nie może patrzeć na męża. Jest skołowana. Znowu jest Sophie, ale też Lily. Nie potrafi się już odciąć od przeszłości i pozwolić jej odejść w niepamięć.

– Prawdę mówiąc, chciałem z tobą o tym wszystkim porozmawiać. Ale bałem się właśnie tego, co teraz czujesz. Bałem się, że zrezygnujesz z siebie i ze mnie. Że widmo Sophie okaże się dla nas destrukcyjne i że się wycofasz. Widzisz, piękno ustawy o wymiarze sprawiedliwości dla nieletnich polega na tym, że pozwala ona młodym ludziom pozbyć się etykiety przestępcy. Mogą pogrzebać swoją przeszłość i budować na nowo. A społeczeństwo, zgodnie z prawem, musi im na to pozwolić. Nie chciałem cię ujawniać, o ile nie zrobisz tego sama. Chciałem, żebyś była dowodem, że to prawo działa. Że jest słuszne i sprawiedliwe. Że nie powinniśmy skreślać dzieci z problemami i że zły dzieciak może stać się wartościowym członkiem społeczeństwa.

– A co z Arwen? Jej nikt nie pomógł.

W oczach Toma pojawia się srogi wyraz, zaczyna spowijać go ciemność.

– Można było jej pomóc, Lily. Gdyby jej rodzice postarali się o odpowiednie leczenie.

– Ale oni też zostali zniszczeni. Przeze mnie i Vincenta, przez to, co zrobiliśmy. Jestem zmorą.

– Lily, kocham cię bezgranicznie. Musisz to zrozumieć. Przede mną nie masz nic do ukrycia.

– Ale pieprzyłeś Arwen. Widziałam zdjęcia, które zrobił Simon. Hannah mi pokazała.

Tom bierze głęboki wdech i wraca na swoje miejsce. Wypija duży łyk whisky, płomień kominka migoczą w szklance.

– Nie spałem z nią.

– Widziałam zdjęcia, Tom.

– Arwen mnie namierzyła. Jest przebiegła i niebezpieczna, znała moje słabe punkty i już rozumiem, po co jej to było. Ale nie przespałem się z nią. Wstydę się swojej słabości, Lily. Bardzo mi przykro. Nie doszło do niczego więcej niż pocałunek. Nie było niczego ponad to, co widziałas na zdjęciach. Musisz pozwolić mi przeprosić, odpokutować.

Lily podnosi się z fotela, staje przed kominkiem i obejmuje się mocno. Nie wie, czy może mu wierzyć. Nie wie już, w co wierzyć i czemu ufać. Ale ona też jest winna oszustwa.

– Daj sobie czas, Lily. Przetrywamy to. Spokojnie. Wszystko. Proszę, dajmy sobie czas. Jesteś terapeutką, wiem, że potrafisz to zrozumieć. Nie rób niczego pochopnie.

– Co teraz, Tom? – pyta cicho Lily, stojąc twarzą do ognia. – Co teraz? Co z Arwen? Co z tajemnicami, które skrywa na nasz temat? Jak dzieci zniosłyby świadomość, że ich matka jest potworem?

– Znajdziemy wyjście, Lily. – Rozlega się grzmot, deszcz ponownie zaczyna smagać szyby. – Idę po dzieci. Ty się połóż i weź tabletkę, pomoże ci zasnąć. Lepiej, żeby dzieci nie widziały cię w takim stanie. Nic więcej teraz nie zrobimy, ale jakoś to rozwiążemy. Porozmawiamy z nią. Znajdziemy sposób.

Joe

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

Joe szaleje w domku, o który tak dba, kopie rozmaite przedmioty, przewraca je, przeczesuje dłońmi włosy. Chce zniszczyć wszystko w zasięgu wzroku. Picie matki, prochy, szalone „artystyczne” zachowanie – znalazł sposób, aby z tym żyć, aby sobie to wszystko poukładać. Ale z tym, co matka próbuje zrobić Phoebe i jej rodzinie... Joe nie wie, co myśleć, co robić.

Z internetu dowiedział się, że dziewczyna z Medicine Hat znana jako S.M. odsiedziała swoje, a jej chłopak zmarł w więzieniu. Spłaciła swój dług wobec społeczeństwa zgodnie z obowiązującym prawem. Przeszła rehabilitacyjne leczenie psychiatryczne i stopniowo powróciła do społeczeństwa. Z rękopisu swojej matki wie, że S.M. jest matką Phoebe. Wie, że S.M. wiele trudu włożyła w to, aby zdobyć dyplom uniwersytecki. Mama Phoebe stara się odpokutować, pomagając innym osobom z problemami psychicznymi. Z tego, co Joe wie, jest teraz dobrym człowiekiem. Wydała na świat dwójkę uroczych dzieci. Stworzyła ładny dom. Daje z siebie wszystko, nawet jeśli Phoebe tego nie widzi. Joe widział zdjęcia na ścianie. Rodzinne wakacje, to, że pani Bradley martwi się pustą butelką po wódce znalezionej u córki. Martwi się, że jej córka spotyka się ze starszym chłopakiem. Joe wie dlaczego. To sprawa osobista. Pani Bradley boi się, że przeszłość się powtórzy. Joe wie też, co faceci w jego wieku robią z dziewczynami.

Fakt, to niesprawiedliwe, że jego matka cierpiała. Ale niesprawiedliwe jest też to, żeby teraz cierpiała Phoebe. Byłaby zdruzgotana, gdyby dowiedziała się o tym całym gównie.

Słyszysz w głowie rozpaczliwe słowa pani Bradley.

Proszę cię ze względu na moje dzieci i na twojego syna, nie rób tego, Arwen. Proszę.

Proszę. Możemy się dogadać. Joe zakrywa dłońmi uszy.

Jego matka nie ochroni dzieci Bradleyów. Nie potrafi nawet ochronić własnego syna. To, że Joe jest w pewnym sensie normalny, jest czystym

przypadkiem i łaską Boga. Jego matka zniszczy te dzieci. Ona potrzebuje pomocy. Trzeba ją powstrzymać. W takim stanie jest niebezpieczna.

Joe znajduje jedyny klucz do jej pracowni i śrubokręt.

Wchodzi do pracowni, w której panuje potworny bałagan, walają się puste butelki po alkoholu, i za pomocą śrubokręta wyłamuje zamek zabezpieczający tablicę korkową. Otwiera drzwiczki. Zrywa z tablicy wszystkie artykuły i zdjęcia. Wrzuca je do dużego, czarnego worka na śmieci. Przeszukuje szuflady matki i znajduje dyski z kopiami zapasowymi. Je również wrzuca do worka. Zgarnia wszystkie zeszyty i kartki papieru ze stołu i upycha je w torbie. Z laptopem i workiem wraca do domku.

Ciężko dysząc, działa szybko, zanim matka wróci do domu. Rozpala ogień w kominku. Garściami wrzuca do ognia kawałki papieru i zdjęcia z morderstwa z Glenn Dennig. Pot cieknie mu po twarzy, ogień trzaska, a wewnątrz domku wypełnia dym. Joe myśli o tych wszystkich okropnych słowach, które idą z dymem. Ten dym rozplywa się na wietrze i unosi wysoko ponad korony drzew, w niebo, gdzie trzaskają błyskawice i huczą grzmoty.

Papier zamienia się w ogniu w rozżarzony popiół, a Joe wrywa z zeszytów matki kolejne kartki, aż jego dłonie stają się szorstkie. Później wrzuca do kominka okładki zeszytów i obserwuje metalowe spirale, które zajmują się pomarańczowym żarem. Do ognia trafiają też dyski podręczne z kopiami zapasowymi. Zamyka drzwi do paleniska i obserwuje pomarańczową, pulsującą poświatę. Nie ma jednak czasu do stracenia.

Zanosi laptop matki do wiaty i rzuca go na betonową podłogę. Ze skrzynki z narzędziami w furgonetce wyciąga młotek i rozbija komputer na kawałki, dając upust frustracji, gniewowi i strachowi. Wiatr szumi w lesie, a deszcz leje się z dachu wiaty srebrną taflą. Joe widzi światła w domu Codych po drugiej stronie ulicy, gdzie jeszcze niedawno były kołyszące się lampiony, dym z grilla, śmiech i muzyka. Zanim uderzyła burza.

– Mój Boże! Joey!

Nieruchomieje z młotkiem w ręku.

Jego matka wpada do wiaty z przemoczonymi włosami i ubraniem.

Łzy palą go w oczy.

– Co ty wyprawiasz!

Joe bez słowa zbiera kawałki laptopa i wrzuca je do worka na śmieci. Zanosi go do domu. Matka biegnie w deszczu do swojej pracowni. Kilka chwil później wpada do domku, blada na twarzy, z rozszalałym wzrokiem.

Wpatruje się w ogień żarzący się jak piec hutniczy w gorącym, zadymionym wnętrzu.

– Joe?

Twarz chłopaka tężeje.

– Co ty zrobiłeś?

– Musisz przestać.

– Joey, co ty zrobiłeś? Co...

– Historia kryminalna. Ona ci nie da tego, czego potrzebujesz, mamó. Nie sprawi, że poczujesz się lepiej. Możemy się spakować i pojechać do domu. Choćby jutro. Pójdziesz do lekarza. Może skieruje cię do tamtego faceta z instytutu, który ci pomógł, kiedy byłem mały. Jest odpowiednie leczenie, musisz tylko pozwolić sobie pomóc. Przeczytałem wszystkie twoje notatki. Wiem, jakie załamanie przeżyłaś, kiedy miałem sześć lat. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego nagle trafiłem do jakiejś rodziny zastępczej.

– Nic nie rozumiesz, Joey... Ty... – Do oczu matki napływają łzy. Patrzy w ogień, zrozpaczona.

– Kopie zapasowe też zniszczyłem.

Matka osuwa się na krzesło, wzrok ma pusty.

– Wiem, co pani Bradley zrobiła ci, kiedy byliście małe. To nie twoja wina. Ale wciąganie w to dzieci Bradleyów nie sprawi, że będzie ci lepiej.

– Joe, to miał być nasz przełom...

– Dość! – krzyczy Joe.

Matka wzdyga się, zszokowana jego tonem.

– Dość – powtarza łagodniej. – Łudzisz się. – Wskazuje palcem domek przy basenie Codych. – Poczuaś się lepiej po konfrontacji z nią? Szczerze?

Matka pociera mokrą twarz.

– Wcale nie, prawda?

– Na to liczyłam, Joey. Myślałam, że poczuję potężną rozkosz, kiedy będę się przyglądać jej upadkowi. Myślałam, że coś odzyskam, jeśli uda mi się sprawić, że mnie zobaczy, dostrzeże moją ranę. Jeśli znów spojrzę jej w oczy i... – Milknie. Siedzi, wpatrując się w niego oczami szklistymi od alkoholu i narkotyków. Joe przyzwyczaił się do takiego wyrazu twarzy matki. Nienawidzi tego, co ona robi sobie i im obojgu.

– Chciałam, żeby się przyznała. Żeby spojrzała mi w oczy i powiedziała „przepraszam”.

– I co dalej?

– Potem opisałabym naszą konfrontację, cios po ciosie. Taka książka by się sprzedawała, Joey. To byłaby historia opowiedziana własnym głosem. Moja opowieść. Opowieść ofiary. Tej, która uciekła, a jednak nie zdołała uciec. Opowieść z mojego punktu widzenia, o którym zapomniano. Zyskalibyśmy coś na tej zbrodni, na spustoszeniu, którego dokonała.

Joe wpatruje się w matkę długo i intensywnie.

– Musisz z tym skończyć, mamó. Dla dzieci Bradleyów. Dla mnie. Jestem twoim dzieckiem. Proszę cię, proszę. Zrób to dla mnie.

Matka patrzy na niego przez chwilę, która zdaje mu się wiecznością. Ogień trzaska, w domku robi się gorąco.

– Jesteś jak twój ojciec. Zadufany w sobie.

Joe nieruchomieje. Nie ma odwagi poruszyć nawet mięśniami, żeby przypadkiem nie przestała mówić.

– Z wiekiem... robisz się coraz bardziej... do niego podobny. Kochałam go, wiesz? Naprawdę, bardzo mocno. Dlatego tak się bałam. – Ukrywa twarz w dłoniach i się kołysze. – Przegoniłam go, żeby nie mógł mnie rzucić. Jakby wszystkie dobre rzeczy w moim życiu były mi zawsze odbierane. Tak mi przykro, Joey. Jestem zniszczoną matką. Odebrałam ci nawet możliwość poznania twojego ojca. Kochałby cię, gdyby o tobie wiedział. Dbałby o nas... – Wybuch płaczem, który zamienia się w rozdzierający szloch. – Coś ty zrobił z moją pracą? Nie wiem, jak zacząć od nowa... Jestem porażką. Zawiodłam cię jako matka.

Joe ze ściśniętym gardłem wstaje i głaszcze mokre włosy matki.

– Mamó – szepcze. – Możesz być dobrą matką. Prawdziwymi bohaterami są ci, którzy zdobywają się na odwagę w obliczu najgorszych przeciwności losu. Możesz to wszystko powstrzymać. Chodź, odprowadzę cię do pracowni. Powinnaś się przespać. Musisz się położyć.

Joe obejmuje matkę ramieniem i pomaga jej wrócić do pracowni. Zrzuca z jej łóżka stosy brudnych ubrań i odsuwa kołdrę. Matka się kładzie.

Joe ją przykrywa. Gasi światło, zostawia włączoną różowo-pomarańczową lampę z soli himalajskiej. Waha się, spogląda na przerażające obrazy matki, ma wrażenie, że go obserwują. Oceniają. Jest zdezorientowany. Bezbronny.

Pochyla się i całuje matkę w wilgotne włosy.

– Kocham cię, mamó. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Kręgi na wodzie

TERAZ

Lily się budzi. Tom śpi spokojnie. Obserwuje go przez chwilę. Za oknem nadal szaleje burza.

Widziałam spod łóżka, co się wydarzyło po drugiej stronie korytarza, w sypialni Danny'ego. Myślałaś, że wiecie o tym tylko ty i Vincent. Myliłaś się. Wiemy o tym ty i ja. Vincent zmarł w więzieniu i my jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą, co wydarzyło się w tym pokoju.

W ciemności rozlega się grzmot, ale Tom ani drgnie. Lily odrzuca kołdrę, wstaje z łóżka i po cichu schodzi na dół.

W pralni znajduje ubrania. Nie chciała otwierać szaf na górze, więc ze stosów świeżego prania wybiera to, czego potrzebuje. Zakłada legginsy, koszulkę, skarpetki.

W szafie w przedpokoju znajduje latarkę, czapkę Toma, kurtkę przeciwdeszczową i buty do biegania.

Ostrożnie otwiera frontowe drzwi. Deszcz dudni i kapie. Lily nasłuchuje odgłosów członków rodziny. Jej ukochanych. Oni są najważniejsi.

Zamyka drzwi do swojego domu w kolorze bakłażana z zielonym wykończeniem i wychodzi na deszcz.

Na rogu włącza latarkę. W jej świetle deszcz lśni srebrzyście.

Lily spogląda przez ramię. Nic się nie porusza. Światła są pogaszone.

Rusza w stronę domku na końcu Oak End.

Joe nie może zasnąć. W telefonie wyszukuje historie na temat S.M. – „kanadyjskiej Mary Bell”**, która zabiła młodszego brata. Zastanawia się, czy jego matka naprawdę widziała, co wydarzyło się w pokoju chłopca, czy też kłamała, by namieszać w głowie pani Bradley. Zastanawia się, czy jego mama obudzi się z jaśniejszym umysłem, czy też całkowicie postrada zmysły. A może po prostu wszystko odkopie i zacznie od nowa? Czy skutki tego okropnego i bezgranicznie tragicznego dnia w Glenn Dennig kiedykolwiek złagodnieją, czy będą prześladować ich wszystkich przez pokolenia, aż zostaną zniszczeni, jedno po drugim, na różne sposoby? Klika na artykuł zatytułowany *Czy S.M. ponownie popełni przestępstwo?*

Ekspertcy są podzieleni co do tego, czy S.M. została w pełni zresocjalizowana i będzie w stanie rozpocząć nowe życie.

„Mamy młodą kobietę, u której w wieku dwunastu lat zdiagnozowano zaburzenia opozycyjno-buntownicze i zaburzenia zachowania – są to dwa bardzo poważne zaburzenia”, powiedział Ash Weldon, wykładowca prawa karnego na Uniwersytecie Alberty, autor książki *Dzieci, które zabijają*. „Czy to możliwe, że ona może się zmienić? Oczywiście, ale do końca tego nie wiemy. Każdy przypadek jest wyjątkowy i tylko czas pokaże, jaki okaże się ten konkretny. Plusem jest to, że S.M. była tak młoda w czasie popełniania przestępstwa. Daje jej to większą szansę na wyzdrowienie. Widać, że poczyniła postępy w nauce i terapii, a jej prawnicy twierdzą, że ma wyrzuty sumienia. To dobrze rokuje”.

Joe zwraca uwagę na komentarze pod artykułem.

J Balboa: S.M. miała skłonności psychopatyczne. U psychopatów rehabilitacja nie jest skuteczna. Domyślam się, że S.M. lata w zakładzie psychiatrycznym poświęciła na doskonalenie się w oszustwach i dawaniu d... Opiekunowie zostali oszukani. Psychopaci potrafią oszukać każdego. Ktoś musi poznać jej nazwisko i podać je do publicznej wiadomości. Nie zniósłbym myśli, że ktoś, kto niczego nie podejrzewa, umawia się z nią lub ma ją jako współlokatora. A co, jeśli ma dzieci? Jeśli masz wątpliwości, przeczytaj ponownie fragment o jej bracie. Chore.

RD: Pamiętasz, co powiedział Wozniak? Że widział wiele okropnych miejsc zbrodni i wiele martwych ciał, ale rzadko widywał dzieci, a jeszcze rzadziej w tym stanie. Ta dziewczyna jest spaczona. Ojciec został pchnięty nożem dwadzieścia cztery razy. Chłopcom podejrzięto gardła.

Mary Procter: Mam nadzieję, że ta mała dziewczynka pod łóżkiem i jej rodzice odnajdą pokój i będą umieli żyć dalej. Ale pamiętam też, co Wozniak powiedział w rocznicę morderstw. „Najbardziej boję się, że nie została zresocjalizowana, że oszukała system i że się nie zmieniła. Myślę, że może być oszustką”.

Joe słyszy hałas. Siada w łóżku przekonany, że na dachu znów wylądowała szyszka albo fragment gałęzi. Słyszysz trzaśnięcie drzwi do pracowni.

Wstaje i wygląda przez okno.

Pod latarnią na ulicy widzi kobietę z włączoną latarką czołową. Szlag! Mama? Idzie pobiegać? Teraz?

Szlag, szlag, szlag. Coś jej się stanie.

Joe chwytając kurtkę. Rozlega się grzmot. Pędzi do drzwi. Widzi torbę, którą Phoebe zostawiła z myślą o tym, że wymkną się do lasu. Widocznie strącił ją z ławki, kiedy miotał się po domu. Leży na podłodze, lekko rozchylona, widać w niej czapkę i czołówkę, które Phoebe przyniosła z domu. Joe wyciąga je i wybiega na dwór.

** Mary Bell to brytyjska morderczyni dwóch chłopców. Czteroletniego Martina Browna zabiła samodzielnie, a trzyletniego Briana Howe'a – z przyjaciółką. W chwili popełnienia zabójstw (1968 r.) miała jedenaście lat. Po odbyciu kary otrzymała nową tożsamość.

Matthew

TERAZ

23 czerwca. Czwartek.

Matthew wymyka się z domu z aparatem w plecaku. Po cichu wyciąga rower, który dziadkowie trzymają dla niego w garażu. Oni piją kawę w łóżku, a Phoebe jeszcze śpi. Jego rodzice siedzą w areszcie dużego posterunku policji w centrum miasta, oddalonym o pół godziny jazdy autostradą Patricia Bay Highway. Jest ciepły letni poranek, bezchmurne niebo, a on jedzie tak szybko, jak tylko pozwalają mu jego małe nóżki, ścieżką rowerową biegnącą wzdłuż autostrady. Dyszy, jest zgrzany. Jest spięty, ale też podekscytowany, bo ma plan.

Dociera do małego nadmorskiego miasteczka, które znajduje się niedaleko domu dziadków. Są tam kolorowe sklepy z pamiątkami i promenada. Przypina rower do słupa w pobliżu przystanku i czeka na autobus. Wczoraj wieczorem sprawdził rozkład jazdy.

Autobus przyjeżdża i zatrzymuje się, wydając typowe odgłosy – skrzypienie i sapanie, jakby wzdychał. Matthew wsiada, wrzuca swoje ćwierćdolarówki do słoika na pieniądze i zajmuje miejsce z przodu, blisko kierowcy. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Przesuwa się w fotelu pod samo oparcie, odrywając nogi od podłogi. Podczas jazdy studiuje mapę Google w swoim telefonie, zastanawiając się, jak się dostać na posterunek policji.

To jedna przecznicca od przystanku autobusowego. Jazda trwa prawie godzinę, ponieważ autobus co chwila się zatrzymuje, aż w końcu Matthew wysiada z łomoczącym sercem. Mijają go samochody, budynki wydają się strasznie wysokie. Musi się przemóc. Robi to dla taty i mamy. To jego wina, że zostali aresztowani. Musi to naprawić.

Znajduje posterunek – wielopiętrowy betonowy budynek z dużą ilością szkła i totemem na zewnątrz. Wchodzi przez szklane drzwi i podchodzi do lady z kuloodpornego szkła. Wspina się na palce, by dosięgnąć do blatu, a jeden z dwóch policjantów za ladą pochyła się, by wysłuchać go przez otwór.

- Hej, młody człowieku, w czym mogę pomóc?
 - Czy mogę rozmawiać z policjantką od zabójstw?
- Policjanci spoglądają po sobie.

– Chodzi o Zabójcę Biegaczek.

Rue

TERAZ

Rue przyczepia do tablicy zdjęcia, które Matthew Bradley zrobił swojemu ojcu. Na podstawie dowodów z nakazu przeszukania ona i jej zespół pracują nad ogólnym obrazem wydarzeń i sporządzeniem osi czasu dotyczącej morderstwa Arwen Harper. Szukają dziur, możliwości dalszego dochodzenia. I czekają na wyniki z policyjnej bazy danych DNA, aby sprawdzić, czy profile z DNA nasienia lub niezidentyfikowanego dotykowego DNA z czapki Kordela znajdują się w systemie. Zegar tyka, Bradleyów mogą przetrzymać tylko przez określony czas.

Toshi przegląda billingi Harper. Georgia Backmann ogląda nagrania z kamery przy arterii, która prowadzi do ulicy biegnącej obok parkingu Garry Bluffs.

Rue stoi z tyłu i studiuje nieostre zdjęcie Toma Bradleya otwierającego drzwi domku ogrodowego. Inne zdjęcie pokazuje, jak ogląda się przez ramię. Ciemna plama na jego koszuli jest wyraźnie widoczna.

– Hej, Rue, Toshi, spójrzcie na to – mówi Georgia.

Rue i Toshi podchodzą do jej biurka. Wskazuje obraz z kamery przemysłowej.

– Co tu jest grane? – dziwi się Toshi. – To furgonetka Harper.

Serce Rue bije mocniej. Furgonetka na zdjęciu to volkswagen z wymalowanymi gigantycznymi płatkami śniegu. Nie ma wątpliwości – to pojazd Arwen Harper.

– Patrz na to – mówi Georgia. – Przejeżdża przez czerwone światło na tym skrzyżowaniu. Jest dziesiąta wieczorem dziewiętnastego czerwca. Noc imprezy u Codych. To jej rejestracja.

– Widać furgonetkę w następnej kamerze? Widać wyraźniej kierowcę? – pyta Rue.

Georgia włącza nagranie z innej kamery. Oglądają je. Po kilku minutach pojawia się furgonetka. Z samym kierowcą. W ciemnym ubraniu. Czapce i bluzie z kapturem. Z wyłączoną czołówką na głowie.

– Szlag – klnie Toshi.

Drzwi do gabinetu się otwierają. Stoi w nich umundurowany funkcjonariusz.

– Sierżant Duval?

Rue podnosi wzrok.

– O co chodzi?

– Ktoś chce się z panią widzieć.

– Jestem zajęta. Może pan złapać kogoś innego?

– Chodzi o małego chłopca. Mówi, że nazywa się Matthew Bradley. Chce rozmawiać z „policjantką od zabójstw”. Ma coś do pokazania, ale nie chce pokazać tego nikomu innemu.

Rue

TERAZ

Rue idzie szybko do recepcji. Stoi tam. Brązowe włosy. Piegi. Szpara między przednimi zębami. Jest przerażony, to jasne.

– Matthew, cześć. Miło cię znowu widzieć. Co słychać? Co mogę dla ciebie zrobić?

– Przyszedłem pokazać inne moje zdjęcia. Mój tata nie zrobił nic złego i chcę... – W jego oczach błyszczą łzy. – Musi ich pani wypuścić, musi pani.

– Jak się tu dostałeś, Matthew?

– Na rowerze, a potem autobusem. Sam.

– Może pójdziemy do ładnego pokoju? Przynieść ci coś do jedzenia? Albo do picia? – Spogląda na zegarek. – Już prawie pora lunchu. Lubisz hamburgery? Pizzę?

– Hamburgery. I frytki. I żelki, ale moja mama nie lubi, jak jem cukier.

Rue uśmiecha się do chłopca najserdeczniej, jak tylko potrafi.

– Może zachowamy to w tajemnicy?

Mały kiwa głową.

Rue wysyła jednego z policjantów po jedzenie na wynos z fast foodu na rogu, a sama zabiera Matthew do pokoju przesłuchań z niebieską sofą.

Chłopiec siada i natychmiast zaczyna grzebać w plecaku, z którego wyjmuje aparat cyfrowy.

– Fajny sprzęt, Matthew.

– Dostałem go w zeszłe święta. Słyszałem, jak babcia mówiła, że zabrała pani moje akta i zdjęcia taty po biegu, które sobie wydrukowałem, ale mam więcej zdjęć. Słyszałem, jak babcia mówiła, że to przez moje zdjęcia wsadziliście mamę i tatę do więzienia, ale ja mam jeszcze inne. Musi je pani zobaczyć. Proszę patrzeć na ten ekranik i przewijać w ten sposób. – Jego mały palec pokazuje Rue, jak wyświetlić miniaturki cyfrowych zdjęć zapisanych w aparacie. – Przyniosłem też kabel. – Wyciąga przewód z plecaka. – Może je pani zapisać na swoim komputerze, a potem wypuścić mamę i tatę z więzienia.

– Na co mam zwrócić uwagę?

– Na pana Cody'ego.

Rue marszczy brwi.

– Na pana Cody'ego?

– On... Myślę, że on ostatni był z mamą Joego. Nie mój tata. Czyli mój tata nie mógł jej skrzywdzić, prawda? Kiedy tata zabrał mamę z przyjęcia, a potem zobaczyłem, że Joe wraca do domu, poszedłem zobaczyć, kto został w domku przy basenie. Zrobiłem zdjęcia przez okno. To moja specjalność. – Rumieni się.

– Chcesz mi coś pokazać, żeby obwinić kogoś innego? Żeby wyciągnąć tatę z więzienia?

Jego twarz robi się buraczkowa.

– Musi go pani wypuścić. Pan Cody... Był tam z mamą Joego i robili... no, wie pani.

– Niezupełnie. Co takiego?

– Uprawiali seks. W domku przy basenie. Po tym, jak moi rodzice wyszli. Po tym, jak wyszedł Joe. Zakradłem się tam... Wie pani, jestem stalkerem.

– Coś podobnego!

– Takim tajniakiem. Jak śledczy. Zbieram materiał do moich akt.

– Aha.

– Zrobiłem kilka zdjęć.

Rue ogląda małe obrazki. Serce jej przyspiesza. Są na nich Arwen Harper i Simon Cody. Cody przyciska Harper do ściany, ona ma spódnice podwiniętą do samej talii. Wyraźnie widać, że odbywają stosunek. Rue przypomina sobie ślad nasienia na udzie Harper.

– Matthew, to może być bardzo, bardzo pomocne w tym bardzo ważnym śledztwie. Skoro przyniosłeś te zdjęcia, żeby mi je pokazać, czy mogę je pobrać, skopiować? Na potrzeby śledztwa?

Chłopiec z błyskiem w oczach kiwa głową.

– Mogę teraz zobaczyć się z tatą i mamą?

Rue się waha.

– Dobrze, w porządku. Zaprowadzę cię na dół, żebyś mógł odwiedzić rodziców. A mogłabym przejrzeć inne zdjęcia, które tu masz?

– Tak – zgadza się i siada wyprostowany, pewny siebie z powodu jej żywego zainteresowania. Zaczyna majtać nogami.

Rue przegląda pozostałe pliki w aparacie. Matthew zrobił dokumentację przyjęcia – lampiony kołyszące się na wietrze, dzieci grające w piłkę, mężczyzn zgromadzonych wokół dymiącego grilla.

– Co to za zdjęcie? – Rue wyciąga aparat w stronę chłopca.

Matthew przygląda się fotografii.

– To moja siostra, Phoebe, z Joem. Siedzą na pniu. Mam ich więcej w aktach. I zdjęcia Fi i jej drugiej przyjaciółki. Phoebe miała tego dnia szlaban i nie powinno jej tam być. Dała Joemu bransoletkę, bo był smutny. –

Rue ledwo słucha. Zobaczyła coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Pochyliła się, zdenerwowana.

– A to co, Matthew?

– To... Nie powinienem tam chodzić, ale wiem, że pan Cody trzyma klucz w rzeźbie za drzwiami.

– Gdzie nie powinieneś chodzić?

– Do jego szopy. Jest drewniana i wciśnięta w klif. Można się do niej dostać tylko po drabinie. Pan Cody trzyma tam swoje trofea, wypchane ptaki. Orły ze szklanymi oczami. A nawet łasicę. Białą. To zimowe futro. Ma tam rzeczy, które znajduje na plaży, kiedy obserwuje ptaki. Widziałem go na plaży Grotto, jak zbierał muszle i szkiełka. Powiedział mi, że lubi robić z nich ruchome dekoracje. Z ptasich piór, kawałków drewna i tym podobnych rzeczy.

– To jedna z tych dekoracji?

– Tak. Wisi jako łapacz snów w oknie, przejmuje całe światło. Niektóre z tych rzeczy zatapia w żywicy, powiedział mi, kiedy spotkałem go na plaży.

Serce Rue wali jak młotem.

Powiększa jeden z przedmiotów przyczepionych do dekoracji. Przygląda mu się. Zalewa ją fala gorąca. To zielony krzyż maltański. Wygląda na jadeitowy. Pośrodku znajduje się mały kompas. Przerzuca obraz i przygląda się kolejnemu przedmiotowi. Staroświecki pierścionek z małą srebrną kulką pośrodku. Jest też sześciokątna bransoletka zawieszona na drucie. I coś, co wygląda jak kosmyki włosów zalane żywicą. Rude. Blond. Ciemnobrązowe. Odcień włosów trzech ofiar Zabójcy Biegaczek. Rue spogląda na Matthew.

– Matthew, możesz tu poczekać? Ktoś przyniesie ci jedzenie i zaprowadzi do rodziców.

Chłopiec kiwa głową podekscytowany.

Rue sięga po telefon, szybko idąc przez korytarz. Odbiera jej przełożony, Luke Holder.

– Luke, chyba go mamy. Zabójcę Biegaczek. Niech wszyscy zbiorą się w pokoju. Natychmiast. Chyba go mamy!

Hannah

TERAZ

Hannah zmywa naczynia i nagle słyszy syreny. Joe jest w pokoju gościnnym, a Simon w gabinecie na poddaszu. Dzieci są w szkole. Za niecały tydzień oficjalnie rozpoczną się wakacje. Zastanawia się, jak dzieci Lily czują się u dziadków. Wcześniej skończyły szkołę ze względu na sytuację. Odstawia talerz na suszarkę. Jest jej ich żal, ale cieszy się, że to nie jej dzieci, nie jej problem. Syreny stają się głośniejsze. Ogarnia ją niepokój. Niebo jest błękitne i czyste, a za skrajem urwiska mieni się morze. Syreny zawodzą coraz głośniej. Słysząc je tak, jakby się zbliżały. Hannah zdaje sobie sprawę, że są na jej ulicy. W pierwszej chwili myśli, że to akcja u Lily i Toma, jak ostatnio.

Gdy odkłada ścierkę i sięga do wiązania fartucha, słyszy, że samochody zatrzymują się przed jej domem. Zastyga w bezruchu. Po chwili podchodzi do okna. Sześć oznakowanych radiowozów i czarna opancerzona furgonetka stoją w poprzek uliczki i jej podjazdu. Serce jej łomocze, gdy policjanci zaopatrzeni w czarny sprzęt taktyczny wychodzą z samochodów. Funkcjonariusze w kaskach i z bronią automatyczną wkraczają na jej podjazd. Inni podchodzą do domku z basenem i lasu. Hannah dotyka szyi, gdy kolejna grupa policjantów przemieszcza się w szyku bojowym przy ich domu.

Wala do drzwi.

– Otwierać! Policja!

Hannah krzyczy na schodach:

– Simon! Simon!

Jej mąż schodzi i na widok policjantów przez wysoką szybę na skrzydle frontowych drzwi rzuca się do salonu.

Hannah stoi bez ruchu w przedpokoju.

– Policja, otwierać!

Słyszy uderzenie tarana. Ale nie jest w stanie się ruszyć. Stoi jak wryta, trzymając się za brzuch.

Joe z łoskotem zbiega po schodach.

– Pani Cody? Co się dzieje?

Ona wciąż nie może się ruszyć, nie może mówić. Kątem oka widzi męża biegnącego przez szmaragdowozielony trawnik w kierunku schodów na skraju urwiska, prowadzących do jego szopy. Przypomina sobie jego zdjęcia,

które kiedyś tam widziała – tych biegaczek. Domyśliła się, że zostały zrobione na przestrzeni tygodni, a może nawet miesięcy, sądząc po ubraniach, które miały na sobie na zdjęciach te kobiety, i różnych warunkach pogodowych. I wie. Wie, że wszystko, co przez lata próbowała ignorować, łagodzić, usprawiedliwiać i sobie tłumaczyć, zaraz ujrzy światło dzienne.

Lup. Lup. Lup. Walenie w drzwi nie ustaje.

Przypomina sobie coś, co kiedyś powiedziała jej Lily. Słowa wybitnego szwajcarskiego psychiatry Carla Junga: *Ludzie zrobią wszystko, posuną się nawet do absurdu, byle tylko uniknąć spoglądania we własną duszę.*

Ogłuszające uderzenia tarana niosą się echem po jej domu, trzęsą szybami w oknach, wstrząsają jej psychiką. *Lup. Lup.*

Joe pośpiesznie otwiera drzwi i do środka wpadają policjanci. Sierżant Duval stoi z tyłu w kurtce policji z Victorii, kamizelce kuloodpornej i czarnej czapce. Broń ma na wierzchu.

– Gdzie jest pani mąż? Gdzie Simon? – pyta.

Hannah kręci głową z rozwartymi ustami. Wciąż nie może mówić. Joe wskazuje na rozsunięte szklane drzwi przesuwne.

– Poszedł w tamtą stronę.

Sierżant Duval i inni policjanci przechodzą przez biały salon Hannah i potem przez szerokie szklane drzwi, za którymi roztacza się piękny widok na ocean.

Hannah podchodzi do okna. Joe również. Obserwują, jak funkcjonariusze w sprzęcie taktycznym powalają jej męża na trawnik w pobliżu krawędzi urwiska. Simon walczy. Policjanci ponawiają próbę. Podnosi się, ale znów zostaje przygnieciony do ziemi. Leży na brzuchu. Jeden z policjantów kolanem dociska jego plecy i przytrzymuje twarz leżącą bokiem w trawie. Twarz jest czerwona. Simon krzyczy. Ktoś skuwa go w kajdanki.

– Co zrobił? – pyta Joe.

To chyba film, myśli Hannah, wciąż niezdolna do odpowiedzi, niezdolna do wyrażenia lub wyartykułowania tego, w co nie chce wierzyć. To nie dzieje się w jej ogrodzie. To nie jej mąż. Jej mąż nigdy nie dopuściłby się takich rzeczy. To Arwen, myśli. To wszystko wina tej kelnerki. Wszystko zaczęło się sypać, kiedy przyjechała do miasta z synem tym głupim niebieskim busem z wymalowanymi płatkami śniegu.

Zanim pojawiła się Arwen, było tu spokojnie. Wszyscy skutecznie ukrywali swoje mroczne rodzinne sekrety za sztucznymi uśmiechami. Arwen wstrząsnęła ich kłatką. Szczury zaczęły biegać i atakować się nawzajem.

– Pani Cody? – Joe delikatnie dotyka jej ramienia.

- Wynoś się, Joe, do cholery, wynoś się z mojego domu!
Chłopak wpatruje się w nią ze zdumieniem.
- Wszystko przez ciebie i twoją porąbaną matkę. To twoja wina.
Wypierdalaj z mojego domu!

Rue

TERAZ

– Co za widok – szepcze Toshi do Rue. Stoją w szopie Simona Cody’ego na klifie. Simon został aresztowany. Ona z Toshim czekają na ekipę identyfikacyjną.

Budynek wisi niepewnie ponad morzem, można się do niego dostać po stromych drewnianych schodach, które tulą się do klifu z piaskowca. Dopiero patrząc z samej krawędzi urwiska, można dostrzec, że coś tu jest. Miejsce jest odizolowane od wścibskich oczu. Drzwi musieli sforsować. Były zamknięte na zasuwę.

Na całej długości budynku od strony morza są okna. Pod jedną ścianą stoi łóżko, pod drugą regały, szafki, biurko i drukarka. Wypchane ptaki obserwują ich niewidzącymi szklanymi oczami, a biała łasica pełni straż, jak powiedział Matthew.

– Niezły, trzeba przyznać – odpowiada Toshiemu. Jej ton odzwierciedla emocje, jakie odczuwa, patrząc na morze przez zawieszoną w oknie ozdobę. Obraca się powoli w oceanicznej bryzie, wpadającej do środka przez wyważone drzwi. Światło odbija się od pobrzękujących wisiorów i błyskotek.

– Cody przesiaduje sobie tutaj, w swojej szopie, i podziwia ten oszałamiający widok przez żywicę, w której zatopił ludzkie włosy, przez trofea zabrane kobietom, które prześladował, zaatakował, zgwałcił i zatłukł na śmierć.

Rue kiwa głową.

– Ze zdjęć w tych szufladach wynika, że prześladował swoje ofiary przez jakiś czas, zanim się do nich dobrał. – Spogląda Toshiemu w oczy. – Dorwaliśmy go.

Toshi parska cicho.

– Dorwał go mały detektyw z osiedla, Matthew Bradley.

Rue się uśmiecha. Po chwili śmieje się w głos.

– Fakt. Kto by pomyślał, że potrzebujemy oka ośmiolatka. – Jej uśmiech nagle znika. – Ten dzieciak włożył wiele wysiłku, żeby przywieźć nam te obrazy, ale możliwe, że Simon Cody nie działał sam. On i Tom Bradley biegali razem w maratonach. Prawdopodobnie czasami razem trenowali.

– Szlaki Elk Lake i Goose to najlepsze trasy dla biegaczy długodystansowych. Myślisz, że zabójców jest dwóch? Że obaj mogą być zamieszani w śmierć Harper?

Rue bierze głęboki oddech i myśli o furgonetce z płatkami śniegu, przejeżdżającej na czerwonym świetle w noc morderstwa.

– Myślę, że sprawa Harper może być tylko pośrednio powiązana z Simonem. Potrzebujemy wyników badań DNA.

Na miejsce dociera zespół identyfikacyjny, a Rue i Toshi wspinają się po schodach na urwisko, aby zrobić technikom miejsce do pracy.

Rue widzi Joego stojącego na trawiastym urwisku pod lasem. Idzie do niej.

– Daj mi chwilę – zwraca się do Toshiego. – Spotkamy się na posterunku.

Toshi spogląda na nią.

– Chyba ma mi coś do powiedzenia. Posłucham, z czym przychodzi.

Toshi kiwa głową i wraca do swojego auta.

– Joe, co słyhać? – pyta, gdy chłopak do niej podchodzi.

– Muszę z panią porozmawiać. To... to nie był pan Cody. Ani pan Bradley. Oni tego nie zrobili. Nie skrzywdzili mojej mamy.

Rue ogarnia zaskoczenie.

– Dlaczego tak uważasz, Joe?

– Bo to wiem. Byłem tam wtedy.

Joe

WTEDY

19 czerwca. Niedziela.

DZIEŃ JEJ ŚMIERCI

Joe wybiega w czapce Kordela należącej do ojca Phoebe i z latarką na głowie, ale gdy dociera do wiaty, uświadamia sobie, że nie wie, jak daleko w las zdążyła pobiec jego matka, a jeśli ruszy za nią ścieżką, w ciemności, w tej burzy... Już raz ją taką widział. Na granicy psychozy. Słyszy i widzi rzeczy, których nie ma. Jeśli zażyła jakieś tabletki po tym, jak położył ją do łóżka, jej stan może być poważny. Wyjaśniałby, dlaczego wybrała się do lasu po ciemku. Mógłby wezwać pomoc, ale obawia się, że może nie nadejść dość szybko, a odgłos syren i duża liczba ludzi ze światłami, osaczających ją w lesie ze wszystkich stron, może wywołać atak paniki. Joe martwi się głównie z powodu klifów, wzdłuż których biegnie szlak. Musi ją powstrzymać, zanim wydostanie się w tamtym miejscu.

Widzi furgonetkę.

Jeśli weźmie auto, będzie mógł szybko przejechać na parking po drugiej stronie lasu. Zanim mama zejdzie ze szlaku, zdąży się trochę zmęczyć. Łatwiej będzie sobie z nią poradzić. Jeśli zaparkuje przy urwisku i wejdzie na szlak od strony parkingu, podejdzie do niej od przodu i na nią poczeka, zamiast straszyć ją pogonią.

Wraca do domu po zestaw zapasowych kluczyków do furgonetki.

Uruchamia silnik, wyjeżdża z podjazdu i rusza drogą w ulewnym deszczu. Wycieraczki pracują bez ustanku.

Przejeżdża na czerwonym świetle przez puste skrzyżowanie.

Kiedy dociera na miejsce, parking jest pusty. Z piskiem opon zatrzymuje się tuż przy szlaku. Znajduje latarkę w schowku i włącza czołówkę pana Bradleya.

Wysiada z furgonetki i w burzy wbiega do jęczącego lasu. Nad oceanem słyszą grzmoty.

Po około półkilometrowym biegu głównym szlakiem we mgle wśród drzew dostrzega światło.

Staje nieruchomo, dyszy ciężko i czeka.

Gdy jest już bliżej, woła ją.

– Mamo!

Matka się zatrzymuje.

– Mamo, zaczekaj! – Rusza w jej kierunku.

Ona odwraca się, nurkuje w krzaki i zaczyna przedzierać się przez zarośla. Joe widzi wiązkę jej światła we mgle pomiędzy pniami. Celuje latarką w las, próbuje się zorientować, dokąd kieruje się matka. Panika wbija mu się w serce niczym siekiera.

Matka idzie w stronę klifów po drugiej stronie lasu.

Joe przedziera się za nią przez zarośla, podążając za kołyszącym się światłem jej czołówki.

– Mamo! To ja! Joe! Proszę, zatrzymaj się!

Jej światło wciąż się porusza, drążąc tunel we mgle. Słyszy, że matka upada i się czołga. Serce wali mu jak młotem. Nie wie, jak blisko klifu się znajdują. Idzie szybciej, wołając za matką.

Ona znów się przewraca. Jej światło gaśnie. Joe zatrzymuje się.

– Mamo?

Słyszą tylko dudnienie deszczu i szum wiatru między drzewami. Z nieba lecą grzmoty i odłamki gałęzi. Joe przeciska się naprzód, ostrożnie oświetlając ziemię. Widzi w błocie odciski stóp matki.

– Mamo? – woła niepewnie.

Błyskawice przecinają niebo, słychać grzmoty. Nagle matka wyskakuje spomiędzy paproci i niczym ranny jelen z rzuca się w stronę krawędzi klifu. Joe, obawiając się o jej życie, rusza za nią.

Wyskakuje z lasu i widzi, że matka stoi tuż przy krawędzi klifu. Jego serce zamiera. Nie może oddychać. Na chwilę oświetla jej twarz i widzi, że jest rozcięta. Panika wygrywa z ostrożnością. Widzi, że matka jest w swojej maniackalnej fazie urojeń.

Joe wyciąga rękę.

– Już dobrze, mamo, to ja, Joe, już dobrze. Chwyć mnie za rękę. – Wyciąga do niej dłoń.

Matka rzuca się na niego jak dzikie zwierzę, uderza go w twarz. Strąca mu z głowy czapkę i kaptur. Światło jej latarki świeci mu w twarz. Matka na chwilę nieruchomieje.

– To ty?

Oczy pieką go od łez.

– Tak, tak, to ja, mamo. Nie bój się. Podaj mi rękę. – Wyciąga ją ponownie.

Nagle zrywa się wiatr. Drzewa się uginają, spada gałąź i uderza jego matkę w głowę. Matka krzyczy i robi krok do tyłu. Joe rzuca się, by ją złapać, ale

ona szarpie się i zrywa bransoletkę Phoebe z jego nadgarstka, gdy kruszący się piaskowiec ustępuje pod jej butami. Wymachuje rękami i spada w przepaść. Joe słyszy jej krzyk i rozdzierający wnętrzości huk. Krzyczy znów, aż w końcu jej głos ginie na wietrze i pośród grzmotów.

Joe stoi oniemiały. Podchodzi do krawędzi, spogląda w ciemną otchłań. Nic nie widzi. Słyszy tylko wiatr i deszcz.

Najszybciej jak potrafi wraca biegiem na szlak. Biegnie w stronę urwiska. Przebiega przez parking i szybko schodzi po śliskich schodach, ściskając w dłoni latarkę, bo czołówka spadła mu z głowy.

Kiedy w końcu dociera do kamienistej plaży, matka już nie żyje. Poturbowana, zmasakrowana, połamana i zakrwawiona leży na kamieniach. Joe siedzi i szlocha wśród odgłosów burzy, i zawodzi.

A potem zaczyna się bać.

Rue

TERAZ

Rue siedzi na ławce obok Joego i w milczeniu słucha jego opowieści.

Milczy jeszcze chwilę. Patrzą na wodę.

– Dlaczego, Joe? – pyta cicho. – Dlaczego po prostu nie przyszedłeś do nas i nie powiedziałeś nam, co się stało?

– Bałem się. Mama była taka pokrecona, a ja się bałem. Byłem z tym sam. Nie miałem nikogo. Nie wiedziałem, co się ze mną stanie, nie chciałem iść do więzienia. Nie chciałem też rozpowiadać, nad czym pracowała, bo chciałem chronić Phoebe. Ale potem aresztowała pani jej rodziców, więc i tak wszyscy cierpią.

– Nie rozumiem.

Joe bierze głęboki oddech.

– Nie może pani powiedzieć o tym Phoebe ani mediom. Czytałem, że takie jest prawo. Nie można podawać do publicznej wiadomości nazwiska młodocianego przestępcy, którego kartotekę usunięto. Nie może tego zrobić nawet policja.

– O czym ty mówisz, Joe?

– Była dzieciobójczynią.

– Kto był dzieciobójczynią?

– Pani Bradley. Razem ze swoim chłopakiem zamordowała własną rodzinę w Medicine Hat w 1989 roku. Pani Bradley to Sophie McNeill.

Kręgi na wodzie

TERAZ

4 września. Niedziela.

Wracając z kościoła, Lily, Tom i dzieci zatrzymują się, by kupić lody w food trucku nad wodą. Lily zerka na męża. Tom uśmiecha się, wręczając jej rożek z rumem i rodzynkami.

- Nie wiem, jak możesz znieść ten smak – mówi.
- Paskudny jest – przytakuje Matthew, pochłaniając lody czekoladowe.
- Też tak uważam – wtrąca Phoebe.
- Macie szczęście, że nie musicie ich jeść – mówi Lily, oblizując wargi.

Lily i Tom idą powoli obok siebie, a dzieci biegną karmić kaczki w stawie. Słońce ogrzewa ramiona Lily. Na poboczach rosną kolorowe kwiaty. Najpiękniejsze jest to, że Bradleyowie nie są już śledzeni przez media. Cały szal natychmiast przeniósł się na Simona Cody'ego, którego oskarżono o zabójstwo trzech kobiet i nazwano Zabójcą Biegaczek. Emerytowani funkcjonariusze organów ścigania występujący w programach telewizyjnych jako eksperci spekulują, że Simon może mieć związek z wieloma innymi sprawami. Lily myśli o tym, co wczoraj w telewizji powiedział pewien kryminolog.

Socjopata, seryjny napastnik seksualny, taki jak profesor Simon Cody, nie budzi się nagle pewnego dnia z myślą, że zrobi coś takiego. To wymaga praktyki. Wyrafinowania. Robił to już wcześniej. Nie mam wątpliwości, że zbrodni będzie więcej.

Tom został zwolniony wkrótce po aresztowaniu Simona Cody'ego, po tym, jak stwierdzono, że DNA nasienia z ciała Arwen pasuje do dowodów pobranych z ciał innych ofiar Zabójcy Biegaczek. Hannah została przesłuchana i następnego dnia poleciała z Jacobem i Fioną do Winnipeg, gdzie na razie mieszka z rodzicami. Dom Codych na urwisku z widokiem na morze stoi pusty i zamknięty na klucz.

Jak na ironię, choć raczej nie należy się temu dziwić, Dianne Klister nadal pławi się w blasku fleszy – zaproponowała, że będzie reprezentować wykładowcę z Uniwersytetu Kordela, doktora Simona Cody'ego, Zabójcę Biegaczek.

– Podejrzewałeś coś? Miałeś pojęcie o Simonie? – Lily ponownie zadaje Tomowi to pytanie. – Bo ja nie. Myślałam, że jest zwykłym dziwakiem, jak na profesora filozofii przystało. Ale ty z nim piłeś, trenowałeś, biegałeś w maratonach. Znałeś go.

– Z perspektywy czasu muszę przyznać, że było widać pewne oznaki. To, jak traktował Arwen i mnie... Wtedy, na łodzi, kiedy zrobił mi te zdjęcia, to wszystko, co wtedy mówił. Było w nim coś mrocznego.

– Co przybierało na sile?

– Możliwe. Tak to się zwykle dzieje. Prawdopodobnie był gotowy, by znów zabijać i coraz bardziej tego pragnął. Próbował wymyślić, jak to zrobić.

– Myślisz, że skrzywdziłby Arwen, gdyby miał okazję?

– Był pragmatykiem. Nie polowałby na własnym podwórku – mówi Tom. – Jest bystry. To wyrachowany drapieżnik. Przez długi czas wszystko uchodziło mu płazem. Gdybym był hazardzistą, założyłbym się, że śledczy Duval i Hara znaleźli już w jego szopie dowody na to, że śledził nową ofiarę i przygotowywał się do zabójstwa, ale gdzieś dalej.

Lily zadrżała, gdy wiatr musnął jej skórę.

– Ale na osiedlu pojawiła się Arwen i namieszała także w życiu zabójcy z naprzeciwka.

Tom uśmiecha się szelmowsko i bierze do ust swój rożek.

– Myślę, że Hannah o wszystkim wiedziała – stwierdza Lily. – Przynajmniej częściowo. Chyba dlatego pokazała mi te zdjęcia i zaniósła je na policję. Ratowała się zaprzeczeniem. Wypieraniem.

Zatrzymują się i siadają na ławce, dotykają się udami. Wciąż nie dociera do niej fakt, że Tom przez cały czas wiedział, że ona to Sophie. Że ożenił się z nią, założył z nią rodzinę i mieszkał z nią przez te wszystkie lata, i milczał. Jeszcze raz jej powiedział, że pragnął, żeby okazała się wzorem udanej resocjalizacji. Chciał, żeby praca Dee przyniosła skutek. Tom nadal bada zaburzone umysły i pozostaje zagorzałym orędownikiem troski o zdrowie psychiczne. W ten sposób walczy z piętnowaniem ludzi.

Wierzę w sprawiedliwość naprawczą, Lily. Wierzę, że ludzie mogą stać się lepsi, jeśli nie będą zmuszani przez społeczeństwo do noszenia stygmatyzującej etykiety.

Lily wierzy, że program sprawiedliwości naprawczej może przynieść dobre rezultaty u jej pacjentki Tarryn Wingate.

Wierzy też, że Garth Quinlan jest lepszym ojcem i wartościowym członkiem społeczeństwa dzięki temu, że udaje mu się ukrywać swoją mroczną przeszłość.

Lily przez chwilę naprawdę obawiała się, że Tom mógł skrzywdzić Arwen. Tom pewnie obawiał się, że mogła to zrobić ona. Oboje mieli okazję. Oboje mieli motyw. Lily wybrała się do Arwen tamtej nocy, chcąc podjąć desperacką próbę – odwieść Arwen od pisania książki. Chciała ją przekonać, że jest jeszcze dla niej szansa, że terapia może jej pomóc i że dla ich dzieci będzie lepiej, jeśli sprawa nie zostanie upubliczniona. Kiedy jednak dotarła do jej domku, nikogo nie zastała. Poczowała ulgę. Nie do końca ufała sobie, że nie skrzywdziłaby Arwen. Być może byłaby zdolna zabić, gdyby Arwen odmówiła pójścia za głosem rozsądku.

Jeśli się nad tym zastanowić, w ostatecznym rozrachunku to ona zabiła Chrissie-Arwen. To ona jest wszystkiemu winna, począwszy od tamtego dnia w Glenn Dennig. Gdyby nie jej czyny, być może Chrissie-Arwen nadal by żyła.

Spogląda na męża. Tom odwzajemnia spojrzenie i w sercu Lily rodzi się dziwne przeświadczenie.

Być może ona i Tom idealnie do siebie pasują. On jest pokręcony. Ona też. Jak kiedyś powiedział: ludzie są istotami strasznie złożonymi. Czasami nie ma prostych, podręcznikowych odpowiedzi. Czasami ludzie tak na siebie wpływają, że wspólnie doprowadzają do katastrofy. Tak było w przypadku Sophie i Vincenta.

I chyba wszystkie małżeństwa mają swoje sekrety.

– Kocham cię – mówi Lily.

Tom się w nią wpatruje. Lody ciekną mu po palcach. Wygląda, jakby miał się rozplakać.

Matthew skończył jeść lody i ostatnie okruchy wafelka rzuca kaczkom.

– Nie powinny tego jeść – zwraca mu uwagę Phoebe. – W tym jest cukier i inne świństwa.

Matthew udaje, że nie słyszy. Rzuca kolejny okruch i spogląda na siedzących na ławce rodziców. Są blisko. Dotykają się. Oczy go pieką. Pierś rozsadza mu duma i miłość. Policjantka od morderstw powiedziała, że będzie świetnym śledczym i zachęciła, żeby pozostali w kontakcie. Obiecała, że oprowadzi go po komisariacie, gdyby chciał ponownie odwiedzić ją i śledczego Toshiego Harę. Matthew uważa, że detektyw Hara fajnie wygląda w ubraniach, które nosi. Nie wiedział, że policjanci mogą się tak ubierać. Śledczy Hara powiedział, że Matthew powinien dostać medal i pochwalił go za odwagę. Rodzice przytulili go mocno i szlochając, powiedzieli, że jest

wspaniałym synem i że uratował sytuację. Nawet Phoebe w końcu przyznała, że jest całkiem fajnym młodszym bratem.

Phoebe jest jednak smutna, ponieważ Joe wyjeżdża. Przyszedł się pożegnać. Po tym wszystkim, co stało się z jego matką, wraca do Ontario.

– Przykro mi z powodu Joego – mówi cicho Matthew i rzuca kaczkom kolejny okruch.

Phoebe patrzy na niego. Matthew widzi, że siostra próbuje zgromić go wzrokiem, ale dziś jej to nie wychodzi. Drży jej wargą. Jego siostra wygląda całkiem ładnie bez tego dziwnego makijażu. Chyba na razie nie stara się być dziwadłem.

– Co zrobić – mówi. – Może jeszcze kiedyś go zobaczę.

– A może nie.

– Trudno. Cieszę się, że policja nie wniosła oskarżenia, a koroner orzekł, że śmierć była przypadkowa. I że policja pomogła mu odnaleźć biologicznego ojca.

Matthew kiwa głową. Dobrze jest mieć ojca, myśli. Nie wie, co by zrobił, gdyby jego taty nie wypuścili z więzienia.

Rue i Eb podchodzą z Joem do stanowiska odprawy linii lotniczych.

Joe dźwiga duży plecak, który dał mu Eb. Przystaje, bierze oddech.

– Poradzisz sobie? – pyta Rue. Jest ubrana w codzienny strój. Ona i Eb poświęcili Joemu sporo czasu. Wypożyczyli kajaki, pływali w wąwozie i w morzu, chodzili na wycieczki. Dzięki temu nie myślała o wyprowadzce Seta. Dzięki temu łatwiej było też Ebowi i Joemu.

Joe kiwa głową.

– Ojciec będzie czekał. Cholera... Denerwuję się.

Rue dotyka jego ramienia.

– Nie stresuj się, będzie dobrze. Bądź dla niego wyrozumiały. Nie miał pojęcia, że ma syna.

– Nie wiem, jak wam dziękować – mówi Joe, spoglądając to na Eba, to na Rue. – Za cały ekwipunek, za to, że pozwoliliście mi się u was zatrzymać. – Jego oczy są pełne wzruszenia, dłonie lekko mu drżą. – Za to, że pomogliście mi sobie poradzić z tym wszystkim, co się stało i co mnie jeszcze czeka. Ale przede wszystkim dziękuję, że go odnaleźliście. Mojego ojca.

– Narzędzia policyjne bywają przydatne – mówi Rue.

– Pani zrobiła coś więcej, wynajęła prywatnego detektywa.

– Chciałam przyspieszyć sprawę. To nie było trudne, Joe. Gdybyś się tym zajął, sam byś go odnalazł. Przecież on się nie ukrywał, tylko po prostu o tobie nie wiedział. Twój ojciec sprawia wrażenie dobrego, miłego człowieka. Przykro mi tylko, że do tej pory nie towarzyszył w życiu wyjątkowemu młodemu człowiekowi. Szkoda też, że matka się z nim tobą nie podzieliła.

Joe z trudem trzyma fason. Eb odwraca wzrok z szacunku do Joego, dając mu przestrzeń, by nie czuł się zakłopotany.

Rue przytula go mocno i czuje zaskakujący przyływ wzruszenia i przywiązania do tego chłopaka. Rozumie go. Wie, jak to jest pragnąć kontaktu z ludźmi, którzy wyglądają tak samo jak ty, u których płynie w żyłach ta sama krew. Klepie go po ramieniu.

– Jesteś wyjątkowym człowiekiem, Joe – szepcze mu do ucha. – Pamiętaj o tym. Bradleyowie mają szczęście. Zwłaszcza Phoebe i Matthew. Oszczędziłeś tym dzieciom wiele cierpienia dzięki temu, co zrobiłeś z materiałami twojej matki. Wygrałeś. Ja też. Ja mam swojego przestępcę. Ty ochroniłeś przyjaciółkę.

– Tym razem.

Rue się cofa.

– Fakt. Tym razem. Uważaj na siebie, Joe. Zawsze tu będziemy, gdybyś nas potrzebował. Możesz dzwonić i przyjechać w każdej chwili.

– Do widzenia, pani sierżant. Na razie, stary – zwraca się do Eba.

Rue i jej syn stoją ramię w ramię i przyglądają się Joemu przechodzącemu przez odprawę, a później do strefy bezpieczeństwa. Macha im i znika z pola widzenia.

– Cóż, zostaliśmy we dwoje, dzieciaku.

– Mówiłem ci, mamo. Nie mam nic przeciwko temu. – Waha się. – Nadal kocham tatę, mimo że jest nieudacznikiem. Przecież on nigdzie nie wyjeżdża, ani nic takiego.

– Dobra. Tylko nie śledź już jego dziewczyn, bo przyprawisz mnie o zawał.

Eb obejmuje ją ramieniem i wracają do samochodu. Rue widzi, że znalazł swoją bransoletkę z nosorożcem i znów ją nosi. Nie wspomina o tym.

Tej nocy Lily siedzi przy biurku i robi zapiski w swoim dzienniku. Postanowiła posłuchać własnej rady, której udzieliła Garthowi. Dokumentuje swoją przeszłość dla dzieci na wypadek swojej śmierci. Pewnego dnia się dowiedzą, nawet jeśli nastąpi to już po jej śmierci. Kiedy będą chcieli się

dowiedzieć, kiedy będą na to gotowi, będą mieli do czego sięgnąć. Będzie to jej narracja. Jej wersja. Nie Vincenta. Ani Chrissie-Arwen. Historię piszą przecież ci, którzy przeżyli. Lily jest jedyną ocalałą, osieroconą z własnej ręki. Na razie zamierza chronić niewinność swoich dzieci. Zrobi wszystko, co w jej mocy, by je odpowiednio wyposażyć na życie, by były silne i odporne. Przypomina sobie, że wychowanie dzieci jest aktem nadziei i odkupienia. Szansą na ponowne odkrycie siebie samego. Rodzice zazwyczaj robią, co mogą, aby uczynić świat lepszym miejscem dla swojego potomstwa. Taka jest ludzka natura. Zamierza być dobrą matką. Sąd dał jej szansę. Tom również. Nie zamierza jej zmarnować. I nie pozwoli sobie jej odebrać.

Na początek Lily kopiuje notatkę Arwen z jednego z jej obrazów, który Joe podarował Phoebe i który teraz wisi w pokoju jej córki.

Lepiej nie opierać się zmianie, jaką symbolizuje karta śmierci tarota. Opór utrudni przemianę. I sprawi, że będzie bolesna. Należy się z nią pogodzić, poddać koniecznej zmianie, ujrzeć w niej nowy początek. Karta śmierci wskazuje, że powinieneś odkreślić przeszłość, by móc ruszyć naprzód. Radzi: Wypuść to, co już ci nie służy.

– Myśl artystki. Śmierć. 36 x 48. Olej na płótnie.

Od autorki

W przedmowie do książki wspomniałam, że inspiracją do jej napisania była prawdziwa zbrodnia. Historia Lily została skonstruowana w oparciu o szokujące zabójstwo rodziny, które miało miejsce w rejonie Medicine Hat 23 kwietnia 2006 roku. Prawdziwa S.M. nie istnieje, jest za to prawdziwa J.R., której danych, zgodnie z kanadyjskim prawem, nie wolno podawać, ale jej nazwisko widnieje w treściach, które powstały poza granicami Kanady.

Podobnie jak na moją Lily, na J.R. do pewnego stopnia miała wpływ zakazana miłość – zabiła swoją rodzinę przy współudziale swojego wówczas dwudziestotrzyletniego chłopaka, którego nazwisko można podawać. To Jeremy Allan Steinke.

J.R. jest najmłodszą osobą w historii Kanady skazaną za wielokrotne morderstwo. W 2016 roku wyszła na wolność. Maksymalny możliwy wyrok dla dziecka poniżej czternastego roku życia wynosi dziesięć lat.

J.R. została okrzyknięta wzorem resocjalizacji. Niektórzy – między innymi policjant, który jako pierwszy dotarł na miejsce zbrodni – nie byli o tym przekonani.

Wiele szczegółów morderstwa popełnionego przez moją fikcyjną Lily zostało zaczerpniętych bezpośrednio z historii prawdziwej zbrodni, w rzeczywistości nie istniała postać, która byłaby odpowiednikiem Chrissie – świadka przerażających wydarzeń. Inne elementy fabularne, także młodszy brat Chrissie, są całkowicie fikcyjne.

Postępowanie sądowe nie dało odpowiedzi na jedno niepokojące pytanie. Ani J.R., ani Jeremy Steinke nie przyznali się do zabójstwa młodszego brata J.R.

Tylko oni wiedzą, co naprawdę wydarzyło się w tym domu. Jedno z nich nie mówi prawdy.

O autorce

Loreth Anne White jest autorką bestsellerowych thrillerów, między innymi *Miasteczko Twin Falls* i *Nasze idealne małżeństwo*, a także kryminałów i powieści grozy.

Ma na koncie ponad dwa miliony egzemplarzy sprzedanych na całym świecie, jest trzykrotną finalistką RITA, laureatką konkursu Daphne du Maurier, finalistką konkursu Arthura Ellisa i zdobywczynią wielu branżowych nagród.

Wcześniej pracowała jako dziennikarka w Republice Południowej Afryki i w Kanadzie, obecnie mieszka w Kanadzie, na Wybrzeżu Północno-Zachodnim, i dzieli czas pomiędzy Victorię na wyspie Vancouver, kurort narciarski w Górach Nadbrzeżnych i wiejski domek nad jeziorem w Cariboo. Kiedy nie pisze i nie obmyśla fabuły, znajdziecie ją nad jeziorami, w oceanie albo na szlakach z psem, gdzie próbuje unikać niedźwiedzi.

Bliższych informacji na temat jej książek dostarcza strona: www.lorethannewhite.com. Loreth Anne White znajdziecie też na Facebooku: www.facebook.com/Loreth.Anne.White, na Twitterze: <https://twitter.com/Loreth> lub na Instagramie: www.instagram.com/lorethannewhite/.

Spis rozdziałów

Przedmowa

Zakończenie

Lily. *TERAZ*. 20 czerwca. *Poniedziałek*.

Matthew. *TERAZ*

Lily. *TERAZ*

Rue. *TERAZ*

Lily. *TERAZ*

Tom. *TERAZ*

Rue. *TERAZ*

Lily. *TERAZ*

Lily. *TERAZ*

Początek. *WTEDY*. 20 kwietnia. *Środa*.

Lily. *TERAZ*

Lily. *WTEDY*. 24 kwietnia. *Niedziela*.

Rue. *TERAZ*

Arwen. *WTEDY*. 6 maja. *Piątek*.

Rue. *TERAZ*

Phoebe. *WTEDY*. 1 czerwca. *Środa*.

Lily. *TERAZ*

Lily. *WTEDY*. 20 maja. *Piątek*.

Rue. *TERAZ*

Lily. *TERAZ*

Tom. *WTEDY*. 20 maja. *Piątek*.

Porwanie. *HISTORIA KRYMINALNA*

Rue. *TERAZ*

Arwen. *WTEDY*. 7 czerwca. *Wtorek*.

Rue. *TERAZ*

Rue. *TERAZ*

Rue. *TERAZ*

Porwanie. *HISTORIA KRYMINALNA*

Rue. *TERAZ*

Kręgi na wodzie. *TERAZ*

Rue. *TERAZ*. 21 czerwca. *Wtorek*.

Rue. *WTEDY*. 8 czerwca. *Środa*.

Rue. *WTEDY. 8 czerwca. Środa.*
Rue. *TERAZ. 21 czerwca. Wtorek.*
Matthew. *WTEDY. 25 maja. Środa.*
Lily. *WTEDY. 25 maja. Środa.*
Porwanie. HISTORIA KRYMINALNA
Rue. *TERAZ. 21 czerwca. Wtorek.*
Rue. *WTEDY. 16 czerwca. Czwartek.*
Lily. *WTEDY. 25 maja. Środa.*
Porwanie. HISTORIA KRYMINALNA
Rue. *TERAZ. 21 czerwca. Wtorek.*
Rue. *TERAZ. 21 czerwca. Wtorek.*
Phoebe. *WTEDY. 15 czerwca. Środa.*
Lily. *WTEDY. 15 czerwca. Środa.*
Rue. *TERAZ. 21 czerwca. Wtorek.*
Matthew. *WTEDY. 15 czerwca. Środa.*
Rue. *TERAZ. 21 czerwca. Wtorek.*
Tom. *WTEDY. 17 czerwca. Piątek.*
Hannah. *WTEDY. 18 czerwca. Sobota.*
Lily. *WTEDY. 18 czerwca. Sobota.*
Lily. *TERAZ. 21 czerwca. Wtorek.*
Rue. *TERAZ. 22 czerwca. Środa.*
Kręgi na wodzie. *TERAZ*
Lily. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*
Lily. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*
Porwanie. HISTORIA KRYMINALNA
Lily. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*
Porwanie. HISTORIA KRYMINALNA
Porwanie. HISTORIA KRYMINALNA
Lily. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*
Porwanie. HISTORIA KRYMINALNA
Lily. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*
Lily. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*
Joe. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*
Kręgi na wodzie. *TERAZ*
Matthew. *TERAZ. 23 czerwca. Czwartek.*
Rue. *TERAZ*

Rue. *TERAZ*

Hannah. *TERAZ*

Rue. *TERAZ*

Joe. *WTEDY. 19 czerwca. Niedziela.*

Rue. *TERAZ*

Kręgi na wodzie. *TERAZ. 4 września. Niedziela.*

Od autorki

O autorce